

# Nie mam gdzie wrócić

W KRĘGU TWÓRCZOŚCI WOJCIECHA PESTKI

# Nie mam gdzie wrócić

W KRĘGU TWÓRCZOŚCI WOJCIECHA PESTKI

WPROWADZENIE, WYBÓR TEKSTÓW I REDAKCJA

WOJCIECH KAJTOCH

WYDAWNICTWO WYSOKI ZAMEK 2022

## Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA: Sylwetka	9
W. Kajtoch, „O twórczości i życiu Wojciecha Pestki...”	11
Literatura cytowana	62
Przypisy	65
CZĘŚĆ DRUGA: Wybór utworów Wojciecha Pestki	91
WIERSZE	93
„*** (powinieneś być cierpliwy...)”	95
„zanim powstał świat”	96
„spotkanie”	97
„wiersz o lampie na biurku”	98
„nie mam gdzie wrócić”	99
„przed oszkloną bramą raju”	100
„w Krakowie”	101
„zmierzch”	102
„po kropce”	103
„ciemna jutrznia”	104

PROZA	107	CZĘŚĆ TRZECIA: Krytyka literacka o twórczości Wojciecha Pestki	313
Opowiadania ze zbioru <i>Ballada o żyletce</i>			
„Stróża (inaczej nocna straż)”	109	S. Chyczyński, „Pani Grosz wśród wierszy”	315
„Etiuda na zadany temat (to tylko sen)”	114	W. Kajtoch, „O sztuce poetyckiej rozmowy”	322
„Senna opowieść”	124	M. Ratajczak, „Powiedźcie swoim”	328
„Lublin. Podróż na wschód”	131	A. Keller, „Radomska omerta”	331
		M. Wierzbicki, „Do zobaczenia na Kresach”	340
Fragmenty powieści		B. Gorska, „Pejzaż z wędrowcem”	348
<i>Powiedzcie swoim</i>	142	B. Knop, „Czy Polacy są Polakami?”	354
<i>Mój mąż frajer</i>	159		
<i>Bezsenne</i>	172	Wywiad „Inaczej przestaniesz być człowiekiem” z W. Pestką rozmawia A. Keller	360
REPORTAŻ	199		
		Bibliografia twórczości Wojciecha Pestki	399
Ze zbioru <i>Do zobaczenia w piekle</i>		Wojciech Pestka – życiorys	419
„Chatyń. Obszar zamierzonej tragedii”	201	Nota wydawnicza	422
„My z Workuty”	214		
Ze zbioru <i>Gdyby Polacy nie byli Polakami</i>			
„Ostatni krąg piekła – Stalag 307”	223		
„Niebieska lotewska”	245		
Ze zbioru <i>Diabelska maszyna do szycia</i>			
„Poszukiwany żywy lub martwy”	261		
„Wojna nie zna się na żartach”	285		
Z RĘKOPISÓW	305		
Fabularyzowany fragment scenariusza filmu <i>Klecha</i>	307		

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Sylwetka

## Wojciech Kajtoch<sup>1</sup>

O twórczości i życiu Wojciecha Pestki, upartego studenta wszystkich fakultetów i poszukiwacza życiowej mądrości, a także jedlniańskiego poety, prozaika, reportera, tłumacza, scenarzysty i dramaturga.

„Nie musisz być uczciwy wobec kobiet, z którymi sypiasz, wobec mężczyzn, z którymi pijesz wódkę, nawet wobec księdza, któremu wyznajesz swoje grzechy – Bóg to zrozumie i ci wybaczy, ale musisz być uczciwy wobec tych, którzy umierają z głodu. Inaczej przestaniesz być człowiekiem” [Pestka 2017a, s. 33-34] – to przesłanie zasłyszane od dziadka bohater niniejszego szkicu, Wojciech Pestka, wkłada w usta Adama, postaci odgrywającej główną rolę w powieści *Mój mąż frajer*.

Pisarz przyszedł na świat 27.11.1951 r. w Pionkach, jako syn Władysława Pestki urodzonego w Trzemesznie i Zofii z domu Rojek ze wsi Poświętne koło Pionek. Rojkowie byli gospodarzami, a dziad pisarza – Antoni – uczestnikiem wojny rosyjsko-japońskiej, a później, w okresie międzywojennym, wiejskim kowalem. Dziadek ze strony ojca, Jan Pestka, był przedwojennym przedsiębiorcą budowlanym ożenionym z Heleną

z domu Odasz. W 1922 roku rodzina przeprowadziła się z Trzemeszna do Pionek, gdyż dziadek Jan wygrał przetarg na prace ciesielskie na budowie Państwowej Wytwórni Prochu i Materiałów Kruszących.

Ojciec bohatera szkicu, Władysław, w młodości terminował w zakładowym sklepie, a później, w okresie wojny, zajmował się okupacyjnym drobnym handlem, wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec – uciekł i ukrywał się w okolicach Kodnia walcząc w AK-owskiej partyzantce. Podczas rozbrajania oddziału przez Sowietów podał fałszywe nazwisko i zbiegł, unikając wywózki w głąb Rosji, do Lublina, gdzie zaciągnął się do 2. Armii WP. W bitwie pod Budziszynem był czołgista, a w okresie powojennym pod dowództwem Świerczewskiego walczył z UPA. Po demobilizacji zatrudnił się jako cywilny pracownik Wojska Polskiego w 11. Przedstawicielstwie Wojskowym w Pionkach. W 1949 roku ożenił się z Zofią Rojek.

Ich syn, Wojciech Pestka, był zatem dziedzicem co najmniej dwóch społeczno-zawodowych tradycji i związanych z nimi mentalności – miał szansę połączyć chłopską pracowitość i upór z elastycznością, wynalazczością i przedsiębiorczością, charakterystycznymi dla handlowców i klasy średniej. Z innej strony patrząc – rodzina łączyła także tradycje Kongresówki i Poznańskiego.

Pisarz wyniósł też z domu przekonanie o ważności spraw duchowych – dziadek Jan był „niepokorną owieczką”, ostatecznie popadł w konflikt z miejscowym proboszczem, co ważne – w imię religijnych



Zdjęcie rodzinne, od lewej dziadkowie Helena Pestka (uczestniczka strajku dzieci we Wrześni, 1901) i Józef Pestka (uczestnik bitwy pod Verdun, 1916), rodzice Zofia i Władysław Pestkowie, od lewej siostry Anna i Maria, z książką Wojciech Pestka (Pionki 1960)

wartości walcząc z hipokryzją<sup>2</sup>, a ponadto jeden z wujów – Antoni – był zakonikiem i długoletnim proboszczem kodeńskiej parafii.

Natomiast tą tradycją polską, którą Wojciech Pestka odkrył dla siebie już później, gdy w 1973 ożenił się z polonistką Danutą Szegdą, była pamięć o represjach, które spotkały Polaków na Wschodzie<sup>3</sup>. Sam miał okazję zaobserwować działanie bardzo już zliberalizowanego radzieckiego systemu w 1980 roku, kiedy to został z ZSRR w trybie nagłym deportowany<sup>4</sup>.

Zanim jednak ów splot rodzinnych tradycji w połączeniu z doświadczeniami własnego życia miał okazję ujawnić się literacko, bohater szkicu był zwykłym chłopakiem ze stalinowskiego blokowiska, może tylko ujawniającym w szkole zdolności matematyczne i społeczno-dziennikarskie zacięcie (prowadził gazetkę szkolną).

\*\*\*

W 1969 roku świeżo upieczony maturzysta – absolwent liceum ogólnokształcącego w Pionkach – rozpoczął studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Znalezienie się w prężnym ośrodku uniwersyteckim musiało być dla młodzieńca z prowincji nie lada wstrząsem – i szansą na rozwinięcie talentów. Od razu i z zapałem rozpoczął „studentkie życie” – towarzyskie, literackie, kulturalne. Musiał bardzo szybko dać się poznać jako niezły organizator i dobry kolega, skoro już około 1970 roku założył teatr studentów Uniwersytetu Wrocławskiego Tremo<sup>5</sup>.

W latach 1972–1974 Wojciech Pestka studiował na lubelskim UMCS, w 1974 był już programistą w sandomierskiej Hucie Szkła Okiennego, w 1975 został młodszym asystentem na Wydziale Mat.-Fiz.-Chem. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, ale lata siedemdziesiąte minęły Wojciechowi Pestce głównie pod znakiem uczestnictwa w tzw. kulturze studenckiej, czyli szeregu przedsięwzięć artystycznych, literackich, kulturalnych, które samorzutnie i amatorsko



Grupa poetycka „Samsara”, od lewej: Wojciech Pestka, Stanisław Królik, Marek Kusiba, Zbigniew W. Fronczek (Lublin 1973)

tworzyli studenci (a była to w czasach PRL elita młodej inteligencji), korzystając z organizacyjnego zaplecza budowanego przez wielką, ogólnopolską organizację studencką Zrzeszenie Studentów Polskich (a później Socjalistyczny Związek Studentów Polskich), wyższe uczelnie, lokalne władze. Jej treści i znaczenie, jak sądzę, celnie ujął Edward Chudziński: „była w PRL-u przestrzenią na swój sposób uprzywilejowaną, enklawą większej wolności twórczej, azylem dla niepokornych bądź zbuntowanych artystów, wreszcie miejscem artykulacji i cyrkulacji nowych idei i wartości, które najpełniej



wyraz znalazły w światopoglądzie kontrkulturowym. Główny wyróżnik tej kultury, jej studencki status miał walor swoistej nobilitacji i przesądzał o kwalifikacji do kultury wysokiej” [Chudziński 2011, s. 8].

Istniała od października 1956 roku, ale na początku lat siedemdziesiątych, w pierwszych latach rządów Edwarda Gierka, kiedy pragnął on uchodzić za reformatora i liberała, zjawisko rozkwitło – to wtedy powstał krakowski Teatr STU czy Teatr Ósmego Dnia, kilkanaście studenckich czasopism literacko-kulturalnych (np. krakowski „Student” – nieformalny organ poetyckiej grupy Teraz – m.in. Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego), odbywały się krajowe i światowe festiwale studenckiej kultury, studenckich teatrów, słynny festiwal kabaretów FAMA, liczne festiwale piosenki, a liczbę grup poetyckich, klubów jazzowych i filmowych, chórów, zespołów muzycznych i innych można było liczyć w dziesiątkach, a może i setkach. Ponieważ nie stawiano żadnych estetycznych wymagań (cenzura, bardzo w wypadku studenckich twórców liberalna, skupiała się na politycznych konkretach), serio można było mówić o wolności<sup>6</sup> twórczych poszukiwań.

Bohater mojego szkicu był bardzo aktywnym uczestnikiem i animatorem kultury studenckiej. Lista przedsięwzięć, które prowadził i w których uczestniczył – jeśli ją zestawić – byłaby niezwykle długa. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na rzecz ważniejszą: ona ukształtowała go jako pisarza, pisał i wciąż pisze według jej zasad: wolności twórczej i szczególnie rozumianej apolityczności.



Teatr Studentów wsp w Częstochowie przed budynkiem Teatru Współczesnego we Wrocławiu, pierwszy rząd pierwszy od prawej Wojciech Pestka (1976)

Wolność twórcza w wypadku tego zjawiska polegała na swobodnym korzystaniu z różnych środków stylistycznych i na transgresywności rozumianej jako poruszanie się na pograniczu różnych, czasem rzadko mogących współwystępować w ramach jednego dzieła schematów rodzajowych i gatunkowych, na ciągłym przekraczaniu granic rodzajów i gatunków literackich. Jeśli studencki twórca zajmował się satyrą – to poetycką, jeśli pisał opowiadania – to epicka historia współistniała na przykład z pierwiastkiem lirycznym i groteską równocześnie, a w zasadzie nie wiadomo było, czy to opowiadanie czy może ballada lub akt dramatu.

Apolityczność zaś polegała na wstrzymaniu się od konkretnej agitacji za taką lub inną ideą, skłonności do zagadnień ogólnych, unikaniu tematów źle widzianych przez władzę i zasadniczym, uniwersalnym, egzystencjalnym podejściu do tego, o czym się pisało. Studencki twórca oceniał rzeczywistość niejako z punktu widzenia całej ludzkości. Główna osobliwość tej apolityczności polegała wszelako na jej formalnym charakterze. Piosenki, kabaretowe skecze, przedstawienia, liryka i proza wręcz naładowane były buntowniczymi treściami (bo socjalistyczna rzeczywistość tej młodzieży niezbyt się podobała), ale podanymi aluzyjnie, metaforycznie i do odczytania tylko w określonej sytuacji czy kontekście – publiczność świetnie umiała takie utwory odbierać.

To, co łączy twórczość Pestki w jedną całość i stanowi o jej oryginalności, to uparta pamięć o tych

zasadach. Pisarz swobodnie porusza się po literackich konwencjach i unika wypowiedania się wprost o politycznych kwestiach, a zwłaszcza jakiegokolwiek tendencyjności. Nawet jeśli pisze o tak politycznych tematach, jak np. radomski Czerwiec 1976, czy manipulacje radzieckiej propagandy (zniknęły cenzuralne ograniczenia, dziś można o wszystkim pisać, aczkolwiek nie bez prawnych i życiowych konsekwencji), z zasady stara się przedstawiać różne punkty widzenia, a o swoim informować za pomocą chwytów kompozycyjnych, budowy fabuły, metafor i innych środków stylistycznych. A w zasadzie to jego dzieła można w pełni odczytać, tylko znając całą twórczość, a więc ich najbliższy kontekst.

Powróćmy jednak do opisu zasadniczych etapów życia Wojciecha Pestki, w które znacznie nieśmiało wkraczać poważniej traktowana literatura.

\*\*\*

Młodzieńcze wiersze (wedle dzisiejszego, młodoliterackiego nazewnictwa – „z rymami”) zaczął rozsyłać po redakcjach około 1970 roku, wtedy też nastąpiło ważne spotkanie i rozmowa o poezji z Tymoteuszem Karpowiczem<sup>7</sup> w redakcji „Odry”. Zadebiutował jednak dopiero w 1972 roku w lubelskiej „Kamienie”, a dalszym krokiem ku poważnej literaturze, mocniejszym wejściem w lubelskie środowisko literackie, okazało się uczestnictwo w roku 1973 w niezbyt poważnym i ponoć głównie



Święto Białoruskiego Piśmiennictwa, od lewej w pierwszym rzędzie Renat Charis i Robert Minnulin z Tatarstanu, Zbigniew W. Fronczek, w drugim Wojciech Pestka, Wołodymir Szaszkow z Białorusi (Mińsk 2009)

towarzyskim przedsięwzięciu – grupie poetyckiej „Samsara”, organizującej happeningi<sup>8</sup>, preferującej sztukę ponadindywidualną i wieloautorską, co manifestowało się m.in. w podpisywaniu każdego wiersza czy programowego dokumentu nazwiskami wszystkich członków grupy.

W zasadzie historia Wojtka Pestki – dojrzałego poety – zaczyna się od wydania w 1976 roku dwóch skromnych poetyckich arkuszy zatytułowanych *Zwykła rozmowa* i *Miasto*. Pokazały one ten sposób rozumienia liryki, który – rzecz jasna, udoskonalany – obowiązuje też w dalszych tomikach twórcy. Pestka tak rzecz opisywał:

„jako matematyk mam narzędzia, które przeniesione w inną przestrzeń tworzenia dają możliwości wydobycia innego tonu, sięgnięcia po inne odcienie, pozwalają mi się różnicować, mówić swoim głosem. Służy temu logika, te wszystkie matematyczne techniki dowodzenia czegoś, wnioskowania, tworzenia różnego rodzaju teoretycznych światów czy selekcjonowania cech istotnych dla jakiegoś obiektu, badania struktury” [K.].

Niestety nie jestem matematykiem, ale ze szkolnych czasów pamiętam, że można rozumieć matematykę (jak również logikę formalną) jako działalność poznawczą, swego rodzaju sztukę poszukiwania prawdziwości i równowagi<sup>9</sup> obecnych w realnym świecie, którego uproszczone modele w jakiś sposób są obecne w działaniach matematycznych<sup>10</sup>.

Jak sądzę, poezję Pestki należy traktować jako „lirykę czystą”, sztukę wynajdowania w rzeczywistości przejawów żywiołu poetyckiego i równocześnie oddawania przeżyć i nastrojów, które sprawiają, że

takie, a nie inne przejawy poetyckości podmiot jest w stanie dostrzec w tym, co go otacza. Pisarz buduje w swoich wierszach sytuacje liryczne, poszukuje metaforycznych ekwiwalentów myśli i nastrojów, przy czym niekiedy emocje poetyckie stają się udziałem podmiotu lirycznego w okolicznościach dość codziennych. Spójrzmy, co się dzieje w duszy Poety, gdy jego Muza wchodzi do sklepu obuwniczego:

*Grosz kupuje buty na zimę  
Jej wrażliwość na zimno  
Nie zależy od pory roku  
Najbardziej boi się chłodu serca  
Dlatego chce wybierać sama  
Żeby później niczego nie żałować*  
[Pestka 2017b, s. 52, „Grosz kupuje buty”]

Ta sytuacja, jeszcze dająca się odczytywać dosłownie, rychło ulega metaforyzacji:

*Nie oczekuje rad i odpowiedzi  
Nie zamierza być praktyczna  
Nie ceni sobie rzeczy uniwersalnych  
One pasują do wszystkiego  
Woli ciepły brąz, słodki miód  
Albo karmelowy kolor marzeń* [jak wyżej]

A pointa sugeruje w kolejnej strofie, że ktoś tu ko-  
goś uwielbia ponad wszelką rozsądną miarę.

*W takich butach można brodzić we mgle  
Mając za cały świat gwiazdną drogę*

*Buty są bytem zależnym  
Czasem pięciostunowym czasem siedmiomilo-  
wym* [jak wyżej]

Nie zacytowałem całego wiersza, ale już widać jego semantyczny mechanizm: kobieta kupuje buty, przymierza je, martwi się tym, do czego będą pasowały, przy tym kompletnie nie interesują jej walory użytkowe (co jest niezrozumiałe dla towarzyszącego jej mężczyzny). Ale można się obejść bez rozumienia czegokolwiek, uznać tajemnicę kobiecych emocji, uwielbiać czarującą niekonsekwencję, uleganie emocjonalnym „impulsom”, a w końcu ukorzyć się przed tajemniczą kobiecością, dostrzec w niej siłę bajeczną, odwieczną, kosmiczną. Czy dobrze odczytałem poetycką strategię „Grosza kupującego buty” – nie wiem, ale akt zakupów tak jest tu opisywany, że moje wrażenia chyba nie obrażają intencji autora<sup>11</sup>.

Pobieżnie zanalizowany wiersz pochodzi z obszernego nagrodami tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* z 2005 roku. Książka ta wraz z kolejnym tomikiem *Spacer po linie – Мандрівка ливною* napisanym wspólnie z ukraińską poetką Anną Bagrianą (wyd. 2008) świadczy o tym, że największe poetyckie osiągnięcia Wojciecha Pestki wiążą się z liryką miłosną, a do kontynuowanych przez niego poetyckich nurtów trzeba dodać tradycję Norwida, który, co w drugiej połowie



xix wieku było czymś niesłychanym, w otaczających go prozaicznych elementach życia dostrzegał tchnienie Wieczności.

Jeszcze wyraźniej widać nawiązanie do tej tradycji w niektórych utworach Pestki pomieszczonych w eksperymentalnym<sup>12</sup> tomie *Spacer po linie – Мандрівка ливною*, które przed paru laty charakteryzowałem:

„utwory rysują zwykłe, życiowe sytuacje i nadbudowują nad tymi codziennymi obrazami pewne ogólne, mniej lub bardziej symboliczne sensy, składające się w sumie na obraz stanu ducha podmiotu. Sytuacje bywają nader prozaiczne: podróż pociągiem, autobusem, bufet dworcowy, robienie sobie pamiątkowego zdjęcia, na którym lepiej wyszło tło niż plan pierwszy. Wypełnione są prozaicznymi szczegółami, takimi jak walizka ciągniona na kółkach, chińska bawełniana koszulka, lampa świecąca nad biurkiem, hotelowy korytarz, i zostały dość starannie zarysowane (ich opis kończy się jednak zawsze ogólną, uczuciową czy filozoficzną pointą)” [Kajtoch 2011, s. 430-431].

\*\*\*

Poetyckiej drogi Wojciecha Pestki nie da się jeszcze podsumować. Ostatnio, w 2020 roku, wydał tom wierszy *Mono #dram*, w którym zgromadził m.in. utwory mieszczące się w nurcie poezji lingwistycznej i tym

samym nawiązujące do poezji Tymoteusza Karpowicza. Wspominałem o roli tego poety w życiu naszego bohatera i śmiało można by było mówić o „powrocie do korzeni”, nadaniu przez Pestkę jakiejś ramy swojej poetyckiej drodze, gdyby nie to, że dużej części jego dorobku po prostu nie znamy. Wciąż pozostają niewydane wiersze (i poematy?) tworzące tomy *Ruchome obrazy* i *Histeria*<sup>13</sup>.

Ale to, co o niej wiemy: fakt książkowego debiutu w 1976 roku oraz bardzo osobisty charakter tej liryki pozwalają w miarę ściśle umieścić Pisarza na pokoleniowej mapie rozwoju literatury PRL. Do połowy dekady panowała w młodej literaturze Nowa Fala (Barańczak, Bieriezin, Kornhauser, Krynicki, Zagajewski, L. Szaruga, L. Herbst) – poeci urodzeni na ogół około połowy lat czterdziestych, którzy przeżyli wstrząs 1968 roku, lecz po Grudniu 1970 uznali, że sytuacja w kraju musi ulec poprawie, że po tragedii na Wybrzeżu nastąpią gospodarcze reformy i demokratyzacja. Postanowili przyłączyć się do partyjnych reformatorów, budzić obywatelskie postawy, piętnować zło, które przeszkadzało tym zmianom (np. gierkowską propagandę z jej denerwującą nowomową) i srodze się zawiedli: jak tylko zakończyła się KBWE i wybuchły protesty w sprawie upokarzających Polaków zmian w konstytucji – obłożono tych pisarzy cenzuralnymi zakazami i (na szczęście tylko przejściowo, ale to okazało się po dwudziestu latach) usunięto z szeregów uprzywilejowanej, kulturalnej elity.



Rezydencja literacka na Łotwie w ramach projektu „Poezja ponad podziałami” – od lewej Wojciech Pestka i Uldis Berlzis (Windawa 2011)

Poddanie starszych kolegów różnorodnym represjom skutecznie przekonało tych młodszych, urodzonych około 1950 roku, a zwykle debiutujących mniej więcej w pierwszej połowie dekady (na ogół między 1970 a 1976 rokiem) pisarzy, że trzeba przycichnąć, skupić się na poezji czystej, unikać konfliktów z cenzurą, bo zarówno współpraca, jak i sprzeciw wobec polityki Gierkowskiej PZPR na pewno skończą się dla nich źle – to zabawa tylko dla ludzi naprawdę mocnych i dobrze

ustosunkowanych. Nazwano ich<sup>14</sup> „Nowymi Rocznikami”, a ich twórczą metodę „nową prywatnością”<sup>15</sup>.

Właśnie wśród „Nowych Roczników” uprawiających „nową prywatność” widzę miejsce Wojciecha Pestki w polskiej literaturze lat siedemdziesiątych XX wieku. Choć z racji wieku mógłby być jednym z młodszych „nowofalowców”, to osobisty charakter jego liryki i zaangażowanie w dość apolityczne uprawianie „kultury studenckiej” każą mi go postrzegać jako starszego wiekiem uczestnika poetyckiego pokolenia grupującego następców Nowej Fali.

\*\*\*

Gdy patrzę dzisiaj na Wojciecha Pestkę z lat siedemdziesiątych, wyobrażam go sobie jako człowieka, który mógł czuć się w miarę spełniony. Miał żonę i dzieci, pracował naukowo (wówczas prestiż naukowców był o wiele większy niż dzisiaj), i to w prawdziwie apolitycznej dziedzinie, pisał wiersze i działał na ulubionym polu „studenckiej kultury”. Od polityki trzymał się z daleka („nie byłem walczącym z komuną radykałem, raczej zdroworozsądkowym liberałem” [K.]). Szczęśliwym trafem nawet radomski Czerwiec 1976 tej równowagi nie naruszył („Ojciec [...] w piątek 25 czerwca na wieść o strajkach pojechał do Radomia, żeby przyłączyć się do robotników. Wrócił zdruzgotany, miał powiedzieć: to nie robotnicy, to kryminaliści, którzy palą i rabują sklepy” [K.]). Oczywiście sielanki nie było – zapewne jak wszyscy młodzi ludzie

nie miał mieszkania ani pensji starczącej do pierwszego, a działalność kulturalna wymagała gotowości do kompromisów z cenzurą i władzami, dość uciążliwej, bo musiał wiedzieć, że sytuacja w kraju, zwłaszcza na polach literatury, gospodarki i sposobu sprawowania władzy, pozostawia wiele do życzenia. Pewnie, jak i cała polska inteligencja (poza może najbardziej wpływową lub dzierżącą władzę częścią partyjnego aparatu) rządzących nie lubił, wiedział, że wszystkich swoich marzeń nie spełni – ale jakoś żyć się dało.

I oto nagle nastąpiła dramatyczna katastrofa: młody poeta znalazł się „po drugiej stronie rzeczywistości”, tej w miarę możliwości ukrywanej przed obywatelami, gdzie panowały: „prawo pięści”, samowola władzy i stosunkowo lekkie – ale jednak represje. Pestka w 1980 roku w trybie nagłym został zmuszony do zwolnienia się z pracy. Wykorzystując wspomnienia pisarza, można dokonać następującej rekonstrukcji: „o tym, że mam się stawić w kadrach, poinformowała mnie kierownik instytutu, przy rozmowie był obecny sekretarz uczelnianej POP [...] otrzymałem propozycję nie do odrzucenia: albo zostanę zwolniony dyscyplinarnie z wilczym biletem [...] albo zwolnię się sam (bez negatywnych konsekwencji), i dwa dni na podjęcie decyzji [...]. Wybrałem to drugie (żona w tym czasie dostała przydział na mieszkanie i propozycję awansu) i wróciłem do domu rodziców w Pionkach” [K.].

Nie tylko go zaszantażowano, ale i podwójnie oszukano. Po pierwsze, bez formalnego, kryminalnego

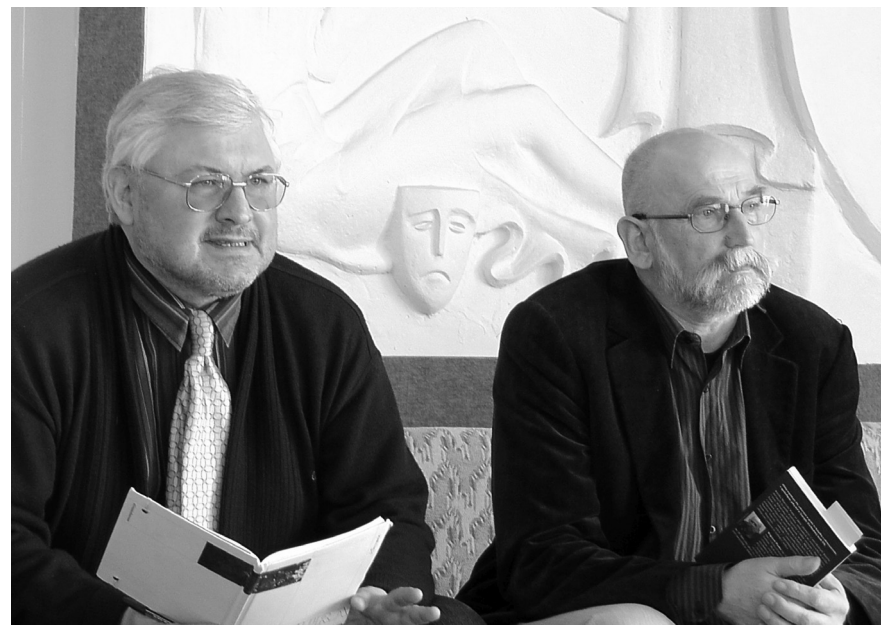
albo dyscyplinarnego pretekstu nie tak łatwo było w 1980 roku zwolnić w Polsce pracownika naukowego – weryfikacje i zwolnienia nastąpiły dopiero w stanie wojennym, po 13 grudnia 1981 (choć oczywiście można było nie dać mieszkania jego żonie). Po drugie, negatywne konsekwencje jednak były: Pestkę zaczęło „odwiedzać” SB, a przede wszystkim zadziałał nieformalny mechanizm „wilczego biletu”. „Ostrzegano” przed nim ewentualnych pracodawców, miał zostać bezrobotnym inteligentem. To, co wiem o peerelowskiej rzeczywistości, każe mi uznać (zdaję sobie sprawę, że w tym momencie piszę powieść, a nie naukowe opracowanie), że przeciw poecie sprzysięgły się siły o wiele potężniejsze niż uczelniana PZPR...

Zwykle w takiej sytuacji poddany represjom delikwent musiałby w końcu się poddać, kornie poprosić o wybaczenie niepopelnionych błędów i pójść na wiadomy kompromis. Ale Pestka okazał się o wiele twardszy, niż sądzono, można metaforycznie powiedzieć, że zagrała w nim krew przodków – chłopów i żołnierzy. Nie uległ i zdecydował się na krok wówczas bezprecedensowy: „Kiedy okazało się, że nie mogę dostać pracy w szkole jako nauczyciel matematyki (brak kwalifikacji) ani nigdzie indziej (wrogi stosunek do socjalistycznej rzeczywistości)<sup>16</sup>, otrzymałem od gminy propozycję przejęcia gospodarstwa dziadków (pod warunkiem zdobycia rolniczych kwalifikacji). Ukończyłem zaocznie kurs rolniczy, zdałem egzamin i zostałem właścicielem ziemskiej posiadłości<sup>17</sup> (łąka i ziemia orna o łącznej powierzchni 4,34 ha,

drewniany dom wsparty na dębowych przyciesiach z chlebowym piecem i stodoła kryta słomą” [K.].

\*\*\*

Gdy młody asystent, poeta i animator osiadł na gospodarce pozostałej w Poświętnem<sup>18</sup> po dziadku-kowalu, chyba był w rozpaczy – pisząc czy opowiadając o tym wydarzeniu, powtarza: „wydawało mi się, że świat się dla mnie skończy” [K.], „myślałem, że mój świat się zawalił” [K.]. „wydawało mi się, że runął cały mój świat” [Pestka, Szegda 2017]. I nie było w tym przesady, bo trudno o większy kontrast między środowiskami niż ten pomiędzy światem studencko-młodoliteracko-asystenckim – zamieszkanym przez „dzieci we mgle” nieceniące (przynajmniej oficjalnie) dóbr materialnych, posiadające w tamtych czasach sporo wolnego czasu, przejmujące się głównie kwestiami literatury, ideologii i sztuki – a światem chłopskim, do bólu pragmatycznym, zaciętym, pracującym naprawdę ciężko i bez żadnych urlopów, ceniącym swój honor, ale i pieniądze. W dodatku Pestka niewiele wiedział o rolnictwie, jako człowiek niepewny i skonfliktowany z władzą był dla gromady niebezpieczny, musiano przyjmować go jako „miastowego frajera” albo w ogóle nie wiadomo kogo. I choć był z miejscowej rodziny i trafił też na ludzi przychylnych – np. naczelnika gminy, który umożliwił mu objęcie gospodarstwa, czy miejscowego proboszcza – to początki gospodarzenia musiały być



Promocja ukraińskiego wydania *Do zobaczenia w piekle*, od lewej: tłumacz Andrij Pawłyszyn, Wojciech Pestka (Równe 2012)

niezwykle trudne, w dodatku takie przeprowadzki z reguły powodują komplikacje rodzinne.

Jednak były też korzyści, więc bilans dwudziestoletniego gospodarzenia na roli okazał się zdecydowanie pozytywny. Pisarz dziś stwierdza: „Wtedy myślałem, że mój świat się zawalił, dziś jestem wdzięczny Bogu i partii” [K.], a ja mogę hipotetycznie owe pozytywy określić i je wymienić. W punktach:  
– pisarz przewyciężył uprzedzenia i zyskał w nowym środowisku trwałe poważanie<sup>19</sup>,



- przekonawszy się o swej sile, musiał uwierzyć w siebie,
- posiadał umiejętność pracy na roli i zyskał doświadczenie ekonomiczne, a więc realną, życiową wolność<sup>20</sup>,
- uniknął fali irracjonalizmu i politycznej hysterii lat osiemdziesiątych,
- na własnej skórze nauczył się cenić to, co ważne i szanować tych, którzy na szacunek zasługują – unikać zaś tego, co naprawdę niebezpieczne i nie dać się zwodzić pozorom,
- generalnie zwyciężył w „walce ze wsią, przyrodą, [...] wyobrażeniami o sobie” [K.].

Gdy więc Wojciech Pestka około roku 2000 znów poważniej<sup>21</sup> zajął się literaturą i (już na drugim miejscu) kulturalną działalnością, to – nie zatracając ideałów, w których wyrósł i w które wierzył jako młody człowiek – stał się innym Wojciechem Pestką, innym pisarzem. Obok liryki mógł uprawiać prawdziwą, realistyczną, psychologiczną i społeczną, a nawet dokumentarną prozę. Sięgać po tematy najważniejsze.

A przede wszystkim z tego swoistego czyścica wyszedł jako pisarz wolny, który nie musi przed nikim się usprawiedliwiać, nie musi nikomu (w tym i sobie samemu) ani niczemu służyć – żadnym mecenasom, konwencjom, formom czy ideologiom, nie musi z niczego się tłumaczyć. Kierując się tym najważniejszym ustaleniem, Jego (niepoetycką, prozatorską) twórczość ostatnich lat dwudziestu rozpatrzę nie historycznie (diachronicznie), a jako zespół nieomal

synchronicznie powstałych rodzajowych i gatunkowych bloków.

\*\*\*

Powrót do pisania, rozpoczęty około 1990 roku, Pestka tak wspomina:

„Śmierć ojca [11.04.1990], który pomagał mi i towarzyszył w mojej walce ze wsią, przyrodą, moimi wyobrażeniami o sobie, była jak uderzenie prądem elektrycznym. Zrozumiałem, że lepiej ułożyć się ze sobą i światem, niż z nim walczyć. Wtedy zaczęły powstawać opowiadania ze zbioru *Ballada o żyltce*, były próbą określenia swojego miejsca w świecie pomiędzy przeszłością i przyszłością, śmiercią i życiem, tym, co w środku i na zewnątrz, mitologizacją rzeczywistości. Za tym poszły nieśmiałe próby publikowania: »Twórczość«, »Odra«, »Lublin«<sup>22</sup> [K.].

W istocie wydany w 2009 roku zbiór opowiadań świadczył o chęci podsumowania, udzielenia sobie wstępnej odpowiedzi na pytanie, co było w dotychczasowym życiu najważniejsze. Sęk jednak w tym, że nigdy nie poznamy konkretnych odpowiedzi, gdyż pisarz na ogół nie wspominał, a pisał literackie fikcje, dające jedynie pośrednie i ogólne odpowiedzi (powstaje sytuacja niczym w powieści powszechnej – człowiek

wyznaje, że „ciężko zgrzeszył”, co jest skądinąd prawdą oczywistą), jak również prezentując wiedzę pisarza o świecie niekoniecznie z własnych doświadczeń czerpaną. A jeśli już wspominał, to przecież oficjalnie o tym nie powiadał.

Więc jaką ogólną wiedzę o życiu prezentują te najczęściej ascetyczne w formie, krótkie utwory? Na przykład, że jakże przykro się zakochać w kobiecie ozięblej, niezdolnej do prawdziwej miłości („Pies z czapką w pysku”), ale też, że taka kobieta jest bardzo nieszczęśliwa („Etiuda na zadany temat (to tylko sen)”), zaś miłość, nieważne, czy prawdziwa, czy wymyślona, daje szczęście nawet w chwili śmierci („Ballada o praniu (z odroczonym terminem”<sup>23</sup>). Albo na przykład, że kobiecie piękno bywa zwodnicze, a dziewczyny amoralne – przy czym w tę pułapkę wpadnie każdy – i młodzieniec („Ballada... tu mówi radio”), i mężczyzna dojrzały („Romeo i Julia. Krótka (nie bajka) o miłości”<sup>24</sup>). Biorąc pod uwagę, że zawiedzenie się na kobiecie jest wynikiem szczególnego rodzaju samookłamywania się, ten ostatni motyw zapowiada problematykę *Mojego męża frajera*. Pisarz interesował się nie tylko fenomenem miłości, także np. myśli samobójczych („Przepis na śmieszne ciasteczka (w ramach promocji)”, „Etiuda na zadany temat (to tylko sen)”). Ponadto znajdujemy opowiadania najprawdopodobniej oparte na wspomnieniach („Stróża (inaczej nocna straż)”), oraz swojego rodzaju relacje z bieżącej reporterskiej działalności (opowiadania czasem zawierają opisy podróży na Ukrainę lub jakieś napomknięcia o tych podróżach).



Spotkanie w Akademii Kultury i Mediów w Berlinie, od lewej: Aleksander Filut, Siergiej Moreino, Franziska Zwerg, Klaus Jurgen Liedtke i Wojciech Pestka (2013)

Osobiście jednak najbardziej cenię ducha literackiego eksperymentu obecnego w tych opowiadaniach. Pestka swobodnie operuje w nich różnymi literackimi konwencjami, miesza je w ramach danego utworu, uzyskując znaczące, a czasem zupełnie niespodziewane efekty. Tym sposobem np. „Ballada o żyletce”, formalnie będąca opisem żyletki i jej zastosowań, staje się metaforyczną definicją męskości, „Dziewczyna (z Dębina)” jest nie tyle opowiadaniem, ile poematem prozą o erotycznym marzeniu, pięknie zakończonym aluzją do znanej ballady Leśmiana. Jako amatora kultury popularnej najbardziej rozbawiła mnie gra

z gatunkowością obecna w „Sennej opowieści”, kiedy na całkiem prozaiczny motyw brania w sanatorium borowiny nakłada się akcja fantastycznego horroru. Za ciekawą uznałem także uwspółcześnioną trawestację historii o Mistrzu Twardowskim („Buziaczki – inaczey ślina na druty. Nie(bajka o dorastaniu do nie) prawdy”).

Natomiast za opowiadanie w sposób szczególnie udany ukazujące, jak pisarz zafascynował się ludźmi zza naszej wschodniej granicy, sprawami ich krajów i kultur, uważam „Lublin. Podróż na wschód”. Sytuacja banalna, przejazd autobusem za polsko-ukraińską granicę, realistycznie, szczegółowo, a nawet naturalistycznie opisany, staje się podróżą fantastyczną, można rzec, że podróżą „w górę”, w regiony dostępne raczej mistykom. Przy czym relacja z „ziemskiej” podróży opisana jest tak, by naśladować schemat konstrukcyjny reportażu, a ta druga podróż – zasadniczo jest tylko zasugerowana. W rezultacie gatunek tego tekstu można określić jako transgresyjny „reportaż mistyczny”.

Pragnienie podsumowania swego dotychczasowego życia, dostrzeżenia w nim jakichś prawidłowości domagało się jednak pełnej, powieściowej realizacji. W 2017 roku Pestka wydał więc powieść *Mój mąż frajer* przynoszącą zarysy takiego podsumowania. Autor określał ją jako „współczesną wersję [...] powieści sowizdrzalskiej, dla której tłem stają się realia naszej teraźniejszości” [K.] (miał na myśli zapewne tzw. romans łotrzykowski), ale historia „frajera” Adama mało

przypominała przygody włóczęgów i kombinatorów, przebiegłych złodziejasków czy kurtyzan z *Przygód Moll Flanders*, *Przypadków Idziego Blasa*, *Żywota Łazika z Tormesu* itd. Zawiera najwyżej jakieś luźne do nich odniesienia. Adam nie jest kombinatorem, ale najwyżej romantycznym kobieciarzem, nie jest spryciarzem, a raczej naiwniakiem, nie przeżywa przygód, lecz konsekwencje przypadkowych życiowych wyborów i nie ma w jego historii ani krzty komizmu. No, może jedna okoliczność przypominała wymieniony romans – jego bohater na końcu przechodził zwykle umoralniającą czytelnika przemianę, i Adam – zostając rolnikiem – też miał okazję zilustrować czytelnikowi tę prawdę, że śniąc na jawie, żyjąc złudzeniami, niekiedy musimy się zbudzić. A jeśli tego nie zrobimy, możemy źle skończyć (w ostatniej scenie tekstu bohater, który stracił czujność, dostrzegając w zaczepiającej go galeriance jakieś cechy ukochanej kobiety – ostatecznie pada od uderzenia łomem w głowę, co również jest sprzeczne ze zwykle szczęśliwymi zakończeniami pikarejskich romansów).

Ponadto konstrukcja powieści nie przypominała nieskomplikowanego schematu fabularnego łotrzykowskiego romansu, gdzie bohater najczęściej po prostu wspominał przygodę po przygodzie.

Powieść Pestki jest połączeniem czterech relacji:  
– opowieści o działaniach dwóch dziadków głównego bohatera – Adama, tj. Jana i Antoniego<sup>25</sup>,  
– manuskryptu Wiktorii – córki Adama, rekonstruującego przeżycia i przemyślenia jej ojca w dniu

- fatalnego wypadku, manuskryptu, z którego pomocą Adam mógłby odzyskać straconą po uderzeniu pamięć – jej dzieło jest niejako apokryfem, zapisem hipotetycznych wspomnień Adama<sup>26</sup>,
- relacji Wiktorii z tego, co jej się przytrafia w okresie pisania swego „leczniczego” tekstu, a przygody ma różne (zaznaczają się w ich toku działania opiekujących się nią pradziadków),
  - listu, w którym matka Wiktorii, porzucona żona Adama, dokonuje jego charakterystyki i oceny. Ta<sup>27</sup> ocena Adama wypada surowo:

„Adam, mój mąż, jest (bo przecież wciąż jesteśmy mężem i żoną) książkowym przykładem frajera, który bierze swoje wyobrażenia o świecie za rzeczywistość. Jeśli chce w coś wierzyć, to bezgranicznie, jeśli walczyć, to na śmierć i życie, jeśli pić, to do upadłego... Taki domorosły Don Kichot, który rusza każdego dnia na wiatraki. Od innych frajerów różni się tym, że nie oczekuje oklasków: wierzy, nienawidzi, pije, kocha, bo jego przykazaniem i wewnętrznym imperatywem jest wierność sobie. To jest głupie, ale imponuje” [Pestka 2017a, s. 229].

W dodatku nie potrafi dobrze pisać:

„Jego literackie sukcesy nie są oszałamiające, to prawda, ale pisaniu oddał się w takim samym stopniu jak miłości. Uczył się pisania z uporem,



Spotkanie z polską mniejszością narodową na Ukrainie w ramach promocji *Do zobaczenia w piekle* (Sarny 2013)

desperacją, uczepił się tego. Nie nauczył się pisać, ale udało mu się wydać kilka książek, dostał, zasłużenie albo nie, kilka nagród. Nie przebił się do czołówki, był zbyt mało oryginalny i zbyt stary – żadne wydawnictwo nie chciało zainwestować w jego promocję. Jego pisanie było zbyt tradycyjne dla młodych, niezrozumiałe dla starych, nie umiał zdefiniować

dla siebie odbiorcy. Mimo że potrafił zabiegać o różne sprawy, nie zdołał wejść do środowiska literackiego<sup>28</sup>, traktowano go tam z politowaniem. Może nawet z pogardą. Pewnie gdyby miał pieniądze, szacunek do niego byłby większy” [tamże, s. 231-232].

Z drugiej strony jednak słowa o wierności samemu sobie są wskazaniem na wartość, którą zazwyczaj cenimy.

Pisarz umieścił w tej powieści liczne odniesienia do własnego życiorysu i historii rodziny, zachęcając w ten sposób czytelnika do wzięcia udziału w autobiograficznej grze: zgadnij, kiedy piszę, a kiedy nie piszę o sobie. Osobiście mam wrażenie, że utwór przedstawia pewną, na szczęście niespełnioną wersję życiorysu, według schematu: „kim w sumie byłbym, gdybym umarł wtedy i wtedy”, więc na przykład nie zdołałbym napisać swoich najważniejszych książek (w tym *Mojego męża frajera*).

\*\*\*

Tak spektakularny powrót do literatury nie miałyby jednak większego sensu, gdyby miał tylko zaowocować osobistymi rozliczeniami, próbą podsumowania dotychczasowego życiowego doświadczenia, nie przynosząc nowych zainteresowań i umiejętności. Nie chodzi tylko o uważniejsze spojrzenie w przeszłość rodziny (choć musiało mieć ono kluczowe znaczenie),

chodzi także o postawienie pytań o determinowanie losu jednostki przez historyczne wydarzenia, o opamiętanie sztuki badania i analizy tychże wydarzeń nie tylko na podstawie relacji, ale i dokumentów oraz innego materiału. Na podstawie relacji świadków spisuje historię współczesności poważny dziennikarz, a historyk musi umieć odnajdować, interpretować i wydawać dokumenty.

Pestka nauczył się takiego myślenia i pracy w zasadzie przez przypadek. Zainteresował go pewien opuszczony grób. Tak odpowiedział na moje pytanie o książkę *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* (Radom 2012), która na tle jego twórczości wydała mi się bardzo nietypowa:

„Jeśli chodzi o ks. Gackiego, jego zaniedbaną mogiłę zaraz na początku mojego „pobytu” na wsi znalazłem na starym cmentarzu (przechodząc przez żeliwny płot :-)), który graniczy z moją posesją. I z tym naszym spotkaniem długo się nosiłem, próbując się czegoś dowiedzieć od przedstawicieli lokalnej administracji i duchownych diecezjalnych – a ponieważ zbywano mnie jakimis ogólnikami, tym większą irytację i ciekawość budziła we mnie postać byłego proboszcza. Dlatego postanowiłem napisać rodzaj zarysu biograficznego skierowanego do młodzieży, żeby spopularyzować życie i zasługi księdza” [K.].



W istocie powstała publikacja, zawierająca ok. 100 stron życiorysu nasyconego cytatami z dokumentów oraz wybór materiałów źródłowych, indeks nazwisk itd., pisana prostym językiem i mająca cechy popularnonaukowe, przynosząca informację o postaci zapomnianej, acz nietuzinkowej (zasłużony dla polskiej oświaty pijar, w okresie powstania listopadowego ważny działacz Towarzystwa Patriotycznego i kapelan w korpusie Dwernickiego, działacz patriotyczny w dobie powstania styczniowego, zwolennik „pracy u podstaw”, historyk regionu, długoletni proboszcz Jedlni), o człowieku, który nie poddawał się i – choć historia była przeciw niemu – z powodzeniem „robił swoje”.

Pisarz zapewne odczuł pewne analogie swojej i Gackiego drogi życiowej, dał swojej „małej ojczyźnie” patrona, a przede wszystkim zyskał umiejętności historyka, które wykorzystał w reportażach i kolejnej powieści, którymi – jak uważał – spłacał „życiowe długi”.

\*\*\*

Bohater mojego szkicu tak wspomina genezę powieści *Powiedzcie swoim...* (powieść polityczna) (Kraków 2013), utworu, który czytałem, nie ukrywam, z wielkim zainteresowaniem i estetycznym ukontentowaniem:

„Spłacałem dług wobec swojego ojca, miasta, które nie potrafiło zmierzyć się z wydarzeniami

76: pacyfikacją protestów, prześladowaniami uczestników, wszechobecną traumą – naiwnie próbowałem zdjąć z miasta klątwę i pokazać, jak bardzo zmanipulowany był przekaz dotyczący robotniczych strajków. Dla mnie była to książka o nieuczciwości i uczciwości – cyniczny i pozbawiony emocji bohater ma bardzo wyraźnie określone zasady, szuka dla siebie godnego przeciwnika i okazuje szacunek jedynie tym, którzy potrafili mu się oprzeć” [K.].

Na czym polegał „dług wobec ojca”? Rozumowanie Wojciecha Pestki wyobrażam sobie mniej więcej tak: ojciec, jak i większość Polaków, w sprawie Radomia został oszukany<sup>29</sup>. Umarł jednak zbyt wcześnie, aby mieć szansę poznać prawdę – ja to uczynię zamiast niego... Natomiast to, co zostało wyżej powiedziane o Radomiu i naiwnej nadziei autora, pozwala mi popuścić wodze fantazji. Jasne, że radomianie po stłumieniu buntu musieli w swej części uwierzyć propagandzie (jak na swoje czasy była ona wystarczająco fachowa, a milicja i SB sprawnie fabrykowała dowody na jej prawdziwość), ale przecież już ponad dwadzieścia lat minęło od 1989 roku, więc prawda już dawno powinna do wszystkich dotrzeć. Tak się jednak nie stało, co więcej – wcale jej nie ustalono i dopiero teraz jest szansa na jej odkrycie. Dlaczego nie ustalono? – tu już całkowicie zdejmnę wyobraźni wędzidło – może dlatego, że nikt jej nie poszukiwał, bo wygodniej było jeden przekaz propagandowy zastąpić



Festiwal „Automne En Quartiers” we Francji: od lewej François Frapier, Wojciech Pestka (La Rochelle 2014)

drugim. Po zmianie ustroju radomianie, po czerwcu 1976 obwołani diabłami, stali się aniołami – a tu nadal *veritas est in puteo*.

Nie wiem, czy pisarz tak rozumował, ale naprawdę wiele zrobił, by ustalić prawdę obiektywną, wkładając w usta narratora czy różnych bohaterów i polityczną analizę skutków reformy administracyjnej zwiększającej w Polsce ilość województw, i różne interpretacje samych zamieszek, kreśląc

różne scenariusze tego, co zaszło czy też zająć mogło, przytaczając dokumenty archiwalne lub świadectwa uczestników – a z drugiej strony przykłady partyjnej propagandy szerzonej w mediach. Nie wiem, czy miał poczucie wygranej, ale na pewno na końcu z siebie zażartował. *Powiedzcie swoim...* z pewnością nie jest powieścią polityczną. Utwór w tym gatunku wzywa do zajęcia wyrazistego stanowiska, wręcz zmusza do posłuszeństwa jakiejś idei, agituje za nią – i jedynie mniej lub bardziej fortunnie to ukrywa. Powieść Pestki jest raczej „powieścią antypolityczną”, bo w sposób wyważony przedstawia rację różnych stron<sup>30</sup> i widzi w radomskim buncie wiele płaszczyzn<sup>31</sup>.

Podobnie i konstrukcja powieści jest wielopłaszczyznowa: natłok wypowiedzi, świadectw, informacji sprawia wrażenie chaosu – przypomina mi się termin „powieść worek”, którym przed laty Włodzimierz Bolecki określił np. powieści Witkacego<sup>32</sup>: styl wypowiedzi bohaterów nasuwa na myśl utwory ekspresjonistyczne, niektóre epizody (jak np. pobicie przyjezdnego mężczyzny przez oficerski patrol) świadczą o dramatycznym talencie do tworzenia scen i o umiejętności mieszania kontrastowych estetycznych jakości (komizmu i grozy), a więc posługiwania się groteską; inne znowu – jak przygoda narratora z „gnomem gównojadem” są gotowymi nowelami. Wrażenia chaosu dopełniają miłosne wynurzenia z teczki „Różowe majteczki”. A nad wszystkim góruje diaboliczna postać Ferdynanda Świdra – znanego jako „Mistrzo”, wysokiego oficera SB, ongiś biorącego

czynny udział w tłumieniu radomskich protestów i w akcjach SB przeciw Kościołowi, znawcy mechanizmów państwa policyjnego i autorytarnego, a teraz, w czasach współczesnych (tj. mniej więcej po roku 2000) dożywającego swoich dni w szpitalu dla umysłowo chorych. Mistrzo zdaje się kapłanem powieściowego chaosu. Dodać jeszcze należy, że jego monologi często przybierają formę tzw. monologu wypowiedzianego, a całość utworu – obszernego, artystycznego reportażu, bo – formalnie rzecz biorąc – jest to opowieść o zdobywaniu informacji o wydarzeniach w trakcie rozmów z ich uczestnikiem, połączona z prezentacją dokumentarnego materiału, uzyskanego w trakcie kwerendy w IPN i gdzie indziej.

Chaos ten jest jednak pozorny, bo ujęty w karby powieści sensacyjnej, fabuła ujęta jest w schemat gry, którą toczą prowadzący śledztwo (narrator poszukujący prawdy o radomskich zamieszkach) i przesłuchiwany (Mistrzo). Przesłuchiwany umiejętnie kusi i zniechęca „śledczego” i szybko zyskuje przewagę. W zakończeniu okazuje się, że narrator w ogóle nie zdawał sobie sprawy, z jakimi siłami zadarł i jakiemu celowi służyć spotkania. W rezultacie albo ułatwił Mistrzowi samobójstwo (co jest bardziej prawdopodobne), albo pomógł go zabić.

Warto przy okazji dodać, że Pestka w ogóle ma talent do budowania suspensów. Widać to w niektórych opowiadaniach, a także w *Moim mężu frajerze*, gdzie poznajemy fakty wedle zasady odwróconej chronologii, jak w kryminale: o napadzie na Adama i utracie

przez niego pamięci dowiadujemy się pod koniec utworu, a trzeba pamiętać, że właśnie ten fakt stał się przyczyną działań Wiktorii, a jej działania z kolei uruchomiły starania przebywających w Niebie dziadków itd.<sup>33</sup>.

\*\*\*

Największym jednak novum i największym osiągnięciem „powracającego z niebytu” pisarza okazały się jego reportaże, które zebrał w trzy tomy wydane między 2009 a 2020 rokiem (od mniej więcej 2005 liczne z nich ukazywały się też w prasie).

Myślowy proces, który zrodził Pestkę reportera, uruchomiła śmierć teścia pisarza, Mikołaja Szegdy, pierwszego sierpnia 1998 roku. Pisarz wspominał:

„Nasze odkładane na później rozmowy o obozie, Workucie, Wschodzie, nagle zawiśły w próżni. Pojechałem na Ukrainę spłacić dług, dałem się zaskoczyć, to byli zupełnie inni od moich wyobrażeń ludzie: Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Rosjanie, powstała książka reportaży *Do zobaczenia w piekle*. Miałem wrażenie, że moi rozmówcy całe życie czekali na mnie (to nie pycha mówi przeze mnie) i potrzebowali tej rozmowy ze mną, żeby wyrzucić z siebie ból i oczyścić pamięć, zamknąć swoje życie z czystą kartą” [Pestka, Kłymentko 2013].



Jak się zdaje, tym razem „splata długu” miała polegać przede wszystkim na przywróceniu pamięci wojennych i powojennych losów, a także na próbie zrozumienia sensu tego, co działo się z Polakami (i nie tylko z Polakami) na Wschodzie – zapewne sensu nie tyle ideologicznego, ile moralnego; polegać więc na próbie skonstruowania swego rodzaju teodycei, na zrozumieniu, co pomogło im przeżyć i czy istnieje jakaś racja uzasadniająca ich cierpienie<sup>34</sup>. Tak przynajmniej rozumie pierwszą i dwie ostatnie zwrotki wiersza „Na tym zdjęciu...” z niewydanego tomu *Ruchome obrazy...*:

*Nic nie jest czytelne w wymowie i jednoznaczne  
Namiot nieokreślonego miejsca  
Naczynie, z którego wyciekł czas  
W rybim oku soczewki  
Tylko mgła historii, pleśń niepamięci  
Falowanie obrazu, jakie przynosi oddalenie  
[...]  
W twarzach zamiast oczu  
Gęstniejące w powadze czarne plamy oślepionego  
atramentu  
Syberia wypolerowana do kości i nieczuła oglą-  
dana pod lupą  
Obozowa kompozycja na pięć postaci i młodą  
parę  
Szukającą ocalenia w miłości*

*W zbliżeniu, jakie daje tamta szklana wypukłość  
Nie wiadomo, która strona*



Uroczystość wręczenia odznaczenia: „Za Wierność Przesłaniu Poety” Ukrainńskiej Fundacji Kultury oraz krzyża „Za Męstwo i Honor” Stowarzyszenia Weteranów Afganistanu. Od lewej: Wojciech Pestka, Konsul Generalny Ukrainy Wasyl Pawluk (Lublin 2016)

*Odwrotna  
Która  
Należy do zbawionych [Pestka 2017b, s. 25]*

Pisarz po śmierci teścia zdał sobie sprawę, że już nikt mu tych spraw nie wyjaśni, że musi dowiedzieć

się sam, jak było – szukając odpowiedzi, zaczął jeździć na Ukrainę i przez lata kontynuował te podróże.

Efektom były trzy zbiory artystycznych reportaży o powtarzającym się podtytule *Kresowa Apokalipsa. Reportaże i perory* lub *Kresowa Apokalipsa. Reportaże: Do zobaczenia w piekle. Kresowa Apokalipsa* (2009, II wyd. 2019), *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (2019), *Diabelska maszyna do szycia* (2020). Owa powtarzalność podtytułu uprawnia, jak sądzę, do traktowania tych tomów jako jednej całości liczącej 55 reportaży zajmujących z górą 950 stron druku, których wspólnym mianownikiem jest zainteresowanie wydarzeniami ważnymi dla krajów za naszą wschodnią granicą: Ukrainy, Litwy, Łotwy, Białorusi, Rosji oraz tym, co w połowie XX wieku Polacy przeżywali na Kresach.

Aby spróbować dokonać charakterystyki tego imponującego wielkością reportażowego dzieła, powstałego na przestrzeni co najmniej 15 lat, spróbuję pokazać jego rozwój, powiększanie się, sięgając do twardych danych:

Pierwsza książka o „Kresowej Apokalipsie” zawiera 15 reportaży – rozmów z bohaterami wspominającymi własne życie lub życie znaczących dla kresowych okolic postaci. Te postacie to: Bruno Schulz, Stanisław Vincenz, Stefan Weigl<sup>35</sup>. Współrozmówców będących głównymi bohaterami reportaży jest piętnastu: sześcioro Polaków i Polek, którzy zaznali przesiedleń, deportacji, syberyjskich łagrów (w tym dwoje szczególnie prześladowanych przez UPA), jeden Polak z Rygi – radziecki dziennikarz i dysydent, kolejny Polak – współczesny

działacz Związku Polaków na Białorusi. W sumie ośmiu Polaków: sześciu ze starszego, wojennego pokolenia, a dwóch nieco młodszych. Mamy następnie trzy Ukrainki więzione za czasów radzieckich za niepodległościową działalność na rzecz Ukrainy<sup>36</sup>, dwóch współczesnych białoruskich pisarzy – opozycyjnych wobec Alaksandra Łukaszenki i Knuta Skujenieksa – znanego poetę łotewskiego przez prawie dekadę od początku lat sześćdziesiątych XX wieku więzionego w łagrach. Pod względem geograficznym rozmowy dotyczą Drohobycza (2 rozmowy), Borysławia, Huculszczyzny, Buczacza, okolic Tarnopola, Lwowa (2), Kamieńca, Łucka, Mińska (3), Chatynia pod Mińskiem, Rygi (2), przewijają się tematy: Uzbekistanu, Kołymy, Workuty, Mordowii. Jak widać, Pestka przebywał przede wszystkim na Ukrainie, Białorusi, Łotwie (plus wypad do Rosji), interesował się zwłaszcza wojennymi i powojennymi życiorysami kresowych Polaków, ale także losami Ukraińców i bieżącą sytuacją na Białorusi.

Sięgnął także po tematy będące w Polsce nieomal tabu, pokazując, że UPA i OUN z ukraińskiego punktu widzenia były organizacjami patriotycznymi. Nic więc dziwnego, że nie tylko w Polsce znaleźli się niechętni krytycy<sup>37</sup>, ale także na Ukrainie. Przy okazji pisarz uświadomił im te fakty, o których albo wiedzieli mało, albo – w większości – nic. To znaczy, że Polacy w czasie wojny nie kolaborowali z Niemcami<sup>38</sup>, lecz w dużej swej części byli – tak samo jak i Ukraińcy – ofiarami Rosjan, którzy w czasie i w wyniku wojny zajęli ziemie i polskie, i ukraińskie zarazem.

Kolejny tom, *Gdyby Polacy nie byli Polakami*, ma wszelkie cechy „dalszego ciągu”, ale i wskazuje, że zainteresowania pisarza i jego poznawcza strategia się zmieniały. W przeciwieństwie do poprzedniego<sup>39</sup>, ma więc charakter bardziej zróżnicowany. Cztery reportaże są niejako uzupełnieniami<sup>40</sup> do poprzedniego zbioru. Mamy też ogólniejszy szkic o Czesławie Miłoszu, analogiczny do szkicu o Vincenzie oraz klasyczny w formie reportaż o podróży do Rapperswilu i zwiedzaniu tam, wspomnienia polskich pamiątek. Natomiast pozostałych 13 szkiców przynosi tematyczne i formalne nowości. Tematyczne generalnie w tym się zawierają, że Pestka rozmawia tu zasadniczo z ludźmi swojego pokolenia, opisuje wydarzenia aktualne, z lat nieco tylko poprzedzających wydanie książki. W tych 13 tekstach rozmówcami lub narratorami są: 1 Łotysz, 2 Polaków (rozmowy dotyczą łotewskiej Polonii), 2 Białorusinów, 2 Rosjan, 5 Ukraińców i jedna ich grupa. Jak na dłoni widać, na którym kraju pisarz zaczyna się koncentrować.

Największą jednak nowością był podział na „reportaże i perory”. Pestka tak go komentuje:

„To wynik eksperymentowania z „cudzym głosem”, poszukiwania formy łączącej w pewien specyficzny sposób wywiad i reportaż, ale eliminującej autora: podnoszący wiarygodność i ekspresję monolog. Raz czy dwa (w ramach rozpoznania przedpoła bojem) pozwoliłem sobie na stworzenie perory z mojej relacji

z przebiegu wydarzeń, do której włączyłem wypowiedzi rozmówcy („But nawet w Paryżu pozostanie butem”). W „Tygodniku Powszechnym” ta forma wzbudziła zastrzeżenia i opatrzone perorę „Wojna – to MY” komentarzem<sup>41</sup>: «Gdyby Wasyl Słapczuk – ukraiński poeta i prozaik – miał opowiedzieć o sobie, a także o wydarzeniach sprzed ponad 30 lat, które znacząco wpłynęły na jego dalsze życie, autorski monolog mógłby wyglądać właśnie tak» [K.].

Z mojego punktu widzenia sprawa wygląda tak: czym jest reportaż, wiadomo (czytelnik może to sobie sprawdzić w licznych encyklopediach, słownikach, Wikipedii itd.). Natomiast Pestkowa *perora* jest dobrze osadzonym w realiach apokryfem, stworzonym z autentycznych wypowiedzi, które padły podczas rozmowy bohaterów z autorem tekstu. Przybiera formę jednolitego monologu, niekiedy zbliżającego się do tzw. monologu wypowiedzianego<sup>42</sup>, a innym razem przypominającego bardziej mowę (stąd nazwa *perora*). To forma jednak artystyczna, choć dokumentarna, przypominająca trochę tzw. biografię upowieściowaną<sup>43</sup>, a więc jeden z rodzajów powieści biograficznej.

Między reportażem a perorą jest też ta różnica, że reportaże najczęściej opowiadają o zwykłych postaciach, jak np. uczestnicy ukraińsko-rosyjskich starć w Donbasie, a perory wypowiadają członkowie



Wręczenie medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, od lewej Wojciech Pestka, Zbigniew W. Fronczek (Lublin 2017)

dzisiejszych elit. W omawianym tu tomie są to: Andris Vilks, dyrektor Biblioteki Narodowej w Rydze, Andrij Pawłyszyn – ukraiński dziennikarz, tłumacz, poeta; Jurij Andruchowicz – ukraiński pisarz, Aleksandr – metropolita Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego, znany postmodernistyczny pisarz rosyjski Wiktor Jerofiejew, równie znany rosyjski filozof Władimir Kantor, Uładzimir Niaklajeu – znaczący białoruski opozycjonista, Andrej

Chadanowicz – prezes białoruskiego PEN Clubu. Mają oni sporo do powiedzenia na temat sytuacji politycznej, literatury i kultury swoich krajów, umieją postawić tezy i uogólnić wnioski, pouczyć. Stąd nazwa *perora* poniekąd staje się określeniem wiarygodnym, aczkolwiek pisarz używa tego słowa, nawiązując raczej do dawnej tradycji retorycznej<sup>44</sup> niż do znaczeń słowa *perora* wyszczególnianych w słownikach języka polskiego.

Generalnie, lektura *Gdyby Polacy...* przynosi wrażenie, że pomiędzy 2009 a 2018 rokiem Wojciech Pestka nieco zmodyfikował sposób i kąt patrzenia na naszych wschodnich sąsiadów (z martyrologicznego na aktualny), dostrzegł w tych krajach to, co współcześnie ważne i interesujące, zobaczył w nich byty samoistne, z własną historią i problemami, a na Ukrainie zyskał nawet znaczącą pozycję literacką (jak wskazuje bibliografia, po wydaniu *Do zobaczenia w piekle...*, zaczął być tam tłumaczony i wydawany) i towarzyską – wszak spotykał się i rozmawiał z niebyle kim.

Trzeci tom reportaży to już praktycznie skoncentrowana na jednym temacie<sup>45</sup> opowieść o najnowszych dziejach Ukrainy – bieżącej sytuacji politycznej<sup>46</sup> i jej genezie<sup>47</sup>, o kwestiach literatury, o krymskim konflikcie z Rosją<sup>48</sup> i o wojnie z donieckimi separatystami.

Temu ostatniemu tematowi poświęconych jest osiem tekstów składających się na w miarę całościową panoramę donieckiego konfliktu. Aby ją zestawić, Pestka dotarł do niebanalnych postaci Ukraińców



zaangażowanych w konflikt, np. do kijowskiego multimilionera i pośła, który nie ograniczył się do finansowania ukraińskich ochotniczych oddziałów, ale i sam pojechał na front, do pracownika naukowego, który najpierw działał w Samoobronie Majdanu, a teraz jest dowódcą kompanii w batalionie Ajdar, do snajpera z tego batalionu, do skrajnie prawicowego polityka, ukraińskiego patrioty walczącego z Rosją od lat dziewięćdziesiątych w różnych konfliktach i oczywiście w Doniecku. Dążąc do obrazu obiektywnego, rozmawiał także z Ukraińcami uchylającymi się od służby w ukraińskiej armii i bardziej pechowymi żołnierzami, np. z tymi, którzy przeszli niewolę u separatystów. Ich relacje pokazują „wstydlivą stronę” zwłaszcza początków konfliktu, kiedy to ukraińska armia regularna okazała się całkowicie do niego nieprzygotowana.

Obraz dopełniają rozmowy z cywilami: prorektorem ukraińskiej uczelni ewakuowanej z opanowanego przez separatystów Ługańska oraz mieszkańcem strefy granicznej, którego rodzinę rozdzieliła wojna, żyjącym między żołnierzami ukraińskimi a separatystami, pół Rosjaninem, pół Ukraińcem, chcącym jakoś przebiec dować na swojej przeciw ziemi.

oczywiście, obiektywnie i w całej swej różnorodności przedstawiona jest tylko strona ukraińska, aby uzyskać wizję konfliktu w pełni obiektywną, należałoby oddać też głos separatystom, trudno jednak wymagać od pisarza podjęcia ryzyka kontaktu z nimi, bo – jak się zdaje – są trochę nieobliczalni. Czym mogą się skończyć próby dotarcia do nich, pokazuje



Spotkanie z autorem szkicu: od lewej prof. Wojciech Kajtoch, Wojciech Pestka (Kraków 2021)

reportaż pod znamienym tytułem „Wojna nie zna się na żartach” – o tym, jak młody ukraiński dziennikarz postanowił zrobić reportaż wcieleniowy, więc „zaciągnął się na ochotnika do donieckich separów<sup>49</sup>” [Pestka 2020, s. 7] i jakie żalosne dla niego skutki miała ta decyzja.

\*\*\*

Zasada pełnego obiektywizmu w sferze ujęcia tematu nie mogła być utrzymana – mam na myśli nie tylko *Diabelską maszynę do szycia*, ale i omawiane pierwsze dwa tomy reportaży, bo autor z oczywistych względów nie miał szans rozmowy np. z tymi, którzy kierowali wojennymi represjami wobec polskiej ludności Kresów, a także wykonawcami ich rozkazów – w większości nie żyli, a ci jeszcze żyjący nie chcieliby się ujawniać. Natomiast zasady obiektywizmu swojej relacji ze spotkania czy rozmowy Wojciech Pestka przestrzegał konsekwentnie we wszystkich tomach. Oddawał głos współrozmówcom, samemu najwyżej zarysowując sytuację rozmowy, dobierając relacje innych osób czy cytując jakiś dokument.

Publicystyczny komentarz praktycznie się nie zdarza – a jeśli trzeba jakoś powiadomić o osobistych wrażeniach, to reporter zdobywa się na jakieś pośrednie wskazywanie na swoje odczucia czy „komentowanie” opowiedzianego poprzez ogólne stwierdzenia albo metaforyczne obrazy. Na przykład:

– „Odsłuchuję relację z dyktafonu i myślę, że historia jest pozbawiona litości, dobro i zło dla niej jednakowo waży, nie czyni różnicy, miele na proch bogobojnych i zachowujących przykazania boskie, tak samo jak i występnych: każdy może trafić w jej tryby” [Pestka 2020, s. 249],

– „Przepisuję z wydawanej w rosyjskim języku codziennej łotewskiej gazety („Sowiet-skaja Wenta”, poniedziałek 23 lutego 1981 roku, cena 2 kopiejki, wychodzi od 29 czerwca 1940 roku) znalezionej w kącie gościnnego pokoju na czwartym piętrze tego upiornego blokowiska wiersz z tytułowej strony: *Partii zadanie – / Naród / Do zwycięstwa prowadzić, / Ogień, zapalony przez Lenina, / Z pokolenia na pokolenie, / Jak sztafeta nieść*. [...]. Uczucie, jakbym dotknął rozkładającego się trupa.” [Pestka 2019b, s. 13],

– „Dwa dni wcześniej byłem w Chatyniu. W nocy spadł śnieg. Zimą śnieg nie budzi zdziwienia. Teraz powoli topniał: biały, niezdeptany całun jeszcze okrywał śródleśną polanę. Nadawał temu miejscu dostojeństwo i powagę, sprowadzał postrzeżenie do kadru z dokumentalnego filmu. Pomiędzy biel i czerń, radość narodzin i ciemną rozpacz śmierci – jak by nie było pośrednich odcieni, innych uczuć. Jedyne takie ostateczne rozstrzygnięcia”. [Pestka 2019a, s. 24]<sup>50</sup>.

Bywa, że lakoniczne i dramatyczne podsumowanie własnego losu pada z ust rozmówcy: „Co mam robić? Żyję sama, daleko od ludzi. Żyję” [Pestka 2019a, s. 197], albo: „Więc żyjemy, jak kto może, i tak o nas napisz, bez szans na ucieczkę i lepszy świat – ścisnął

mi mocno dłoń – powoli przywykamy do okopów, do żołnierzy, do strzałów. Gdyby nie to wszystko, ten bałagan, pewnie byśmy się nie poznali, trzeba znajdować dobre strony nawet w takiej – uśmiechnął się przekornie – sytuacji, napisz więc, że żyjemy tu... bez gwarancji na życie” [Pestka 2020, s. 284].

\*\*\*

Wojciech Pestka nie zakończył swojej twórczej drogi, a zatem i ten szkic musi pozostać nieskończony. To, co można powiedzieć o perspektywach jego twórczości, ogranicza się jedynie do półintuicyjnego stwierdzenia, że chyba przyszedł czas na powrót do zainteresowań dramatem. Nic w tym dziwnego, bo doskonalszy sztukę zapisu monologów-peror reportażysta w 2020 roku zdecydował się taką perorę wymyślić, więc stworzyć monodram całkowicie fikcyjny, dający nie tylko opis myślenia postaci, ale i budujący pewien zarys fabuły.

Chodzi mi o *Syrop z kocimiętki (zasłony i żywioły: monodram)* z 2020 roku. Autor tak go streścił: jest to „historia starego krawca szyjącego sutanny, który z nostalgią wspomina czasy świetności przed transformacją ustrojowej. Jego postać przypomina mojego teścia. Zepchnięty na margines, cynicznie wykorzystany przez funkcjonariuszy SB, porzucony przez klientów, którym oddał całe swoje życie, szuka sprawiedliwości. Wierne pozostają jedynie manekiny, wokół nich buduje swój świat, biorąc przykład od

Stworzyciela, którego uważa za praojca krawiectwa” [K.]. Trzeba jednak dodać, że jest to także historia zemsty tego krawca na funkcjonariuszu SB, który przed laty zniszczył mu życie, wciągając do współpracy, a teraz zmienił front.

Kolejnym krokiem było współautorstwo scenariusza fabularnego filmu *Klecha* w reżyserii Jacka Gwizdały, opartego na motywach<sup>51</sup> *Powiedzcie swoim...*, gdzie grają znani aktorzy: Mirosław Baka – występuje w roli księdza Romana; Piotr Fronczewski – to „Mistrz”, Artur Żmijewski gra Stefana, sekretarza PZPR, a Danuta Stenka – jego partnerkę.

Dokąd ta odnoga twórczej ścieżki doprowadzi Wojciecha Pestkę – jeszcze zobaczymy.

Kraków, 30.08.2021

## Literatura cytowana

- Chudziński E. (2011), „Wprowadzenie”, w: tegoż (red.), *Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje*, Kraków, s. 7-9.
- Czapliński P., Leciński M., Szybowicz E., Warkocki B. (2003): *Kalendarium życia literackiego 1976-2000. Wydarzenia – dyskusje – bilanse*, Wydawnictwo Literackie, Kraków.
- Fik M. (1989), *Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944-1981*, Polonia Book Found, London.
- Głębacka E. (2000), *Leksykon. Grupy literackie w Polsce 1945-1989*. Wydanie II poszerzone, Wiedza Powszechna, Warszawa.
- Jasińska M. (1967), „Typologia zbeletryzowanej biografii”, *Roczniki Humanistyczne*, t. XV, z. 1, s. 5-17.
- Kajtoch W. (2011), „O sztuce poetyckiej rozmowy”, w tegoż: *O prozie i poezji. Wybór szkiców i esejów z lat 1980-2010*, Wydawnictwo Literackie „Li-Twa”, Częstochowa, s. 427-431.
- Kajtoch W. (2015), „Odkrycie wroga. O niektórych współczesnych ‘polskich’ fabularnych filmach i serialach rosyjskich oraz białoruskich, poświęconych II wojnie światowej”, w tegoż: *Szkice polonistyczno-rusycystyczne*, Centrum Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Olsztyn, s. 109-136.
- Korolko M. (1990), *Sztuka retoryki. Przewodnik encyklopedyczny*, Wiedza Powszechna, Warszawa.
- mg (2000), „Monolog wypowiedziany” w: Głowiński, M., Kostkiewiczowa T., Okopień-Sławińska A., Sławiński J., *Słownik terminów literackich* pod redakcją J. Sławińskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo, Wrocław-Warszawa-Kraków, s. 323.
- Pestka W. (2009), *Ballada o żyletce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa.
- Pestka W. (2013), *Powiedzcie swoim... (powieść polityczna)*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2017a), *Mój mąż frajer*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2017b), *Histeria*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2019a), *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa. Reportaże*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2019b), *Gdyby Polacy nie byli Polakami. Kresowa apokalipsa. Reportaże i perory*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W. (2020), *Diabelska maszyna do szycia. Kresowa apokalipsa. Reportaże i perory*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków.
- Pestka W., Kłyumenko O. (2013), „Письменник існує у невеликому просторі своєї мови...” [Pisarz istnieje w małej przestrzeni swojego języka] rozmawiał Oł. Kłyumenko, „Złota Pektoral” 2013, nr 3 (24); <https://supraphon.livejournal.com/23988.html>, dostęp: 07.09.2021.



Pestka W., Szegda D. (2017), „Nie bać się życia” (z Wojciechem Pestką pisarzem, tłumaczem, dziennikarzem rozmawia Danuta Szegda 18.09.2017); [https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad\\_z\\_wojciechem\\_pestka\\_nie\\_bac\\_sie.html](https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad_z_wojciechem_pestka_nie_bac_sie.html), dostęp: 07.09.2021.

Ruchałowski A. (2011), „Kalendarium kultury studenckiej 1950–1989”, w: Chudziński E. (red.), *Kultura studencka. Zjawisko twórcy instytucje*, Fundacja STU, Kraków, s. 374-423.

Sobol E. (2002) (red.), *Słownik wyrazów obcych*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.

Waśkiewicz Andrzej K. (1979), „Sposób bycia. O grupach poetyckich młodych”, w: Koperski-Leszyn J., Waśkiewicz Andrzej K. (red.), *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze \* manifesty \* samookreślenia*, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa, s. 5-16.

Waśkiewicz Andrzej K. (1987), „Notatki o światopoglądzie”, w: Chrzanowski M., Jerzyna Z., Koperski J. (red.), *Poeta jest jak dziecko. Nowe Roczniki, antologia*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, s. 385-403

## Przypisy

<sup>1</sup> Pofesor Uniwersytetu Jagiellońskiego (IDMIKS), ORCID 0000-0003-3000-2384.

<sup>2</sup> Pisarz tak wyjaśnia ten fragment rodzinnej historii: „Z natury dziadek był cholerykiem. Mimo że ze wszystkich sił wspierał budowę kościoła w Pionkach, [...] zadarł z władzami kościelnymi i proboszcz nie chciał pochować go na cmentarzu. Powodem zatargu był jego artykuł „Do kogo obraca się Matka Boska” opublikowany w komunistycznym „Robotniku” o niesprawiedliwościach i braku miłosierdzia w Kościele. [Pionkowski proboszcz odmówił pochówku samobójczyni, samotnej matce, która nie miała czym wykarmić swoich dzieci – dopóki żyła, prawo nie zezwalało na przyjęcie ich do przytułku, a w tym samym czasie z honorami pogrzebał oficera, który przegrał żonę w karty w kasynie i honorowo się zastrzelił, stojąc na kawiarnianym stoliku, ponoć, zwracając wzrok ku wiszącemu nad wejściem obrazkowi Matki Boskiej]” [K. – skrót oznacza, że cytat pochodzi z korespondencji między Wojciechem Pestką a autorem szkicu z okresu sierpień-wrzesień 2021, która jest zdeponowana w archiwum domowym WK].

<sup>3</sup> Danuta Szegda była córką sandomierskiego krawca, ale urodziła się w workuckim łagrze: „Jej dziadek był polskim sołtysem na Wołyniu, został wywieziony z rodziną na Syberię, moja teściowa przez dwa lata do osiągnięcia pełnoletniości przebywała w obozie przejściowym i dopiero jako osoba dorosła została skazana na 20 lat ciężkich

robót i wysłana do kopalni węgla na Workucie. Tam poznała mojego teścia schwytanego z bronią we Lwowie i tam urodziła się moja żona. Ponieważ teść nie podpisał zgody na przyjęcie obywatelstwa ZSRR, został zakwalifikowany do repatriacji w 1957 do Polski. W 1956, by nie zostawić żony i dziecka, zawarł w obozie związek małżeński i odzyskał przebywającą w sierocińcu córkę” [K.]. Tę historię rodzinną przedstawiają m.in. dwa reportaże Wojciecha Pestki: „My z Workuty” (ze zbioru *Do zobaczenia w piekle*) i „Która strona odwrotna” (z *Gdyby Polacy nie byli Polakami*).

<sup>4</sup> Komentarz WP: „Sytuacja [związana] z wyjazdem do Moskwy miała miejsce chwilę przed olimpiadą, miesiąc albo dwa. Pojechałem prywatnie na zaproszenie prof. Borysa Gniedenki, światowej sławy matematyka zajmującego się teorią niezawodności. [...] Miałem od letniego semestru odbywać półroczny czy roczny [...] staż na Uniwersytecie Łomonosowa w katedrze profesora. Pojechałem do Moskwy z żoną pociągiem (Berlin-Moskwa). Profesor [...] przyjął mnie bardzo serdecznie, trochę czasu spędziliśmy na rozmowach. Uważał się za człowieka wierzącego (to wyszło przy jakiejś okazji), ale nie miał w domu Biblii. Przy stacji metra Pietrowka kupiłem od Gruzinów Stary i Nowy Testament po rosyjsku. Następnego dnia jego starszy syn pokazał mi zdjęcie, jak kupuję Biblię, wręczył nam paszporty z nakazem opuszczenia ZSRR w ciągu 24 godzin (albo 48) i bilety na pociąg” [K.]. Sam byłem w Moskwie w latach 1985-87 i także byłem świadkiem skutków prowadzenia przez władze ZSRR „walki z religią” – na szczęście swoją Biblię po rosyjsku przywozłem z kraju i mogłem bezpiecznie ją podarować pewnej Rosjance.

<sup>5</sup> Wiadomo, że w 1971 roku teatr przygotowywał premierę – mocno awangardowy spektakl *Wariant 3*, według

tekstu *Spacer w łóżku* J. Abramowa [Ruchałowski 2011, s. 394]. Komentarz WP: „w tamtym czasie Wrocław żył Grotowskim i nasz teatrzyk powstał z ludzi odrzuconych podczas naboru na warsztaty u niego. Wystąpiliśmy na przeglądzie teatrów studenckich, nasz występ został źle oceniony przez L. Flaszera i ostatecznie teatrzyk stracił status studenckiego, zanim został rozwiązany, jeszcze jakiś czas funkcjonował przy domu kultury na Biskupinie. Spektakl miał być metaforą ludzkiej egzystencji, na scenie zostało ustawione łóżko, do którego stała kolejka wchodzących (studenci wydziału), a każdy miał opracowaną swoją etiudę na dwuminutowy pobyt w łóżku, po której zajmował miejsce w kolejce odchodzących. Kolejka wstępujących, kolejka odchodzących, a towarzyszył temu odgłos pracującej w fabryce taśmy produkcyjnej” [K.].

<sup>6</sup> O dziwo działo się tak w okresie, kiedy „dorosła” literatura wchodziła z władzą w coraz to ostrzejszy konflikt, co początkowo nie wywoływało jakiegoś wyraźnego zaostrzenia kursu wobec studenckich twórców, jeśli – rzecz jasna – nie interesowali się otwarciem polityką. Jak pamiętam, wyraźne „dokręcenie śruby” nastąpiło dopiero po sprawie Pyjasa i powstaniu Studenckiego Komitetu Solidarności. Aby czytelnik zdał sobie sprawę z politycznej sytuacji w kulturze polskiej lat siedemdziesiątych, przytaczam fragmentaryczne kalendarium wydarzeń: \*1974 – poza cenzurą ukazuje się debiut poetycki J. Bieriezina; \*1974 – ukazuje się *Świat nieprzedstawiony* Kornhausera i Zagajewskiego oraz stosunkowo liczne inne publikacje programowe poetów „pokolenia 68” lub też szkice krytycznoliterackie im poświęcone; \*Luty 1975 – odbywa się upominający się m.in. o wolność słowa Zjazd ZLP; po zjeździe z PZPR występuje Barańczak, co na razie jednak nie pociąga za sobą zakazu publikacji dla niego i „zapisu” cenzury na jego

nazwisko; \*30.07-1.08.1975 – 3. sesja Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie; \*5.12.1975 – Memoriał pięćdziesięciu dziewięciu sprzeciwiający się zapowiadanym zmianom w Konstytucji PRL (podpisują m.in. S. Barańczak, J. Bieriezin, J. Kornhauser, R. Krynicki, A. Zagajewski); \*31.01.1976 – Memoriał 101 przeciw planowanym zmianom w Konstytucji i inne protesty. Zaczynają się konfiskaty tekstów m.in. Barańczaka, Kornhausera, Zagajewskiego; \*10.02.1976 – uchwalenie kontrowersyjnych zmian w Konstytucji PRL (zagwarantowanie rządów PZPR i sojuszu z ZSRR); \*26.02.1976 – zapowiedź wprowadzenia dziesięciolatki i nowego programu nauczania języka polskiego, znacznie ograniczającego tradycyjny szkolny kanon polskiej literatury; \*Maj 1976 – powstaje Polskie Porozumienie Niepodległościowe; \*25 czerwca 1976 – strajki i zamieszki w Radomiu, Ursusie, Płocku; \*Sierpień 1976 – list 13 przeciw wyrokom w procesach ursuskim i radomskim (podpisują m.in. Barańczak, Krynicki) i inne protesty; \*23.09.1976 – powstaje Komitet Obrony Robotników (wśród założycieli S. Barańczak); \*28.11.1976 – apel stu siedemdziesięciu dwóch przeciw represjom wobec uczestników wydarzeń radomskich i członkom KOR (podpisał m.in. A. Zagajewski); \*Styczeń 1977 – ogłoszono Kartę 77 w Czechosłowacji, w prasie partyjnej ma miejsce ożywiona publicystyczna kontrofensywa przeciw działaniom polskiej opozycji. Ukazuje się pierwszy numer opozycyjnego „Zapisu”; \*1.02.1977 – odbywa się Zebranie Sprawozdawcze Warszawskiego Oddziału ZLP ostro krytykujące działalność cenzury, w tym „zapisy” na nazwiska; \*Luty 1977 – ma miejsce akcja zwalniania z pracy opozycjonistów (m.in. J. Bieriezina); \*25.03.1977 – powstaje Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela; \*Maj 1977 – wydano zakaz druku i zapisy na nazwiska m.in. S. Barańczaka, R. Krynickiego,

A. Zagajewskiego; \*7.05-15.05 1977 – śmierć Stanisława Pyjasa, odbywają się demonstracje studenckie w Krakowie, powstaje SKS; \*Wrzesień 1977 – rozpoczęła działalność Niezależna Oficyna Wydawnicza [na podstawie: Fik 1989, Czapliński i in. 2003].

<sup>7</sup> Komentarz WP: „W redakcji rozmawialiśmy więcej niż pół godziny i ta rozmowa zmieniła mój sposób patrzenia na literaturę i patrzenia na świat. Jak widząc kroplę, wyobraźnią sięgnąć oceanu, przeniknąć jego właściwości – drogą dedukcji potwierdzić nie tylko sam fakt jego istnienia, lecz wnioskować o jego przymiotach: że będzie się burzył, że będzie niebezpieczny, o nieokiełznanej naturze... I odwrotnie, widząc ocean, dostrzec i zastanowić się, czym jest jego najdrobniejsza cząstka, element pierwszy – kropla. Co musiało się stać, jaką drogę musiała przebyć, żeby trafić do oceanu. Że trzeba wyjść poza te oczywistości, które podpowiada wyobraźnia i zmysły, pójść dalej, za ten pierwszy próg tajemnicy, jaką każda rzecz na świecie, kamień, roślina, człowiek są otoczone. Wtedy Karpowicz zwrócił mi uwagę na to, jakie niebezpieczeństwa niesie łatwość pisania wynikająca z romantycznego, emocjonalnego traktowania twórczości. I jak trudny jest proces docierania do istoty, wchodzenia w logikę rzeczy i zdarzeń, analityczne sposoby kreowania świata literatury, rozbierania na czynniki pierwsze i kontrolowania procesu syntezy” [K.].

<sup>8</sup> Wojciech Pestka tak wspomina te czasy: „Na małej, ręcznej drukarence złożyłem tekst „Pamiętka ze spotkania autorskiego Samsary” z datą. W sklepie z dewocjonaliami kupiliśmy święte obrazki i zrobiliśmy nadruk na ich odwrocie. Wszystkim, którzy przyszli, a było to wydarzenie znaczące w tamtym czasie i na wieczór stał się tłum, wręczyliśmy tę pamiętkę. Świętej pamięci

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, w trakcie spotkania ubrany w szlafmycę i nocną koszulę, chodził po sali ze świeczką, intonując cerkiewne psalmodie – miało to nawiązywać do *Mistrza i Małgorzaty*, szpitala wariatów. Kulminacją wieczoru była bitwa o literaturę. Przytaszczyliśmy beczkę kiszonych ogórków, zakładając, że posłużą jako ewentualna zakąska i ciskaliśmy nimi w publiczność. Kto miał wódkę, a większość doskonale wiedziała, czemu służą takie poetyckie starcia i odpowiednio się przygotowała, mógł wypić pod samsarowego ogórka. Kto nie miał wódki, walczył do upadłego. Wódki było dużo, była tania i dostępna na każdym kroku, jeśli był z czymś problem, to z ogórkami. Dlatego potraktowano je z właściwą powagą. Oczywiście, na wieczorze był cenzor. Był zniesmaczony naszym podejściem. Zarzucił nam odwoływanie się do religijnych elementów, dopatrywał się w spotkaniu prowokacji i naśmiewania się z realiów socjalizmu, sprowadzanie idei twórczości do absurdu” [K.]. Zacytuję także opinię Andrzeja K. Waśkiewicza: „Wystąpienia Samsary dzieją się, jak słusznie pisze jeden z jej członków (zob. „Poezja” 1974, nr 1), na pograniczu „happeningu” i groteski, wygłupu i całkowitej powagi”. Warto może przytoczyć opis jednego z wieczorów grupy: „W rzeczy samej dzieło Samsary przeszło oczekiwania najbardziej zblazowanych konsumentów poetyckiej stawy, jako że poza elektromagnetycznym słowem posypały się na salę główki kapusty, publiczność żywo uczestniczyła w demonstracji” [Waśkiewicz 1979, s. 10]. Owa praktyka zaopatrzona jednak była w poważnie brzmiące zaplecze teoretyczne: Według leksykonu Ewy Głębińskiej: *Grupy literackie w Polsce 1945-1989* (wyd. drugie, poszerzone, Warszawa 1993), kluczowe fragmenty wydrukowanego w „Kamienie” manifestu (1970 nr 13) tak brzmiały: „współczesny czytelnik poezji »żąda od niej nie

obrazu pojedynczych wzruszeń, lecz obrazu reprezentującego świadomość zbiorowości», chodzi bowiem o stworzenie ponadindywidualnego, przez co bogatszego, obrazu świata [...] proces tworzenia powinien przebiegać poprzez »a) akceptację cudzego oglądu świata zawartego w wierszu; co umożliwi wdarcie się w świadomość indywidualnego autora, b) poetyckie wzbogacenie projektu wiersza o wizję reprezentatywną dla świadomości ogółu«” [Głębińska 2000, s. 353; por. także Waśkiewicz 1979, s. 9]. Wojciech Pestka do grupy dołączył w dwa lata później i raczej nie był to jego poetycki program. Po latach tak komentował: „Napisałem wspólnie kilka wierszy później opublikowanych w »Kamienie« wraz z manifestem, w którym kwestionowaliśmy intymność, zindywidualizowany charakter aktu twórczego. Nasze wiersze podpisałem nazwiskami wszystkich członków grupy. Ton dialogu z systemem, z powracającą w pierwszym okresie »panowania« Edwarda Gierka, mimo złych doświadczeń lat pięćdziesiątych, ideą kolektywizacji życia społecznego, był prowokacyjny. Czemu koncepcji PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, które tak dobrze, według władz, sprawdziły się w tamtej rzeczywistości, nie przenieść na grunt literatury? Zakwestionowaliśmy istotę aktu poetyckiego. Potraktowano to bardzo serio jako oddolny, narodowo-socjalistyczny nurt poetów-komunardów. Zresztą, na naszej fotografii jesteśmy upozowani właśnie na komunardów z rewolucji francuskiej. Cenzura potraktowała to bardzo serio i... pozwoliła nas drukować. W tym miejscu kończył się wygłup, choć z literackim podtekstem, a zaczynało się spądanie” [K.]. Pełny skład grupy podaje Ewa Głębińska [Głębińska 2000, s. 352], z nazwisk, które zostały w literaturze oprócz W. Pestki, zapamiętałem: Andrzeja W. Pawluczuka, Stanisława Rogalę, Zbigniewa Włodzimierza Fronczka.

<sup>9</sup> Porównaj także wypowiedź Wojciecha Pestki: „Matematyka w moim odczuciu ma niewiele wspólnego z rachunkami, jest nauką o związkach pomiędzy obiektami należącymi do określonych zbiorów, rodzajem syntetycznego opisu, za pomocą matematycznych symboli i funkcji, relacji zachodzących w rzeczywistym świecie. Kluczowy dla tego zapisu jest znak równości symbolizujący harmonię, proporcjonalność, równowagę. Poszukiwanie harmonii i równowagi, dążenie do ideału jest też zadaniem sztuki: muzyki, malarstwa, rzeźby, architektury, poezji...” [Pestka, Szegda 2017].

<sup>10</sup> Spróbuję zatem „matematycznie” zinterpretować jeden z prostszych wierszy ze *Zwykłej rozmowy* pt. „Nad ranem” [Pestka 2017b, s. 15]:

*nad ranem  
pokój  
stygnie  
wypchany ciepłym piaskiem*

Jak sądzę, skromny ten liryk, przedstawiający nastrój podmiotu w określonej sytuacji, oparty jest na schemacie równania z jedną niewiadomą.

Podmiot (obserwacja emocjonalnie neutralna) +  $X_1$  = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany ciepłym piaskiem”.

Podmiot emocjonalnie neutralny jest w stanie orzec stan obiektywny: „nad ranem temperatura w pokoju zawsze obniża się”, rzecz jednak w tym, że opanowała go jakaś nieokreślona emocja ( $x_1$ ), o której możemy wnosić z użytej ukonkretniającej metafory „wypchany ciepłym piaskiem”. Jaką emocją jest  $x_1$ ? Po prostu taką, którą mógłby odczuć człowiek postrzegający pokój, w którym obudził się o świcie, jako coś „wypchane ciepłym piaskiem”.

Pamiętajmy przy tym, że  $x$  może być nie tylko niewiadomą, ale i zmienną – o zmianach charakteru  $x$  i uwarunkowaniu tych zmian moglibyśmy wnosić z wprowadzania kolejnych metaforycznych określeń nastroju, gdyby wiersz był dłuższy i parę takich określeń zawierał. Na przykład, gdyby posiadał trzy zbudowane paralelnie zwrotki, a jego podmiot denerwował się i bał coraz bardziej, moglibyśmy dostrzec szereg kolejnych „równań”:

Podmiot (obserw. emocjonalnie neutralna) +  $x_2$  = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany gorącym piaskiem”.

Podmiot (obserw. emocjonalnie neutralna) +  $x_3$  = „nad ranem pokój stygnie” + „wypchany parzącym piaskiem”.

W konsekwencji, ciąg wyrażeń metaforycznych „pokój wypchany ciepłym piaskiem”, „pokój wypchany gorącym piaskiem”, „pokój wypchany parzącym piaskiem”, gdyby rzeczywiście wystąpił w tym hipotetycznym trzyzwrotkowym liryku, byłby informacją o narastającym natężeniu emocji podmiotu, według schematu:  $x_1 < x_2 < x_3$ , którą od biedy można by zilustrować wykresem, gdyby różnicom między „ciepłym”, „gorącym”, „parzącym” (umieszczonym na osi rzędnych) przypisać jakieś wartości liczbowe, a na osi odciętych wskazać następstwo 3 zwrotek. Powstała w ten sposób funkcja ukazałaby korelację między następstwem zwrotek i wzrostem natężenia emocji podmiotu.

Oczywiście powyższa interpretacja miała charakter głównie żartobliwy.

<sup>11</sup> Przy okazji dodam, że ostatni wers utworu świadczy o pewnych wpływach poezji lingwistycznej.

<sup>12</sup> Uzasadniam to określenie we włączonej do tego wyboru recenzji, której fragment tu przedrukowuję.

<sup>13</sup> Chodzi o osobny tom, a nie o wybór wierszy Pestki wydany pod tymże tytułem w 2017 roku w Krakowie.



<sup>14</sup> Można wymienić: Macieja Chrzanowskiego, Andrzeja Kaliszewskiego, Krzysztofa Lisowskiego, Andrzeja Dróżdza, Jana Krzysztofa Adamkiewicza, Urszulę Małgorzatę Benkę, Bronisława Maja, Antoniego Pawlaka, Jana Rybowicza, Sergiusza Sternę-Wachowiaka, Andrzeja Szubę itd. Niektórzy z nich zradykalizowali się politycznie w 1980 roku.

<sup>15</sup> Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (najpierw powołując się na Stefana Chwina, a potem z nim polemizując) tak ją scharakteryzował: „«nowa prywatność» [...] ma «stworzyć szansę na uchwycenie sensu całości życia. Dokona tego być może przez pełne odsłonięcie życia prywatnego; człowiek się będzie mógł rozpoznać w najbardziej osobistych problemach, pytaniach, niepokojach innego. Otóż wypowiedzenie tego wszystkiego z punktu widzenia najgłębiej pojmowanych potrzeb zbiorowych wydaje się nie tylko potrzebne, ale i konieczne [...] pisarz swoją prywatną próbę nadania sensu egzystencji proponuje innym». Tak pojęta literatura stwarzałaaby z jednej strony wzorce przeżywania świata, wносиła wartości w świadomość odbiorców, z drugiej zaś strony byłaby narzędziem diagnozowania rzeczywistości, to co «prywatne», ulega «socjalizacji», jest bowiem wyrazem rzeczywistych społecznych nastawień. Wydaje się wszakże, iż aby ukazać rzeczywistą, nie zaś potencjalną realizację „nowej prywatności”, należy ją rozpatrywać nie w kategoriach postawy osiągniętej, ale raczej pewnej konieczności. Myślenia nie «kategorią całości życia», ale raczej «kategorią azylu». To co «prywatne», sytuowało się bowiem w opozycji do tego, co oficjalne i zinstytucjonalizowane. «Mit artysty» sytuował się w opozycji do preferowanej przez Nową Falę funkcji «eksperta moralnego i aksjologicznego». Co więcej, indywidualizm ten był, zapewne nieuświadomioną, koniecznością. Wyłączenie z obiegu realizacji nowofalowych dowodnie przekonywało

młodych, iż ten sposób ingerencji w rzeczywistość skazany jest na nieistnienie bądź funkcjonowanie pod powierzchnią życia literackiego” [Waśkiewicz 1987, s. 393-394].

<sup>16</sup> Jak w praktyce działał wilczy bilet może przybliżyć następujący fragment powieści *Mój mąż, frajer*: „O tym, że nie dostanie posady dyrektora szkoły podstawowej w Borach, dowiedział się ostatniego dnia sierpnia z listu od pani kurator. – Ograli pana – listonosz z dziwnym, ni to drwiącym, ni to współczującym uśmiechem podsunął mu pokwitowanie – cała wieś już o tym mówi, wie. – Co wie? – nie bardzo zrozumiał, czego dotyczy jego uwaga, zajęty układaniem przemówienia na inaugurację roku szkolnego. – Wszystko. Przyjeżdżali z województwa, pytali, ostrzegali ludzi. Ale ja tam nic nie wiem, niczego nie będę powtarzał – zastrzegł na wszelki wypadek, zanim zamknął za sobą drzwi. List był krótki i wymowny w swej treści: „W związku z brakiem kwalifikacji pedagogicznych podanie o pracę w szkole zostało rozpatrzone odmownie”. Tyle, tylko tyle. Tylko tyle, chociaż wszystkie załączone dokumenty zaświadczały o czymś wręcz odwrotnym, nadmiarze kwalifikacji, który mógł być równie kłopotliwy i niewygodny jak ich brak. To jakaś absurdalna, kosmiczna wprost pomyłka – pomyślał – albo władza zagrała mi na nosie. Muszę to wyjaśnić, zadzwonić do kuratorium. Pan mnie oszukał, nadużył mojego zaufania – w głosie pani kurator słychać było autentyczne oburzenie – jest pan jednostką społeczną, niepewną ideologicznie, nie można takim jak wy powierzać wychowania młodzieży – z tego wzburzenia zmieniła formę, przeszła na „wy”. – Jesteście wicherzycielem i bankrutem politycznym, pospolitym przestępcą i malwersantem, podżegaczem, zagrożeniem dla socjalistycznego systemu wychowywania młodzieży – widać żadne kolejne oskarżenie nie przyszło jej do głowy, bo odłożyła słuchawkę.

– Niech się wynosi z naszej wsi – kierowniczką poczty popatrzyła na niego z wyrzutem, zanim spuściła oczy. – Bo tu mu żyć nie damy. – To się jeszcze zobaczy! – wyrzucił z siebie, zanim trzasnął z całej siły drzwiami poczty – to się jeszcze zobaczy!” [Pestka 2017a, s. 212-213]. List pani kurator – dodam – też chwycił się formalnego pretekstu, bo w przepisach rzeczywiście istniało zastrzeżenie, że do pracy z młodzieżą można dopuścić tylko wykształconych metodycznie i pedagogicznie, a matematyk-programista mógł nie mieć takiego papierka. Nie słyszałem jednak, żeby z takiego powodu kogoś realnie nie przyjęto do pracy w szkole. Nikt się do niej nie pchał, absolwenci studiów wyższych unikali jej, jak tylko mogli – jeśli więc znalazł się chętny, zwłaszcza na pracę na wsi, to przymykano oko.

<sup>17</sup> Powierzchnię 4,35 ha w owych czasach miało już dość zasobne chłopskie gospodarstwo.

<sup>18</sup> Nie wiem, jak wygląda teraz stan administracyjno-prawny, ale zwykle się uważa, że Poświętne jest częścią Jedlni, przysiółkiem ongiś powstałym po parcelacji kościelnego majątku.

<sup>19</sup> Świadczy o tym na przykład to, że jest prezesem Stowarzyszenia Jedlnia. Można znaleźć o nim takie informacje: „zostało powołane na zebraniu założycielskim w dniu 10.12.2006 roku. Liczy 48 członków zwyczajnych. Obejmuje swym działaniem tereny polany położonej w obrębie Puszczy Kozienickiej, na której znajdują się Jedlnia i wsie okoliczne, w granicach, jakie parafia Jedlnia miała w czasach króla Jagiełły, od Siczek po Mąkosy, od Januszna po Kozłów. Lista członków Stowarzyszenia jest otwarta, wciąż mogą do niego przystępować kolejni zainteresowani, którzy emocjonalnie czują się związani z tymi okolicami i z nimi sympatyzują. Nie ma znaczenia miejsce zamieszkania ani

wiek, zamożność, miejsce zatrudnienia, stanowisko ani opcja polityczna, podstawowym kryterium jest zainteresowanie rozwojem lokalnej społeczności, działanie na rzecz poprawy warunków życia, praca na rzecz zachowania pamięci o historii i zabytkach. Główne cele działalności statutowej to: 1. Zachowywanie materialnej i niematerialnej spuścizny historycznej, pamiątek i zabytków związanych z Jedlnią, miejscowościami okolicznymi położonymi na terenie zakreślonym historycznymi granicami parafii Jedlni oraz terenami Puszczy Kozienickiej i miejscowościami na terenie puszczy położonymi. 2. Działania o charakterze promocji tych miejsc, historii i kultury z nią związanych w kraju i poza jego granicami, w tym tworzenie miejsc pamięci, prowadzenie działań związanych ze zbieraniem informacji o przeszłości regionu i ochrona miejsc historycznych, działalność informacyjna. 3. Działalność wydawnicza, związana z promowaniem lokalnej historii, lokalnych twórców, społeczności terenów wymienionych w punkcie 1. 4. Poznawanie kultur, obyczajów, tradycji, krajoznawstwa Polski i innych krajów, wymiana kulturalna. 5. Aktywne promowanie kultury, sztuki i nauki polskiej oraz ochrona dziedzictwa kulturowego. 6. Współpraca zagraniczna oraz prowadzenie działań na rzecz integracji europejskiej, rozwijanie kontaktów i współpracy między społecznościami. 7. Organizowanie imprez o charakterze rekreacyjno-wypoczynkowym, imprez turystycznych, sportowych, wycieczek tematycznych na terenie kraju i poza granicami Polski. 8. Organizacja i prowadzenie wolontariatu oraz popieranie i promocja różnych działań związanych z rozwojem osobowym. 9. Kształtowanie kreatywności lokalnych społeczności, w tym także młodego pokolenia, wobec zmieniającego się świata. 10. Działalność edukacyjna szkolna i pozaszkolna, szkoleniowa oraz edukacja nieformalna,

w tym promowanie zachowań prozdrowotnych związanych ze zdrowym trybem życia, promowanie sportu, organizacja i udział w różnego rodzaju imprezach sportowych, wspieranie działań związanych ze sportem. 11. Rozwój technologii informacyjnej i komunikacyjnej w środowisku lokalnym, w tym prowadzenie informacyjnej strony internetowej. 12. Działalność na rzecz osób niepełnosprawnych. 13. Promocja przedsiębiorczości, wspieranie lokalnych inicjatyw [www.gmina-pionki.pl].

<sup>20</sup> Po raz kolejny zyskał zaś wolność wtedy, gdy jego gospodarstwo nie wytrzymało tzw. transformacji. Tym samym uwolnił się od wielu obowiązków związanych z gospodarzeniem i mógł poważniej zająć się literaturą.

<sup>21</sup> Pracując na roli, nie miał wiele czasu na pisanie i drukowanie. Na pewno w ramach hobby pisał wiersze, szkicował opowiadania („Pisanie było przez ten czas ze mną, ale wstydliwie, niczego nie zapisywałem, jedynie zaznaczałem tematy na przyszłość, czekałem na impuls, który zmusi mnie do pracy” [K.]), ale nie było mowy o większych formach literackich. No i brak było jakiegś weryfikacji środowiskowej i czytelniczej.

<sup>22</sup> Dokładne dane czytelnik tej książki znajdzie w bibliografii.

<sup>23</sup> W opowiadaniu tym pojawia się Muza poety z tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza*.

<sup>24</sup> Kończący to opowiadanie motyw bandyckiego napadu, uderzenia bohatera metalowym przedmiotem w głowę będzie pointą także powieści *Mój mąż, frajer*. W tekst tej powieści wejdą także inne motywy z opowiadań z „Żyłki” – np. niektóre fragmenty wspomnień z dzieciństwa w Pionkach („Ballada... tu mówi radio”), motyw szczególnie

rozumianego Raju („Skazany za niewinność”), rodzinne, okupacyjne i starsze wspomnienia o rodzicach i dziadkach narratora opowiadań („Ballada... tu mówi radio”, „Miasto. (Nie)prawdy o budowaniu miasta”).

<sup>25</sup> Pisarz tak streszcza wątek: to „absurdalne zachowania Jana i Antoniego, jego (Adama) nieżyjących dziadków, mieszkańców surrealistycznego raju. Z miłości do prawnuczki Wiktorii, córki Adama, podejmują desperacką próbę ingerencji w doczesne sprawy realnego świata” [K.]. Dodam, że raj to także państwo policyjne, więc dziadkowie, przypadkowo dokonujący zniszczenia posągu Michała Archanioła, skazani zostaną na rozdzielenie (pobyt w osobnych kwaterach w raju), ale przy tym „sąd rozważy możliwość przywrócenia do pamięci osobnika, z powodu którego dopuścili się występku” [Pestka 2017a, s. 236].

<sup>26</sup> Ciąg dalszy autorskiego streszczenia: „Jest Wielka Sobota, główny bohater zgodnie z tradycją przygotowuje koszyk z pokarmami do święcenia i rusza, bez świadomości, że to ostatni spacer w jego życiu, na wędrowkę po mieście. Wydarzenia, w których bierze udział, rozgrywają się pomiędzy malowaniem pisanek a wieczornym przypadkowym spotkaniem w galerii handlowej Kraina Marzeń” [K.] – nie jest do końca pewne, czy od uderzenia w głowę zginął, czy nie zginął, gdyż zwrot „przywrócenie do pamięci” może raczej wskazywać na to, że umarł, lecz dzięki relacji Wiktorii będzie trwać pamięć o nim, a nie na to, że odzyskał pamięć i wyzdrowiał.

<sup>27</sup> Streszczając powieść, sam autor oceniał go tak: „Sens istnienia tytułowemu «frajerowi» nadają kobiety: bez nich nie potrafi żyć, jego wiara w miłość jest tak duża, że wydaje się infantylna, podobnie jak upór w poszukiwaniu kobiecego ideału” [K.] i dalej: „Cały kodeks moralny Adama



sprowadza się do słów, które w dzieciństwie usłyszał od dziadka: «Nie musisz być uczciwy wobec kobiet, z którymi sypiasz, wobec mężczyzn, z którymi pijesz wódkę, nawet wobec księdza, któremu wyznajesz swoje grzechy – Bóg to zrozumie i ci wybaczy, ale musisz być uczciwy wobec tych, którzy umierają z głodu. Inaczej przestaniesz być człowiekiem» [K.]. Zważywszy że Adam nigdy nie miał okazji ich spotkać, można chyba stwierdzić, że w świetle tej oceny Adam jest amoralny.

<sup>28</sup> Prawdziwy Wojciech Pestka w odróżnieniu od Adama niewątpliwie należy do środowiska literackiego – od 2007 roku jest członkiem Lubelskiego Oddziału SPK.

<sup>29</sup> Powtórzę raz jeszcze już cytowane słowa, ale tym razem bez skrótów: „Ojciec był od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych członkiem PZPR, ale w piątek 25 czerwca na wieść o strajkach pojechał do Radomia, żeby przyłączyć się do robotników. Wrócił zdruzgotany, miał powiedzieć: to nie robotnicy, to kryminaliści, którzy palą i rabują sklepy. Z zachowanego stenogramu rozmów Mozgawy, komendanta wojewódzkiego MO, wynika, że kazał wystawiać ze sklepów monopolowych na chodniki skrzynki z wódką, więc nic dziwnego w tej obserwacji Ojca nie było. Inna sprawa, że od lat 70. bardzo krytycznie oceniał partię, ale ciągle miał nadzieję, że nastąpi jakieś oczyszczenie i sytuacja się zmieni” [K.].

<sup>30</sup> Pisarz musi mieć wielką cywilną odwagę, skoro w dzisiejszych czasach zauważył coś pozytywnego nawet w ówczesnych działaniach SB: „O jakich zagrożeniach mówimy? Że spalą kilka samochodów, że zdemolują kilka sklepów? A niech im będzie, niech spalą, niech zdemolują. No, z tym paleniem komitetu to była oczywiście lekka przesada. Ale niech im i to. Człowieku, zaorana ziemia, czy masz pojęcie,

przecież w «Walterze» produkowano, no, kurwa, o czym mówimy, broń: pistolety maszynowe, automatyczne karabiny szturmowe typu Kałasznikow, pistolety P-64. Magazyny fabryki były pełne broni. Wyobrażasz sobie, co by się stało?! Kurwa, nawet nie chcę o tym myśleć! Krwawe jatki, mielone mięso na kotlety! To, właśnie to było prawdziwym zagrożeniem. Obie strony zdawały sobie sprawę, o co toczy się gra. I jak może się skończyć. Temu trzeba było zapobiec w pierwszym rzędzie. Więc kiedy tłum krzychał: «Idziemy po broń!», my odwracaliśmy uwagę, krzyčeliśmy ze wszystkich sił: «Idziemy na więzienie!», «Rozbić więzienie!», «Skopać dupę klawiszom!». I, kurwa, się udało. – Wiadomo było, że ktoś wcześniej albo później nie wytrzyma, że jakiś desperat pociągnie innych na magazyny, chcąc albo nie chcąc, ktoś, może nawet ten wspomniany «element», zdecyduje się jednak na ten krok. Żeby więc nie przeciągać struny, w godzinach popołudniowych skierowano do ochrony magazynów z bronią pododdział słuchaczy wso. Około godziny osiemnastej zapadła decyzja o wywiezieniu broni i amunicji z «Waltera» [Pestka 2013, s. 233 – słowa Mistrza]. Należy zdać sobie sprawę z tego, że gdyby strajkujący opanowali fabryczne magazyny broni, to i tak by przegrali, ale przy właściwemu PRL-owi poziomie wojskowych umiejętności społeczeństwa – zabitych liczone by w tysiącach.

<sup>31</sup> Na przykład pokazał i przejawy irracjonalnego, zło-wrogiego, buntowniczego karnawału: – „Korrida, kolego, taniec z szablami. Nasze «suki», przedpotopowe, dostawcze nyski, z korbą do ręcznego rozruchu zimą, kontra wózki akumulatorowe z Suchedniowa, główka o główkę, zakład o stówkę, stuk-puk, morda w mordę, pojedynki gladiatorów. Są w protokołach, na zdjęciach zrobionych z zakrytych punktów. Ikona Czerwca! – Obłęd zaczynał się o krok dalej. Na zdjęciach są ludzie przewiązani pętami kiełbasy,

z laurowymi wieńcami serdelków na głowie, obwieszeni łańcuchami parówek, rozdeptujący butami obwarzanki z pasztetowej, jak gracze kopiący szynkę niczym piłkę do bramki. Sam wielki Salvador Dali by tego nie wymyślił, co można było zobaczyć po wejściu tłumu do Zakładów Mięśnych przy Wenera. Ludzie jakby oszaleli, ta odwaga uderzyła im do głowy, odreagowywali swoją krzywdę, swoje poniżenia na kiełbasie. – Zrodzone z desperacji pogranicza surrealizmu. Ciemna strona wyobraźni wystawionej na przeciążenia. Weź pianino. Zobacz to tak: tło – płonący budynek komitetu, kłęby czarnego dymu, wózek akumulatorowy przemieszczający się ulicami poranionego miasta, na platformie wózka pianino, na stolku człowiek uderzający w klawisze i pijący szampana, łyż, wygryzający oczy gaz. – Co to jest? – Kurwa, płonąca żyrafa, totalny obłęd” [Pestka 2013, s. 254 – słowa Mistrza]; „I poszliśmy w kierunku rzeźni. [...] Tam są szynki, te szynki idą do Ruskich. Wzięli łom i tę kłódkę oderwali, otworzyli, to ja zdążyłem wypalić papierosa jednego, magazyn pusty. Ludzie wynieśli normalnie, mówili: «To my głodujemy, a tu się trzyma w piwnicach». [...] Tam to się naprawdę działa heca. Ja w życiu nie wiem, kto mi założył trzy kilo kiełbasy serdelowej – o taki miałem wieniec na głowie, serdelki takie malutkie. I z tym wyjechałem. Tam nikt nie miał prawa odmówić. No nie wiem, kto to zrobił, może ludzie znerwicowani, może ze złości, że tak się dzieje, tego, no, całe połówki świń to w rynsztokach pływały... Jedziemy, proszę pana, ludzie krzyczą, drą się: «Precz z komuną!», ale, a tam... aj, no, to wszystko wrzało normalnie, tego, to wszystko zdenerwowane jakiegoś, jak dziki, a to są ludzie, to są robotnicy” [Pestka 2013, s. 254-255 – relacja świadka].

<sup>32</sup> Zob. rozdział „Powieść worek (Miciński, Jaworski, Witkacy)”, w: Włodzimierz Bolecki: *Poetycki model prozy*

*w dwudziestoleciu międzywojennym*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław 1982.

<sup>33</sup> Podobnie w kryminale. Relacjonowanie śledztwa i ciągu wydarzeń nim spowodowanych kończy się na wyjaśnieniu okoliczności zabójstwa, a więc na opisie sytuacji, która w czasie chronologicznym spowodowała późniejsze śledztwo.

<sup>34</sup> W jednym z wywiadów na pytanie dziennikarza o genezę *Do zobaczenia w piekle* Pestka odpowiedział tak: „To naturalna, zwykła potrzeba spłacenia długu wobec pokolenia skazanego na piekło wojny i zapomnienie. Realia polityczne w powojennej Europie, zwłaszcza na Wschodzie, sprawiały, że starano się ich losy albo zaanektować na potrzeby ideologii, albo o nich zapomnieć, zakłamać ich, obrzucić błotem. Wywierano na nich ogromną presję, zmuszając do odstąpienia od wyznawanych wartości i zasad, wiary, języka, które kształtowały ich świat, zsyłano do obozów, rozstrzeliwano, torturowano, manipulowano ich świadomością, zmuszano do walki między sobą. Nie chciałem nikogo sądzić, nie wiem, jak każdy z nas reagowałby w tamtych warunkach poddany podobnym przeciążeniom” [Pestka, Kłymentko 2013].

<sup>35</sup> Twórca szczepionki na tyfus, produkował ją w okupowanym Lwowie.

<sup>36</sup> W tym Daria Husiak, łączniczka jednego z przywódców OUN odpowiedzialnych za Rzeź Wołyńską – Romana Suchewycza.

<sup>37</sup> Pisarz tak się o nich wypowiadał: „Wiem, że reakcja na książkę w Polsce nie była jednoznaczna... Nie miałem zamiaru napisania książki, która by była „za czymś albo

przeciw komuś”, chciałem zachować się uczciwie wobec moich rozmówców, a także wobec siebie. Nie miałem zamiaru dostarczać argumentów politykom albo innego rodzaju ugrupowaniom społecznym czy wyznaniowym, wpisywać się w ideologiczne manipulacje. Nie potępiałem, nie oskarżałem, nie przyznawałem racji. To wywołało krytykę, zarzuty, nawet agresję w mediach reprezentujących różne środowiska. Udało mi się sprowokować zgodne sądy zwalczających się na dzień ugrupowań z lewej i z prawej strony sceny politycznej. Wręcz powiem, że nie byłem w stanie ogarnąć tego procesu, przeczytać wszystkich recenzji, wysłuchać wszystkich audycji, uczestniczyć we wszystkich dyskusjach, jakie wywołała książka. Wciąż uważam, że ostateczny sąd nad historią, którą przywołuję, należy nie do mnie, a do czytelnika, to on powinien to uczynić w zgodzie ze swoim sumieniem i swoją wiedzą” [Pestka, Kłymenko 2013].

<sup>38</sup> Tak wojenne losy Polaków na ogół pokazywały radzieckie (rosyjskie i białoruskie) filmy [por. Kajtoch 2015]. Na uwagę zasługują także rozważania na temat możliwych propagandowych manipulacji radzieckich opartych na podobieństwie nazw Katyń i Chatyń (nazwy brzmią tak samo, ale chodzi o dwie różne miejscowości). Pouczająca jest także historia Drażna – białoruskiej wsi, którą białoruscy „policajcy” obronili przed komunistyczną partyzantką.

<sup>39</sup> Większość tekstów z *Do zobaczenia w piekle...* zawierała wspomnienia m.in. radzieckich zsyłek, represji, więzień.

<sup>40</sup> „But nawet w Paryżu pozostanie butem” to relacja z drugiego spotkania z Knutsem Skujenietsem, „Która strona odwrotna (tropem niedopowiedzianego reportażu)” to druga rozmowa z Magdaleną Szegdą o Workucie, „Widziałem wszystko” i „Ostatni krąg piekła, Stalag 307...” uzupełniają wizerunek wojennych koszmarów o opis

niemieckiego obozu dla radzieckich jeńców, urządzonego w Dęblinie. Z kolei „Wiara, nadzieja, Miłość?” to kolejna z sylwetek wielkich polskich pisarzy związanych z Kresami (zbudowana na tle relacji z uczestnictwa w festiwalu poetyckim w Wilnie w 2011 roku).

<sup>41</sup> Pisarz tę uwagę przyjął i w książce przedrukował, ale jednak ostatecznie zaliczył „Wojnę – to MY” do reportaży, i ma rację. Świadczy o tym następujący fragment tekstu, jedyne, w którym autor ujawnia okoliczności powstania reportażu (tekst jest relacją z odwiedzin reportera u pisarza i rozmowy między nimi, a więc spełnia kryteria reportażu, choć z drugiej strony to, co mówił reporter, usunięto i inne odniesienia do sytuacji są nieobecne – pozostawiono przy głosie tylko bohatera reportażu, co czyni z niego „perorę”): „Byłem dumny, że doczekałem wojny. – Poruszając dłońmi zaciśniętymi na obręczach kół, Wasyl wprawia swój wózek inwalidzki w rytmiczny ruch w lewo i prawo przypominający dyskotekowy taniec. – Całe moje pokolenie wyrosło w cieniu weteranów wojny ojczyźnianej [...]. Uginających się pod ciężarem medali. Heroiczna śmierć za ojczyznę była marzeniem każdego chłopaka” [Pestka 2019a, s. 114].

<sup>42</sup> „Monolog wypowiedziany (fr. *monologue enonce*) – forma narracji występująca w prozie współczesnej, po raz pierwszy użyta przez F. Dostojewskiego w pierwszej części *Notatek z podziemia* (1864), rozwinięta przez A. Camusa w powieści *Upadek* (1956), częsta w lit. polskiej po roku 1956 (m.in. utwory J. Iwaszkiewicza, A. Słonimskiego, K. Brandysa). W monologu wypowiedzianym narracja kształtowana jest na wzór wypowiedzi ustnej, dużą rolę grają w niej więc takie czynniki jak zwroty do rozmówcy, gesty foniczne, powtórzenia i inne, mające naśladować nieład potocznego opowiadania. Monolog wypowiedziany

nawiązuje tak do gawędy i skazu, jak i do tradycji retorycznych. Ma on zazwyczaj charakter spowiedzi, jest rozrachunkiem ze światem, polemiką z systemem przyjętych wartości” [mg 2000, s. 323].

<sup>43</sup> Maria Jasińska pisze: „Gatunek następny — biografia upowieściowiona — to *Dzieci słońca* A. Maurois (o Shelleyu), Parandowskiego *Król życia*, Dobraczyńskiego *Listy Nikodema*, książki Świdorskiej, Pauszer-Klonowskiej, Warneńskiej. Stara się on godzić możliwie daleko posuniętą wierność wobec źródeł, również w odniesieniu do szczegółów, z techniką kompozycji i narracji wyraźnie już powieściową. Chwiejna równowaga zespolenia się tych często walczących ze sobą dwu tendencji — jako przejaw swoistej proporcji w koegzystencji funkcji informacyjnej i przedstawiającej — znajduje swoje odzwierciedlenie w nazwie biografii upowieściowionej” [Jasińska 1967, s. 15]. Pisanie w tym gatunku w swojej skrajnej postaci polega na składaniu tekstu powieści z urywków wspomnień czy listów bohatera biografii. Wojciech Pestka z autentycznych, zapisanych przez siebie wypowiedzi (niewykluczone, że czasem uzupełnianych o fragmenty wypowiedzi opublikowanych?) tworzy długie monologi, których jednak nigdy realnie nie wypowiedziano. To czyni z niego, kiedy pisze perory, twórcę literackiej fikcji — pisarza, a nie reportera. Inna rzecz, że takie „fikcje z ułamków autentyku” tworzyli Wańkiewicz, Kapuściński i wielu pomniejszych.

<sup>44</sup> Łacińskie *peroratio* znaczyło tyle, co *zakończenie* lub *epilog*. Mirosław Korolko tak rzecz definiuje: „Zakończenie, gr. *epilogos*, łac. *peroratio*. Jest to ostatnia część wypowiedzi, zawierająca treściową i emocjonalną rekapitulację mowy. Teoretycy retoryki przykładali do stosownej konstrukcji zakończenia bodaj największe znaczenie, ponieważ decyduje

ono o ostatecznym celu przekonywania i umiejętnościach mówcy. Według Arystotelesa każdy epilog winien zawierać następujące części: życzliwe nastroszenie słuchacza, powiększenie lub pomniejszenie głównej myśli dyskursu, wywołanie odpowiedniego do treści wzruszenia odbiorcy oraz odświeżenie i uwydatnienie głównych argumentów perswazji” [Korolko 1990, s. 95]. To były ważne fragmenty: zwracały uwagę na to, co było w mowie najważniejsze, dobitnie wyciągały wnioski i wskazywały na ich znaczenie — np. moralne czy poznawcze. Pisarzowi chyba o to chodziło, bo przecież nie byłoby sensu zapisywać wypowiedzi nudnych, banalnych, konwencjonalnych. Natomiast właśnie taka nudna, banalna, konwencjonalna jest perora dla współczesnego użytkownika polszczyzny. *Słownik Wyrazów Obcych* jako znaczenie aktualne podaje: ‘rozwlekłe, nudne, upominanie, pouczenie, reprimenda’, a jako przestarzałe (aczkolwiek jeszcze spotykane): ‘uroczysta przemowa, oracja’ [Sobol 2002].

<sup>45</sup> Gwoli dokładności: tom zawiera także dwie sylwetki znanych, a związanych z Rosją, Ukrainą i Kresami Polaków: Józefa Łobodowskiego (1909-1988) — poety, pisarza i publicysty, zwolennika pojednania polsko-ukraińskiego; Wilhelma Kotarbińskiego (1848-1921) — malarza, Polaka mieszkającego w Rosji, ale i związanego z Ukrainą, a także reportaż relacjonujący rozmowę z wnukiem Tadeusza Kotarbińskiego o historii rodziny i dziadka filozofa oraz reportaż z pobytu w Armenii.

<sup>46</sup> Skupiają się na niej: „Cerkiew bez Putina” — popularno-naukowy szkic tłumaczący współczesne problemy ukraińskiego prawosławia, napisany w 2019 roku; w tymże roku napisana perora Wasilija Słapczuka z 2019 roku — m.in. o sytuacji po wyborze Wołodymyra Zełenskigo na



prezydenta Ukrainy; relacja z cyklu przeprowadzanych w różnych latach rozmów z byłą aktywistką Majdanu (2014-2017) Olhą Sało – później działaczką młodzieżową.

<sup>47</sup> Wcześniejszą, bardziej oddaloną, dalszą genezę opisuje perora Serhija Borszczewskiego, przedstawiciela starszego pokolenia, dziennikarza, poety, tłumacza Mroźka; zastępcy prezesa Związku Pisarzy Ukraińskich; byłego ukraińskiego dyplomaty na Kubie, a bliższą – „Petro Samozwaniec” – rozmowa z byłym uczestnikiem Majdanu, dowódcą straży pilnującej przed grabieżą opuszczonej rezydencji Wiktora Janukowicza. Rozmowa ta jest dobrą okazją do charakterystyki obalonego w 2014 roku prezydenta i jego polityki.

<sup>48</sup> Reportaż o rozmowach z Andrijem Szczekunem i Petro Wolwaczem przynosi informacje o powojennej historii Krymu i o przebiegu jego aneksji przez Rosję, widzianego oczami proukraińskich, krymskich działaczy. Natomiast bohaterem „Na froncie (dez)informacji” jest Oleksander Galin, oficer prasowy polsko-litewsko-ukraińskiej brygady stacjonującej w Polsce, który dzieli się wiedzą o rosyjskiej, antyukraińskiej propagandzie i jej mechanizmach.

<sup>49</sup> Czyli separatystów, niezyciwiście określanych tym zgrubieniem.

<sup>50</sup> Mogą to być też uwagi autotematyczne: „Jechałem, żeby zebrać materiał do reportażu z Wołynia. Tekst zamierzałem napisać językiem urzędowych dokumentów – zwięźle, sucho, ograniczając się do potwierdzonych dat, faktów, cytatów rozmów i dokumentów. Zapis historii człowieka jest zawsze swego rodzaju nadinterpretacją jego losów, a ja chciałem uniknąć tych dwuznaczności, ograniczyć emocje do minimum. Pojechać tam, napić się wódki i porozmawiać (w tej kolejności, bo inaczej nie ma rozmowy),

zrobić zdjęcia, odwiedzić cmentarz, zapukać do najbliższego archiwum... Później się przy biurku, rozwiązać teczkę z kserokopiami, wystukać na klawiaturze: urodzona w Czeknie 27 kwietnia 1925 roku córka Eufrozyny i Macieja Szlichtów. Łatwe, proste” [Pestka 2019b, s. 315].

<sup>51</sup> Streszczenie autora: „Tematem filmu fabularnego *Klecha* są wywołane zapowiedzią podwyżek cen żywności radomskie protesty czerwca '76 roku i zakończona śmiercią walka ks. Romana w obronie godności strajkujących robotników. W tej walce istotną rolę odgrywa utworzona 19 listopada 1973 roku przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kowalczyka działająca ponad prawem grupa «D» do walki z Kościołem. Pobicia, uprowadzenia, szantaże, napady rabunkowe, podpalenia, prowokacje, narkotyki i fałszerstwa dokumentów to standardowe metody pracy funkcjonariuszy oddziału, którym dowodzi Mistrzo. Jego ofiarą staje się ks. Roman, domagający się w kazaniach szacunku dla człowieka i jego pracy, powstrzymania sprawców brutalnych pacyfikacji protestów i represji wobec robotników. 25 czerwca 1976 ze schodów kościoła Świętej Trójcy błogosławi strajkujących, a niespełna dwa miesiące później, wielokrotnie pobity przez „nieznanych sprawców” – funkcjonariuszy, którymi dowodzi Mistrzo, umiera w szpitalu w niewyjaśnionych okolicznościach. W filmie współczesność przeplata się z wątkami retrospektywnymi. Do szpitala psychiatrycznego na prowincji, w którym na specjalnych prawach rezyduje Mistrzo, przybywa Postulator zbierający materiały do procesu beatyfikacyjnego ks. Romana. Rozmowa, przybierająca momentami formę filozoficznej dysputy o człowieku i jego kondycji, metodach manipulacji, roli religii i Kościoła, odbywa się w specjalnie zaaranżowanym na potrzeby Mistrza, zapewniającym mu pełny komfort szpitalnym oddziale. W jej trakcie



pojawiają się wątki z przeszłości związane z metodami pracy funkcjonariuszy grupy «D» przeciw pielgrzymom, inwigilacją ks. Romana, próbami uwikłania go w romans, zmuszenia szantażem i biciem do współpracy. W poczuciu bezkarności Mistrzo w rozmowie z Postulatorem pozwala sobie na szczerość, nadaje jej charakter spowiedzi, ale milczeniem odpowiada na propozycję zeznań przed komisją kościelną. Filmowa narracja nawiązuje do biblijnej przypowieści o walce Dawida z Goliatem. Ks. Roman, pozbawiony wsparcia ze strony duchowieństwa, które w jego działaniach widzi nie wierność misji Kościoła, ale zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa, skazany na przegraną, samotnie staje do walki z niesprawiedliwością, pogardą dla człowieka, brutalnością władzy. Osiąga więcej, niż mógłby się spodziewać – szacunek i podziw ze strony swego przeciwnika, pozbawionego skrupułów i cynicznie manipulującego ludźmi Mistrza. Tytułem filmu stał się kryptonim akt operacyjnych komórki «D» Służby Bezpieczeństwa PRL-u. Pierwowzorem postaci kapłana jest autentyczna postać księdza Romana Kotlarza z podradomskiego Pelagowa” [K.].

## CZĘŚĆ DRUGA

### Wybór utworów Wojciecha Pestki

WIERSZE

\*\*\* (powinieneś być cierpliwy...)

powinieneś być cierpliwy  
wobec tego, czego chcesz  
to twoja radość

powinieneś być cierpliwy  
wobec tego, czego nie chcesz  
to twój smutek

ćwicz oba rodzaje cierpliwości

[z tomu *Mono #dram* (Lublin-Kraków 2020)]

## zanim powstał świat

było  
pierwsze ziarno piasku  
z niego wyrosła góra  
pierwsza łąka  
z której wzięło początek morze  
i osobne dźwięki  
Ty  
ja  
splecione jak nasze dłonie w jedno  
  
słowo  
my  
które było na początku wszystkiego

## spotkanie

wyciągam rękę  
stoję na środku dworcowej hali  
miałem czekać na peronie  
na Twój przyjazd  
  
spóźnił się autobus  
przepraszam  
  
ktoś obok przestępuje z nogi na nogę  
grzebie zniecierpliwionym palcem  
w portmonetce chwili  
  
zagląda w oczy  
mądrości, przelicza na pieniądze spojrzenia  
fortuny, szuka  
znajomej twarzy  
  
ale tylko  
ja  
mam jabłko  
i  
mogę dać je Tobie

## wiersz o lampie na biurku

Pomiędzy nami –  
Tobą i mną  
a lampą  
jest przepaść (w rodzaju niezgłębionych)  
nieokreślone są nasze plany na przyszłość

Ona  
świeci jasno  
nie ma dla niej znaczenia obrót ziemi  
czyjeś niestosowne zdanie na temat światła  
jako formy energii ( $e=mc^2$ )

My  
od czasu do czasu jesteśmy obecni  
w prostej relacji  
jeden na jednego  
nazywanej w zasadzie operacją łączenia

Pomiędzy kuglarską sztuką z mnożeniem królików  
i dzieleniem włosa  
kapeluszem z podwójnym dnem  
a przeistoczeniem, cudem narodzin

[z tomu *Spacer po linie – Мандрівка линвою*  
(z Anną Bagrianą, Lwów 2008)]

## nie mam gdzie wrócić

„nie mogę żyć wśród winnic wszystko tu nie jest moje”  
Zbigniew Herbert „Powrót prokonsula”

Nie mam gdzie wrócić  
Chociaż nic mnie tu nie trzyma  
Mogę  
Z obojętnością godną lepszej sprawy  
Zostać  
Obedrzyć sumienie z kory  
Pogardliwie wyrażać się o życiu  
Patrzeć w niebo na gwiazdy  
Mówić milczeć

Tam mnie nie będzie

Tu chociaż jestem  
Z piętnem ryby  
Na śniętych oczach  
Z głuchym brzuchem bębna  
W uszach



## przed oszkloną bramą raj

W sobotę rano raj jest zamknięty dla zwiedzających  
Nie wejdziemy z Groszkiem za drzwi  
Bramy otwiera się w określonych godzinach  
W tej chwili sprawdzane są systemy wentylacji i alarmy  
Trzeba chronić niebo

Inaczej w co będziemy wierzyć

Inaczej jak będziemy się kochać

## w Krakowie

Jeśli uda się nam być w Krakowie razem  
To pójdziemy do księgarni na rynku  
Obojętni na świata sądy i zakazy  
Siądziemy na podłodze i będziemy  
Czytać sobie z oczu  
Tę najważniejszą książkę

Jeśli się nam uda być w Krakowie razem  
Kupimy w Sukiennicach srebrną łyżkę  
I udając przed światem przygodnych znajomych  
Zjemy na rynku  
Żółtego kalafiora w sezamowym sosie  
Żeby oszukać głód miłości  
Przeznaczenie jest bowiem jak gradowa chmura  
W czas burzy kwitnie  
Różowym bzem

[z tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* (Lublin 2005)]

## zmierzch

nazwijmy ten dzień postnym  
oto  
zakurzony faluje na wietrze  
wiatr z uporem powraca  
składa w fałdy miękkie sukno

widzisz te zmęczone twarze  
długie pasmo cienia  
spragnione ognia oczy  
zgaszone wodą usta  
wiatr  
wiatr

patrz  
jak faluje szara płachta dnia  
oto  
w środku rozmowy  
między słowami  
zawija się kłębek zmierzchu

[z tomu *Zwykła rozmowa* (Częstochowa 1976)]

## po kropce

odejmuję to, czego nie zabrakło  
dodaję to, czego nie starczyło  
zakres nie obejmuje wybranych przypadków  
poruszam się pomiędzy nadmiarem i brakiem

wszystko zmieniało się jak rękawiczki:  
poglądy na życie, samochody, kobiety  
role do odegrania i rozkłady jazdy  
pociągów między Gdańskiem a Dęblinem

jeśli życie jest ciągłym szukaniem harmonii  
stan równowagi znajduję w tym  
co po kropce

[z tomu *Mono #dram* (Lublin–Kraków 2020)]

## ciemna jutrznia

„Jakże samotnie siedzi miasto pełne ludu”  
prorok Jeremiasz

Od kiedy aniołowie mówią językiem udręki  
Gorzkim językiem bezsenności, głodu  
Gorączki ciała

Cierpienie drzewa  
Wstrząsanego wilgocią i skręcanego bólem  
Skarga naciągniętej cięciwy z owczego jelita  
Modlitwa włóczni  
Świerszcze  
W metalowej puszcze Mechanizm czasu  
Ruchomy rysunek uwięzionej góry  
Zielonej jak delikatne liście herbaty  
Zbierane na łąkach Jerozolimy

Oparzone milczeniem  
Trzepotanie motyli skrzydeł  
Drżą wargi

Jestem.  
Idę...

## II.

Bezradne naczynia dłoni  
Ręce szukające oparcia w ramionach  
Moje nogi  
Jedna obok drugiej zatrzymane w biegu  
Schwymane w sidła  
W sieci  
Zawiązany mój język  
Moja słabość  
Podkrążone oczy wieczoru  
Patrzę na winnicę  
W dzień żalości

Piętnaście świec przywołuje mrok  
Katedra boleści wyrasta wysoko nade mną

## III.

Mamy swoje lata odmierzone  
Przestaliśmy być dziećmi kamienia, brązu  
Chłodnego żelaza  
Światła które umknęło  
Jak ostatni autobus  
W pokojach piasku mieszka teraz wilgoć  
Śmiertelna rosa

Dorośliśmy do wojny  
Obłądu zabijania  
Grudki chłodu na rękach

Nasze siostry trafiły do domów publicznych  
Nasi ojcowie do albumów niepamięci  
Tam usychają  
W ogrodach ciszy  
Pod wieżą kości  
Na placach obozowych  
Szukają pocieszenia  
Nasi nauczyciele  
Próbujemy uczyć się alfabetu  
W pralniach chemicznych  
Wśród nagrobnych płyt  
Składać słowo kocham  
Z mchu  
Płaczu

PROZA

[z tomu *Histeria* (Kraków 2017)]

Ze zbioru *Ballada o żyletce*  
(Warszawa 2009)

Stróża (inaczej nocna straż)

Seks po pierwsze, po drugie znów seks, a po trzecie... gdzieś tam daleko w tle przelotna myśl, że może świat oszalał. Bez względu na tło historyczne i miejsce, pogodę i czas, pozycję społeczną i pozycję we współżyciu – seks. Powstaje z tego zbiorowa histeria, mania prześladowcza.

Gdyby tylko tyle.

Nie wiem, w jaki sposób w umyśle normalnego człowieka rzeczy odległe, w każdym możliwym znaczeniu, zazębiają się, wchodząc w związki przyczynowe. Łączą się na różne sposoby, tworząc trudne do rozdzielenia całości. Łatwiejsze do zrozumienia są te zależności, w jakie wchodzą ludzie. Tu wszystko można tłumaczyć. Istnieje przyjaźń, wspólnota interesów, nieprzyjaźń silniejsza niż te dwa wcześniej wymienione powody i mocno trzymająca ludzi przy sobie, jedność zapatrywań...

Takie wyjaśnienia można mnożyć na nieskończenie wiele sposobów.



Zawsze jednak najważniejszy jest instynkt przetrwania. Seks, który stwarza szansę na utrzymanie ciągłości gatunku, nie daje się opanować ani ograniczyć na żaden ze znanych sposobów. Od czasu, kiedy pojawił się człowiek.

Nawet w sytuacji, kiedy mróz dobiera się wam do dupy.

Pamiętam tamte dni, było zimno, temperatura sięgała minus 18 stopni. Przy takim mrozie nic mądrego nie przychodzi do głowy. Człowiek się kuli w sobie, myśli – jeśli są to rodzaje przemieszczeń elektronów pomiędzy komórkami mózgu, jak chce tego medycyna – myśli krążą wokół jednego tematu. Zimna. Nie ma ważniejszych spraw. Bardzo powoli następują te pojedyncze, jałowe przebiegi elektryczności.

Każdy nieostrożny, zbyt szybki ruch wystawia ciało na atak mrozu. Mimo wszystko trzeba się ruszać, nieruchome trwanie w jednym miejscu jest jeszcze gorsze. Wtedy się kostnieje od środka, łatwo zasnąć, jeśli się znajdzie jakieś prowizoryczne miejsce, żeby sięść, oprzeć się na chwilę.

– Co jest do jasnej cholery, mam dopieprzyć kolegium – wrzeszczy młody porucznik, uchylając szybę łazika.

– Pilnować, pilnować i jeszcze raz, kurwa, pilnować – aż dławi się i zatyka z tego mrozu, kiedy krzyczy na cały głos.

Stróża – tak to nazywają z urzędu. Znów udało mu się mnie przyłapać. Podjechali na wyłączonym silniku, z górki, inaczej bym usłyszał, w takiej ciszy warkot

samochodu dobiega z daleka. Jutro wywieszają na tablicy uwagę i będę za karę miał dodatkowe pilnowanie. Za wszystko kara. Przebrali miarę w karaniu. Nie boję się kary, boję się innych bardziej prozaicznych rzeczy, chociażby psów. Chyba przyjdzie mi całą zimę tak stróżować. Chłopy po dwóch, kiedy na nich wypada, ja w pojedynkę. Tu zajdą, tam wypiją, przegryzą, znają wszystkie kąty. Ja jestem tu obcy, pierwsze jadą mnie sprawdzać, do chałupy, nawet jeśli nie mam tej durnej służby. No bo czego mogę upilnować i przed kim.

Do obrony mam kawał dębowego kija. W starym waciaku, jeszcze wtedy mówili na to kufajka, z biało-czerwoną opaską na ramieniu i największych, jakie można sobie wyobrazić, gumofilcach, tak żeby pomieściły jeszcze dodatkowe onuce, wyglądam groteskowo. Z wotowanych nogawic uszyłem sobie dwie ogromne rękawice, żeby nie odmrozić rąk. Na głowie mam uszankę podszytą sztucznym futerkiem i kaptur zrobiony z grubego koca. Noce są zimne od cholery. Na twarz pod same oczy podciągam związaną od tyłu bawełnianą chusteczkę. Waciak mam przepasany skórzanym paskiem, żeby nie puszczal zimna od dołu. Wyglądam jak wsiowy głupek, pokraczny krasnal, strach na dzieci, w tym przebraniu. Zrobili mi zdjęcie, na środku drogi, przed kościołem, przywieźli chyba wojskowego fotografa. Zawodowiec, czuć było to zdjęcie stanem wojennym, zimnem, nocą i strachem. To ono obiegło całą prasę, nawet trafiło na okładki zagranicznych gazet. Jedno powiesili na tablicy w biurze gminnej spółdzielni. Może pokazują te zdjęcia innym, ku przestrodze.

– Będziesz miał dużo czasu na myślenie – bawią się moim kosztem. Nie ma w tym współczucia ani specjalnie zapiekłej złości.

– Bez ryzyka nie ma zabawy – to zasada, którą wyznają.

Oficjalnie pełnię straż, mam do pilnowania jakieś trzydzieści rozrzuconych szeroko wokół kościoła chałup, w tym biura gminnej spółdzielni, gospodę, sklep i punkt kasowy banku. Mam służbowy zeszyt, w którym notuję rejestracje wszystkich przejeżdżających tędy po godzinie policyjnej pojazdów. I nazwiska pieszych przechodniów. Dobrze, że nocą nikt się po drogach nie kręci.

– Gdyby tylko chcieli, mogą mnie... no wszystko: zaszczuć, rozjechać, skopać, zatłuc pałami na śmierć – nikt by mi nie pospieszył na pomoc, w końcu i tak nikogo tu nie obchodzi mój los.

– Gdyby chcieli, ale to nie daje takiej satysfakcji co utrzymywanie mnie w stanie przerażenia, to jest dużo bardziej zabawne – patrzeć, jak próbuję ukrywać ten mieszkający we mnie strach.

Boję się. Pałka niczego nie zmienia. Bardziej ta biało-czerwona opaska na rękę. Myślę wtedy o tych, którzy kiedyś zakładali takie opaski. Doczekali się ironicznej puenty od losu. Na taki mróz nikt we wsi nie ma serca trzymać psa na łańcuchu. Mówi się, że pies wyczuwa strach, że strach ma też zapach. Nie wiem, na jakiej zasadzie psy łączą się w stada, jak wygląda to ich porozumienie, kiedy atakują po kilka, zachodzą z różnych stron. Nie mam tego chłopskiego rozumu,

dojrzałości do współżycia z naturą, nie potrafię się obronić, opędzić. Zawsze któremuś udaje się szarpnąć za rękaw albo spodnie. Czasami mam wrażenie, że wyczerpała się we mnie energia, chęć życia. Że już nie mogę. Że opadną mi zaraz z tej bezsilności ręce. Poddam się i to będzie koniec, po prostu spokój. Ale moje ciało instynktownie reaguje na zagrożenie, podejmuje walkę, wysiłek, broni się, nie chce mnie słuchać. Nie zostawia miejsca na wyspekulowane decyzje.

Stróża. Pilnować, to jest wasz kurewski obowiązek – krzyczą, dopisując mnie do listy.

Odpowiadam za wszystko, co się może wydarzyć we wsi pomiędzy 23 wieczorem a 5 rano. Kiedy mnie nie ma na drodze, gazik zatrzymuje się pod kościołem. Trąbią, mierzą czas. Biegiem. Mam 5 minut, żeby się zameldować, bez względu na to, gdzie, jak daleko jestem. Inaczej notatka na tablicy, dodatkowa stróża poza kolejką. Ale zbyt szybko wyczerpuje się we mnie strach przed karą. Brakuje mi siły, żeby reagować. Rano zwykle gazik się spóźnia. Muszę jeszcze wpisać raport, zdać służbowy zeszyt. Dygoce we mnie każdy mięsień, każda komórka. Wtedy idę, zataczam się. Od płotu do płotu. W końcu padam na łóżko... nie mogę jednak zasnąć.

Obłąd, który wywołuje bezsenność, bierze się z tego, co w środku, w głowie. Jestem wyczerpany, jakbym zdobył najwyższą górę na kuli ziemskiej.

Jakbym wziął naraz, jednej nocy, wszystkie kobiety na świecie.

To chyba... seks, nic innego tylko seks.

## Etiuda na zadany temat (to tylko sen)

Boże, jaka jestem bezradna, co się stało z moim życiem – myślała codziennie, otwierając rano oczy. Niepokój przychodził w ostatniej fazie snu, kiedy zaczyna szarzeć niebo, miał postać ledwie wyczuwalnego dźwięku. Ten obcy dźwięk wypełniał pokój jak woda, zaczynał się przy podłodze, z każdą minutą było go coraz więcej, jego poziom się podnosił, sięgał blatu stołu, lampy zwisającej z sufitu. Wypełniał wszystko, w pewnym momencie było go tak dużo, że wybuchał, jej zmysły pod presją paniki zaczynały się gubić, ogarniał ją porażający strach.

To przechodzi w pobliżu śmierć – taka myśl pojawiała się w jej głowie, kiedy niepokój osiągał wartość krytyczną i wywoływał nagły skurcz wszystkich mięśni. Jej usta otwierały się wtedy do krzyku, ale strach był mocniejszy, zaciskał gardło. Wydawało się jej, że otwiera się nagle przepaść, pustka, w którą spada, wymachując rozpaczliwie rękami i szukając w panice punktu oparcia.

Miała 38 lat, męża, dwójkę dzieci. Jak na osobę, która w żadnej sprawie nie potrafiła podjąć decyzji, to było bardzo dużo. Tyle obcych jej wyborów wzięła na siebie, wypełniła nimi swoje życie. Przyzwyczaiała się do tego.

Wczoraj... przypomniwała sobie sklep, w którym kupowała bułki na śniadanie. Swoją rękę, na której zaczęły pojawiać się małe plamki, nadające skórze jasnobrązową poświatę.

– To chyba jeszcze nie starość te plamki brązowego pigmentu – pytała zaniepokojona, dostrzegając zmiany zachodzące na powierzchni jej ciała.

– Ciało – wskazującym palcem dotykała swojej nogi albo innej jego części, wyobrażając sobie skupiska komórek, biorących udział w tym zdarzeniu – jest pozbawioną błędów formą organiczną osadzoną na mineralnym szkielecie, kształtowało się w wyniku ewolucji przez tysiące lat, nie mam wpływu na jego funkcje i kształt ostateczny – powtarzała sobie z uporem.

Patrzyła bezradnie na sklepowe półki z przygotowanym do sprzedaży pieczywem, kosze wypełnione bułkami. Nawet na tym najniższym poziomie zaspakajania fizycznego głodu produkty różniły się między sobą.

Chleb. Nie wiedziała, co uzasadnia te podziały, nie potrafiła odgadnąć ważnych powodów, dla których eksponowano prymitywną potrzebę biologiczną, kładąc nacisk na podkreślenie tych różnic.

– To co zwykle – wypowiadając te słowa, nie próbowała rozumem ogarnąć ukrytego w nich podtekstu. Myśl, że ktoś zdecydował o tym, co zwykle kupowała, nie budziła jej sprzeciwu. Nigdy, od kiedy uznano ją za osobę dorosłą, nic nie było proste na tyle, żeby wywołać jej bunt, zdecydowany opór.

– Wszystko wokół niepotrzebnie się komplikuje, je-dyne uczciwe zachowanie sprowadza się do tego, żeby to przeczekać – nie umiała inaczej tego wytłumaczyć.

– Nie zrobiłam w swoim życiu nigdy żadnego głupstwa, żadnego poważnego błędu, za który musiałabym

teraz pokutować – mówiła sobie, kurczowo ściskając brzeg kołdry, patrząc, jak z minuty na minutę coraz wyraźniej rysuje się w mroku prostokąt okna.

W sąsiednim pokoju spał jej mąż. Była mu wdzięczna za tę obojętność, chociaż wiedziała, że ją oszukuje, zdradza, że jest nią znudzony i nie próbuje nawet udawać, zachowywać pozorów.

– Czy zostaniesz moją żoną? – spytał prawie dwadzieścia lat temu, stojąc na środku pokoju przed jej rodzicami.

– Tak – odpowiedziała za nią jej matka. To było wszystko.

– Nikogo nie kochałam, nie wiem, co to oznacza kochać – bała się tego momentu, w którym ktoś odkryje tę straszną prawdę. Na filmach, w telewizji pokazywano młodych zakochanych ludzi. Z zażenowaniem patrzyła na ich zachowanie. Teraz nie miała nawet złudzeń, że coś jeszcze czeka na nią w życiu. Kiedyś liczyła, że może to wszystko odmieni czas.

– Jak to jest, słuchać i nie wypełniać muzyką uszu, patrzeć i nie pozwolić, żeby obraz zagarnął bez końca oczy – zastanawiała się nieraz i szukała sposobu na zrozumienie siebie, ale niczego nie mogła zrozumieć.

– Może tylko wyobrażam sobie, że jestem, dlaczego tak się dziwnie dzieje – zadawała sobie naiwne pytanie.

Tego, co wtedy się wydarzyło, nie nazywała błędem.

Kiedy syn Łukasz miał osiem lat, a córeczka Małgosia sześć, dostała skierowanie z zakładu do

wczasowego ośrodka położonego nad morzem. Zdecydowała się na ten wyjazd nie ze względu na dzieci ani tym bardziej nie z potrzeby wypoczynku.

– Przecież wszyscy tak robią – taką odpowiedź przygotowała dla siebie, przewidując, że kiedyś będzie musiała zadać sobie to pytanie.

Wiedziała jednak, że tym czymś innym, co próbowała przed sobą ukryć, jest morze. Było w niej organicznie obecne od zawsze, od samego urodzenia, towarzyszyło jej podczas zabaw z rówieśnikami, w każdym momencie jej życia było tuż za plecami, wieczorem wtapiało się w szarość za oknem pokoju i burzyło spokój. Miała w sobie jego łagodne falowanie, cierpła na niej skóra na myśl o jego bezmiarze. Chciała wiedzieć, jakie jest, co będzie czuła, kiedy stanie na brzegu.

W autobusie surowo zakazała dzieciom kontaktów z rówieśnikami, nie chciała, żeby nabrały śmiałości i odwagi, tej, z powodu której człowiek zdobywa się na zuchwałość wobec życia. Budowała ich świat z obaw i przeczucia nieuchronnej klęski, z lęku przed innymi i nieufności wobec własnych oczekiwań i pragnień.

– Nie wolno nikogo o nic prosić, nawet jeśli jest to tylko woda albo chleb – przykazywała, zanim wsiedli do autobusu.

– Lepsza już śmierć z pragnienia i głodu.

Oczy Łukasza robiły się okrągłe i ciemniały z gniewu, wiedział, że świat gdzieś w innych miejscach polega na zabawie i drwi sobie z surowych zasad, które chciała im wpoić. Bez słowa, z oschłością bardziej

pasującą do starej panny, uśmierzała ten dziecięcy bunt, wystarczyło, że kładła w milczeniu dłoń na jego ramieniu. Pogardzała sobą za to, że nie jest z tym tłumem rozbawionych i pijanych wczasowiczów, jednocześnie myśl, że mogłaby wśród nich być, budziła w niej nieprzytomny strach. Jej samej bardzo rzadko chciało się śpiewać i śmiać, teraz wszystko w niej zamarło, była przerażona swoją determinacją, jechała, bo tam było coś, co miało zmienić jej życie na zawsze.

W trójkę cisnęli się na podwójnym, obszytym sztuczną skórą fotelu, mniejsze torby podróżowały na półce nad głowami, walizka, z braku miejsca w bagażniku, stała w przejściu. Siedzieli sztywno, dzieci bez uśmiechu patrzyły w okno, zjedli po jednej kanapce, którą przygotowała rano przed wyjazdem, popili osłodzoną herbatą z zakręcanej butelki, na której zachowała się jeszcze etykieta po wódce. Też jadła bułkę i piła ciepłą, nagrzaną wodę, chociaż nie miała na to ochoty, brzydziła ją taka poufałość, robiło jej się niedobrze i zbierało na wymioty, kiedy patrzyła na umazaną masłem szyjkę butelki i dostrzegała okruchy chleba pływające wewnątrz. Ale uważała, że tak powinna się zachować i jej chęci nie mają tu nic do rzeczy.

Zakładowy ośrodek postawiono na wydmie, dzięki temu górował nad otoczeniem. Wyglądał okazale, przypominał nowoczesny hotel dla gwiazd z Lazurowego Wybrzeża, podobne widziała w zagranicznych filmach. Dostali ładny pokój po południowej stronie, z dwoma łózkami, kolorowym telewizorem

i balkonem. Krew uderzała jej do głowy, kiedy podchodziła do okna. Czuła bliskość morza, wypełniało szumem całą otaczającą przestrzeń, każdy oddech miał dziwnie słony smak. Patrzyła na zalesione wydmy, gdzieś na granicy zieleni dostrzegła rybacką wioskę, czerwone dachy domków, białą wieżę małego kościoła. Widok z balkonu przypominał obrazek wykonany pastelowymi farbami. Myśl, że opatrność oszczędziła jej widoku morza uwięzionego w okiennych ramach, zamkniętego pomiędzy liniami wytyczonymi przez drewnianą, pomalowaną na białą futrynę, sprawiła jej ulgę.

– To nie może być jak kupiony na odpuszcie landszaft, inaczej jaki sens miało moje czekanie – pomyślała.

Wieczorem zdecydowała się na spacer. Zaraz po kolacji położyła dzieci do łóżka. Było jeszcze widno, ale na wszelki wypadek zapaliła w łazience światło. Zakazała im krzyków i głośnych rozmów, wychodzenia na balkon czy biegania po korytarzu. Była pewna, że zachowają się z umiarem, stosownie do jej poleceń.

Długo w noc błąkała się po wydmach. Piasek wydał się jej miałki i brudny, wszędzie walały się papiery i butelki. Pierwsze wrażenie było nijakie, czuła się upokorzona, rozczarowana. Bała się w takim stanie oglądać morze, siadła na piasku, oparła się o pień drzewa plecami, patrzyła w szarzące niebo, liczyła gwiazdy. Jej ciało powoli wytracało niepokój, jak instrument dostrajało się do muzyki morza.

Nie zdecydowała się na spacer plażą. Wróciła do pokoju. W mroku dostrzegła szeroko otwarte oczy



córki. Patrzyła na nią badawczo, wzrokiem pozbawionym emocji, tak jakby oglądała przewróconego na grzbiet chrząszcza albo oślepionego światłem kreta. Takim wzrokiem ona sama patrzyła na świat.

– Wiem, że nas nigdy nie kochałaś – powiedziała cicho Małgosia.

– Nigdy nie mów do mnie w ten sposób – przestraszona tym odkryciem dziecka, gwałtownie przerwała rozmowę.

Nie wracała do tych słów następnego dnia. Rano, po śniadaniu nie poszła pływać w morzu razem z resztą wczasowiczów. Została sama na plaży, grzebała dłońmi w brudnym piasku, wybierając kapsle od piwa i niedopałki papierosów, z trudem doczekała obiadu. Po południu wszyscy jechali na wycieczkę, usadziła dzieci w autokarze i poleciła opiece małżeństwa zajmującego sąsiedni pokój, sama wykręciła się od wyjazdu zmęczeniem i bólem głowy. Kiedy ucichły głosy wczasowiczów, założyła kostium i po kryjomu wymknęła się z ośrodka. Z wahaniem, jakby decydowała się na rzecz nieprzyzwoitą, ruszyła w kierunku morza. Widziała daleko od brzegu ludzi, wyglądało na to, że woda jest tam płytka, ledwie sięga piersi.

Zaskoczyło ją pierwsze zetknięcie ciała z morzem. Fala była chłodna, musnęła łagodnie stopę po to, żeby z zakłopotaniem cofnąć się i odzyskawszy śmiałość, wrócić znów... i po chwili znów... Nie spodziewała się, że piasek pod nogami się poruszy i zacznie umykać na wszystkie strony, że wciśnie się między palce,

że pieszczotliwie połaskotana skóra stopy zareaguje skurczem mięśni. Zanurzała się w wodę coraz bardziej, idąc w kierunku miejsca, w którym tak niedawno widziała kąpiących się ludzi. Podskakiwała na falach lekko i radośnie, miała wrażenie, że morze obejmuje jej biodra i unosi delikatnie całe ciało do góry. Woda wdzierała się pod kostium, łagodnie omywała jej piersi, czuła, jak pod wpływem tej pieszczoty stwardniały jej sutki. Zawirowały w spowolnionym tańcu galaretowate i bezwolne, podświetlone słońcem meduzy. Miała wrażenie, że wtapia się w ten falujący bezmiar, że jest organiczną jego częścią, powracającą na swoje miejsce u źródła życia, małą drobiną wody skazaną na niepamięć w nieskończonej kosmicznej pustce. Jej oddechem, rytmem uderzeń serca zawładnęło morze, zatraciła poczucie odrębności swojego ciała. Unosiła jedynie do góry brodę i wysuwała koniuszek języka, kiedy fala, uderzając o jej ramiona, strząsała krople morskiej wody na jej wargi.

Kiedy odwróciła głowę do tyłu, nie zobaczyła brzegu. Za jej plecami podnosiło się, zasłaniając niebieskie niebo, i opadało rozbłyskujące odbitym światłem morze. Stała na palcach, ręce położyła na wodzie, przymknęła oczy i kołysała się razem z nim. Była wolna i spokojna, czuła ciepłe promienie słońca na twarzy.

Nie miało znaczenia, skąd przychodzi i dokąd zmierza.

Nie miał znaczenia upływający czas.

Nic nie miało już znaczenia.



– Co pani robi? – usłyszała chłopięcy głos.  
– Proszę pani, co pani robi? – w głosie słychać było zaskoczenie.

Otworzyła oczy. Młody, może osiemnastoletni chłopiec przyglądał się jej z bliska. Miał opaloną twarz, okrągłe ze zdumienia oczy jej syna i szerokie zmysłowe wargi.

– Stworzone do całowania – pomyślała zupełnie bezwiednie.

Patrzył prosto w jej oczy i widziała, jak narasta w nich podniecenie. Nadmuchiwany materac, na którym leżał, pchnięty przez falę, uderzył ją w czoło. Straciła równowagę, zakrztusiła się wodą, próbowała wykonać jakiś ruch, ale nie czuła swojego ciała. Zsunęła się do wody, zobaczyła przed oczami tasiemkę, którą miał przywiązany materac do nadgarstka dłoni. Jedną ręką podtrzymał ją w talii, drugą zaczął masować jej skórę. Zginał jej ręce, próbował zmusić do poruszeń nogi, unosząc delikatnie za uda. W pewnym momencie dotknął jej piersi, zsuwając przez nieuwagę kostium.

– Przepraszam – powiedział, cofając rękę.

Patrzyła, jak się czerwieni, z jaką energią pulsują żyły na jego dziecięcej szyi i sprawiało jej to dziwną przyjemność.

– Jesteś piękna – wyszeptał z nagłą determinacją, całując ją po szyi i przytulając się do niej.

Zamknęła oczy, a on obejmował ją coraz śmieiej, jakby wstyd i zażenowanie rozplynęło się w wodzie. Oddawała mu te dziecięce pocałunki, te nieśmiałe

dotknięcia, aż w jej ciele wybuchło ciepło i wypełniło ją po brzegi.

Nie miała siły, kiedy wyciągnął materac na piasek i przytrzymując jej rękę na swoich barkach, uniósł ją do góry. Nawet nie wiedziała, gdzie są jej rzeczy i jak dojść do domu wczasowego. Zataczała się bezwładnie jak pijana, zatrzymywała na odpoczynek przy każdej ławce. Wtedy ukradkiem ją całował, jego delikatna dziecięca dłoń wędrowała po jej ciele.

– Jesteś taka piękna, czy to możliwe, czy to zdarzyło się naprawdę? – szukał w jej oczach potwierdzenia.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, odwracała wzrok, czuła zażenowanie, wszystko w niej już wygasło.

– Proszę pani, proszę pani, czy coś się stało?

– Tak, ale to tylko sen – wyszeptła, kiedy wreszcie dotarli pod furtkę ośrodka.

Leżała na wznak na łóżku i patrzyła w sufit. Wciąż czuła wokół siebie zapach tego chłopca. Miała go na swojej skórze, na wargach, kiedy oblizywała usta, pachniały nim jej dłonie.

– Jestem niezrównoważona psychicznie, to przecież dziecko – tłukło się jej po głowie.

Słyszała warkot silnika autobusu, kiedy wróciła wycieczka, ostrożne kroki Gosi na schodach, szorstkie nawoływania Łukasza. Udawała, że śpi. Bała się, że wszystko będzie widać, jeśli otworzy oczy.

– Mamusiu, przepraszam... przepraszam za wczoraj – powiedziała cichutko jej córka, kładąc się do łóżka.

Tej nocy pierwszy raz usłyszała ten dźwięk, który od tej pory towarzyszył jej każdej nocy, doprowadzając ją do granic umysłowej choroby, obłądu.

– To przechodzi w pobliżu śmierć – pomyślała wtedy po raz pierwszy.

## Senna opowieść

Ten sen, żeby wszystko miało ręce i nogi, musiał się od czegoś zacząć. W snach tak jak w życiu, są dobre początki i złe. Są też takie nijakie, bez znaczenia i dopiero koniec nabiera dramatycznej wymowy. Pamiętałem ostatni ze snów – kończył się na przygotowaniach do wywołania rewolucji, dlatego ten sen, z całym poszanowaniem dla zasad logiki, mógł się zacząć od zwycięskiego pochodu krasnali. Szli w ciszey, jak trójka ogrodowych gnomów, przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy snu. Ciągnęli wózek. W grubych gumowych fartuchach, takich samych jak te, które noszą rzeźnicy, tyle tylko że lśniących i zielonych, czarnych połyskliwych gumowcach pod kolana, wyglądali nierzeczywiście i groźnie. Mieli pozbawione uczuć twarze, na których poczucie odpowiedzialności wycisnęło swoje piętno. Widać było na oko, że trudno jest ich rozśmieszyć. Wózek kolebał się na boki, uginał pod ciężarem. Po raz pierwszy miałem okazję oglądać coś na tyle niedorzecznego. To coś przypominało mobilną konstrukcję ze sztuki Kantora. I chyba wymagało szczegółowego opisan.

Kółka i zawieszenie ma od dzieciennego wózeczka. Stąd to kołysanie. Na takie podwozie włożona jest dębowa wanna, zrobiona z klepek i spięta pasem żelaznej bednarki. Wprawdzie deszczułki są na oko zdrowe, ale wzmocnienie przerdzewiałe, ma się wrażenie, że zaraz ta obręcz trzaśnie. I całe to gówno ze środka popłynie po korytarzu. Z daleka cuchnie to wszystko jakimś średniowieczem. Jakimś perpetuum mobile do rozdzielania czasu na okresy i warstwy. Wanna wypełniona jest brunatnoczarnym parującym z gorąca błotem. Kwaśno to pachnie, kiedy na powierzchnię wydobywa się taki bąbel powietrza, rośnie, wreszcie parska mdłym, zatęchłym obłokiem smrodu.

– Zaraz tego posmakujesz – odzywa się najniższy, ten z papierem w ręce.

– Daj mu portki, Kulawy – mówi, a wtedy stojący najbliżej wózka, łopata do piachu, nabiera cuchnącą maź i rzuca z rozmachem na moją leżankę.

– Tak trzeba, żeby się dostać do nieba – beznamiętnie powtarza, kiedy dorzuca następne porcje tego parującego szlamu.

– Kładź się – teraz zabiera głos ten najwyższy, to dziwne, nikogo niby nie znam, a wiem przecież, że nazywają go Ukraińcem.

– Już.

Nie mam specjalnie innego wyjścia. Wiem, że ucieczka nie ma sensu, jest ich trzech i zaraz mnie złapią. Mam wrażenie, że kiedyś, w innym śnie, próbowałem i skończyło się to dla mnie kiepsko. Więc dla-czego teraz miałbym zaczynać wszystko od początku.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – mówi krótko ten najważniejszy, z papierami w rękach. Wiem – jest ich szefem i na wszystko ma gospodarskie oko. Wołają na niego Budionny, może dlatego, że nosi taką polową furazerkę. Jest łysy i ma wystającą szczękę.

– To gówny tylko tak paskudnie wygląda, w gruncie rzeczy to nie jest aż tak złe – mówi bez przekonania. – Nie możemy niczego zmieniać tylko z twojego powodu. Są pewne procedury. Obowiązywały kiedyś, obowiązują teraz, a i w przyszłości pewnie nic się specjalnie nie zmieni. Kładź się – mówi lekko zniecierpliwiony.

Leżanka jest drewniana, ma takie niewielkie wzniesienie na głowę, przykrywa ją gumowa, gruba biała płachta, usrana tym brunatnym śmierdzącym błotem.

– Zaraz się dowiemy, co jesteś wart – szyderczo śmieje się Kulawy. Ma krótką brodę i to dodaje mu powagi, szlachetnego dostojenstwa, ale nawet nie próbuje ukrywać swojej karlej złośliwości. W tym śnie jest do mnie podobny, z tego powodu tak na wyrost darzę go sympatią. Ale tylko w ograniczonym zakresie.

On, widząc moje niezdecydowanie, ręką w zielonej gumowej rękawicy popycha mnie do łóżka.

– Kładź się – mówi zmęczonym, pobawionym emocji głosem Budionny.

Kładę się i chociaż parzy mnie to gówno w pośladki, uśmiecham się słodko.

– Ręce przy sobie, nogi złączone. – Kulawy z rozmachem rzuca jeszcze ze dwie łopaty borowiny na mnie i jak na komendę wszyscy pochylają się nad

leżanką. Raz, dwa, trzy i leżę zawinięty z rękami jak dziecko w tę gumową pieluchę.

– Przypnijcie go pasem, żeby nie rozrabiał – rozkazuje ze smutkiem w oczach Budionny. Na razie czuję błogie ciepło. Resztą będę się martwił później.

Odchodząc, Kulawy zaciągnął niebieskie foliowe zasłony i zamknął mnie w tej rażnej niebiańskiej poświacie. Mogę jedynie słuchem penetrować otoczenie za zasłoną, domyślać się znaczenia tego, co dociera do mnie z oddali. Czuję, jak na czole rosną mi perłki potu. Próbuję potrząsnąć głową, strącić je, ale nie bardzo mogę się poruszyć. Napinam skórę czoła, marszczę brwi, ruszam uszami. Tyle tylko zdołałem osiągnąć, że część z nich, zamieniona w gorące strumyczki, z dziwnym łaskotaniem spływa po mojej głowie. Ale inne, którym dzięki mojej aktywności udało się trafić pod powieki, wypełniają mi oczy słonym roztworem. Szczypie i nic nie mogę na to poradzić. Mam związane ręce. Mogę jedynie zamknąć oczy.

Z tego szumu przemieszanych dźwięków zaczynam wyławiać plusk wody, strzępy kobiecych głosów, zniekształcone, jakby odbite od ścian basenu. Słyszę też pulsujący rytm wentylatorów i zawodzenie kompresora, pisk zużytych łożysk i szmer transmisyjnych pasów. Fabryka?

Znów słyhać skrzypienie, jedzie wózek krasnali. Podeszwy gumowców kleją się do brudnego betonu. Odgłosy zbliżają się, mam wrażenie, że za chwilę poruszy się zasłona, nawet rozpoznaję głosy obsługi, ale ku mojemu zaskoczeniu kroki zaczynają się oddalać,

wózek odjeżdża. Czuję się zawiedziony. Czyżbym w czymś zawinił? Może jeszcze nie przyszła na mnie kolej. Otwieram oczy. Dalej jest jasno i niebiesko, nawet płytki na ścianie mają niebieski odcień. Liczę je dla zabicia czasu, po mojej lewej ręce jest ich od góry do dołu dziewięć, a wszystkich rzędów dwanaście. To daje prostokąt ze stu ośmiu płytek. Dostrzegam ramię dzwonka, od którego biegnie ku mnie skręcona żyłka, zakończona plastikową rączką. Gdyby była nieco dłuższa, mógłbym uchwycić koniec zębami i pociągnąć. Na pograniczu zasięgu wzroku widzę tabliczkę z instrukcją BHP. Dotyczy obsługi kranu. „Podczas mycia należy w pierwszej kolejności odkręcić kurek z zimną wodą, a dopiero wtedy odkręcić kurek z wodą gorącą. Po zakończeniu mycia postępować, zachowując odwrotną kolejność”. W górze, nad korytarzem, którym porusza się wózek, dostrzegam zawieszony wsypy, którymi do środka dostaje się światło... raczej wsypuje, bo ma postać drobnoziarnistego piasku.

Nie potrafię zmierzyć czasu, chyba zasypiam we śnie. Nie wiem, czy już się zbudziłem czy jeszcze śnię, kiedy dochodzą mnie ciche kroki, odgłosy kuśtykania, ocierania się podeszwy buta o beton. Z przerażeniem stwierdzam, że jest ciemno, nie wiem, gdzie jestem, a na domiar złego trzęsie mnie zimno. Mało brakowało, a dałbym się w tym śnie zaskoczyć. Nawet gdy to wszystko cichnie, mam wrażenie, że skrada się co najmniej kilka osób, chwilami słyszę szelest ocierającego się o ścianę materiału, jest taki twardy, jak w roboczych ubraniach uszytych z drelichu.

– To tu – słyszę szept Ukraińca.

– Nie pieprz głupot, bo nie urośniesz – poznaję głos Kulawego.

Zasłonka powoli odsuwa się i oślepia mnie światło małej latareczki.

– Zesrał się ze strachu – z satysfakcją stwierdza Kulawy.

Chciałem coś powiedzieć, zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu, ale nie zdążyłem.

– Bierzcie się do roboty – warknął zdenerwowany nie wiadomo czym Budionny. To on operował światłem i najwyraźniej kierował całą akcją.

– Na trzy.

Pochylili się, Ukraińiec rozpiął pas i podrzucili mnie zawiniętego jak w pieluchę w to grube, białe gumowe prześcieradło. Na ramiona, pierwszy u moich stóp Budionny z latareczką, którą rozświetlał korytarz, Kulawy w środku i na samym końcu u mojej głowy Ukraińiec.

– Co się dzieje do cholery – chciałem wrzasnąć, ale poczułem twardą rękę ściskającą mi usta.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze – zaszeptał do ucha cicho i jakby przyjaźnie Ukraińiec.

Powoli ruszyli, na jedną nogę jak dobrze zgrany zespół. Co za niezrozumiały sen. Nikłe świateleczko latarki wydobywało z mroku jakieś nadrealne, niezręczyste w tym oświetleniu przedmioty. Wywoływało wrażenie, że towarzyszy nam pochod cieni, nie wiadomo tylko, kto był bardziej realny, te duchy wywołane z ciemności światłem czy my. Cholera, pomyslałem, robią sobie jaja. Tylko kto za to wszystko

płaci. Przecież jest taki obraz, ktoś go już namalował. Pochód duchów. Nocna straż?

Wiem. To inscenizacja do obrazu Rozena.

– Robicie sobie głupie żarty, ale to się nie trzyma kupy! – wrzasnąłem.

– Ludzi pobudzisz, oni jutro wstają bardzo rano do pracy. Za dużo myślisz o sobie, a przecież nie ty jeden chcesz jeść, pić, kochać – szepnął z wyrzutem Ukrainiec.

– Cisza tam – warknął Kulawy.

W lustrze zawieszonym na korytarzu zobaczyłem drzwi, na nich tabliczkę z napisem. Odwrócone litery. „WYPOCZYWALNIA”. Powoli prawą nogą Budionny uchylił drzwi i weszliśmy do pomieszczenia. Rzędy drewnianych kozetek, nakrytych prześcieradłami, w nogach równo złożone w kostkę koce. Wszystkie puste. Zatrzymaliśmy się. Nasłuchiwali, zanim znów ruszyliśmy.

– Dobra, chcę się już obudzić – podniosłem głos.

– Przecież nie śpisz – odpowiedział Budionny z wyrzutem

W ciemności poruszył się ktoś, kogo nie mogłem zobaczyć, nawet nie mogłem słyszeć, osłonięty czymś tłumiącym dźwięk, może kocem. Doszedł mnie jedynie szelest przeliczanych banknotów. Krtań miałem ściśniętą ze strachu.

– Zostawcie mnie – poprosiłem.

– Zostawimy cię – odpowiedzieli zgodnie – możesz być pewny, że cię zostawimy, kiedy tylko skończy się nasz sen. Nasza straż.

## Lublin. Podróż na wschód

Znów rzeczywistość przybierała kolory zmyśleń.

Autobus międzynarodowych ukraińskich linii autobusowych podstawiono o 9.03, to jest prawie 20 minut przed planowanym odjazdem. Był czerwony i wyróżniał się na tle zaparkowanych na placu manewrowym autobusów. Różnice były nieuchwytnie dla oka, może był bardziej obły, w innym odcieniu czerwieni, może różniły go kształty szyb. Dość rzec, że jego inność wzbudzała nieuzasadniony niepokój. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem przypominającym odgłos otwieranej bramy. Wstąpili w inny świat.

– *Zachaditie* – kierowca wykonał zapraszający ruch ręką. Miał dobroduszną okrągłą twarz, czarne gruzińskie oczy i wąsiska jak kot, od ucha do ucha. Kiedy się uśmiechał, mrużył oczy. Przyjemnie zapachniało chlebem i tłustym boczkem. Siedli w połowie po prawej stronie, patrząc od fotela kierowcy. Miejsca z przodu były zajęte, chociaż nikt jeszcze na nich nie siedział. Pasażerowie zajmujący te miejsca pojawili się na kilka minut przed odjazdem. W supermarkecie po przeciwnej stronie ulicy robili ostatnie zakupy. Wracali, dźwigając kartony bananów, worki z proszkiem do prania, mydło w płynie w pięciolitrowych plastikach. Czy tam brakuje mydła? Można by tym proszkiem oprać małe miasteczko.

Kolejne partie towaru znikają pomiędzy fotelami, a oni donosili jeszcze i jeszcze. Kierowcę radowała



ta zaradność, patrzył na nią z życzliwością, w głowie przeliczał sobie znanym sposobem kursy walut i prowizje od przyszłych zysków.

– Powinni podjechać na parking przed supermarketem, tak by było prościej, ale widocznie nikt jeszcze na to nie wpadł – pomyślał, ale nic nie było z takiego myślenia. Pewnie podobne chęci chodziły im po głowie.

Kiedy ostatni pasażer, kobieta, blondynka o umalowanych na intensywny czerwony kolor ustach, zajął swoje miejsce, autobus ostrożnie ruszył ze stanowiska.

Odjeżdżał z opóźnieniem, które w tym momencie wynosiło 8 minut. Chyba kiepskie mają skrzynie biegów w autobusach. Za każdym razem, kiedy kierowca zmieniał biegi, autobusem wstrząsały konwulsje. Kluczyli uliczkami, byli coraz dalej od centrum i jeśli wziąć pod uwagę położenie słońca, zmierzali w dobrym kierunku. Przypominało to nawigację stosowaną przez marynarzy, ale żaglowiec to nie autobus. Im konieczna była wyasfaltowana droga pod kołami. Chodziło o to, żeby dotrzeć do mostu na Wiśle z ominięciem dróg krajowych pierwszej i drugiej kolejności utrzymania. Taka była strategia kierowcy, świadomego problemów technicznych, z jakimi borykał się jego międzynarodowy autobus.

Mijali maleńkie wsie, skąd autobusy odchodzą rzadko, może tylko raz w dzień. Dziś to był ten jeden oczekiwany kurs. Pasażerów zaprzętały inne sprawy. W miejsce ekonomii weszła biologia, przed próbą generalną na granicy należało zregenerować siły. Nad przejściem pojawił się długi, sięgający trzeciego rzędu

foteli, stół. Była to bardzo stabilna, przemyślana konstrukcja. Widać, że przydawała się w podróży. Zaczepiona o oparcia, wyklejona dywanową wykładziną, zabezpieczającą przed zsuwaniem się szklanek i talerzyków, nie przypominała znanego z bajek, niezwykłego stolika. Stolik autobusowy też sam się nakrywał. Może ta funkcja była już dostępna nie tylko w grach komputerowych. Nie minęła chwila i na stoliku pojawiły się szklanki, na jednorazowym talerzyku plastry boczków, na takim samym talerzyku kawałki zwyczajnej kiełbasy, kwaszone ogórki, ktoś pomyślał nawet o spodeczku z marynowanymi grzybkami. Wystrój stołu uzupełniały pomarańcze rzucone w nieładzie, kiść bananów, rumiane jabłka.

Dziewczyny wychowane na białej mące i takich właśnie rumianych jabłkach są piękne szczególnie. Wiedział to, przypominał sobie o tym, kiedy patrzył na Groszki.

Zręcznie na samym środku zakręciła się jak fryga butelka z wódką. Pierwszy dla kierowcy, na dobrą drogę – podniosły się głosy. Kierowca znał ten zwyczaj, tylko pokiwał głową z aprobatą. W jego ręce kiełiszek wyglądał jak naporstek. Wódkę zręcznie zagryzł boczkiem.

– *Diakuje wsiem* – podziękował, nie odwracając się od kierownicy.

Pozostali pili ze szklanek. Mniej wprawieni przegryzali kiełbasą, reszta tylko zaciągała się zapachem przylepki, kromki chleba, która wędrowała z rąk do rąk i na koniec wracała na stół.



– Polaki nie piją – zasapała gruba kobieta z drugiego fotela. To było o nich.

– Piją pany, ale nie z taboj – wszedł jej w słowa kierowca i roześmiał się radośnie.

Zbliżyli się do Wisły, jakiś czas autobus jechał drogą wzdłuż brzegu. Woda w rzece podniosła się. To była wina tych przewlekłych opadów, nękających świat od poniedziałku po piątek, przez wszystkie po kolei dni zeszłego tygodnia. Lśniła w słońcu zimnym ołowianym światłem. Pomyślał o nieszczęśliwych topielcach. Dreszcze mu przeszły po plecach. Wyspy, tak oblegane latem, znikły pod wodą. Ciemny, gniewny nurt niósł gałęzie, belki, pnie drzew. Zaraz musieli przejechać mostem na drugą stronę.

A tam znów boczne drogi. Szkoda, że w rajy nie ma bocznych, kuchennych drzwi. Wątpliwe, czy jest kuchnia. I czy nikt nie cierpi głodu miłości.

## 2.

Zmyślenia. W kinie w Lublinie i na dworcu autobusowym. Kino przynajmniej ujmuje coś w określone ramy czasu i miejsca. Dworzec pełen autobusów i ludzi nie musiał się uginać pod presją takich ograniczeń. Czas nie tak odległy od kochania. W Lublinie było pół godziny postoju na zmyślenia. Wybrał się na spacer po straganach z książkami. To co wszędzie, nic. I gdyby spojrzeć z drugiej strony, to prawie wszystko, co warto przeczytać albo nie przeczytać. Równe szeregi książek, podzielonych według ceny i formatu. Zostały na ten

podział skazane w momencie, kiedy zapadła decyzja o druku. Decyzje powołujące nas ludzi do życia nie były tak przekalkulowane i świadome. Dużo większy był margines błędu. Czasami był to wyłącznie błąd i nic więcej. A twarde serca... Chociaż twarda okładka jest praktyczna. Jakiś kędzierzawy Rumun, może Cygan, taki pokątny, jarmarczny bukinista, dostrzegając jego skłonności i za niepodważalny uznając fakt, że umie czytać, kusił go i kłuił jego oczy „RAJ-em dla robotników i chłopów”. „Raj” – bo tak było zatytułowane to wydawnictwo – opowiadał o przymiotach gospodarki kolektywnej i wyższości socjalistycznych form gospodarowania. Typowo propagandowa radziecka broszura dla obywateli zaprzyjaźnionego narodu, dobrze, że przynajmniej kobiety zostały wyłączone z tej kołchozowej wspólnoty. Kiedyś już zetknął się z czymś podobnym. Nawet okładki były bliźniaczo podobne, przedstawiały ogród pełen wybujałych kwiatów i warzyw, miały chyba sugerować nadmiar dóbr i kolorów. Książeczka nosiła identyczny tytuł, była napisana w tym samym polskim języku i podobnym stylu, ale miała zupełnie inną wymowę. Wydano ją w Londynie. Opowiadała o tym samym RAJ-u i też był on dla robotników i chłopów. Chociaż inaczej. Tak jakby RAJ nie był tylko rajem.

Od strony szczegółów technicznych wyglądało to tak, że kiedy odwracał się w jego kierunku, tamten zza poły czarnej, kiedyś eleganckiej marynarki, wyciągał postrzępioną broszurę z wyobrażeniem tego propagandowego nieba na okładce. Był przy tym cholernie niewiarygodny. Na odległość zalatywał smrodem

niemytego ciała i siarką. Jeśli się jakoś kojarzył, to z piekłem. Resztki dawno utraconej świetności czuć było w jego wyglądzie i zachowaniu.

Kiedyś nie kwestionowano istnienia piekła i wtedy sprawy piekielne miały się dużo lepiej – pomyślał z rozbawieniem.

– Można powiedzieć, że żyło się w piekle z rozmachem.

Nie wiedział, czy to był okres szczególnej prosperity, ale szanse, jakie się wówczas pojawiły, zostały nieodwracalnie utracone. Może ortodoksi, związkowi działacze, karierowicze, takich przecież nie brakowało nigdy i nigdzie, uznali, że strach przed piekłem będzie zawsze napędzał klientów. Odrzucili konieczność reform. Może zdecydowali się na pozorne zmiany, odkurzyli stołki i stanowiska i na tym skończyli. Konsekwencje takiego lekceważenia spraw były teraz dopiero widoczne.

Wił się ten niby-Rumun albo Cygan jak w ukropie, zachodził to z jednej, to z drugiej strony. Marszczył twarz w uśmiechu, przewracał oczyma. A kiedy rozpiął marynarkę, zobaczył po obu stronach książki. Kawałki przyszytej do podszewki czarnej gumy z damskich majtek utrzymywały je w określonym porządku. Alfabetycznie. Wszystkie miały coś z rajem albo niebem w tytule.

– Jesteś z piekła, czy tylko kradniesz książki z biblioteki? – spytał, rozbawiony do łez zachowaniem sprzedawcy.

– Pan, daj jeść, daj jeść, mam głodny brzusek – odezwał się z rumuńskim akcentem.

Ale w oczach błyskały mu iskierki uśmiechu.

Spojrzał po budach okalających plac manewrowy dworca PKS. Jeden z barów nazywał się „Małe dworcowe piekło”. Przyszła mu na myśl przelotnie Magdalena. Pracowała ostatnio w Londynie w charakterze latającego reportera magazynu „LUCK”. Chyba to skojarzenie nie wyszło jej na zdrowie. W dalszym ciągu nie wiedział, co kryje się za tym szyldem. Jakaś agencja ubezpieczeniowa albo towarzyska, może jednak najprawdziwsza knajpa. Na progu inny kurdupel, wsparty o futrynę, uśmiechał się zapraszająco. Wyglądał jak pobratymiec tego tu natrętnego miłośnika książek. Stanowczo zbyt duży margines pozostał niedopowiedziany.

– Czego naprawdę chcesz? – zapytał handlarza.

– Co może chcieć poeta, który zapomniał już, jak smakuje sława – odpowiedział z wyrzutem.

– Jakiś mały, dobry uczynek, jeśli łaska. Moje konto w niebieskim banku jest puste. Nie mam za co żyć i nie starcza mi na książki. Niech cię diabli, pieprz się, dupku! – wrzasnął zupełnie nie swoim głosem.

– Przebierają miarę zmyśleń, a to zwykle jest niebezpieczne.

Wypowiadając te słowa, czuł wypychający do nieprzyzwoitości i obciążający pamięć RAJ. Gdyby potrzeba było pomocy, to tak na wszelki wypadek. Dla robotników i dla chłopów. RAJ.

### 3.

Wracał niespiesznie do autobusu, miał wciąż wrażenie, że ta nienormalność jest obecna gdzieś w pobliżu

i wciąż mu towarzyszy. Nawet smród gnijących resztek z pobliskiego targowiska był nie do końca znajomy. Tak jakoś inaczej wszystko pachniało, bardzo słodko i chemicznie. Gdzie w takim razie ukrywały się prawdziwe uczucia i zapachy? To, co go spotkało, było samo w sobie dostatecznie dziwne, nie miał zamiaru brnąć dalej w jakieś niestworzone historie. Groszek wciąż fascynował się możliwością rozmowy na odległość, jaką dawał ten wynalazek, tak niezbędny dzisiejszemu człowiekowi, nazywany telefonem. Telefon zmienił świat, spłynął na wzór płaskiego naczynia, w którym można było podglądać dno. Teraz niewiele zostawało wyobraźni, można było wszystko natychmiast potwierdzić i sprawdzić. Odległości przestały być sposobem na ucieczki grzeszników i poszukiwanych za nadużycie władzy, zaufania i rozumu. Miał jeszcze chwilę. Odszukał budki z mięsem. I tak jak wcześniej proszku, tak i mięsa było teraz mało, żeby zaspokoić głód. Wilczy apetyt miał ten czterokołowy potwór. Mięso zniknęło we wnętrzu, autobus przyjmował kolejne porcje porcjowanego zwierzęcego białka, kolejne fale wypchanych foliowych reklamówek kryły się pod fotelami, w schowkach na bagaż. Zapowiadało się opóźnienie. Z tego wszystkiego kupił gazetę. Drukowane słowa jak czarne ziarna maku, trująca piana, unosiły się na powierzchni. Wciąż pisano o złodziejach i dupach, reklamowano pastę do zębów i podpaski, niczego więcej w tej gazetowej rzeczywistości nie dało się zmieścić.

Kiedy autobus ruszył, przytulił się do szyby, zamierzał się przespać. Wolną ręką objął Groszki, wsuwając dłoń za jej odstający na plecach podkoszulek i zamknął oczy. Czuł ciepło. Spał, a autobus jechał, zmieniały się za oknem krajobrazy i pory dnia, podejrzewał nawet, że pory roku. Naturalną koleją rzeczy po zimie przychodziła wiosna, w to miejsce zaciągało się lato i kiedy jesień zaczynała splatać warkocze deszczu, to znaczyło, że zima tuż, po jej piętach depce przymrozek. Przyroda pewnie by zdążyła zatoczyć pełne koło, kiedy spał, i wrócić na swoje miejsce, jakby nic się nie zdarzyło. Uśmiechnięty, wąsaty, mrużący ślepia jak kot kierowca, umalowana blondynka, gruba pasażerka z drugiego rzędu, reszta, znów te asocjacje oraz on i Groszek. Gdyby przyjąć założenie, że czas przesunął się o kolejny rok do przodu, dalej. Groszek wsparty na jego ramieniu uśmiechał się łagodnie przez sen. Wszyscy patrzyli w ich stronę.

– Co się stało? – spytał niezbyt roztropnie i mądrze.

Nad nami pochylał się celnik w polowej furazerce.

Wyglądał jak Budionny.

– Granica – powiedział.

– Proszę paszporty.

– Proszę państwa – zwrócił się ku pozostałym.

– Zabieramy swoje rzeczy, wychodzimy na zewnątrz. I raz, i dwa, i trzy...

Nic dziwnego. Nic dziwnego dla kogoś, kto przemierza na co dzień podniebne szlaki, przekracza nie tylko te fizyczne granice i czyni z tego powszedni chleb. Poprzez oszklone drzwi dali się poprowadzić ku przeznaczeniu.

Znaleźli się w pasie ziemi niczyjej. Ani jednej, ani drugiej strony. Przyszło im poczekać na narzuconą planem podróży godzinę odjazdu.

– W najgorszym wypadku mieli czym pracć, co jeść i mydło, żeby się myć. Żeby tylko mięso się nie psuło – niepotrzebnie zaczynał się troszczyć o szczegóły.

Co oni robią z tymi dziećmi, które urodzą się w tym niczym miejscu? Co się wówczas wpisuje w rubryce na urodzenie? – myślał.

– Ktoś przewidział pewnie taką ewentualność i zna sposób postępowania w takiej sytuacji. Nie było potrzeby wyprzedzania zdarzeń.

Punkt zero, czyli słupek na środku pasa ziemi niczyjej, minęli o zmroku. Zacierały się już kontury rzeczy, słońce skryło się za linią horyzontu na zachodzie, tam wciąż żywili się dobrobytem i obywali bez socjalizmu, a teraz jeszcze mieli jasność i światło. Nie mógł tego wiedzieć, nie mógł nawet tego widzieć, nie tylko z tego powodu, że było ciemno. Mógł jedynie przypuszczać i taki stan wiedzy przyjęło się określać terminem „uzasadnionego podejrzenia”. W uzasadniony sposób podejrzewał, że świeci.

Zanurzali się w morzu gęstniejącego mroku. Mieli jeszcze do przejścia granicę ukraińską i tam zatrzymał się autobus. Przejście oświetlało łagodne i ciepłe światło lamp sodowych. Panował spokój. Celnicy pojawiali się w zasięgu wzroku od czasu do czasu, jak aktorzy na teatralnej scenie. Mieli wieczność na poznanie scenariusza. Nie mogło nic się zdarzyć, czego nie przewidywały z dawien dawna ustalone role.

Kierowca wyciągnął porcelanową świnkę. Nie miała zamknięcia i wrzucane banknoty od razu wypadały z jej wnętrza na podstawioną rękę. Kiedy w autobusie pojawił się celnik, bez słowa wręczył mu starannie ułożone pieniądze.

– Polaki są? – spytał tamten

– Są – to było o nas. Zebrał paszporty, z paszportami zabrał i kierowcę. Nie było kierowcy ani paszportów może przez dziesięć minut.

– Chce mydła – powiedział, jak już wrócił.

– A on się myje? – zażartował ktoś, chyba po wódce.

Nikt tego nie skomentował. Ten gest przekroczył granice odwagi.

We Lwowie autobus zatrzymywał się w okolicach filharmonii. Na tamtej stronie świata mówiono, używając określenia muzyczny teatr. Spośród tych rzeczy, o których jesteśmy skłonni mówić dużo i z przejęciem, na szczególną uwagę zasługują rzeczy piękne. Był piękny. Miał w sobie coś, taki rzucony donikąd czar, ale ten urok działał, docierał, zostawiał ślady w głębi duszy jak but odbity na wilgotnym piasku albo przyciśnięty do gładkiej powierzchni palec.

Fragmenty powieści *Powiedzcie swoim*  
(Kraków 2013)

„Pątnicy ‘78”

– To będzie na dobry początek. Zachęta dla czytelników.

– Ustalmy reguły. Zasada numer jeden: nie pytaj. Departament IV, zajmujący się Kościołem, Komórka „D”, czyli dezinformacja. To powinno ci wystarczyć. Nie wiem, co było przed i po, mogę opowiedzieć o tej jednej, dwieście sześćdziesiątej siódmej pieszej pielgrzymce warszawskiej. Rok 1978, dwa lata po Czerwcu, w tle Radom. Oczywiście wszystko to możesz sprawdzić, nie we wszystko musisz wierzyć.

W słowach, które wypowiadał Mistrzo, pobrzmiwała rzeczowość i pewność siebie. Jasne było, czego chcę ja, wiedział, że chodzi o wspomnienia z czasów jego pracy w Służbie Bezpieczeństwa; martwiło mnie, że nie znam ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić, ani celu, do którego zmierza. Na pewno nie popularność była powodem, dla którego łamał swoje zasady i zdradzał tajemnice, prędzej beczynność i nuda. Jedno było pewne: że ma w tym jakiś ukryty cel i wykorzystuje

mnie, by go osiągnąć; byłem jak marionetka tańcząca przed oczami widzów, poruszana raz w lewo, raz w prawo, która nie wie, w jakiej grze uczestniczy ani komu służy.

– Akcja pod kryptonimem Pątnicy '78, w archiwum IPN powinien być dokument z lipca mniej więcej takiej treści, że w porozumieniu z Wydziałem VI Departamentu IV MSW i Komendą Wojewódzką Milicji Obywatelskiej w czasie przemarszu grup pielgrzymkowych przez teren województwa radomskiego zostaną przeprowadzone działania dezintegracyjne siłami własnymi Wydziału IV KWMO w Radomiu. Organizacyjnie zabezpieczaliśmy tylko dwa etapy pielgrzymki: drugi z Tarczyna do Mogielnicy, liczący mniej więcej trzydzieści sześć kilometrów, i trzeci, trochę krótszy, bo trzydziestokilometrowy – do Studzianny.

– Jaki był mój udział w tym pielgrzymkowym cyrku? Serio? Do moich zadań należała ocena skuteczności działań operacyjnych wśród pielgrzymów. Ograniczam zatem swoją relację do grup radomskich: złotej i fioletowej. Grupy radomskie wyruszały 6 sierpnia, liczyły łącznie około dwóch tysięcy trzystu osób – to szacunek według stanu z ostatniego etapu – w tym dwanaścioro dzieci poniżej lat trzech. Fioletowa wychodziła z kościoła pod wezwaniem św. Jana; złotą organizowali filipini, miała wyruszać z kaplicy przy ulicy Siennej. Trasa wiodła przez Zakrzów, Przytyk, Wrzeszczów, Potworów, Klwów, Odrzywół, Osę, Brudzewice. Cztery kilometry przed Studzianną, około godziny siedemnastej, przewidziane było połączenie



z „grupą główną 15” idącą z Warszawy. Rzecz miała cholernie drażliwy charakter. Zatwierdzałem rozliczenia wydatków operacyjnych z tak zwanego funduszu „O”. Nie spytasz, jakie to były wydatki? Zestaw był mniej więcej taki: trzy kostki smalcu, siedem butelek wina, trzy paczki podpasek, cztery rolki papieru śniadaniowego, powiedzmy dwie butelki oleju jadalnego, cztery paczki ligniny, dwieście paczek prezerwatyw (po trzy sztuki w paczce), to razem tworzy oryginalną całość. Dodaj do tego, powiedzmy, czterdzieści pustych butelek po tanim winie i taką samą liczbę białych plastikowych korków, dwa kilogramy petów z papierosów, litr krwi zwierzęcej, resztki jedzenia, w tym duże ilości zeschniętego chleba, kości kurczaków, odpadki z ryb, skorupki z jajek, puszki po konserwach... Zapomniałem o farbie nitro; farby mieli używać do pisania obraźliwych słów, obscenicznych haseł na płotach, ścianach budynków; podaję przykład czysto teoretyczny, powiedzmy: „wsiowe chuje”, „jebane świętoszki”... – Machnął ręką, jakby oganiał się od osy. – Wszyscy się na to nabierali!!! Bogu ducha winni dobrzy ludzie, którzy przyjmowali pielgrzymów, znajdowali w ogródkach, na polach namiotowych, wokół kościoła butelki po winie, niedopałki, puszki po konserwach, podpaski umazane krwią, prezerwatywy, resztki jedzenia. Jaki krzyk się we wsi podnosił, wyobrażasz to sobie? Komórka „W”, zajmująca się kontrolowaniem korespondencji, dostarczała nam zdjęcia listów z miejscowości, przez które szła pielgrzymka. Jakiś proboszcz groził nawet kurii, że do kardynała

Wyszyńskiego napisze! To wszystko później szło do teczki ewidencji operacyjnej „na parafię” albo teczki operacyjnej „na księdza”.

– Przechodzę do konkretów: drugi nocleg radomskich grup pielgrzymkowych wypadł w Odrzywole. W każdej grupie mieliśmy dwóch albo trzech tajnych współpracowników. Na wieczór przewidziana była konferencja i ognisko nad rzeką. Niestety, deszcz zepsuł zabawę, dlatego około dwudziestej drugiej wszystko się zakończyło, chłopcy mieli czas, by popracować. Posłuchaj, notatka służbowa posterunkowego z Odrzywołu:

W dniu 8 sierpnia 1978 roku udałem się na miejsce ogniska – w tym celu, aby sprawdzić porządek, jaki zostawili pątnicy. Stwierdziłem ogólny bałagan. Było bardzo dużo rozrzuconych papierów oraz leżało tam osiem butelek po winie. Miejsce to sfotografowałem. Kilkadziesiąt metrów od ogniska w krzakach napotkałem leżące prezerwatywy. Jak wspominałem, fakty te sfotografowałem. Błonę fotograficzną przesłałem pracownikowi Wydziału IV KWMO w Radomiu.

– A tu mam coś ekstra, analizę materiałów sprawy obiektowej:

W związku z wytycznymi Dyrektora Departamentu IV MSW, pracownicy Wydziału IV siłami



własnymi przeprowadzili działania „D”, które polegały na zaśmiecaniu wybranych miejsc (miejsca odpoczynków i noclegów) odpadami, resztkami artykułów spożywczych, niedopałkami papierosów i butelkami po alkoholu. Celem tych działań było:

- a) ugruntowanie przekonania wśród osób niebiorących udziału w pielgrzymce o jej niereligijnym charakterze i spowodowanie dyskusji o jej dalszej celowości, a także ośmieszenie organizatorów i uczestników tej imprezy;
- b) spowodowanie odruchu niechęci tak u księży – administratorów parafii, przez teren których przechodziła pielgrzymka, a także osób udostępniających pątnikom swe tereny pod pola namiotowe, udzielających im noclegów i wyżywienia.

– Tak zupełnie na marginesie: wiesz, jak wejść w gówno, to od razu wiem, kiedy trafia mi się gówno księdza albo ubeka: podobnie pachną.

### Mapa drogowa (jeśli mamy serio rozmawiać)

– Te, kolego, jeśli mamy rozmawiać serio, to musimy coś uzgodnić, opracować sobie mapę, taki kodeks poruszania się po wspólnych drogach, określić zasady ruchu.

– Po pierwsze: żadnych imion, nazwisk, stopni i innych informacji pozwalających na identyfikację

na podstawie przebiegu służby i przywołanych z tego okresu zdarzeń w cytowanych materiałach.

– Po drugie: żadnych szczegółów anatomicznych typu wiek, kolor oczu, włosów, opisów sylwetki, szczegółów garderoby, sposobu poruszania się, przyzwyczajzeń, nawyków, skłonności i upodobań, niczego, co by pozwoliło na odszukanie rozmówcy.

– Po trzecie: zero informacji na temat rodzinnych powiązań, miejsca zamieszkania czy pobytu, otoczenia, szczegółów tła takich jak krajobraz, usytuowanie.

– Po czwarte i bezwzględnie przestrzegane: autoryzacja każdego fragmentu z osobna i tekstu jako całości przed publikacją z jednostronnym prawem do wykreśleń bez potrzeby podawania powodów i uciekania się do wyjaśnień. Nie interesuje mnie tekst, mam twoje pisanie w dupie. Interesuje mnie moje bezpieczeństwo.

– Po piąte: całkowita poufność, anonimowość w odniesieniu do miejsca spotkań. – Z jego słów leciało arktycznym chłodem i jakąś kodeksową, właściwą prawnikom obojętnością. – Takie są moje warunki. Inaczej *goodbye*, kochanie, nie spotkamy się więcej. Ja nie wybaczam.

Tak w mojej pamięci zapisała się nasza pierwsza poważna rozmowa.

– Czy coś zostanie po takim czyszczeniu? – Byłem bardzo ciekaw, co odpowie. – Bo w to wchodzi.

– To, kurwa, twoja sprawa, coś wymyślisz.

## Inwokacja... (z utworem biesiadnym w tle)

– Jesteś naiwny? Może jednak – pauza – nawet to zdaje się bardziej prawdopodobne, tylko głupi.

– Na co ci to?! Kręcisz bat z gówna na swoją głowę!

– Nie widzisz różnicy?

– Mam to przyjąć do wiadomości, potraktować jak odpowiedź?

– Nie wiem, czy warto podejmować cały ten wysiłek, do ciebie nic nie dociera – w tym momencie odwraca głowę, jakby dostrzegł obok coś interesującego – chyba szkoda na to czasu.

– To sprawa z wczoraj, żyją ludzie, którzy wszystko pamiętają. Oni nie przebaczą. Bez względu na to, co zrobisz, staniesz się wrogiem.

– Beznadziejny brak wyobraźni. Boże, i ty na to pozwalasz. – Tym razem wznosi oczy do nieba. – Głupich nie sieją, nie orzą, oni sami się mnożą!

– Mam to w dupie, powiem krótko: mogę wziąć sprawę na klatę, wyznać wszystko jak na spowiedzi. To tylko mętna, brudna woda. Nie ma młyna, nie będzie mąki.

– Ale ty! Nie jesteś w grze. Nic nie możesz! Po drugiej stronie, tam obowiązują inne reguły.

– Żeby nie było żalu: każdy odpowiada za siebie. Srał to pies.

– Cip, cip, cip... – Wyciągnął w moją stronę rękę, jakby kruszył kurom chleb, i pogardliwie splunął, wzruszył ramionami. – Ty mi powiedz, wszystkie rybki coś tam mają, tralala, tralala... – zanucił.

## Czerwone balony: niemoralna etiuda teatralna

– W tym epizodzie jest trochę farsy, kiczu i grafo-manii. – Mistrzo z jakimś wahaniem, wewnętrznym oporem wypowiadał te słowa. – Życie zwykle pisze takie scenariusze. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przyznaję: nie wiem, ile w tym prawdy, a ile nieprawdy. Powiem więcej: być może, coś jest na rzeczy.

– W krążącym po komendzie opowiadaniu w roli głównego bohatera występuje człowiek we flanelowej koszuli, roboczych spodniach i skórzanych brązowych trzewikach.

– Didaskalia: 25 czerwca, godzina zbliżona do siedemnastej, radomska ulica w pobliżu dworca PKP, powiedzmy: róg Słowackiego albo Traugutta, zdemolowane sklepy po obu stronach, towar wyrzucony na chodniki, pod nogami szkło z rozbitych witryn sklepowych, drażniący oczy gaz z granatów używanych do rozpraszania tłumów. Środkiem opustoszałej ulicy idzie, rozdeptując szkło butami, wspomniany mężczyzna z siatką na zakupy w prawej ręce. Wiek około czterdziestu lat.

– Scena pierwsza: kto ty jesteś?

– Patrol słuchaczy wso ze Szczytna zatrzymuje mężczyznę. Mężczyzna nie stawia oporu. Mężczyzna nie ma przy sobie dokumentów. Mężczyzna przyznaje, że jest z okolic Zwolenia i przyjechał po lekarstwa dla żony/dziecka, pokazuje receptę.

– Scena druga: siedź na swojej dupie, zamiast się włóczyć.

– Słuchacze chwytają za pałki i zachowując umiar, udzielają mężczyźnie pouczenia. Lekcja dobrych manier nie odnosi skutku, mężczyzna ujawnia skrywane emocje, próbuje się bronić, zasłania się przed ciosami, głośno przeklina przedstawicieli prawa, obraża z użyciem słów niegodnych przyszłych oficerów.

– Scena trzecia: ...albo leż.

– Mężczyzna leży na ulicy na prawym boku, zwinęty w kłębek, rękami osłania głowę. Słuchacze kopią go oficerskimi butami po ciele. Ciało mężczyzny po każdym kopnięciu konwulsyjnie podryguje.

– Scena czwarta: miłosna, pocałuj mnie.

– Dowódca patrolu pyta leżącego mężczyznę o nazwisko. Ten, zamiast się ukorzyć, z furią odpowiada: „Pocałuj mnie w dupę”.

– Scena piąta: taniec na szkle.

– Słuchacze poruszeni tym aktem bezczelności okładają pałkami i kopią leżącego mężczyznę. To wprawia jego ciało w przedziwny taniec – taniec leżącego mężczyzny na szkle. W miejscu, gdzie leży mężczyzna, powiększa się plama fizjologicznego płynu nazywanego krwią.

– Scena szósta: finałowa.

– Niezrażony zachowaniem mężczyzny dowódca patrolu z wyrozumiałością pyta leżącego mężczyznę o nazwisko. Z niedowierzaniem kręci głowę. Mężczyzna zamiast odpowiedzieć, bezczelnie puszcza ustami czerwone balony.

– Scena siódma: pocieszenie.

– „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Już nie musisz się martwić o żonę/dziecko – pociesza mężczyznę dowódca patrolu. – Teraz ona/ono będzie się martwić o ciebie”.

– Scena siódma: rozwiązanie akcji?

– Dowódca patrolu umywa ręce, rozkładając je w geście bezsilności. Słuchacze łapią za ręce i nogi leżącego mężczyznę i wrzucają do nyski. Są pewni, że właśnie oko w oko starli się z radomskim warchołem. „Suka” odjeżdża, na ulicy zostaje siatka, którą mężczyzna niósł w prawej ręce, i kałuża płynu, który barwi na czerwono asfalt i leżące na ulicy szkło z rozbitych sklepowych witryn.

– Zadanie dla uważnego obserwatora: odpowiedz na pytanie, co stało się z receptą, która jako rekwizyt pojawiła się w poprzednich scenach.

## Zaproszenie do podziemnego królestwa

Kto to może być, do jasnej cholery, jest przecież sobota, piąta rano – aparat telefoniczny od dłuższego czasu dygotał spazmatycznie, terkotał niczym opętany, zanosił się czkawką jak dziecko; nie zamierzałem podnosić słuchawki, czekałem, aż tamten ktoś zrezygnuje, da za wygraną. Drr-drr-drr! Drr-drr-drr!

– Ktoś musi czuwać, by spać mógł ktoś. – Głos w słuchawce był radosny i rześki.

Knuje coś – nie spodziewałem się tego telefonu. Mistrzo zachowywał się, jakby nic się nie stało. Był

radosny, ożywiony, czyżby miał za chwilę dostąpić wniebowzięcia? Stałem się ostrożny, podejrzliwy, jak to mówią: czułem pismo nosem. Nie chodziło mi o prawo do spokojnego snu, nieprzyzwoitą poranną porę, wolną sobotę.

– Wiedziałem, że jesteś, ustaliłem to dużo wcześniej, byłem pewien, że odbierzesz, jesteś z rodzaju tych, których męczą wyrzuty sumienia; mam dla ciebie niezwykłego ptaszka, powiedzmy szczerze, że to prawdziwy hicior, jeśli tak można go nazwać, sam wpadł do tej klatki. Udało mi się co nieco ustalić, zebrać o nim informacje, w końcu od czego człowiek ma przyjaciół, ooo... Będziesz pod wrażeniem, to nie jakiś tam malowany ptak czy farbowany lis.

– Nie! To mnie już nie bawi! – Zdenerwowany rzuciłem słuchawkę i powlokłem się do kuchni, aby wstawić wodę na kawę. Po drodze modliłem się do wszystkich świętych, żeby telefon znów się czasem nie odezwał. Moje modlitwy nie zostały wysłuchane.

– Wciąż katujesz się z rana tą gównianą kawą po turecku, weź pod uwagę, że wypłukuje magnez i podrażnia żołądek; czekam o dziewiętnastej przy bocznej furtce. – Zadzwoił, by z charakterystycznym brakiem taktu wygłosić swoje orędzie i odłożyć słuchawkę.

Z mściwą satysfakcją przekręciłem pokrętko i wyłączyłem gaz: nie będzie kawy, nie będzie porannej pobudki, nie będzie czubek - ubek wyprowadzał mnie z równowagi, koniec tych prymitywnych chwytów, to nie te czasy. Dinozaury wyginęły, nastąpiła nowa era:

efektów specjalnych i komputerowych symulacji. Idę spać – pomyślałem o jeszcze ciepłej kołdrze.

– Bez obrazu, włącz gaz, wypij kawę, a jak dojdiesz do siebie, uruchom mózg, zacznij myśleć. – Znow zadzwonił.

Byłem przekonany, że chce mnie schwytać w pułapkę, że kryje się za tym jakiś niezrozumiały dla mnie podstęp. Totalna bzdura, chyba i ja powinienem się leczyć, skoro wciąż nabieram się na te stare numery, to nie może być, o osiemnastej kończą się odwiedziny, później zamykają bramę, nawet mysz się nie prześlizgnie; starałem się skupić uwagę na umykających za oknami elektrycznej kolejki polach z dojrzewającym zbożem: jeśli utrzymają się pogody, to trzeba wkrótce szykować się na żniwa.

No cóż, w końcu każdy ma to, na co zasłużył. Przejmujące uczucie upokarzającej naiwności narastało, w miarę jak zbliżałem się do ogrodzenia.

Byłem dwa kroki od pomalowanej zieloną olejną farbą furtki wciśniętej między napierające z obu stron krzaki tarniny, z których uformowano żywopłot. Posadzono je chyba tylko po to, by ukryć przed wzrokiem ogrodzenie szpitalnego skweru. Wyciągałem rękę do klamki, kiedy zazgrzytał klucz w zamku, błysnął flesz.

– Zdjęcie z profilu i zdjęcie en face, serdecznie zapraszamy. – Szczupły, starszy mężczyzna o przeoranej zmarszczkami twarzy wykonał zapraszający gest. – Jestem człowiek kamera.

Widać było, że bawi go ta sytuacja, moja markotna mina wywołała nikły cień uśmiechu na jego twarzy.

Co to może zrobić z ludźmi ciekawość – myślałem, krocząc mrocznym korytarzem kotłowni – jak daleko stąd do piekła... Pod sklepieniem korytarza były podwieszane rury, izolowane wełną mineralną, oplecione siatką i oblepione gipsem, pordzewiałe, żeliwne rury kanalizacyjne, jakieś grube jak nadgarstek ludzkiej ręki przewody elektryczne.

– Idziemy do części laboratoryjnej. – Mężczyzna zabawił się w przewodnika oprowadzającego turystę po podziemnym labiryncie. – Mistrzo czeka.

Nasze kroki niosły się po korytarzach, wracające z różnych stron echo wywoływało wrażenie, że podziemia szpitala pełne są spacerowiczów. Poczułem się nieswojo, kiedy stanęliśmy przed masywnymi, obitymi blachą drzwiami. Mój przewodnik nacisnął dzwonek umieszczony po lewej stronie. Drzwi otwierały się do wewnątrz. Z tego, co mogłem wywnioskować, pomieszczenie o ścianach wyłożonych żółtymi kafelkami traktowano chyba jako magazyn nieużywanego sprzętu. Pod ścianami na metalowych regałach zgromadzono wysłużoną aparaturę: jakieś laboratoryjne przyrządy, wirówki, lampy, poślizgnięte naczynia z hermetycznymi pokrywami, przewody, karbowane rury, niklowane stojaki, zepsute wózki...

Mistrzo siedział w fotelu w pobliżu małego okienka umieszczonego nad jego głową, milczał. W klatkach ustawionych na regale przy oknie miały się jakieś wzbudzające odrazę zwierzęta. Na mój widok jak dyrygent uniosł nieznacznie obie dłonie w geście, który nie kojarzył się z powitaniem. Zgrzytnął

klucz w drzwiach, obejrzałem się gwałtownie, słysząc szelest za plecami; w mroku zobaczyłem dziwną postać ubraną w strój Świętego Mikołaja.

– Co się dzieje? – spytałem drżącym ze strachu głosem. – Co się dzieje?

– Zaraz otrzymasz odpowiedź na wszystkie pytania, masz moje słowo. – W głosie Mistrza czaiła się jakaś groźba; może ulegałem panice.

– Przedstawiam ci Henia, naszego gospodarza. Gnom, kat UB, w czasach służby w bezpiece nazywany Świętym Mikołajem. – Smród niemytego ciała przyprowadził mnie o mdłości. – Heniu, przywitaj się z naszym gościem. – Czułem, jak obmacuje nadgarstek mojej wyciągniętej na powitanie ręki, zanim ścisnął ją oburącz jak w imadle, wywołując grymas bólu na mojej twarzy.

Mogłem się mu przyjrzeć: wzrost na oko w granicach metra czterdzieści, krępe, niezwykle krótkie nogi i równie krótkie, ale bardzo silne ręce, tułów rozlany, otyły, nieproporcjonalny do kończyn, głowa okrągła, nienaturalnie duża, sprawiająca wrażenie osadzonej bezpośrednio na tułowiu, odstające uszy, małe oczy, utopione w fałdach skóry, małe, niedomykające się, okrągłe usta jakby otwarte do krzyku, sine, prawie granatowe wargi, czoło bardzo niskie, właściwie czaszka sklepiona na wysokości łuków brwiowych, barwa głosu piskliwo-płaczliwa, jak u młodzieńca przechodzącego mutację.

– He! He! Yyy! – stękał, jakby powietrze potrzebne do wypowiedzenia słów napotykało na jakąś



przeszkodę w tchawicy, nim mogło uderzyć o struny głosowe. – Yyy! Można objąć pana?

– Później, później, teraz mógłbyś zrobić panu krzywde, wracaj do kąta. – Mistrzo powiedział to cichym, łagodnym głosem, mimo to reakcja Henia była niewspółmierna do tych uspakajających słów.

– Henio dobry! Hy! Henio dobry! Henio nie zrobił złego!! – powtarzał, wciskając się w ciemny kąt przy drzwiach.

– Proszę siadać, kolego; kiedyś był w miarę normalny, ale po tym wszystkim tak mu się porobiło. – Mistrzo wskazał mi biały metalowy taboret stojący pod ścianą.

– Chciałbym koledze coś zademonstrować, ale żeby to zrobić, muszę nałożyć rękawice ochronne. – Znów użył tego słowa „kolega”, jakby chciał podkreślić dystans między nami, stosując tę oficjalną formę. Prawą dłonią w grubej skórzanej rękawicy wyciągnął reagujące agresywnie zwierzę z klatki. Musiał trzymać je mocno, bo piszczało przeraźliwie i rzucało się na wszystkie strony.

– To jest szczur – powiedział, przybliżając do mojej twarzy wzbudzające odrazę zwierzę. – Co my robimy ze szczurem?

– My szczurowi obcinamy łapki. – Lewą ręką sięgnął po zardzewiały sekator i obciął przednią nogę. Na moje ubranie trysnęła krew, mój żołądek skurczył się nagle. Fale mdłości wypchnęły jego zawartość ku górze; pochyliłem się i zacząłem wymiotować.

– Podnieś panu głowę, Heniu – poprosił łagodnie Mistrzo – niech zobaczy, co robimy ze szczurami.

Poczułem, jak ktoś łapie mnie za włosy i bolesnym, gwałtownym szarpnięciem podrywa głowę do góry, tak że potylicą z siłą uderzyła o ścianę. Z tego bólu z moich oczu trysnęły łzy. Patrzyłem, jak metodycznie, z kamienną twarzą, obojętnie Mistrzo odcina kolejne łapy oszalałego z bólu szczura. Na koniec rzucił okrwawione zwierzę do wiadra stojącego obok stołka, na którym siedziałem. Henio z okrzykiem triumfu doskoczył do wiadra.

– Hy, hy, hu... – Jego stękanie przeszło w jednostajny jęk, rozpiął rozporek i zaczął się onanizować; fala spermy opryskała mnie, ścianę, zanim trafiła w szczura. Z rozpiętym rozporkiem upadł na kolana i zaczął szturchać szczura wskazującym palcem. Znów poczułem obrzydzenie, z nosa popłynęły mi smarki, zacząłem wymiotować. Pamiętam z tego, co stało się później, tylko tyle, że nagle szczur ugryzł Henia, ten wyciągnął go z wiadra i rzucił prosto w wymiociny u moich stóp, po czym z radością na twarzy obcasem buta zmiażdżył na krwawy strzęp zwierzę.

– Co robimy ze szczurami? – spytał mnie Mistrzo.

Miałem dość, nie zamierzałem odpowiadać na jego pytania, czułem, jak zbliżają się kolejne skurcze żołądka.

– Co robimy ze szczurami – powtórzył pytanie – czy mam poprosić Świętego Mikołaja, żeby dał ci kopa w dupę?

Uniosłem głowę, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie żadnego słowa.

– Powtarzaj: szczurowi obcinamy łapki.



– My szczurowi obcinamy łapki. – Krztusiłem się, jakby opanowała mnie czkawka, moim ciałem wstrząsały konwulsje.

– Chcę stąd wyjść, chcę wody, żeby się umyć – sły-  
szałem swój płacz gdzieś z oddali.

– Przecież wiesz, że zostaliśmy zamknięci, musimy  
począkać do rana, wtedy nas wszystkich wypuszczą.

– Ja chcę wyjść, ja chcę wyjść! – zacząłem krzyczeć  
histerycznie.

– Henio dobry! Hy! Henio dobry! Henio nie robić  
złego!! – Odgłosy, które wydawał, zlały się z moim  
rozpaczliwym krzykiem.

– Heniu, dziękuję, idź do siebie. – Mistrzo wska-  
zał prawą ręką przejście do pomieszczenia za ścianą;  
słyszałem, jak skrzypią drzwi i zatrząskuje się żelazna  
zasuwa.

– Już dobrze, już dobrze. – Jakąś szmatą wytarł  
moje ubranie z wymiocin, spermy i krwi.

– Musimy odpocząć. – Troskliwie ułożył mnie na  
podniszczonej leżance do masażu i okrył kocem.

– Opowiem ci bajkę.

## Fragment powieści *Mój mąż frajer* (Kraków 2017)]

### Kraina Marzeń

Przeznaczenie – myślał, wędrując w górę Lubar-  
towskiej. – Jestem zbyt zmęczony, żeby oszukiwać  
opatrność. Sobota, nawet jeśli jest Wielka, zostaje  
dalej sobotą. Idę popatrzeć na życie.

W żadnym z polskich miast nie ma centrum han-  
dlowego o takim poziomie sakralności. Nie chodzi  
o przeznaczenie obiektu, to niezależnie od wielko-  
ści budynku i jego położenia jest zawsze takie samo,  
ani o architekturę, bo ta, chociaż wygląda na ory-  
ginalną i nowoczesną, jest sztapowa, powielana  
przez sieciowe korporacje z niewielkimi zmianami  
w zewnętrznym wystroju. Może o wyjątkowości lub-  
elskiej galerii decyduje sprawa lokalizacji: nikt nie  
sprawdził, czy gdzieś tam pod fundamentami nie kłę-  
bią się podziemne rzeki, nie zaciskają się w metafizy-  
czny supeł magnetyczne węzły, nie zbiegają bieguny  
energii. A może rzecz cała w sąsiedztwie: po drugiej  
stronie zbiegającej od miasteczka studenckiego ulicy  
Ofiar Katyńia znajduje się najstarszy w Lublinie

commentar, gdzie od pokoleń nie czyniąc różnicy, chowano zgodnie zmarłych mieszkańców trzech wyznań: rzymskokatolickiego, prawosławnego, ewangelicko-augsburskiego. Gdyby przyjąć, że światem rządzi zasada zachowania energii, wedle której w układzie izolowanym suma wszystkich stanów energii jest stała w czasie, może powaga wobec ostatniego z ziemskich aktów i żal za odchodzącymi wysublimowały się na zasadzie zachowania równowagi w ich przeciwieństwo, tworząc fenomen, unikalną przestrzeń dla biologicznej witalności i młodzieńczej głupoty.

Kto chce, niech zgaduje – jego nogi od tego ciągłego chodzenia były jak z drewna.

W Krainie Marzeń kłębił się tłum, jakby całe miasto na ostatni moment postanowiło zrobić świąteczne zakupy. Atmosfera wewnątrz przypominała bardziej przygotowania do długotrwałego oblężenia i wojny niż do radosnego świętowania.

Zbiorowy obłąd – przyglądał się z niedowierzaniem – ale czy te czasy, w których dorastał, były normalne? Wszystko w nich było podszyte strachem, oprószone sadzą złą, groźne. Mimo że na to sobie nie zasłużył, dostał więcej od życia, niż mu się należało.

– Dlaczego ja? – poczuł taki sam strach jak rok temu w szpitalu, kiedy rozerwał kopertę i przeczytał diagnozę.

Podobne pytanie zadawali sobie wszyscy ci, który szczerze wypełniali korytarze przyszpitalnej przychodni. Chrypienie głośników, wezwania krzyżujące się nad głowami, świdrujące dzwonki telefonów,

awantury o kolejkę, o krzesło, szczęk wahadłowych drzwi, jazgot skarg i pretensji sfrustrowanych wielogodzinnym czekaniem pacjentów: jednym słowem dzień sądu, który od poniedziałku do piątku powtarzał się według scenariusza pisanego przez szpital. Spocony, rozgorączkowany śmierzący ze strachu, brudny od tego czekania, okupowania poczekalni, zły, osamotniony w walce o życie tłum miał coś wspólnego z tą dziczą wypełniającą Krainę Marzeń.

Nawet nie zadbali o miejsca, żeby się usiąść, jesteście byłem skazanym na rzeź – stał już trzy godziny oparty o ścianę, czekając, kiedy wywołają jego nazwisko. – Tego nie sposób zrozumieć, to trzeba przeżyć.

Proces weryfikacji wyników badań, oczekiwania na diagnozę przeciągał się z miesiąca na miesiąc. Najtrudniejsza była pierwsza noc w szpitalu: fetor środków dezynfekcyjnych, fruujące nocą w powietrzu strzępy pampersa, z którego próbował się wyzwolić pacjent po chemii, charkot umierającego na sąsiednim łóżku młodego mężczyzny, pokrzykiwania salowych. Ale to wszystko już miał za sobą. Wrócił z tamtego świata.

Omijając większe skupiska i ustępując innym z drogi, zmierzał do ławki, na której zwykle przesiadywał w sobotnie popołudnia. To była przestrzeń dla kobiet, zazwyczaj zadbanych i umiejących podkreślić swoje walory odpowiednim makijażem, fryzurą, strojem... Ze swojego miejsca miał widok na wejście do kilku sklepów z modną odzieżą, salonu piękności, fryzjera, drogerii z kosmetykami. Jakim cudem w tym

otoczeniu zlokalizowano sklep komputerowy – tego nie umiał wytłumaczyć.

Tu trzy lata temu poznał Julię.

– Czy jest jakiś serwisant? – spytał ekspedientki, która podeszła do niego, widząc, że się rozgląda na boki. – Potrzebny mi jest nowy dysk do laptopa i porada fachowca.

– Jestem do pana dyspozycji – zabrzmiało to jakoś dwuznacznie.

– Pani? Jak ma pani na imię? – podniósł wzrok, by się jej przyjrzeć. Z podciętymi na krótko włosami, których kosmyk opadał jej na czoło, dużymi, zamglo-nymi od marzeń oczami dziecka i nieśmiałym, prze-praszającym uśmiechem wydała mu się wcieleniem absolutnego piękna. Jak Juliette Binoche. Zaczerwieniła się, widać dostrzegła osłupienie w jego oczach.

– Julia – w obronnym geście odgarnęła włosy z czoła. – Ja jestem serwisantem. Czemu pan na mnie patrzy?

– Jest pani niezwykle piękna – teraz on poczuł, że się rumieni.

– Nie jestem pewna – w jej słowach nie było ko-biecej kokieterii.

– Chcę zainstalować od nowa system operacyjny. Gdyby wystąpiły jakieś problemy, chciałbym mieć kontakt telefoniczny do serwisu – pomyślał, że jako klient ma takie prawo.

– Szef jest na Słowacji, a ja... – zawahała się, znów zaczęła się czerwienić. – Ja nie mam telefonu. Może gdyby przyniósł pan komputer...

– Kiedy rząd zabronił dzieciom przychodzenia na świat, ludzi ogarnęło szaleństwo. Zaczęli zabijać się nawzajem. – Tak zaczyna się powieść, którą muszę od-dać wydawcy w przyszłym tygodniu. Nie mam czasu.

– Po co pan pisze książki? – spytała, przyglądając się mu uważnie. – Jest pan sławny?

– Chyba nie – nie wiedział, dlaczego zebrało mu się na taką szczerość. – Ale się staram, czasami coś mi się udaje.

– Chciałabym przeczytać taką książkę, w której nikt nikomu nie robi krzywdy, a wszystko kończy się szczęśliwie. Że się kochają jak nigdy na świecie.

– Może napiszę dla pani taką książkę – ogarnęło go niezwykle podniecenie, pomyślał, że musi ją czymś do siebie przekonać. – Tylko niech pani pomoże mi z komputerem.

– Nie wiem jak – rozłożyła bezradnie ręce.

– Kupię kartę w salonie i dam pani swój aparat – był gotów na wszystko, byle tylko nie tracić kontaktu.– Mam drugi telefon.

– Nie mogę przyjąć, to chyba oczywiste – odpo-wiedziała mu z powagą dziecka.

– Julio, źle mnie pani zrozumiała, telefon tylko pożyczam – starał się, żeby wypadło to sucho i po-wściągliwie. – W swoim interesie.

Tak wszystko się zaczęło. Oczywiście nie miał dru-giego telefonu, ale to nie było żadnym problemem. Zadzwoił wieczorem z jakimś pytaniem o sprawy techniczne, w trakcie rozmowy ostrożnie wypytał ją, gdzie mieszka, co studiuje, po tygodniu na maila

wysłał jej pierwszy rozdział książki o dziewczynie pracującej w komputerowym sklepie i marzącej o wielkiej miłości i dalekich podróżach. Nie wiedział, czy jego pisanie się jej spodoba. Wkrótce wieczorne rozmowy przez telefon o życiu i jego zawiłościach stały się regułą. Nie zdradzając się z niczym przed Julią, załatwił jej zaproszenie na konferencję dotyczącą nowych technologii, na której był akredytowany jako dziennikarz. Tak, bez złych intencji, żeby się jej przyjrzeć, poznać bliżej.

„Kocham Cię” – dopiero po roku znajomości wysłał jej sms-a tej treści. Był wtedy w Austrii na kongresie pisarzy. Przez tydzień nie miał z nią kontaktu, nie odbierała jego telefonów, nie odpowiadała na sms-y. To był dla niego trudny okres, poruszał się pomiędzy euforią a myślami o samobójstwie. Był przekonany, że przebrał jakąś miarę, zrobił coś, co przekreśliło wszystko na zawsze. Przecież wystarczyłoby, gdyby tylko zechciała z nim czasem porozmawiać. Na lotnisku w Warszawie nogi ugięły mu się ze strachu, kiedy zobaczył ją w tłumie przed wyjściem w zielonej kurtce z chlebakiem na ramieniu.

– Co tu robisz? – chciał, żeby zabrzmiało to naturalnie. – Coś się stało? – I zanim odpowiedziała, żeby oddalić to nieznanne, ale czekające na niego nieszczyście. – Mam dla ciebie prezent.

– Ja dla ciebie też mam, zamówiłam hotel.

Jej słowa były w tym momencie tak niedorzeczne, że poczuł, jak krew uderza mu do głowy, musiał sięgnąć na walizce, żeby nie upaść.

– Dlaczego?

– Kocham cię.

To był jakiś dziwny hotel w okolicach Świętokrzyskiej w ścisłym centrum Warszawy: podstarzały recepcjonista w buraczkowym uniformie mrugał do niego porozumiewawczo, wskazując na Julię.

– Jakaś nowa – oblizał się obleśnie, wyciągając natarczywie rękę po napiwek – Córką mogłaby być.

– Ty skurwysynu – złapał go za kłapy i pchnął na ścianę. – Zamknij ryj.

– Nie tak ostro, tatusiu, bo po policję zadzwonię! Już nie te czasy, żeby taki pedofil na uczciwym człowieku się wyżywał.

– Dzwon – sam siebie nie poznawał.

Nie zadzwonił.

– Jestem gotowa na wszystko, żeby tylko być z tobą – powiedziała, kiedy w pokoju niezdarnie rozpiął jej biustonosz i ściągnął majtki w kolorowe groszki. – Nie robisz mi krzywdy.

– Wiesz, że to jest dokładnie dwadzieścia dziewięć lat różnicy – chciał się upewnić, że to się dzieje naprawdę – i że jesteś niewiarygodnie, zachwycająco piękna, możesz mieć każdego mężczyznę, kogo tylko zechcesz.

– Chcę tylko ciebie – okazało się, że jest pierwszym mężczyzną, jeśli tak jeszcze mógł o sobie powiedzieć, w jej życiu.

Nie mógł zasnąć, patrzył, jak uśmiecha się przez sen.

– Jestem szczęśliwa, starszaku – przytuliła się do niego nad ranem. – Wstydzę się tego, co powiem, ale zrobmy to raz jeszcze.

Jak to możliwe? – patrzył na nią i nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego. Był gotów oddać za nią życie.

– Obiecaj, że mnie stąd zabierzesz i wyjedziemy gdzieś, obojętnie gdzie. – Pocałowała go na peronie, kiedy wsiadał do pociągu, i nagle się zaczerwieniła. – I jeszcze jedno, pamiętaj, że nigdy ci nie odmówię. Tak postanowiłam.

Kochali się wszędzie: w parku, wynajętym pokoju, hotelu, na łące, w lesie, na zapleczu sklepu, w samochodzie. Wydawało się, że nigdy nie będzie miała dość.

W międzyczasie dowiedział się, że jej ojciec jest nałogowym alkoholikiem, brat siedzi w więzieniu, matka ma swoje życie i od wszystkiego umywa ręce. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Nie zgodziła się na wynajęcie mieszkania, w którym mogliby razem zamieszkać.

– Nie chcę tak, wolę z tobą wyjechać, to może być nawet Ukraina, żeby nikt mnie nie znalazł.

Skończyło się tak, jak się zaczęło: nagle. Najpierw dostał sms-a. Później okazało się, że rzuciła pracę i gdzieś wyjechała. Jeszcze później dowiedział się, że jej brat właśnie wyszedł z więzienia.

To był czas szaleńczych poszukiwań, który trwał prawie rok.

Zrozum mnie, nie chciałam odbierać ci rodziny, zależało mi, żeby ukraść tylko trochę szczęścia dla siebie. Dzięki tobie jestem tym, kim jestem – po roku przyszedł list z Londynu, że poznała kogoś i z nim ułoży sobie życie. – Powiedziałam mu wszystko

o tobie, jesteście bardzo do siebie podobni, jeśli chodzi o charakter, bo wiekowo jest dużo młodszy, nie chcę już nikomu nigdy kłamać.

Z ławki miał też widok na wejście do sklepu, w którym kiedyś pracowała Julia. Lubił sobie wyobrażać, że za chwilę wyjdzie, rozejrzy się dookoła, zobaczy go. I radośnie się uśmiechnie, podbiegnie do ławki, pocałuje go w policzek.

– Ty zбочeńcu – szepnie mu do ucha. – Chcesz się kochać?

– Tak. Czy kiedyś powiedziałem nie? – opuszkami palców dotknie jej dłoni.

Julia robi dwa kroki do tyłu, żeby mu się przyjrzeć z bezpiecznego oddalenia.

– Ja też – powie szeptem, ledwie poruszając wargami, zaczerwieni się i prześle mu całusa, zanim pobiegnie z powrotem.

– Dziadku! – ktoś szturchnął go w bok.

– Tak? – wciąż obserwował wejście do sklepu.

– Mam dla ciebie propozycję – dopiero teraz odwrócił głowę.

Miała może czternaście lat, blond włosy związane w koński ogon, delikatną twarz i oczy Julii. W różowej koszulce z napisem „FOR YOU” na piersiach i obcisłych džinsach wyglądała może trochę prowokacyjnie, ale ładnie. Na skos przez piersi miała przewieszoną elegancką skórzaną torebkę w kolorze turkusowym. Siadła obok, torebkę przesuwając na kolana. Spojrzał w jej oczy. Uśmiechnęła się i na policzkach pojawiły się dwa dołeczki.

– A jaką ty możesz mieć propozycję – jej uśmiech zgasł równie szybko, jak się pojawił.

– Podobam ci się – spojrzała na niego wyzywająco.

– Jesteś ładna, nawet bardzo, kiedyś poznałem tu dziewczynę podobną do ciebie – teraz on uśmiechnął się do swoich myśli.

– To dobrze, mam sprawę – rozejrzała się dookoła – potrzebuję pieniędzy.

– Każdy ich potrzebuje, ale one nie są najważniejsze – nie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Dasz mi sto złotych, a ja zrobię ci laskę – nie wyglądała na speszoną – to specjalna promocja dla takich staruchów jak ty, ważna tylko dzisiaj.

– Chcesz pójść do mnie? – przyjrzał się jej paznokciom inkrustowanym jakimiś małymi kryształkami i pomalowanymi w różne kolory.

– Wali ci, dziadku! – roześmiała się radośnie, tak samo śmiała się Julia, kiedy ją obejmował od tyłu, żeby skraść jej buziaka. – Nie mam czasu, zrobię to na dole, w garażu mam swoje miejsca. Mogę ci poświęcić najwyżej dziesięć minut. Chyba że coś dorzucisz. Staje ci jeszcze?

– To zależy.

– To będzie w takim razie sto pięćdziesiąt, wtedy do skutku. Pozwolę włożyć ci rękę do stanika.

– Jak masz na imię?

– Dla ciebie Karin. Podoba ci się?

– Podoba.

– To co będzie?

– Zgoda, ale chcę ci zrobić zdjęcie – wyjął z kieszeni komórkę.

– To będzie drożej, najpierw pokaż pieniądze – teraz ona przyglądała mu się ze skupieniem, oceniając jego finansowe możliwości. – Na bogacza nie wyglądasz.

– Pozory czasem mylą – sięgnął do kieszeni i wyjął portfel, rozchylił przegródki i pokazał jej dwa stułotowe banknoty.

– Nie mnie. Takie numery nie ze mną – zręcznym ruchem wyłuskała banknoty z portfela, zanim zdążył zaprotestować. – Lubisz walić konia, patrząc na zdjęcia. Idź za mną, w razie czego się nie znamy.

– Najpierw foto.

– Dobra, ale szybko – rozchyliła usta i oblizała wargi. – Możesz zareklamować mnie wśród swoich przyjaciół staruchów.

– Posłuchaj teraz. Mam twoje zdjęcie. Jeśli jeszcze raz cię tutaj zobaczę, zadzwonię po policję. Zrozumiałas? – patrzył jej prosto w oczy.

– Dziadku, czyś ty spadł z kosmosu! Albo robili cię przez skarpetkę. Naprawdę jesteś takim frajerem? – zaśmiała się teatralnie.

– Jak mam to rozumieć? – teraz on wydał się zdezorientowany.

– Oddaj telefon, tylko grzecznie – w ręce, którą trzymała na torebce, pojawił się sprężynowy nóż. – Jestem dziewczynką, która umie zadbać o siebie.

– Zabijesz mnie? – nie mógł wyjść z osłupienia.

– Zrobię coś gorszego – drugą ręką wyrwała mu komórkę. – Jesteś głupim chujem, trzeba było ze mną po dobroci, to bym ci jeszcze przyjemność zrobiła.



– Pedofil! – złapała go za ręce, zaczęła szarpać i krzy-  
czeć. – Niech mi ktoś pomoże! Chciał mnie zgwałcić!

Była silna, nie przewidział takiego rozwoju sytuacji,  
udało się jej ściągnąć go z ławki na podłogę. Może  
z zewnątrz wyglądało to tak, jakby chciała się wyrwać.

– Puść mnie! Niech mi ktoś pomoże! Ratunku! –  
jej histeryczne krzyki połączone ze szlochem zrobiły  
wrażenie. – Boże! Zgwałcił mnie!

Nie było w tym logiki, mimo to na pomoc rzuciło  
się kilku mężczyzn, jeden z nich zaczął kopać go bu-  
tem po ciele, inny pięścią walnął prosto między oczy,  
w nos. Chrupnęła chrząstka, poczuł, jak ciepła, słodka  
krew wypełnia jego usta.

– Panowie, nie tutaj – któryś z ochroniarzy zdecy-  
dował się na interwencję. – Weźcie go na zewnątrz,  
tam nie ma monitoringu! – odblokował awaryjne  
drzwi.

Ktoś chwycił go pod ramiona i pociągnął w kie-  
runku wyjścia.

– Nie płacz – zobaczył kobietę, która objęła szło-  
chającą Karin, przytuliła ją i głaskała po głowie dłonią  
w złotych pierścionkach. – Już on dostanie za swoje.

Zimne powietrze trochę go otrzeźwiło, przełknął  
krew w ustach, żeby się wytłumaczyć, poprosić o litość.

– Nie, nie, panowie – zdołał wybełkotać. – Nie...

– To twój koniec, módl się do swojego pedofil-  
skiego boga – mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce  
schylił się po metalowy pręt.

– Może zadzwonić po policję? – zaproponował  
nieśmiało ktoś za jego plecami.

– Szkoda fatygi – mężczyzna zdjął kurtkę i podał  
ją swojemu koledze.

– Musimy sprawiedliwość brać w swoje ręce – po-  
naglił go tamten. – Śmierć pedofilom!

Zanim pierwszy cios spadł na jego głowę, zareje-  
strował tylko zamglonym wzrokiem małe serduszko  
wytatuowane na środkowym palcu mężczyzny uno-  
szącego w górę łom.

## Fragment powieści *Bezsenne* (Lublin 2021)

Czwartek, 9/21 września

*Laudetur Jesus Christus*<sup>9</sup> – z braku innych, właściwszych słów opisujących moje położenie zaczynam tak, bo pozostaje mi tylko stary, wysłużony zwrot pozdrowienia, który wszedł w zwyczaj, do którego przywykałem latami. Wrósł we mnie, stał się częścią mojej osoby tak bardzo, że moje usta wypowiadały go mimowolnie, nawet nie pytając o to głowy. Uwiązł i obłany żywicą kolejnych dni został niczym mucha w jantarze. Nie dbam, czy się to komu podoba, czy nie, robię to dla siebie i obcych oczu tym cieszyć nie będę. Tyle lat żyłem w błogim przekonaniu, pewności, że znam odpowiedzi na najważniejsze pytania, a teraz się sam zgubiłem i szukam po omacku drogi. Czy to możliwe, że utraciłem wiarę? To zakrawa na żart, jakąś

---

<sup>9</sup> Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – tradycyjne powitanie używane przez członków wspólnoty religijnej Kościoła rzymskokatolickiego.

okrutną drwinę. Nie wiem i pewnie nie dowiem się nigdy. Dla siebie samego jestem tajemnicą, co więc rzec o innych otaczających mnie istotach i rzeczach. Nawet mówić, że są duże albo małe, czarne albo białe, zdaje się mijać z prawdą.

Ja, który dla innych byłem przewodnikiem, teraz dla siebie nie znajduję ścieżki? Jak to możliwe? Dzień po dniu składałem cichą ofiarę, wyrzekając się pokus tego świata, szedłem pewnym krokiem, wskazując kierunek innym i teraz, kiedy jestem u kresu drogi, kiedy opadłem z sił, nie mam rady dla siebie.

Zbyt wiele okropności moje oczy widziały, by mogły teraz patrzeć daleko i z czystością krynicy, nie odczuwając przestachu. Zbyt wiele krzyków rozpacz, wołań o pomstę i bezsilnego płaczu słyszały moje uszy, że teraz zarastają mchem. Członki mojego ciała, na których tak niegdyś polegałem, postępujący *arthrosis*<sup>10</sup> w połączeniu z podagrą skręca, karząc za uczynki, które były ich udziałem.

Moje ciało tęchnie, wzbiera i gnije.

Wypowiada posłuszeństwo, skręca się z boleści.

Robaczywieje niczym jabłko, które zostało zapomniane jesienią na gałęzi drzewa, a teraz, kiedy opadły liście, wyszło z ukrycia, marszczy się i pokrywa bliźniami, zanim ostatecznie spadnie, by stać się pokarmem ziemi, która je rodziła.

Dopadają mnie dreszcze. Wrzesień jest wyjątkowo chłodny tego roku. Poleciłem kuchcie rozpałić

---

<sup>10</sup> Artretyzm.

w mojej komnacie piec, odwróciła się diablica i tylko zachichotała. Nawet w pokrytej plamami tłuszczu i umorusanej węglami koszuli wygląda ponętnie. Ma imię Katarzyna to stworzenie. I moje dreszcze ma za pośmiewisko. Twarz jak u anioła, oczy jak kwiatuszki bławatka, gdyby ją umyć, ogarnąć i ubrać, nauczyć płynnej wymowy, mogłaby na pokojach bywać. Nawet bez perfumy by mogła w głowie zawrócić. A sprytnie to, samego Lucycpera, gdyby się miał pojawić, za nos by wodziła. Podłożyła trochę szczyпки, trochę białej kory dartej z drzewa brzożowego, podpaliła kawałkiem polana wyciągniętego z kuchennego paleniska i tyłem ją widział. Poleciała gdzieś gzić się z pomocnikiem rzeźnika, który z okolic Groszowic pochodzi. Darmo za nią wołać, choćby u drzwi stała, uda, że nie słyszy. Jutro z rana będziemy zaczynać świniobicie, rzeźniczek przyszedł, by z wieczora drwalnię i naczynia naszykować.

Patrzę w płomienie, na policzkach czuję żar. Ogień jest uczciwy, chociaż surowy, a czasami okrutny, nie ma względu na człowieka i jego prośby. Rządzi się swoimi prawami, zawsze bierze swoje. Jemu oddam te karty, kiedy już dojdę sedna i dokonam rozrachunku. To jedyna droga, która mi została: wejść w ciemną przepaść siebie i przymuszając się do prawdy, rozrywając stare rany, trwać, rachując grzechy, i wydobywać je na powierzchnię, spisując sumiennie i rzucając na nie światło. A ciebie, Duchu Święty, jeśli jeszcze mnie nie porzuciłeś, proszę o odwagę, by zmierzyć się z prawdą, jakakolwiek by była, i w niej wytrzymać

do samego końca. Ciepło bije od paleniska, po całym tym trudnym i wystawionym na różne próby życiu cieszy mnie byle drobiazg. Kiedyś tak nie było, chciałem więcej i więcej, nie godziłem się na kompromis. A dzisiaj? Za każde upokorzenie dziękować i z pokorą znosić cierpienie, kto by pomyślał. Trzeba się dźwignąć, a to nie przelewki, chociaż do pomocy jest laska mocna i ciężka, z dębca, na której śmiało się można wspierać. Kazałem polana na taborku ułożyć obok pieca, bym nie musiał się schylać. By ogień nie wygasł, trzeba go karmić drewnem, polan dorzucić, życia nie da się podtrzymać jak ognia.

Pod moim oknem pokryte ciemną szczecina dwa chude wieprze tarzają się zawzięcie w błocie, czochrając się o dąbki, którym przed laty tu posadził. Dąbków było siedem, jak sakramentów, teraz ledwie sześć zostało. Świnie ryją i dokazują, żyją chwilą, szukają żołądździ, nie trwożąc się niczym, jeszcze nie wiedzą, co jutrzejszy dzień im szykuje. Jeden pójdzie jutro pod nóż, jest przeznaczony na odpust Matki Boskiej Różańcowej, który w pierwszą niedzielę października jest tu obchodzony. Drugi, jeśli doczekam, będzie się ze mną cieszył światem do Boskiego Narodzenia, inaczey na pogrzebowy obiad go przyrządzą.

Skwierczy knot, to *novum* sprezentował mi radomski aptekarz, któremu się pożaliłem na słabość wzroku i wieczorny mrok. Rzuciła mu się w oczy gdzieś w ogłoszeniach maszynka na skalny olej, która światła dawała dziesięć razy więcej czem świeca i sprowadził ją na moją prośbę. Nie byłem przekonany i czekając na

przesyłkę, czyniłem sobie wyrzuty, że tak łatwo sobie ulegam, idę za głosem niesprawdzonych nowinek. Żeby nie narażać się na zbędne pytania, raz podjętej decyzji nie lubię zmieniać, uważam, że podejmować należy je z namysłem, tak że nie lubię zwierzać się ze swoich rozterek innym. Postawa ta wystawiała mnie nieraz na próbę, rezultat jej też czasami bywał oplakany. Nie poruszałem tego w rozmowach, ale przypadkiem posłyszałem, że to niebezpieczna rzecz jakoby palny, ognisty granat. Raz, że pożary stwarza i groźbę poparzenia, a nawet śmierci przynosi, dwa, jak sam papież Grzegorz XVI nauczał, zaburza porządek natury stworzonej przez Boga, bo dzień dlatego jest widny, by człowiek mógł pracować, a noc ciemna, by się wstrzymał od zajęć wszelkich i mógł wypocząć. Mam w tej ostatniej kwestii odmienne zapatrywanie, podobnie jak na temat innego dzieła jego świątobliwości ojca Kościoła, encykliki *Cum primum*<sup>11</sup>, z powodu której w młodości potoki łez wylewałem i do dziś zachowuję złe zdanie w tej kwestii.

Rozterki i oczekiwania się przeciągały, wreszcie uproszony przez aptekarza urzędnik rządowy wracający bryczką z Radomia przesyłkę z dwoma konwiami skalnego oleju zwanego naftą, a do tego innymi wzmacniającymi ciało i zmysły medykamentami

---

<sup>11</sup> Encyklika papieża Grzegorza XVI wydana 9 czerwca 1832, potępiająca uczestników powstania listopadowego i wzywająca polskich biskupów do głoszenia posłuszeństwa wobec cara.

dostarczył. Zaraz poprosiłem o otwarcie drewnianej skrzyneczki, dla zabezpieczenia przesyłki przed uszkodzeniem wypełnionej struganymi wiórami. Maszynka składała się z dwu części zapakowanych oddzielnie w parafinowany papier i przewiązanych sznurkiem: masywnego cylindrycznego zbiornika na olej z przynitowanym do niego wygodnym uchem oraz nasadzanego miedzianego cylindra nazwanego kominkiem z dwoma wieńcami dziurek dla regulowania wentylacji: dolnej do zasysania powietrza podtrzymującego płomień i górnej – do odprowadzania ciepłego powietrza i spalin. W górnym cylindrze było wycięte okienko, a w nim osadzona przezroczysta szybka. W pierwszej chwili poczułem zawód: po opisie z anonsu spodziewałem się czegoś bardziej pobudzającego wyobraźnię i oddziałyującego na zmysły. Do tego po napełnieniu zbiorniczka, wyprowadzeniu knota ponad pokrywę i nałożeniu kominka cała maszynka wydała mi się zbyt ciężką, bym miał ją manipulować. Ostateczne wypróbowanie odłożyłem do wieczora, ale od obiadu w mojej głowie trwały rachunki, ile to świec za olej i samo urządzenie można by było kupić. Kalkulacje weszły w spór z ciekawością. Zamierzałem nawet poprosić wikarego, by mi towarzyszył podczas próby, ale zganiłem się za tę myśl i postanowiłem stawić wyzwaniu czoła. Drżącą ręką podpaliłem knot i nasadziłem kominek, przez chwilę patrzyłem z uczuciem niesmaku na ledwie tłący się ognek, który po chwili zamienił się w czysty płomień, tak że regulatorem musiałem przykręcić

knota. Światło płynące przez szybkę rozświetliło stół i rozrzucone na nim karty pokazały mi się jasne jak za dnia. Nie wiedziałem, czy sen to, czy jawa.

Strony spisuję i znaczę w nakazanym przez gubernialne urzędy zwyczajem: najpierw wskazaniem dnia *veteris stili*<sup>12</sup>, czyli według kalendarza zaprowadzonego przez Juliusza Cezara w roku czterdziestym piątym przed Chrystusem zwanego juliańskim, a kolejno podług gregoriańskiego zaprowadzonego w tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim przez Ojca Świętego Grzegorza XIII zwanego *novi stili*<sup>13</sup>, który na ziemiach dawniej Królestwem Polskim będących jest uznany za właściwy.

Roku bieżącego tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego przeszło mi siedemdziesiąt jeden lat i chyba na tym poprzestanie, więcej znieść nie podołam.

Pozwalam sobie na te bzdurki na początek, by się w pisaniu ośmielić, ale czas nastaje, by od jutra wrócić do spraw zasadniczych. Zasiedziałem się, czas na spoczynek. Knot skwierczy, a sadza na szybko przypomina o oczyszczeniu. Stawiam kropkę.

## Sobota, 11/23 września

Życ dla Boga nie potrafię, żyć bez Niego nie umiem. Dwa dni zeszły na niczym, mam to sobie za złe. Chyba

---

<sup>12</sup> W starym stylu

<sup>13</sup> W nowym stylu

to mój strach przed wejściem w głąb siebie sprawił, że oddałem się innym zajęciom z zapalem, o który bym siebie nie podejrzewał. Bo na co się mogła zdać moja obecność podczas świnioobicia, kiedy ani pomoc w robocie, ani nawet zarządzić nie dałbym rady, bo się na tym poznać nie miałem okazji. Stałem oparty plecami o drwalkę, ściskając kurczowo laskę i z uporem przymuszałem się, żeby nie odejść. Cała ta procedura chwytania, ubijania prosięcia, spuszczenia krwi do cebrzyka, rozbierania, wywoływała we mnie przykre mdłości, co nie przeszkadzało w niczym młodzieży. Zabawiali się w najlepsze. Kuchta, jak zwykle umorusana, w przewiązanej sznurkiem zgrzebnej koszulinie, wdzięczyła się do rzeźniczka, który zakrwawionymi dłońmi szczypał ją po łydkach albo rzucał w jej kierunku ochłapami, o które natychmiast ścierały się w zacieklých bojach bezpieczeństwa psy. Ich skowyt i złowrogi charkot wydobywający się z zaciśniętych na gardle przeciwnika szczęk, połączony z odorem wypruwanych flaków, śwędem ogniska i wonią surowizny przypominał mi Wołyń, mordercze sceny spod Boremla. Łzy zakręciły mi się w oczach, udałem, że odganiając ręką dym. Żelazna dłoń zacisnęła gardło, by skryć swoje wzruszenie i rozruszać zastałe kości, przełamując opór stawiany przez nogi, ciężkie niczym kłody nawilgłe wodą, zajrzałem do chlewika. Mój Boże, wieprz patrzył na mnie z taką ufnością, że poczułem się zdezorientowany grozą sytuacji. Życie zwierzęcia zawsze było w ręku jego pana i zależy od jego woli i kaprysu, czy to samo można powiedzieć o człowieku?

Mówią, że pańskie oko konia tuczy, ale to uparte asystowanie przy śmierci wieprza, niezrozumiałe nawet dla mnie samego, choćby ze względu na stan mojego zdrowia i predestynację do innej posługi, przyprawiło mnie o gorączkę. Tego dnia nie siadłem do stołu, ale ległem na łóżku w ubraniu i długo patrzyłem w belki nad głową, nie mogąc się rozgrzać i usnąć. Toczyłem walkę z myślami trawiony gorączką, jakbym gotował się na śmierć i rozpamiętywał swoją klęskę. Za oknem rozległa się palba, to rota jęgrów<sup>14</sup> prowadziła na łąkach nocne manewry, strzelając do ukrytych po krzakach słomianych chochołów. Pomyślałem z gorączką, że Bóg mnie opuścił, a może nawet nigdy go ze mną nie było i wszystko, co brałem za jego obecność, było romantycznym złudzeniem, któremu oddałem życie. Z rozpaczą skwitowałem swoją marność, myśląc o tym, jak się mało w tym życiu zrobiło. Wszyscy mają mnie tu za powagę moralną, męża naukowego, historyka, znawcę ludzkiej duszy, szukają u mnie rady i wsparcia, a mnie coraz trudniej przychodzi skrywać swe myśli.

Następnego dnia miałem gorsząca rozprawę z Rojkiem, miejscowym kowalem o nazwisku tu częstym aż nadto, że czasami trudno wyłuskać, o kogo chodzi spośród zatrzęsienia tych Grzywaczów, Jaroszków, Lutych, Dąbrowskich, Siczków, kiedy przynoszą dzieci do chrztu, dają zapowiedzi albo proszą o ostatnią

---

<sup>14</sup> Specjalne formacje strzelców wyborowych w wojsku rosyjskim, pruskim oraz austriackim

posługę. Powinowactwa i koligacje bytujących tu od dawien dawna włościan oplatają mocną siecią okolicy – wydaje się, że wszyscy są tu jedną, przedziwną rodziną, która na co dzień walczy ze sobą do upadłego zamiast sobie pomagać, a kiedy nie trzeba, na złe, dla figla albo kaprysu nagle jednoczy się, tworząc wspólny front. Najlepiej widać to w dni odpustowe, kiedy z okolic odległych o wiorst nawet kilkadziesiąt ciągną całymi rodzinami i koczują po stodołach i obórkach przez dni kilka, goszcząc się i racząc wódką paloną przez starozakonnych siedzących po karczmach. Tyle lat poruszam się wśród nich i kiedy już jestem pewien, że ich poznałem i rozumiem, nagle pokazują mi rogi. Mają w sobie jakąś mądrość pierwotną, hardość biorącą się z ziemi i pracy nad siły, której nie posiadałem, obcując z nimi, i czasami trudno mi dociec, gdzie kończy się pospolita z natury chciwość zwierzęcia, a zaczyna istota obdarzona duchem myślącym i wolną wolą stworzona na podobieństwo naszego Pana.

Z tego Rojka natręt jest i mędrak, co miejscowych do buntu nakłonić potrafi, czego nieraz dawał przykład. Tym razem poszło o miejsce na cmentarzu w polu, o które się po dobroci upomniałem. Ileż można prosić, przygadywać się, dopominać i tylko opór coraz bardziej niezrozumiały mieć przeciw, wiedząc, że miejsca na pochowanie nie brakuje. Zbratał się z nauczycielem, którego nieraz upomniałem za pijaństwo, a ten podjudza go przeciw mnie i do coraz innych występków namawia. Za dnia i po nocach w karczmie przesiadują, wygrażając przeciw władzy



tak świeckiej, jak i kościelnej, co niechybnie doprowadzi do jakiegoś nieszczęścia. Próbowałem na niego wpłynąć przez gromadę, ale ta, kiedy ze mną, po mojej stronie się opowiada, a kiedy odwróć się plecami, przeciw mnie trzyma. Cóż w takiej sytuacji można począć, kiedy ani prośbą, ani groźbą... Posłałem po niego raz ostatni, by się stawił i odbył zasadniczą rozmowę, przyszedł ubrany w czystą koszulę, z przysładzonymi nieco włosami i trzeźwy, co samo w sobie było znakiem szacunku, nie powiem, ale postępu żadnego nie udało się uzyskać.

– Nie ma zgody – zastrzegł na wstępie – nie ma zgody i nie będzie. Tak to widzę – wyrzucił z siebie, nie pesząc się i nie spuszczać oczu.

Cóż miałem powiedzieć na takie dictum, spróbowałem go podstępem doprowadzić do zmiany decyzji, więc zaproponowałem zamianę miejsca mnie przypisanego w pierwszym szeregu przykościelnego cmentarza, honorowo tuż za ścianą od głównego ołtarza, na jego, jak by nie patrzeć, liche miejsce na cmentarzu w polu, do tego przy ogrodzeniu. A ten ladaco za zaszczyt tak duży złożenia swego marnego prochu pośród osób konsekrowanych, co nie przystało nawet proponować, odpowiedział bez wahania, że woli w swojej kompanii spoczywać. Muszę przyznać, że jego racja nawet mnie przekonała. Na odchodne spytałem, czy ma się za równego mnie, a ten mi bezczelnie odpowiedział, że wszyscy na świat jedną drogą przez dupę matki przychodzą, co mnie w złość taką wprowadziło, że ochłonąć do wieczora nie mogłem.

Poniedziałek, 13/25 września

Może wypadałoby nie spać i nocą pokutować za błędy bezrozumnej młodości, kiedy imaginację ojczyzny miałem za pierwsze przykazanie i lekko ważyłem życie i przelaną krew przyjaciół i wrogów. Śmierć wszystkim nam, przychodzącym na ten świat, równo zapisana, człowiek rodzi się i umiera. Jeśli umiera przedwcześnie, w kwiecie wieku, coś z tego – tak wtedy myślałem – skoro i tak by miał pomrzeć za lat kilka lub kilkanaście z poczuciem niespełnienia i gorczy, którą ja dzisiaj w sobie noszę, może w chorobie i bólu. Ta ofiara nie pójdzie na marne i przyda chwały imieniu ojczyzny – staliśmy się igraszką w rękach przywódców, ofiarą całopalną, mięsem rzuconym jak ochłap między psy. Mogliśmy wygrać, mieliśmy swoje wojsko i broń, zapal i przewagę, nie mieliśmy ponad to czegoś ważniejszego – narodowej zgody. Wszyscy niby chcieli jednego, niepodległej, ale na miarę własnej prywaty skrojonej. Jakimż szyderstwem z ofiary życia stał się trzydziestometrowy obelisk z lanego żelaza na placu Saskim, wystawiony przez cara Rosji i króla polskiego Mikołaja I na cześć sześciu polskich generałów, którzy ponieśli śmierć z rąk polskich powstańców w noc listopadową. Już jako mąż w sile wieku, bywając w Warszawie w archiwach albo za sprawami drukarskimi, przymuszony niezrozumiałym poczuciem winy, każdego razu, w skwar i słońce, latem i zimą ciągnąłem pod pomnik. Miasto znałem od podszewki, było mi domem, kiedy z romantycznym

usposobieniem i strwożonym sercem, mając osiemnaście lat, przybyłem z Łukowa i osiadłem na Żoliborzu, by podjąć naukę na Wydziale Nauk i Sztuk Pięknych Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Pijany od mrzonek i ideałów chętnie oddałem się pod skrzydła mojego nauczyciela i mistrza, prof. Bentkowskiego, dziekana i dyrektora Gabinetu Numizmatycznego. Nie bez skruchy dziś, po wielu doświadczeniach burzliwego życia, zmuszony jestem jego poglądy na sprawy narodowe przyjąć i naśladować. Pracą u podstaw próbowałem odkupić swoje młodzieńcze uniesienia, bo wyrządzonych krzywd naprawić nie mogłem. Wiele się zmieniło od tamtych lat, Warszawa wybujała i rozkwitła, ale zapach rynsztoku i nędzy w dzielnicach odległych od centrum pozostał. A przecież ci nieuczenni i głodni prości ludzie byli duszą i sumieniem tego miasta.

Zachodziłem pod pomnik od parku, pierwsze, co przejmowało zadumą i zgrozą, to wykaz imion zamieszczony z tej strony na obelisku. Wystarczy wspomnieć, że były to nazwiska żołnierzy Kościuszki, Legionów Dąbrowskiego, wreszcie wojsk Królestwa Polskiego: Trębickiego, Hauke, Potockiego, Blumera, Siemiątkowskiego, Nowickiego – generałów o pięknie zapisanych dla ojczyzny kartach (może z małym wyjątkiem na Filipa Meczysławskiego, pułkownika). Czy swoim życiem nie dowiedli, że Polskę noszą w sercach. Zabici w morderczym szale raczej z przestרחu i gniewu niż dla rzeczywistej przyczyny! Co można było rzec na widok ośmiu lwów odlanych w Zakładzie

Machin Banku Polskiego ze spizu armat zdobytych na powstańcach czy dwugłowych orłów w pozłocie patrzących w cztery strony. Co można było zrobić, słysząc powtarzane przez plebs prześmiewcze słowa „Osiem lwów – czterech ptaków pilnuje siedmiu łajdaków”, by oddać im należny honor. A przecież ja byłem pierwszy wśród wiecujących i tak jak oni krzyczałem: śmierć zdrajcom.

Historia zgotowała nam paradne przedstawienie, byśmy mogli czerpać z niego naukę, a my, zaślepieni pychą, te same błędy ze zbrodniczą ochotą powtórzyliśmy kolejny raz, szafując ponad miarę imieniem Boga i ojczyzny. Jeśli nasze życie jest jedynie kaprysem i we wszystkim od naszego właściciela zależy, czemu nam głos zabierać i bunty wzniecać. Róbmy to, co do nas należy, nie rozlewajmy niepotrzebnie krwi, w inny sposób służmy naszej matce. A kiedy staniemy się narodem ludzi zgodnych i rozumnych, niepodległa jak orzeł skrzydłata z głosem trąb do nas wróci. Bylebyśmy tylko o niej nie zapominali. Prośmy każdego dnia po wielokroć: niech się dzieje jego wola tak i na wieki wieków.

Wiele się o sobie nauczyłem, ale na cóż mi ta wiedza dziś, kiedy nic ode mnie nie zależy. Jestem jak stara, pomarszczona, zapleciona z żył mumia, która pokazuje w uśmiechu bezzębne usta: ani ugryźć, ani urodzić, ani zabić nie potrafi, bo to wszystko przeszło koło niej i nie wróci. Tak i ja na poboczu gościńca stoję, wypatrując końca.

Czy z tym mamy pod osąd innych pokoleń się oddać?

Wtorek, 14/26 września

Dziś zacząłem wcześniej, popołudniem, bo paliwa do lampy zaczyna brakować przez te moje nocne marki i rozmyślania. Muszę oszczędzać oczy, które coraz trudniej mi przymusić do czytania, a i w błąd mnie potrafią wprowadzić, bo nie odróżniają kształtów, odległości, a kolory różniące się w małym stopniu mają za jeden. Najwięcej figli płatają mi o zmierzchu, kiedy szarość nastaje i gdyby nie głos, to z twarzy odgadnąć rozmówcy nie potrafiłbym. Wtedy imaginacja mi podpowiada fantasmagorie i na przygody z innych światów naraża. Muszę oszczędzać naftę, bo niby Radom blisko, ale nie wiadomo, kiedy następna możliwość dostawy okazyjnej się przydarzy.

Na początek przeczytałem dwie ostatnio zapisane karty, dużo w nich pospolitego mędrkowania, bo inaczej tego nazwać nie mogę. Trzeba powoli zmierzać ku rzeczom zasadniczym, bo sił ubywa z każdym dniem, a i nadciągające niepogody coraz mocniej w kościach odczuwam. Cóż z tego, że krzesło wygodne, z oparciem pod łokcie i do tego poduszką wyściełane, kiedy cierpienia mi przysparza. Odrętwiały od siedzenia nogą poruszyć nie mogę i chociaż próbuję dźwignąć ciało, to ono w sprzeczności z moimi chęciami i próbami stoi. Ręce wciąż silne nie starczą i wysiłku muszę dokonywać wielkiego, by na własne nogi stanąć. A wtedy krew spływająca do nóg takie mrówki pod skórą wywołuje, że aż cierpię i muszę odczekać, żeby do normalności wróciły. Do tego głowa potrafi

się nagle zawrócić i tylko siłą rąk powstrzymuję się przed upadkiem. Stół niełichy, dębowy wykwintnie rzeźbiony pod oknem stoi do pracy naszykowany, bym wzrok podnosząc, mógł przez okno na świat popatrywać. Okno południowe, widne tak latem, jak zimą, ku strumieniowi zwanemu Roźcieniem wychodzi, przez który został przerzucony most drewniany na trakcie między Radomem a Kozienicami, dlatego część za rzeczką zamościem wśród miejscowych jest nazywana. Żeby zapewnić cień latem i od wiatrów siedzibę zasłonić, stryj, mój poprzednik na tym urzędzie, zamiar podjął posadzenia w odległości sążni dziesięciu na południe półkolem młodych dębczaków. Spełnić swoich planów nie zdołał, więc ich realizacja przeszła na mnie jako jego następcę. Było ich siedem, jak sakramentów, o czym teraz z pewnym rozrzewnieniem wspominam. Obserwuję je przez te lata, które tu spędzać mi przyszło, pamiętając, w jakiej kolejności i intencji były sadzone. Najlepiej się ma z nich *baptismum*<sup>15</sup>. Według kolejności nasadzony moimi rękami jako pierwszy. Chrzt. Od niego u człowieka wierzącego wszystko się zaczyna. Dałem mu miejsce tuż przy ścianie drewnutni, nie myśląc, że czynię mu tym przed wiatrem osłonę i daję żyzność gruntu. Przyświecała mi troska, żeby przed obcymi oczyma skryć gospodarskie gnoje, podwórze i przyległe doń pobudowania. Strumyk żółty, smrodliwy, sączący się spod drzwiczek chlewika, który między oborami rozlewał

---

<sup>15</sup> Chrzt

się w fermentujące i cuchnące latem bajoro, codziennie mieszane z ziemią racicami bydła gnanego na pastwiska, płytkim przekopem tuż przy ścianie drewnutni ciekł w oparzeliska. W miejscu, gdzie gubił się w bagnisku, tataraki i burzany zieleniały i buiły się nad podziw, odróżniając tę partię oparzeliska od martwych, podeszłych rdzą i szarym szlamem torfów, z których sterczały jeno kikuty obdartych z kory olszyn zarażonych śmiercią.

W kolejności wzrostu *sacri ordines*<sup>16</sup>, czyli kapłaństwo, posadziłem jako drugie, naruszając porządek wyznaczony przez Stwórcę przez wzgląd na służbę, jaką pełnię. Uświęcone przez deszcz łaski, a może tylko sokami z ziemi żywione, bo na tym miejscu ponoć grzebano zmarłych, wystrzeliło w górę i zabrało słońce i wilgoć dąbkowi pokuty, który nieopatrznie zasadziłem w jego cieniu. W pogoni za światłem *paenitentia*<sup>17</sup> przegięła się i pochyliła w stronę wschodu, by tę sprostować, liną splecioną ze stali związałem ją z *sacri ordines*. Na niewiele się to zdało, bo i kapłaństwo pod wpływem pokuty też chylić się zaczęło. Z tego widać para, w jaką drzewka połączyłem, nie była właściwą, więc uwolnić ją od więzi musiałem, po tym pokuta pozbawiona oparcia w kapłaństwie jeszcze bardziej się pochyliła.

W małżeństwo posadzone w pewnym oddaleniu w kierunku rzeczki, owo ocalające świat

---

<sup>16</sup> Kapłaństwo

<sup>17</sup> Pokuta, żal za grzechy

*matrimonium*<sup>18</sup>, grom uderzył, rozszczepiając pień dąbka na pół. Wydało się, że zajmie się ogniem, ale sążnisty deszcz ugasił płomień. Wysiłkiem natury rany drzewa uległy zabliznieniu i teraz zwrócone do siebie, od wewnątrz opalone, czarne i bezlistne, od zewnątrz bujną zielenią obsypane, wyciąga ku górze dwa pnie, z jednego korzenia czerpiące soki.

Z pozostałych, by rzecz zamknąć, skoro się o niej zaczęło, *confirmatio*<sup>19</sup>, innymi słowy bierzmowanie, stratowały konie i uschło, zaś eucharystia i *unctio infirmorum*<sup>20</sup>, zwane sakramentem chorych, nie przewyższając kapłaństwa, ale w ślad za nim postępując, rosła na chwałę Pana i rąk, które je sadiły przed laty.

Nie piszę o tym dla sensacji, chociaż na chrzcie, którego pień z czasem wrósł w ścianę drewnutni, powiesił się w wielki post przybyły z Czech wyrobnik, ale dla porządku i by upływ lat uzmysłowić. Kiedy sadiłem dąbki, moje ręce były gładkie i silne, mocno trzymały się życia, moje nogi stąpały pewnie i mocno, chociaż nie zawsze prowadziły mnie w dobrą stronę.

Piszę te słowa z głębokim namysłem: tragedia czy komedia, obie szły pod ręce przez moje życie, a ja dziś u jego kresu nie wiem, czego bardziej doświadczyłem i po której stronie się opowiedzieć.

---

<sup>18</sup> Sakrament małżeństwa

<sup>19</sup> Bierzmowanie

<sup>20</sup> Namaszczenie chorych

Piątek, 17/29 września

Z wiekiem częściej nocami miast spać przychodzi mi dokonywać arytmetyki: obrachunku idei, hasel i romantycznych mrzonek na poległych i okaleczonych w walce, straty w realności i przypadłe nadzieje. Nie cieszą mnie te dywagacje i rozdrapywania ran, które wątpliwemu uspokojeniu sumienia mego mają służyć, a jednak poddaję się im z całą pokorą, na jaką mnie stać. Kolej losu, nasza walka i brak zgody między stronnictwami poddały istnienie narodu próbom, wystawiły na niebezpieczeństwa największe. Jakże to się stać mogło?

W Wigilię Bożego Narodzenia trzydziestego roku porzuciłem Berlin i pośpiesznie przybyłem do Warszawy, gdzie związałem się z Klubem Patriotycznym. Nasze pohulanki ulicami, wiece, zebrania, manifestacje, kazania dla tłumów głoszone i przykłady męstwa przodków naszych oraz ich zwycięstw odnoszonych nad Moskalami zachęcać miały do obrony kraju od hord najezdniczych. Zdawało się nam, że w tej narodowej wojnie nie w sile fizycznej, nie w liczbie, nie w doświadczeniu i wprawie, ale w sile ducha, miłości ojczyzny jest nasza potęga i zwycięstwo. Przyłączyłem się do partyzantów Dwernickiego, którzy na Wołyniu mieli upowszechnić rokosz. Na co się zdały nasze trudy wojenne: wyczerpujące marsze mimo ustawicznej słoty, głód, chłód i cholera, które uderzały w nas i dziesiątkowały nasze szwadrony, pod Kryłowem przeprawa korpusu przez Bug, wreszcie

ostatnie starcie pod Boremlem. W sutannie stawałem do ataku, zawsze bez broni w pierwszym szeregu, bo jako osobie duchownej nie przystoi mi sprawowanie sądu i szafowanie życiem w szczególności w odniesieniu do nieprzyjaciół, ale z uniesionym krzyżem powierając swój los Panu Zastępów. Jakiś piechur rosyjski, widząc mnie na czele, przymierzył i strzelił, ale kula przeszła mimo, a wtedy rzucił się, by mnie nadziąć bagnietem. Zasłonił mnie swoim ciałem pomocnik stajennego, Ignac, pochodzący z Pragi, swoje życie za mnie dając. Trzymałem go za rękę, kiedy umierał, i przysięgałem przed obliczem Boga, że jego śmierć nie będzie daremną, bo miłość ojczyzny takiej od nas ofiary wymaga. Jego twarz rozjaśniał uśmiech, jego oczy nadzieja, nie skarżył się ani z ran nie jęczał, taką wiarę w moich słowach pokładał.

Dziś zda mi się, że go oszukał i kara mnie za to nie ominie.

Przez Morawy wróciłem do Warszawy, gdy tam cholera zawleczona przez dezertersów i jeńców swe żniwa liczone na tysiące z niespotykaną siłą sprawować zaczęła. Szerzyło się pijaństwo, panowało przekonanie, że jedynym skutecznym lekarstwem jest wódka, bo kwarantanna, zakaz zgromadzeń i nabożeństw kościelnych, odbywania uroczystych miesięcznic i pochodów nie spełnił swej roli. W tych warunkach odbywało się zorganizowane poza miastem przez Towarzystwo Patriotyczne obchodzenie pamiętki Konstytucji 3 maja przy kamieniu węgielnym trzeciego maja w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym



pierwszym roku położonym pod świątynię opatrności na dowód odrodzenia się narodu. Znany z cnót patriotycznych ksiądz Trepka, kapelan 9. pułku piechoty, odprawił mszę świętą czytaną, a także wygłosił stosowną do uroczystości przemowę, kreśląc uciemiężenia i poniżenia ludu, którym ustawa położyła kres. Skromna ta, lecz wzniosła uroczystość ze względu na urok pory roku i piękno przyrody pokrzepiła me serce, bo zwątpienie brało nade mną władzę. Wkrótce z rozkazu prowincjała zamknięty na pokutnych rekolekcjach w łukowskim klasztorze miałem rok czasu na rozpamiętywanie swoich uczynków względem Boga, ojczyzny i obywateli.

To, że uniknąłem represji za uczestnictwo w rokoszu, pokazuje, jak ogromne starania ratunkowe z udziałem rodziny i kościelnych urzędników zostały podjęte. Za mną wstawiał się stryj Tadeusz, biskup diecezjalny lubelski Józef Dziegielewski, a nade wszystko biskup podlaski Jan Gutkowski, który po wypełnieniu rekolekcji przywiódł mnie do sekularyzacji i wikarym w kościele św. Mikołaja w Międzyrzeczu mianował. Czym to odstąpienie od ukarania dla dobra jakiego spożytkował, nie mnie rozsądzać.

Ale i na tysięczne inne sposoby ukarany zostałem, gdym hańbę musiał przetykać ze ściśniętym gardłem, przez dziewięć niedziel z rzędu będąc zmuszony czytać już wspomnianą encyklikę Grzegorza XVI, w której rokoszan podstęp i kłamstwa sprawcami nazywano, ostrzegając przed nimi jako szerzycielami nowinek, błędnych nauk i fałszywych dogmatów i powtarzając

słowa świętego Pawła: „Przeto kto się przeciwstawia władzy, przeciwstawia się Bożemu postanowieniu”<sup>21</sup>.

## Sobota, 18/30 września

Tego roku niedziela odpustowa na Najświętszej Marii Panny Królowej Różańca Świętego zrównała się z pierwszym dniem października. Nie wyglądałem tego święta, bo to dla mnie jedynie obowiązek wielki, któremu w tym stanie zdrowia sprostać nie zdołałem bez pomocy. Wieprz rozebrany i oporzędzony, kiełbasy i boczki podwędzone, bochny chleba w piątek z piekarni nawiozą i czym nakarmić gości będzie. Specjałem, do którego nie przywykłem, jest kiszka z krwi, skórek wieprzowych, płuczek, czyli lekkich, i kaszy gryczanej wykonywana i napychana w jelita, którą po uparowaniu na stoły podają w wieńce ułożoną na misie. Pasek miał wspominać, że Polakom się tego jeść nie godzi, boby nam psy nieprzyjaciółmi byli, gdyż to ich potrawa, ale w większości domów mają to za przysmak.

Jeśli o nabiał idzie, swoje mleka i śmietany najlepsze. Komora pełna, na półkach suszki i powidła, w równych rządach w białe szmatki powiązane sery,

---

<sup>21</sup> Przeto kto się przeciwstawia władzy, przeciwstawia się Bożemu postanowieniu; a ci, którzy się przeciwstawiają, sami na siebie potępienie ściągają. Św. Paweł, Rz 13,2 Biblia Warszawska



osełki masła w fajansowym garncu w wodzie zatopione, żeby nie jęłczały. W różnych stronach masło mają za surowo zakazane w poście pod groźbą grzechu, ale tu lekko to traktują, chociaż na środe popielcową z pobożności sagany i wszelkie garnki wrzątkiem wyparzają. Do tego w kobiałce jajka plewami przesypane czekają w dostatniej ilości, dwa słoje miodu z gryki, borowiki w marynacie, kwaszone ogórki. Kury na odpustowy rosół jeszcze swobody zażywają, ale ich czas krótki.

Jeśli pogoda dopisze, to gości z Kozienic, Radomia, Zwolenia, Policznej, Brzózy i sam Pan Bóg wie skąd spodziewać się należy i przyjąć ich i ugościć, a i kwatery na nocowanie na wypadek wszelki po zaniejszych domach naszykować, bo znajdą się tacy, którym samej odpustowej niedzieli będzie mało i na poniedziałek, a nie daj Boże wtorek zaciągną świętowanie. Pewnie za złe mają naturze człowieka, że na zapas brzucha nabić się nie da, więc jeszcze wyglądać będą na koszt z gościńcem, żeby w drodze powrotnej czasem głodu nie cierpieli. Dla mnie przykazanie, by o tym wszystkim w czas pomyśleć i na każdy wypadek się naszykować, ale wystawnością nad miarę nikogo nie zamierzam cieszyć. Zawsze większy sentyment miałem do odpustu św. Mikołaja biskupa, który mam za mniejszy, bo takich tłumów nie gromadzi, chociaż to patron świątyni z dawien dawna obok św. Małgorzaty męczenniczki.

Dla godnego zaprezentowania postanowiłem kąpiel wieczorem w piątek, chociaż uważa się w okolicy,

że mycie ciała jest szkodliwe dla zdrowia. Zasady higieny tu budzą zdziwienie i na najniższym poziomie występują, stąd częste choroby brudem wywołane i duża śmiertelność dzieci. Jeszcze będąc studentem, przywykłem do innych reguł w sprawach czystości ciała, ale prawdziwe zaskoczenie czekało mnie w Berlinie, gdzie w budynkach publicznych uniwersytetu specjalne pomieszczenia przeznaczano na spłukiwane wodą kloaki dla wypróżniania się, a na ulicach miasta wystawiono specjalne domki na oddawanie nieczystości. Tu niestety inne warunki zastałem i brak zrozumienia wymagający zmudnej edukacji, dlatego mimo usilnych chęci na zmiany jeszcze jakiś czas przyjdzie czekać. Mam na swoje potrzeby porcelanowy nocnik z nieprzystojnym napisem „Ku uciesze dam”, który nocą mi za urynał służy i siedzący w sypialnej z emailowanym cebrzykiem zamykany pokrywą od góry. Zatem i ja na większe luksusy pozwalać sobie mogę i kąpiele zmuszony jestem przyjmować w dębowej balii spiętej obręczami, która na co dzień do prania bielizny służy. Zwykle pomocą była mi kuchta Katarzyna, o której wspomniałem, i do niej należało zarządzenie, by wody kto naczepał ze studni i do kuchni dostawił. Nagrzawszy w saganach właściwą ilość, oddalała się, gdym ja kąpiel przyjmował. Czasy jednak szybko zmieniać się poczęły i do obmywania ciała stała się konieczna pomoc, bom z trudem się mógł dźwignąć z balii, ulegając paraliżowi bejsiły wywołanemu ciepłem wody i rozmiękczeniem mięśni, który brał we władanie moje członki. Na małym

zydelku zasiadałem w kalesonach pośrodku balii, do namydlenia mając za pomocnika Grzegorza, syna mej siostry z męża Kotowskiej, urodzonego w Puchałach. Wzorem stryja Tadeusza, który mnie udatnie przez lata kształtował, starałem się mu być opiekunem i powiernikiem, który w dorosłość go wyprowadzi, a teraz korzystałem z jego wywdzięki. Mimo tych dodatkowych okoliczności i udręk towarzyszących ceremoniałowi kąpieli odczuwałem przyjemność z namydlenia i spłukiwania letnią wodą zmiękczonej wywarem ziół pachnących, które kuchta do balii wlewała. Tym razem pomocnik się nie sprawił, bo moje stopy pochwyciły śliskość i nie mogły znaleźć punktu oparcia i dźwignąć się w żaden sposób nie dałem rady. Przywołana na pomoc Katarzyna z drugiej strony pochwyciła moje ramię i podtrzymała mnie, nie pozwalając mi upaść. Musiałem jakiś ruch nieostrożny wykonać, bo ciężkie od wody gatki naraz opadły, odsłaniając moje przyrodzenie. Skurcz tak silny i bolesny w brzuchu poczułem, że się zgiął cały wpół z tego upokorzenia, wstydu i bezsilności. Nie mogłem podnieść wzroku na twarz kuchty, bo wydało mi się, że z tego sromu, jakiego pierwszy raz w życiu doznałem wobec kobiety, moje serce bić przestanie. Jakimś cudem, nie zważając na nic, całkiem nagiego nie tyle poprowadzili, ile powlekli do sypialnej mimo bezwładu nóg. Ubrany w nocną koszulę i przykryty pierzyną ze wzrokiem utkwionym w powałę, długo czekałem, aż władza wróci do moich członków.

Słyszając z kuchni głosy, czułem się w obowiązku

wytłumaczyć z tej słabości przed służką, zanim nastanie odpustowa niedziela. Bom Katarzynę szczerze polubił i chętnie pozwalałem jej na różne psoty, chociaż później nieraz musiałem ją przed innymi tłumaczyć z postępowania i bronić, ale była mi iskierką radości w szare dni. Wspierając się na lasce, krok po kroku docierałem do drzwi kuchni, ale to, com ujrzał przez szparę, o nową sromotę mnie przyprawiło i nogi ponownie się pode mną ugięły. W poświęcie światła wydobywającego się przez otwarte drzwiczki kuchni ta bestia całkiem goła wynurzała się z wody w balii niczym Wenera. Cała kuchnia mieniła się w blasku mydlnych baniek, które przez słomkę puszczała, bawiąc się nimi niczym dzieckiem. Przy tym rozchlapywała wodę dookoła i śmiała się radośnie. Poczulem ukłucie w sercu i żal, że do innych sakramentów zostałem wybrany i inną miłość w sercu swym noszę. Nie zaznałem miłości cielesnej i tych prostych radości płynących z uroków obcowania z kobietami, za późno, by coś w tem teraz zmienić, i przyjdzie mi opuścić ten świat, nie wiedząc, com stracił, a ilem zyskał.

Próbowałem zasnąć z imaginacją nagiej Katarzyny stojącej z uchem przyłożonym do drzwi mojej spalnej izby.

REPORTAŽ

*Ze zbioru Do zobaczenia w piekle*  
(Warszawa 2009, Kraków 2019)

Chatyń. Obszar zamierzonej tragedii.

*Brak słów – w latach 40. pod Smoleńskiem dokonano potwornej zbrodni. Jednak czy rzeczywiście winę za tę tragedię ponoszą przywódcy ZSRR, jak twierdzi w nowym dziele pan Wajda? – pisał w dodatku do „Niezawisimoj Gaziety” (bodajże była to gazeta z 4.02.tego, czyli 2008 roku) Aleksander Szirokorad.*

Siedziałem przy kuchennym stole, piłem sypaną, mocną, zaparzoną z trzech łyżeczek kawę i próbowałem obudzić się, zrozumieć sens tych słów. To była reakcja moskiewskiej gazety na informację o przyznaniu nominacji do Oscara filmowi *Katyń* Andrzeja Wajdy. Przez kuchenne okno widziałem okna podobnego bloku z białej cegły po drugiej stronie drogi. Na patelni skwierczał boczek, wyobraźnia podpowiadała mi ciąg dalszy, już czułem unoszący się w powietrzu zapach smażonych jajek...

Szkoda, że nie wiedziałem, w jakim rejonie Mińska usytuowano to nowe osiedle i jak stąd trafić do

centrum. Ochrona na parkingu, systemy elektronicznej identyfikacji wchodzących, no i oczywiście metraż mieszkania – wszystko to świadczyło, że nie budowano tego mieszkania z myślą o przeciętnym obywatelu Mińska. Gdybym miał mapę miasta...

Przypomniałem sobie, że trzy (a może to już cztery albo więcej) lata temu, kiedy Andrzej Wajda odbierał tytuł doktora honoris causa, nadany mu przez moskiewską szkołę filmową, i wspominał o powodach, dla których zamierza zrobić film o zbrodni w Katyniu – tam przecież zginął jego ojciec – w informacji, będącej komentarzem do uroczystości, ukazującej się na ekranie, przetłumaczono słowo Katyń na Chatyń. W tym brzmieniu to słowo u obywateli byłego sowieckiego imperium wywołuje jednoznaczne skojarzenia: jest synonimem okrutnego mordu, popełnionego przez Niemców na ludności niewielkiej wioski w pobliżu Mińska na Białorusi.

Chatyń, czyżby to był tylko zwykły błąd?

Dwa dni wcześniej byłem w Chatyniu.

W nocy spadł śnieg. Zimą śnieg nie budzi zdziwienia. Teraz powoli topniał: biały, niezdeptany całun jeszcze okrywał śródleśną polanę. Nadawał temu miejscu dostojeństwo i powagę, sprowadzał postrzeżenie do kadru z dokumentalnego filmu. Pomiedzy biel i czerń, radość narodzin i ciemną rozpacz śmierci – jakby nie było pośrednich odcieni, innych uczuć. Jedynie takie ostateczne rozstrzygnięcia. Ciężkie od wilgoci, ołowiane powietrze wciska się

za kołnierz, plecy pokrywa gęsia skórka... dreszcz. Zimno, marzną ręce, chociaż temperatura utrzymuje się w granicach zera.

Jestem sam, przy takiej pogodzie rzadko zaglądam tu wycieczki. Chociaż miejsce nie tak odległe, zaledwie jakieś 60 kilometrów od Mińska. Rozległy parking przeznaczony dla autobusów jest pusty, stąd trzeba iść po rozmarzającym, podchodzącym wodą śniegu w głąb polany, w kierunku czarnej, nienaturalnej na tle bieli, bryły pomnika. Buty przemakają, lgną w mokrej brei, wyciskany przez podeszwy na boki rozwodniony śnieg wydaje charakterystyczny chłopot. Idę, odgłos kroków wraca odbity od ściany lasu.

Przenikliwy, cierpki dźwięk dzwonu nagle wypełnia polanę.

Jedno uderzenie. Skurcz serca.

Z bliska poczerniała postać starego mężczyzny o wystających żebrach, który niesie na rękach umierającego chłopca, przytłacza wielkością, wydaje się jeszcze bardziej monumentalna.. Chropowata, surowa bryła pomnika góruje nad polaną.

Obok blok czarnego marmuru, przypominający powalony na ziemię dach – w miejscu, gdzie stała spalona szopa.

Dreszcz zimna, kolejne uderzenie dzwonu gdzieś na granicy lasu, za plecami.

W miejscu, gdzie stały chaty, tylko zarys fundamentów, betonowe, osmalone obeliski o kształcie kominów. Z dzwonem w zwieńczeniu... Na każdym informacja z listą mieszkańców.

„Miejsce Pamięci”, „Drzewo Życia”, „Ściana Bólu”.  
Nagromadzenie symboli.

Przedśionek śmierci. Uderzenie dzwonu. Zimno.  
Dreszcz...

...22 marca 1943 roku 6 km od Chatynia partyzanci ostrzelali samochodową kolumnę faszystów. W rezultacie ostrzału został zabity niemiecki oficer. Mieszkańcy wsi nie wiedzieli o tym zdarzeniu. Na niczem niewinnych ludzi faszyci wydali śmiertelny wyrok. Wtargnęli do wsi Chatyń, okrążyli ją. Wszystkich mieszkańców wioski, od małego do dorosłego – starców, kobiety, dzieci, zapędzili do kołchozowej szopy. Kolbami automatów wyrzucali z łóżek chorych, starców, nie oszczędzali kobiet z niemowlętami przy piersi. Kiedy wszyscy mieszkańcy wsi znaleźli się w szopie, faszyci zaparli wrota, obłożyli słomą, oblali benzyną i podpalili. Drewniana szopa momentalnie stanęła w ogniu. W dymie dusiły się i płakały dzieci. Dorosli próbowali ratować dzieci. Pod naporem dziesiątków ludzkich ciał nie wytrzymały i runęły wrota. W płonącej odzieży, ogarnięci przerażeniem ludzie rzucili się do ucieczki, ale tych, którzy wyrwali się z płomieni, faszyci z zimną krwią zastrzelili z automatów i karabinów maszynowych. W ogniu żywcem spłonęło 149 mieszkańców wsi, z nich 75 to dzieci. Wieś została rozgrabiona i całkowicie spalona. Poparzonym, poranionym dzieciom, które zostały przy życiu, zapewnili opiekę i przyjęli do siebie mieszkańcy sąsiednich wsi. Po wojnie dzieci wychowywały się w domu dziecka we wsi Pleszczenica.

*Jedyny dorosły świadek chatyńskiej tragedii, 56-letni wioskowy kowal Josif Kaminskij, odzyskał świadomość późną nocą, kiedy faszystów już nie było we wsi. Wśród trupów współmieszkańców znalazł swojego syna. Chłopiec był śmiertelnie ranny w brzuch i mocno poparzony. Skonał na rękach ojca*

*Ten tragiczny moment z życia Josifa Kaminskogo stał się inspiracją do stworzenia jedyne go pomnika w memorialnym kompleksie – „Nieujarzmiony człowiek”... – to fragment tekstu ulotki wydanej przez muzeum w Chatyniu w 2005 roku.*

*Im chodziło o białoruską wioskę Chatyń, spacyfikowaną przez Niemców – tłumaczył „pomyłkę” sowieckich prokuratorów gen. Rudenko, główny oskarżyciel z ramienia Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W tej postaci po raz pierwszy informacja na temat tragedii w Chatyniu pojawiła się podczas procesu w Norymberdze. Stało się to na skutek wniesienia przez Związek Radziecki 18 października 1945 roku oskarżenia przeciw Niemcom o zamordowanie 11 tysięcy polskich jeńców w Katyniu. Przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w dniach od 13 do 14 lutego 1946 roku zarzut referował prokurator J. Pokrowski, przedstawiając dowody: między innymi raport radzieckiej komisji Nikołaja Burdienko, w składzie której znalazł się także pisarz Aleksy Tołstoj. Sowieccy oskarżyciele mieli też przygotowanego świadka, prof. Marko Markowa, który w 1943 roku był członkiem międzynarodowej komisji powołanej*



przez Niemców do zbadania tej zbrodni i zdecydował się na odwołanie podpisanego wówczas oświadczenia. Jednak po wystąpieniach obrońców i kompromitujących oskarżycieli zeznaniach stacjonującego w '41 roku w Katyniu płk Friedricha Ahrensa z niemieckiej jednostki łączności, któremu próbowano przypisać tę zbrodnię, radzieccy prokuratorzy wycofali z aktu oskarżenia „sprawę katyńską”.

Uzasadniano pomyłkę zbieżnością nazw.

Wówczas to po raz pierwszy nazwano „małym nieporozumieniem” tę grę zainicjowaną przez sowiecką propagandę.

Nie wiem, ile prawdy tkwi w informacji, którą kiedyś usłyszałem o tym, że w przedwojennej nazwie Chotyń tego położonego na leśnej polanie zaścianka (wieś była katolicka, a katolicyzm kojarzono z polskością) litera „o” po wojnie przekształciła się w „a”. Czy było to działanie nieprzypadkowe i miało upodobnić nazwy „Chatyń” i „Katyń”, tego nie da się dziś sprawdzić.

Nie wiem, ile prawdy tkwi w stwierdzeniu, że Józefa Kamińskiego przemianowano na Josifa Kaminskogo, by stał się on uosobieniem losu prawdziwych, rdzennych Białorusinów i nie wywoływał skojarzeń z Polską.

Nie wiem, czy ta zbieżność nazw była powodem, dla którego pierwszy sekretarz Białorusi, Piotr Maszerow, postanowił ten monumentalny kompleks, upamiętniający spalone przez hitlerowców wsie białoruskie, zbudować w tym miejscu. Pierwotnie zdecydował się przecież na lokalizację muzeum w okolicach

Witebska, w pobliżu miejsca swojego urodzenia. Zginął w wypadku samochodowym 2 października 1980 roku. Był uważany za następcę Leonida Breżniewa, ale podobno nie uzyskał akceptacji służb specjalnych.

Nie wiem, czy słowem Chatyń próbowano wymazać z historii II wojny światowej słowo Katyń.

To nie zmienia ogromu tragedii tych ludzi, każdego z osobna, mężczyzn, kobiet, dzieci, zamkniętych w kolchozowej szopie, skazanych na śmierć w ogniu.

To może jedynie świadczyć o cynizmie polityków.

Wiem, takich miejscowości, podobnie doświadczonych przez wojnę, było ponad 5 tysięcy na terenie samej Białorusi. Los Chatynia podzieliło 618, z nich nigdy nie powróciło na mapy 185 wsi, urny z ziemią z tych miejsc umieszczono tu na symbolicznym cmentarzu.

Wiem, podczas tej wojny został zabity co czwarty Białorusin.

Po muzealnej ekspozycji oprowadza mnie przewodniczka, pracuje tu już kilkanaście lat, jest współautorką strony memoriału w Internecie ([www.khatyń.by](http://www.khatyń.by)), autorką książek i przewodników.

Oficjalna nazwa wystawy „Fotodokumentacja Chatyń”.

Opowiada o dyrektywie z 18 grudnia 1940 roku, o planach niemieckich określonych kryptonimem „Barbarossa”, o inwazji na Związek Radziecki, o bohaterkiej obronie Brześćcia w czerwcu 1941 roku. Pokazuje zdjęcia.

Pewnie wie, chociaż o tym nie mówi: o obronie Brześcia w '39 roku, pakcie Ribbentrop – Mołotow, wspólnej defiladzie zwycięstwa 22 września w Brześciu, w której wzięły udział oddziały Wehrmachtu i Armii Czerwonej.

Pewnie wie, chociaż o tym też nie mówi, o sowieckich mordach na polskiej ludności. O Katyniu.

Pokazuje zdjęcia świadczące o okrucieństwie niemieckiego okupanta: spalonych białoruskich wsi, rozstrzelanych chłopów, powieszonych zakładników, pomordowanych dzieci, zamrożonych w obozach, zmarłych z głodu.

Tej tragedii, jej ogromu, nic nie pomniejszy.

Opowiada o „Chatyniu”, o pracach dokumentacyjnych, pozwalających zlokalizować każdą z dwudziestu sześciu spalonych chat, o konkursie ogłoszonym w marcu 1967 roku na architektoniczny projekt memoriału, o uroczystym otwarciu w 1969 roku, jednym tchem wymienia Richarda Nixona, Gandhiego, Arafata, Fidela Castro..., którzy odwiedzali to miejsce, przypomina rok 2004 – uroczystości 60. rocznicy oswobodzenia Białorusi z udziałem prezydentów: Putina, Kuczmy, Łukaszenki.

Pokazuje urnę z ziemią z Oświęcimia

I na koniec pyta o moje nazwisko: w rosyjskim brzmieniu, bo ma obowiązek rejestrowania w sprawozdaniach wszystkich obcokrajowców...

Przypadkiem trafiam na informacje o zabitym w '43 roku w pobliżu wsi Chatyń niemieckim żołnierzu.

Podobno był nim esesman Otto Woelke, który w Berlinie, w 1936 roku zdobył złoty medal w pchnięciu kulą wynikiem 16,60 m. Ta olimpiada, chociaż wzbudziła wiele kontrowersji, przyniosła Niemcom ogromny sukces – zdobyli łącznie 99 medali. I to właśnie jeden z jej bohaterów zginął w okolicach Mińska w marcu 1943 roku. Był ulubieńcem Hitlera, wzorcowym egzemplarzem Aryjczyka, przykładem osobnika, który swoimi osiągnięciami potwierdzał tezę o wyższości tej rasy. Dopóki nie został zabity. Inna sprawa, że te informacje nie mają żadnego znaczenia dla tragedii w Chatyniu.

Także o tym nie wspominała moja przewodniczka, tych danych nie ma na internetowej stronie muzeum. Tak jakby narodowość morderców budziła wstyd i zażenowanie. Istnieją dokumenty potwierdzające fakt, że za ten mord na ludności cywilnej w Chatyniu odpowiadał batalion Schutzpolizei. W oddziale tym służyli radzieccy żołnierze, którzy przeszli na niemiecką stronę. Oddziałem dowodził były porucznik Armii Czerwonej, Grigorij Wasiura. Inna sprawa, że to również nie ma żadnego znaczenia, na samej tylko Białorusi setki wsi doświadczyły podobnego losu z rąk niemieckich żołnierzy, zostały spacyfikowane, spalone przez oddziały Wehrmachtu.

Po południu idę „na miasto”, do centrum, pooddychać Mińskiem. Szerokie, proste ulice, niska zabudowa, porządek. Po Warszawie i Berlinie to trzecie z najbardziej zniszczonych miast w czasie ostatniej wojny. Odbudowane prawie w całości.

Niecałe dwa miliony mieszkańców, tak jak...  
Warszawa?

Powszedni dzień. Od czasu do czasu przechodzień,  
samochód...

Przy głównej ulicy pomnik Dzierżyńskiego.

Czystość, sterylna czystość, jak w szpitalu...

Przejmujące wrażenie, tak jakby ten porządek, ład  
był obliczony nie na człowieka, ale na jakąś zupełnie  
inną miarę. Jakby miasto zapadło się w sobie, zastygło  
w bezruchu. Uczucie nieufności, podejrzliwość.

Zaglądam przez oszklone drzwi, szukam sklepu  
sprzedającego filmy na płytach DVD.

„Idź i patrz” – to cytat z Pisma Św., z Apokalipsy, z Ob-  
jawienia Św. Jana.

Film poruszający, szokujący, okrutny. Widzimy pa-  
cyfikację białoruskiej wioski oczami śmiertelnie prze-  
rażonego podrostka, tak jak on próbujemy zrozumieć  
świat, doszukać się sensu w tym, co nas otacza. Poru-  
szamy się na granicy paranoi, obłądu. Reagujemy bio-  
logicznie na sytuację, w której jest jedynie miejsce na  
zwierzęce uczucia, bestialstwo, nienormalność. To świat  
okaleczony, odarty z ludzkich odruchów. Odbijający  
się w oku martwej, zastrzelonej przypadkowo krowy.

I scena podpalenia cerkwi z zamkniętymi we-  
wnątrz mieszkańcami...

Ostatni krąg piekła

Ale to tylko filmowa kreacja, mniej lub bardziej  
wstrząsająca – rzeczywistość była przecież o wiele  
bardziej okrutna, przerażająca...

Podstawą scenariusza stała się tragedia, jaka miała  
miejsce w Chatyniu. Jego autor – Aleś Adamowicz –  
siedem lat czekał na realizację filmu. *Nie powiedziałem  
całej prawdy, ażeby film dał się w ogóle oglądać* – tłu-  
maczył rosyjski reżyser Elem Klimow, który w 1985  
roku *zrobił rzecz nie do patrzenia*.

Sześć lat po otwarciu memoriału – kompleksu mu-  
zealnego w Chatyniu.

Propaganda?

Na pewno wstrząsający protest przeciw wojnie – co  
do tego nie można mieć wątpliwości..

A może też i propaganda – gigantyczna manipu-  
lacja obliczona na pomieszanie pojęć, dezorientację?  
Na poziomie emocjonalnych, podświadomych reakcji.

Przecież świadectwo to trwa do dzisiaj.

I słowo „Katyń”, tu, w większości krajów byłego  
Związku Radzieckiego, jest słyszane jako „Chatyń”

Miały miejsce już takie przypadki – kiedy film  
stawał się dokumentem, na podstawie którego ko-  
rygowano historię, z cynizmem przeinaczano fakty.  
Wystarczy wymienić tu filmy Eisensteina, którymi  
zafalszowano krwawy obraz socjalistycznej rewolucji.

Ale to nie pomniejsza tej tragedii, jaka miała miej-  
sce w 1943 roku.

Znów słyszę płytki, cierpki dźwięk dzwonu, kiedy  
otwieram stronę internetową [www.khatyn.by](http://www.khatyn.by). Wracają  
wspomnienia – i czuję dreszcz zimna na plecach.  
Świadectwo żywych: *Tylko troje dzieci – Wołodia Ja-  
siewicz, jego siostra Sonia i Sasza Żelobkowicz – ukryło*

się przed hitlerowcami. (...) Dwie dziewczynki z rodzin Klimowiczów i Fedorowiczów – Marija Fedorowicz i Julia Klimowicz – cudem wydostały się z płonącej stodoły i dopęłżyły do lasu. Poparzone, ledwie żywe, zostały przygarnięte przez mieszkańców Chworosteni, przynależącej do gminy Kamieńsk. Ale i ta wieś wkrótce została spalona przez faszystów i obie dziewczynki zginęły. Tylko dwoje dzieci ze znajdujących się w stodole przeżyło – siedmioletni Wiktor Żelobkowicz i dwunastoletni Anton Baranowskij. Kiedy w płonących ubraniach, ogarnięci przerażeniem ludzie wybiegali z płonącej stodoły, razem z innymi mieszkańcami wsi wybiegła Anna Żelobkowicz. Mocno trzymała za rękę siedmioletniego syna Witię. Śmiertelnie ranna kobieta padając, przykryła swoim ciałem syna. Ranne w rękę dziecko przeleżało pod trupem matki do odejścia faszystów ze wsi. Anton Baranowskij był ranny w nogę kulą rozpryskową. Hitlerowcy uznali go za martwego (...) 6 ludzi zostało uznanych za świadków chatyńskiej tragedii. Jeden dorosły i pięcioro dzieci.

Tym dorosłym był Josif Kaminskij urodzony w 1887 roku.

Męczy mnie życie (...) Niczego mi nie brakuje, zawsze mogę zadzwonić do spółkomu w Łohojsku, poprosić nawet o wiadro czarnego kawioru – i za chwilę dostarczą. Ale następnego dnia zadzwonią i powiedzą: panie Kamiński, przyjeżdża ważna delegacja, musisz ich pan oprowadzić. Więc ja muszę pokazywać im Chatyń, po raz setny opowiadać, jak to było, i przeżywać wszystko od nowa – to wyznanie Kamińskiego przytacza jego krewny, Maruis

Vaškevičius, mieszkający na Litwie (Sarmackie krajo-brazy pod red. Martina Pollacka, Czarne 2002).

I może jeszcze jedno – najstraszniejsze z przypuszczeń, które znów powtórzę za Maruisem Vaškevičiusem: ...mojego stryjecznego dziadka Józefa Kamińskiego nie było w Chatyniu, gdy hitlerowcy puścili jego wieś z dymem. Był wtedy na chrzcinach we wsi Seredniaja, rodzinnej miejscowości mojego dziadka.

Bardzo możliwe, że władze ZSRR, wybierając ze wszystkich spalonych wsi tę najbardziej odpowiednią brzmieniowo i geograficznie, wcale nie interesowały się jej prehistorią. A mojemu przodkowi przyszło po sto razy powtarzać legendę, którą wymyślił albo którą mu narzucono: opowiadać o tym, jak płonął w swojej zagrodzie, mimo że był gdzie indziej...

Ale czy jest sens w szukaniu potwierdzenia?

I czy to coś zmieni?

Chatyń: (Khatyń) nazwa nieistniejącej już wsi, określa dziś muzealny kompleks poświęcony spacyfikowanym przez Niemców w latach II wojny światowej wsiom białoruskim. Przez 35 lat od jego powstania w to miejsce trafiło ponad trzydzieści pięć milionów zwiedzających z ponad stu krajów – tyle mówi oficjalna statystyka.

Widoczny z daleka, potężny napis „ХАТЫНЬ” ustawiony przy drodze do Witebska, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Mińska kieruje zwiedzających w prawo, na boczną leśną drogę. Stąd jeszcze pięć kilometrów do polany, na której znajdowała się spalona wioska.

## My z Workuty

Nie chcę podawać swojego imienia i nazwiska. To nikomu nie jest potrzebne.

Nie chcę, żeby ktoś nawet przypadkiem dowiedział się, że przeszłam przez to piekło.

Człowiek potrafi się przystosować do każdych warunków.

Zbudować świat wokół siebie.

I wtedy jest łatwiej.

Nie chce pamiętać, jak to było.

Ale nawet w piekle można żyć.

Jeśli pamięć mnie nie myli i dobrze to sobie przypominam, wywieźli nas 10 albo 12 lutego 1940 roku. Pamiętam, że ojciec jeszcze próbował w ostatniej chwili zabić świnię, żeby zabrać chociaż trochę jedzenia na drogę. Miał na imię Maciej, mama zaś Eufrozyna. Mieszkaliśmy w Czeknie pod Łuckiem, tam moi rodzice pobudowali dom. Wprowadziliśmy się do niego w 1935 roku, ta data mocno tkwi w mojej głowie – w tym roku zmarł 12 maja marszałek Józef Piłsudski. Ojciec był sołtysem, nosił się po pańsku, do pracy w ogródku zakładał rękawiczki. Ziemi ornej uprawialiśmy sporo, a nad samym Styrem w naszym użytkowaniu był kawałek łąki. Konie, wóz, narzędzia, krowy – mieliśmy wszystko, co

konieczne było do gospodarzenia. I pomoc rodziny i sąsiadów.

Nikogo już nie ma. Nic nie zostało po Szlichtach. Nie ma takiej potrzeby, żeby teraz o tym wspominać.

W Czeknie mieszkali razem Ukraińcy i Polacy. Obok siebie. Przez środek wsi szła główna droga, od niej odchodziły dwie boczne. Najbliższa czteroklasowa szkoła była w wiosce Jałowycz. Latem szło się na skróty, przez strumyk. A zimą do szkoły wożono dzieci saniami, raz dawali podwodę oni, raz my. Nikt z tego nie robił problemu. Był sklep, który prowadzili Żydzi. Był też dwór, tuż obok cerkwi, we dworze mieszkał pułkownik, między nim a rodzicami panowała zażyłość...

Pamiętam piękne lipy wokół dworu.

Pułkownika z rodziną i część naszych osadników, tych, co to mieszkali bliżej Styru, wywieźli wcześniej. Na nas przyszyła kolej w drugim rzucie. Wywozić – „dom pod srebrom” – kułak, bo dach pokryty był ocynkowana blachą. Zasypać studnie – bo kułaka. Zanim wykopano nową, przez rok cały chutor po wodę jeździł do rzeki.

Rodziców wywieźli na Szoksze, do wyrębu lasu koło Archangielska. Mnie oddzielnie, dali do obozu na Workutę. Towarowy pociąg, którym nas wieźli, stał tygodniami na bocznicach. Wyjechaliśmy wiosną, dotarliśmy pod koniec lata. W tym, co kto miał na sobie. Ubranie: waciaki, walonki, dostaliśmy dopiero w obozie. Po drodze jedni się rodzili, bo przecież jechały



z nami ciężarne kobiety, inni umierali, chorowali... Wielu nie dojechało do obozu... „Podjom” – wstawać, będzie liczenie. W nocy przychodzili sprawdzać, czy nikt nie uciekł.

Dlaczego nam było wtedy do śmiechu – nie wiem, chyba tylko to nam zostało – śmiech. Byliśmy młodzi, wszystko wydawało się tak niedorzeczne, że aż śmieszne.

Osobne wagony przeznaczono dla kobiet, osobne dla mężczyzn. Były surowe kary za łamanie tego zakazu. Ale kiedy dojechalśmy na miejsce, to do czasu, aż stanęły baraki – spaliliśmy razem, mężczyźni po lewej, kobiety po prawej. Szła zima i jedni drugich popędzali, sami stawialiśmy sobie obóz. Może to wydaje się dziwne, ale więcej zainteresowania wzbudzała kromka chleba niż rozebrana, naga, młoda kobieta. Wyroki były różne: najmniej dziesięć lat, piętnaście, ale były i takie po dwadzieścia. Szukali szpiegów, wrogów Stalina. Ludzie przyznawali się do wszystkiego. Każdy człowiek ma jakiś poziom odporności, później już przestaje reagować rozumnie... Torturowali podczas przesłuchań, wrywali paznokcie, miażdżyli palce, że moja głowa nie chce tego nawet wspominać, dusi mnie w gardle.

Dla nowych pobyt w obozie zaczynał się od kwarantanny. Trzeba było się do naga rozebrać i golili włosy, niby od wszy, żeby nie zawlec epidemii. Trafiałam do drugiego obozu, tak było to podzielone według liczb,

mieliśmy może więcej niż kilometr od kopalni. Każdy dostał swój numer. Miał naszyty na ubraniu, na „buszłacie”, na czapce, na jednym kolanie spodni.

Nie chcę pamiętać swojego numeru, ale śni mi się po nocach.

Najpierw badała wszystkich komisja lekarska i byliśmy przydzielani do różnych prac. Najślabi pracowali na powierzchni, w obozie. Najsilniejsi w kopalni. Na bramie wyczytywali wszystkich po kolei, według numeru. Zimą szliśmy w takim tunelu ze śniegu, nawet głowy nie wystawały. Na łopacie się zjeżdżało po szynie od wózków na wyrobisko, na dół. Każdy miał swoją lampkę na ropę: śmierdziało, kopciło, wystarczył przeciąg i lampka gasła. Wtedy głową w słupek, na oślepek, po omacku, żeby pożyczyć od kogoś światła. Kopalnia pracowała na trzy zmiany, ci wychodzą, my w dół, tak na okrągło. Węgiel biło się kilofem, później łopata „nagrużało” na taśmociąg, tam podchodziły „wagonetki”. Konie, takie małe „mongoły”, wyciągały wagoniki na powierzchnię. Jak któryś zdychał, było święto. Następnego dnia była „końska zupa”.

Nie robili różnicy – mężczyzna czy kobieta. Kopalnia była pod dnem rzeki. Z góry kapiała woda. Nadstawiało się łopatę, kiedy chciało się pić. Te „tiulki” (szprotki) i „kambuły” (może to były flądry) – solone tak bardzo, że wydawało się, że nie da się ich zjeść, wywoływały straszne pragnienie. Woda była zimna i czysta jak kryształ, przesiąkała przez skałę, drażyła ją na wyłot. Zawały się te stropy raz za razem. Idzie nas



na dół piętnaście, wraca dziesięć. Nikt nie wiedział, czy wróci. Przyszło i na mnie, też przywaliło.

Powiedzieli w szpitalu – może będzie chodzić. Napisałi, że numer... – uszkodzenie kręgosłupa. Wtedy poznałam swojego męża – w szpitalu. Był krawcem, pisali mu w papierach: chory, trzeba było komuś szyć. Dlatego trzymali go w szpitalu.

Ale zaczęło się inaczej. Tu, w obozie, chorowała większość. Najbardziej podatni byli Litwini, padali jak muchy. Jak ktoś umierał na miejscu, to wykreślano go z ewidencji, do palca nogi przywiązywano deseczkę z numerem napisanym kopiowym ołówkiem. Jak na budowie albo w lesie – zakopywano albo zostawiano na śniegu. To zależało, czy była zima, czy lato. Wtedy w ewidencji pisano: wybył w nieznanie.

Mój przyszły mąż, jeszcze zanim go poznałam, w 1948 zaczął chorować na gruźlicę kości. Puchł. Na szyi, na piersiach. Wysłali go do „ołapa 9 i 10” – tak mówili na ten obóz, gdzie lekarz z Łucka robił operacje, wyjmował żebra i wkładał w to miejsce kawałki ebonitu. Nie zgodził się, wszyscy po tym umierali, odesłano go z powrotem. Leżał trzy dni z trupami w piwnicy pod barakiem. Nie umarł, więc taka lekarka ze Lwowa, której rodzinę rozrzuciono po wszystkich obozach, od Kazachstanu po Syberię, zrobiła mu na miejscu operację. Przecięła opuchlinę i wypłynęła ropa z kawałkami kości. I rany się zagoiły.

A jak okazało się, że umie szyć i jest krawcem...

Kiedys, jak szedł pod eskortą poza obóz, żeby wziąć miarę na mundur dla naczelnika, znalazł porwaną teczkę z ceraty na śmietniku. Nie wiem, jak ją przeniósł, w każdym razie uszył sobie z koca granatowy płaszcz i z tą teczką przychodził do mnie, do kobiecego obozu. Nikt nawet nie przypuszczał, że ktoś mógłby się na to poważyć. Były dwie warty na bramie, nawet mu salutowali. Wiadomo – urzędnik, a od urzędnika dużo zależy. Życie zawsze jest silniejsze od wszystkiego, co wymyśli człowiek. A w tym najsilniejsza, największa jest miłość.

Po wypadku byłam miesiąc w szpitalu. Nie wróciłam na kopalnię, dali mnie do tartaku. Później do cegielni, do pieca. W środku było tak gorąco, że ludzie mdleli po kilka razy na dzień. Wtedy polewali ich zimną wodą z węża i gonili do pracy. Na koniec trafiłam do brygady budowlanej.

Dużo, może najwięcej zależało od brygadiera. Dobry, taki co miał głowę na karku, potrafił zakombinować tak, że na papierze wypracowaliśmy piąty kocioł. Na pierwszy tylko 300 gramów chleba i „bałanda” – woda z owsem. Na piąty prawie kilogram chleba, kasza, czasem się trafił kawałek końskiego mięsa, raz w miesiącu naparstek czerwonego cukru.

Szósty kocioł był w październiku, na rewolucję, wtedy dokładali białą bułkę.

Najgorzej robiło się w czerwcu, kiedy przychodziło ciepło. Te wszystkie ściany i kominy stawiane zimą na lodzie zaczynały się przewracać. I trzeba było

udowadniać, pisać wyjaśnienia. Wszystko zależało od naczelnika. Wystarczyło, że powiedział – sabotaż. I już nie było brygadiera.

W obozie rodziły się dzieci. Niby teoretycznie nie było takiej możliwości. Kobiety za to karali. Kiedy byłam w ciąży, wywieziono mnie do obozu oddalonego o prawie dwieście kilometrów. Pracowałam przy kołchozie. Jak tylko robiło się ciepło, w powietrzu pojawiały się tysiące komarów. Powietrze było szare. Rozmoczonym w wodzie mydłem i gliną smarowało się twarz, uszy, kark, ręce, aż powstała na skórze skorupa. Nie dało się żyć od tych komarów. Pamiętam letnią burzę, w furmankę przed nami, na której wieziono kosy, uderzył piorun. Zakopaliśmy sparaliżowanego woźnicę aż po szyję w ziemi. Wyszedł z tego. Ale wszyscy najbardziej się cieszyli, że zabiło konia.

Nam urodziła się córka. Cały czas, od samego początku, pisałam do swoich – każdy miał jeden list na rok. Ale bali się odpisywać. I ktoś wreszcie mi odpowiedział, podał adres do rodziców na Szoksy. Tak się dowiedziałam, że żyją.

Dzieci zabierali do domu dziecka. Od rodziców, żeby wychować na radzieckich ludzi. Chcieliśmy, żeby naszą córkę wzięli na wychowanie dziadkowie. Ale nie było prosto. Urzędnicy się bali, jeden drugiego. To miejsce dla dziecka, w domu u moich rodziców na Szoksy, mąż kupił za swoje szycie. Igiełką.

Barak miał na oko ze trzydzieści metrów długości. Po obu stronach były piętrowe prycze. Na środku stały piecyki, zimą było przy nich gorąco, a na ścianach szron, w kątach sople. Każdy przynosił bryłkę węgla z kopalni w kieszeni i takie było nasze niepisane prawo. Wyjścia były od szczytów, dwa. Zamknęli nas w środku, dokładnie pamiętam datę – piątego marca 1953 roku, i trzymali tak dwa tygodnie. Nie wiedzieli co będzie dalej. Bali się buntu. *Na robotu nie pajdiom, Stalin podoch* – powiedział strażnik. Jedni się cieszyli, inni płakali, że umarł ojciec narodu. Tylko toalety, takie przenośne „parasze”, pozwalali opróżniać. Ale u mężczyzn w obozie były rozruchy. Bili się między sobą: kryminaliści z politycznymi.

Po tym jak Stalin zdechł i nastał Malenkow, wszyscy już tylko mówili o amnestii.

Ale nie do wszystkich przyszła amnestia. My byliśmy polityczni, nas wypuścili w 1956 na wolność. Bez prawa wyjazdu z Workuty. Jeszcze udało nam się zobaczyć, jak burzą pomnik Stalina w samym centrum miasteczka. Zaczepili linę do traktora i... rozleciał się, jakby był z gipsu.

Wzięliśmy ślub, miałam suknię ze spadochronu, welon z opatrunkowej gazy, mąż garnitur z obozowego koca, kwiaty były z papieru. Dostałam pracę na wolności jako nocny stróż. Miałam karabin, pilnowałam banku. Był egzamin ze strzelania. Na tarczy miałam trzy trafienia. Ale to nie ja strzelałam. W każdym razie zdałam. Tak to wyglądało. Nasze papiery na wyjazd

mąż podsunął naczelnikowi, dostaliśmy zgodę na powrót do Polski

Powrót, ale gdzie? Wyjeżdżaliśmy dokładnie, kiedy tam obchodzono rocznicę rewolucji październikowej, 7 listopada 1957.

Po drodze było przejście graniczne w Terespolu i punkt repatriacyjny w Białej Podlaskiej.

W walizkach wieźliśmy pomarańcze – wszyscy w Polsce później mówili, jak wam dobrze tam było.

Obowiązuje was milczenie we wszystkim, co dotyczy Workuty. Wygadacie się komuś i wracacie tam, już my się o to postaramy – powiedzieli nam na miejscu na komendzie milicji – będziemy mieć na was oko, będziemy was sprawdzać, pilnujcie się.

Nam tu nie potrzeba wrogiej propagandy.

Podpiszcie.

Ze zbioru *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (Kraków 2019)

Ostatni krąg piekła – Stalag 307  
(Gra o historię i pamięć)

Można o tym mówić?

W dniach 6–7 kwietnia 2017 roku na terenie polskiego cmentarza wojennego w Katyniu stanęły dwie tablice informacyjne. Są kraje, do nich należy Federacja Rosyjska, ale i Polska ma w tej kwestii swoje małe osiągnięcia, w których władza państwowa uzurpuje sobie prawo do interpretowania historii i nadawania rangi wydarzeniom, termin ustawienia tablic więc nie mógł być wybrany przypadkowo – przed obchodami 77. rocznicy zbrodni katyńskiej i 7. rocznicy katastrofy smoleńskiej. Tablice ustawiło Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne powołane w grudniu 2012 roku dekretem Władimira Putina jako kontynuacja Carskiego Rosyjskiego Towarzystwa Wojenno-Historycznego (lata 1907–1914). Przesłanie propagandowe tablic jest nieskomplikowane: nie tylko Rosjanie zabijali jeńców, wcześniej robili to także Polacy w czasie

wojny polsko-bolszewickiej 1919–1920. W ten sposób strzał w tył głowy zrównano ze śmiercią z powodu ran, chorób zakaźnych (cholera, dur brzuszny, czerwonka), skrajnie złych warunków sanitarnych – przeczytałem o tym w gazetach.

Latem 1986 roku, sześć lat po olimpiadzie, na zaproszenie prof. Borysa Gniedenki – światowej sławy matematyka zajmującego się teorią niezawodności – wybrałem się do Moskwy. Naiwnie uwierzyłem w budowaną z propagandowym rozmachem na wzór niemieckich autostrad „olimpijkę” oraz możliwości fiacika 126p. W podróż zabrałem żonę i syna, chciałem im pokazać „zagranicę”: jeśli nie w zachodnim, to chociażby socjalistycznym wydaniu.

– Zastanów się, co robisz, tym nie dojedziesz – poradził mi, wyraźnie zakłopotany moją desperacją rosyjski celnik. Śmieszyło mnie to zakłopotanie i jego czapka z dużym, oceniającym twarz denkiem. Miał dużo racji, ale o tym dowiedziałem się później, z drogą pełną dziur, do tego wysypaną ostrym bazaltowym tłuczniem z trudem radziły sobie TIR-y. Już pierwszego dnia dwukrotnie przebiłem koło, jak mówią kierowcy – złapałem gumę, dobrze, że zabrałem zestaw do łatania dziur i łyżki do zdejmowania opon. Nocowaliśmy w hotelu za Mińskiem. Na ladzie hotelowej recepcji zobaczyłem ulotkę zapraszającą do Khatynia.

– Można o tym mówić? – spytałem recepcjonisty.

– A w Polsce nie? – odpowiedział pytaniem, kładąc przede mną klucze. Było w tym coś na tyle

niezrozumiałego, szokującego, że nie mogłem zasnąć. O pierwszej w nocy do pokoju wpadli z krzykiem, jak w amerykańskich szpiegowskich filmach, białoruscy milicjanci – nazywało się to rutynową rewizją, kontrolą dokumentów, ale w gruncie rzeczy chodziło o łapówkę za odstąpienie od, jak to nazwali, „czynności”.

Rano kupiłem folder od recepcjonisty. Nie znalazłem angielskiego. Patrzyłem na czarno-białą fotografię pomnika mężczyzny niosącego na wyciągniętych ramionach martwe dziecko, zdjęcia kominów... Żaden z elementów nie pasował do układanki, nie łączył się w logiczną całość z moimi wyobrazeniami o Katyniu.

Trzydzieści kilometrów przed Smoleńskiem skręciłem w prawo. Fiacika zostawiłem na poboczu. Nie wielki fragment sosnowego lasu ogrodzony siatką. Ktoś jeszcze w Polsce powiedział mi, że tu nie śpiewają ptaki. Śpiewały. Ten śpiew wydał mi się profanacją. Nie miałem za złe pionierom, ich chóralne śpiewy dochodziły z obozu wypoczynkowego po drugiej stronie drogi, reprezentowali nieokreślone zło, które nie miało kształtu ani postaci, a jednak czaiło się w pobliżu – tak to zapamiętałem.

Prawosławny krzyż i tablica w języku rosyjskim przy wejściu poświęcona jeńcom radzieckim zamordowanym w 1943 roku przez Niemców. Na polanie pomnik i tablice z czarnego marmuru z napisami po rosyjsku i polsku: Ofiarom faszyzmu – oficerom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku – poświadczające nieprawdę, o której wiedział bez mała każdy

w Polsce. Na początku lat dziewięćdziesiątych okazało się, że także informacja o zamordowanych czerwonoarmistach była propagandowym kłamstwem – poczułem się winny, bo mimo sceptycyzmu uznałem to za prawdę: możliwą, a nawet wielce prawdopodobną.

Po powrocie z Moskwy zorientowałem się, że chodziło o białoruski Chatyń i muzeum spalonych wsi, którym sowiecka propaganda próbowała „przykryć” przed światem Katyń.

## Iglica z czerwoną gwiazdą (Tadeusz Opieka)

*Piszę do Pana w sprawie, którą tak pięknie podjął Pan wspólnie z Panami Wajdą i Olbrychskim oraz innymi polskimi inteligentami. Chodzi mi o Wasz apel „Polskie światelko dla Rosjan”, apel, aby 9 maja Polacy zapalili znicze na grobach żołnierzy radzieckich. Apel ten spotkał się z dużym pozytywnym odzewem także w Dęblinie, gdzie są zbiorowe mogiły jeńców radzieckich. O tym chciałbym Panu napisać i prosić o konsultację.*

*Trzy lata temu, z poparciem Towarzystwa Przyjaciół Dęblińska rozpocząłem pracę nad książką Twierdza Śmierci-Stalag 307 [Dęblin 2010 – przyp. autora]. Uzyskałem dostęp do dokumentów IPN, prywatnych zbiorów, udało mi się przeprowadzić kilka wywiadów z żyjącymi jeszcze dębliniakami, którzy jako 12–15-letni chłopcy pracowali w okresie okupacji w piekarni wewnątrz Twierdzy.*

*Trzeba bowiem przypomnieć, że hitlerowcy we wrześniu 1941 roku utworzyli w Twierdzy Dęblin oraz dwóch fortach obóz jeniecki dla żołnierzy radzieckich, Stalag-307. W okrutnych warunkach zimy z 1941 na 1942 rok z głodu, zimna, rozstrzeliwań i tyfusu plamistego zginęło ponad 70 tysięcy jeńców. W całym okresie funkcjonowania obozu, do lipca 1944 roku zginęło ich ponad 80 tysięcy. [...] We wrześniu, październiku 2011 roku będzie okrągła 70. rocznica utworzenia tych obozów. W Dęblinie, w zasypanej fosie na zewnątrz kazamatów Twierdzy, znajduje się największa w Europie zbiorowa mogiła. Na powierzchni pół hektara komisja polsko-rosyjska w 1947 roku odkopała i doliczyła się 69 790 trupów. – Tyle z listu Tadeusza Opieki, zaczynającego się od słów Szanowny Panie Adamie, wysłanego 2 września 2010 roku do redakcji „Gazety Wyborczej”.*

*Odpowiedź nadeszła bardzo szybko: Serdecznie dziękuję za list. Pochwalam Pana pomysł, ale brak czasu nie pozwala mi włączyć się w jego realizację osobiście. Z poważaniem, Adam Michnik.*

Z Tadeuszem Opieką umówiłem się przez telefon, zaprosił mnie do siebie do Starej Miłosnej, mieszka w typowym czteropiętrowym bloku z czasów późnego Gierka. W mieszkaniu obok trwał remont, mieliśmy na rozmowę krótkie chwile ciszy między ogłuszającym jazgotem wiertarki a uderzeniami elektrycznego młota.

– Ze Stanisławem Górką, aktorem wywodzącym się z Dęblińska, poszliśmy do sekretarza Rady



Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Kunerta. Wziąłem książkę *Twierdza śmierci. Stalag 307* (wiertarka)... czy nie warto odrestaurować pomnik jeńców radzieckich. Rozbita tablica była po rosyjsku (wiertarka)... *Wieczną pamięć żołnierzom Armii Czerwonej, poległym z rąk niemieckich faszystów* (młot elektryczny)... *w latach 1941–1944 za wolność i niepodległość narodów świata* (kiwam głową, że rozumiem, teraz tylko rytmicznie odzywa się młot, wiertarka cichnie). Iglica, na końcu czerwona gwiazda, dęblińskie szkoły szły tam w rocznicę rewolucji. Wcześniej w tym miejscu był pomnik, który postawił w 1943 roku ostatni niemiecki komendant twierdzy, płk Artur Giese (zawiesza głos, obaj czekamy, aż umilknie młot)... Miejsce pogrzebienia jeńców radzieckich 1941–1942 po niemiecku, jakieś półtora metra wysokości, na górze hełm czerwonoarmisty.

Kiedy prezentowałem książkę w Warszawie w Związku Kombatantów, przyjechał osobiście ambasador Rosji Aleksander Aleksiejew. To był rok 2011. Siedział tam półtorej godziny, była namiastka dyskusji, uściskaliśmy się, podziękował mi bardzo serdecznie, obiecał współpracę. Kunert był pozytywnie zaskoczony, uznał to za pierwszy krok ze strony Rosjan, którzy nie chcieli zauważać problemu swoich jeńców z okresu II wojny światowej. Pomnik w Dęblinie został odrestaurowany.

– Zniknęła, została zdjęta gwiazda – wtrącam pośpiesznie swoje trzy grosze. Wciąż panuje cisza, pewnie robotnicy zrobili sobie przerwę na papierosa.

– Nie została zdjęta – protestuje, jakby to, co zaraz powie, miało jakieś znaczenie – uległa dewastacji, postrzelona z karabinu, obrzucona kamieniami, była rozwalona, pogięta, odpilowano ją podczas remontu, zmieniono też charakter pomnika, teraz upamiętnia także zamordowanych w twierdzy jeńców włoskich.

– Jak wypadło odsłonięcie?

– Nie było odsłonięcia, na tym się skończyło, próbowałem się do ambasady przebić, ale nie było od Rosjan odzewu.

*Twierdza Dęblin, cytadela z fosami i fortami, dawny Iwangorod. Dla dziesiątków tysięcy rodzin radzieckich to Twierdza Śmierci – miejsce kaźni ich najbliższych – napisał Tadeusz Opieka we wstępie do swojej książki Twierdza śmierci. Stalag 307. – W samym Dęblinie przez kazamaty Twierdzy Śmierci w okresie od września 1941 roku do kwietnia 1942 roku przeszło ponad 150 tys. żołnierzy-jeńców wojennych. Ponieważ brakowało miejsca w koszarach, duża część jeńców leżała na ogrodzonym drutem kolczastym dużym placu wewnątrz Twierdzy. [...] Wczesna zima 1941 roku była wyjątkowo mroźna, bo już 3 listopada zamarzła Wisła. To musiało być piekło! W obozie każdy był sam ze swym strachem. W koszmarnym tłoku śmiertelnie przerażonych jeńców, głodnych i wycieńczonych – był sam, bez szansy na ratunek. Pozostawało przerażenie i rozpacz. Zbiorowy rozpaczliwy krzyk, błagające, wyciągnięte ręce! – „My chcemy kuszat!!!” – „My chcemy jeść!!!” – do dziś przesładują najstarszych mieszkańców Dęblina. [...] Nie*



*sydham po nocach, obsesyjnie rozmyślam o pomordowanych. Myślę o okrutnej matematyce – 300 jeńców dziennie to daje 9 tys. miesięcznie! – 500 trupów dziennie, to daje 15 tysięcy zgonów miesięcznie!*

...Rusi! O Rusi ty moja kochana! (Raport 1944)

Miesiąc po wyzwoleniu miasta Komisja do Ścigania Zbrodni Niemieckich na Jeńcach Armii Czerwonej w Twierdzy Dęblińskiej powołana przez władze wojskowe ZSRR zakończyła prace i opublikowała w języku rosyjskim raport z przeprowadzonego dochodzenia. Raport zaczynał się stwierdzeniem: *Po zajęciu Polski i wtargnięciu w 1941 r. na terytorium ZSRR Niemcy przetransportowali 120 tysięcy jeńców radzieckich do starej twierdzy Dęblin (Iwangorod) i przekształcili ją w potworną fabrykę śmierci. Ze 180 000 jeńców, którzy przeszli przez twierdzę w czasie niemieckiej okupacji, 100 000 zostało na zawsze pochowanych pod ziemią, a kończył propagandowym przesłaniem: Oględziny jednoosobowych cel i pozbawionych światła karcerów świadczą o tym, że Niemcy mogli zamordować każdego jeńca, mogli uczynić go na całe życie monstrum i kalekę, mogli zmusić do jedzenia trawy i padliny, ale nie mogli zgasić w ludziach radzieckich miłości do ojczyzny i wiary w zwycięstwo Armii Czerwonej. Jeniec wojenny W.J. Oplatow 12 marca 1944 roku wyrażając swoją tęsknotę do ojczyzny, pisał:*

*„Rusi! O Rusi ty moja kochana!  
Nie powrócę więcej do ciebie...  
Kto wróci – sto lat nie zapomni,  
Wszystko swojej rodzinie opowie.  
Wszystko powie – popłyną łzy  
Wychyli szklanę – zakręci się w głowie  
Czy zaprawdę do domu nie wrócę?  
Losie zły nad jeńcem zlituj się!”*

*Na przekór hitlerowskim gangsterom [w oryg. гитлеровским гангстерам] wierni synowie radzieckiej ojczyzny, uwięzieni w ogromnym kamiennym grobie, na ścianach cel i ciemnych karcerów pisali słowa płomiennych wezwań i wiary w siłę rosyjskiego narodu.*

*„Towarzysze, jednoczcie się do walki”  
„Nadejdzie godzina, kiedy ten łańcuch pęknie!”  
„Niech żyje wielki niezwykczony naród rosyjski!”*

*25 lipca 1944 r. twierdza i miasto Dęblin oswoobodzone przez Armię Czerwoną zostały zwrócone narodowi polskiemu, ale sto tysięcy istnień ludzkich, zabitych rękoma hitlerowskich morderców i spoczywających w ziemi twierdzy dęblińskiej domaga się pomsty i surowej kary, którą powinni ponieść przed radzieckim narodem i całą ludzkością hitlerowscy padalcy!*

Raport liczy trzy strony, jest datowany na 28 sierpnia 1944 roku.

## Dęblin nie był wyjątkiem

*Te tysiące jeńców wydają się nam pozbawione cech indywidualnych. Nie wiemy, skąd przychodzili, kogo z najbliższych zostawili w domu, nie wiemy, w co wierzyli ani dlaczego przestali walczyć i poszli do niewoli.*  
– Tadeusz Opieka odsyła mnie do swojej książki, kiedy pytam o obóz. – *Po czerwcowej inwazji hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki pod koniec września 1941 roku powstał w forcie-składzie Młynki w reducie im. gen. Kątskiego obóz, w którym pod gołym niebem stłoczono ponad 8 tys. jeńców radzieckich. W miarę przybywania kolejnych transportów kolejowych jeńców lokowano wewnątrz cytadeli, w stajniach, koszarach, kazamatach oraz bezpośrednio na gołej ziemi ogrodzonej drutem kolczastym.*

*W samej cytadeli stłoczono ponad 70 tys. jeńców. W miejsce tych, którzy ginęli z głodu, chorób i zimna lub na skutek rozstrzeliwań, Niemcy lokowali następnych z kolejnych transportów, które przychodziły nawet pięciokrotnie w ciągu jednej doby. Z powodu braku miejsca w pośpiechu urządzono trzeci obóz w reducie zwanej Balonna. Pod gołym niebem, za ogrodzeniem z drutu kolczastego pod elektrycznym napięciem osadzono ponad 13 tys. jeńców radzieckich.*

Dęblin nie był wyjątkiem, lista obozów dla jeńców radzieckich była długa: Chełm (Stalag 319), Zamość (Stalag 325), Siedlce (Stalag 366), Ostrów Mazowiecka (Stalag 324), Częstochowa (Stalag 367), Łambinowice (Stalag 344)...

Według rosyjskich źródeł (gen. mjr doc. dr Wiktor Skriabin z Centralnego Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Moskwie) ogółem w czasie II wojny w niewoli niemieckiej zginęło 3,4 mln z szacowanej na od 4,6 do 5,7 mln liczby jeńców radzieckich. Tylko przez pierwsze pięć miesięcy wojny trafiło w ręce Niemców 2,6 mln czerwonoarmistów.

## Walczyłem w trzech wojnach

*PASSIERSCHEIN. Dieser Passierschein gilt für Offiziere, Politarbeiter und Mannschaften der Sowietarme<sup>1</sup> – to na górze ulotki po niemiecku. Na dole po rosyjsku: Переходить можно и без пропуска: достаточно поднять обе руки и крикнуть „Сталин кануть. Pośrodku wytłuszczony, w czarnej ramce z dwiema nadrukowanymi pieczęciami wermachtu: ПРОПУСК<sup>2</sup> – Passierschein i tekst po rosyjsku: Препустка важна для неограниченной liczby dowódców, żołnierzy i politruków РККА [Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona z ros. Рабоче-крестьянская Красная армия – przyp. autora], przechodzących na stronę Niemieckich Sił Zbrojnych, ich sojuszników, Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej i ukraińskich,*

<sup>1</sup> PRZEPUSTKA. Przepustka dotyczy oficerów, pracowników politycznych i żołnierzy armii radzieckiej.

<sup>2</sup> Przechodzić można i bez przepustki: wystarczy podnieść ręce i krzyknąć „Stalin kaput”.

*kaukaskich, kozackich, turkiestańskich i tatarskich wyzwoleńców oddziałów.*

Druga strona ulotki-przepustki ma kilka wariantów i jest skierowana wprost do żołnierzy:

*WALCZYŁEM W TRZECH WOJNACH – mówi wzięty do niewoli 52-letni robotnik z saratowskiego obwodu, M. S. Usaczew. – Odwojowałem I wojnę światową, wojnę domową i teraz tę. Za każdym razem obiecywali zwycięstwo i szczęście dla świata. I niczego te wojny nam, tym, którzy walczyli, nie dały, po każdej z nich żyło się wciąż gorzej i gorzej. Według mnie, wszystko to bzdura, ta wojna nie jest potrzebna nikomu i niczego prócz rozgoryczenia nie przyniesie PRZYJACIELE (1057/X 44)*

*ŻOŁNIERZU! Śmierć wisi nad twoją głową. Czy wiesz, ilu bliskich i spokrewnionych z tobą ludzi zginęło w tej wojnie? Ciebie czeka podobny los, ponieważ dla Stalina nie ma znaczenia, ile setek i tysięcy istnień kosztuje każdy kilometr stalinowskiego marszu na zachód. A co jeszcze się zdarzy w przyszłości! Żołnierzu! Twoim obowiązkiem nie jest zdobywanie nowych niewolników dla stalinowskiego jarzma i żydowskiej eksploatacji, a walka w interesie twojego rosyjskiego narodu. Dobro rosyjskiego narodu bezspornie wymaga nie stalinowskiego imperializmu, a oswobodzenia od stalinowskiego jarzma. PRZECHODŹ NA NASZĄ STRONĘ I WŁĄCZAJ SIĘ W WALKĘ O ZWYCIĘSTWO, WYZWOLENIE ROSJI OD BOLSZEWIZMU! OCHOTNICZY ROA (Rosyjskiej Armii Wyzwolenczej) 1052/X44*

Według gen. mjr. doc. dr. Wiktor Skriabina<sup>3</sup> około 16% jeńców radzieckich [tj. od 736 do 912 tys. – przyp. autora] walczyło przeciw ZSRR po stronie niemieckiej w formacjach Rosyjskiej Armii Wyzwolenczej, Waffen SS czy oddziałów pomocniczych Hilfswillige.

W październiku 1944 roku te ulotki-przepustki nie mogły już niczego zmienić – losy hitlerowskich Niemiec były przesądzone. Dla wielu Rosjan (zwłaszcza z republik nierosyjskich ZSRR) opowiadanie się po przegranej stronie niemieckiej było aktem wyboru mniejszego zła – nawet w kontekście bardzo złych doświadczeń pierwszych lat wojny tym największym złem był dla nich Stalin.

### „Składnica” (Raport 1947)

*Pokaźna liczba jeńców zmuszona była pozostawać pod gołym niebem na mrozie. W rezultacie tysiące jeńców ginęło z głodu, chłodu i chorób zakaźnych, Codziennie umierało tylu ludzi, że jeńcy nie mogli nadążyć z wywożeniem i grzebaniem zwłok, Niemcy urządzili wewnątrz twierdzy „składnicę” trupów, które stosem leżały na placu. Stos zwłok był tak duży, że Niemcy sporządzili drabinę z desek, aby można było zwłoki składać na górę. Liczę, że w tej „składnicy” w styczniu 1942 r. znajdowało się około 5 tysięcy zwłok. „Składnica” ta egzystowała*

<sup>3</sup> 5.10.2016 roku sesja w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau.

przez 2–3 tygodnie, póki Niemcy nie zorganizowali wywozu zwłok do miejsca pogrzebania. Zwłoki wywozili z twierdzy na platformach kolejowych oraz furmankami. Ładowali je i wyładowywali jeńcy własnoręcznie. – To fragment zeznania Józefa Mikołajczyka, piekarza zatrudnionego w twierdzy, ze sprawozdania końcowego połączonych komisji: Polskiej Państwowej Komisji pod przewodnictwem wiceministra sprawiedliwości Leona Chajna i Specjalnej Komisji Radzieckiej pod przewodnictwem Radcy Sprawiedliwości ZSRR D. Kudriawcewa, które w dniach 16–21 października 1947 roku przeprowadziły śledztwo w Dęblinie. Towarzyszyła im rosyjska sądowno-lekarska komisja rzeczoznawców z głównym ekspertem Ministerstwa Obrony Związku Radzieckiego płk. służby medycznej prof. M. Awdiejewem.

Zaręczam – równie drastycznych zeznań jest w protokołach Komisji znacznie więcej, by nie epatować niepotrzebnie okrucieństwem, przejdę od razu do „konkluzji ostatecznej”: *Sądowo-lekarska komisja rzeczoznawców zbadała pięć masowych cmentarzysk radzieckich jeńców wojennych na terenie twierdzy Dęblin i w jej okolicach, otworzyła w 12 miejscach groby, przeprowadziła ekshumacje i badanie zwłok i ustaliła co następuje:*

*W pięciu różnych miejscach na terenie twierdzy Dęblin i jej okolicach wykryto masowo pogrzebane zwłoki.*

*Główne cmentarzysko wykryto w olbrzymim rowie przed koszarami fortecznymi o powierzchni 6970 metrów kw. [powierzchnia boiska piłkarskiego to 7140 metrów kw. – przyp. autora], gdzie pochowano około*

*70 tysięcy zwłok w różnych stronach w pobliżu twierdzy. Ogólna ilość zwłok na wszystkich cmentarzyskach jest nie mniejsza niż 71 104 zwłok.*

„Gęstość grzebania zwłok” – czytając akta, po raz pierwszy zetknąłem się z tym terminem. Dla masowych mogił dęblińskiej twierdzy wynosi ona od 20 do 6 zwłok na metr kwadratowy powierzchni.

A jednak byli tacy, którym udało się przeżyć to piekło: *W 1939 roku mieszkałem we wsi Suraż, powiat Krzemieniec, województwo wołyńskie. Po wkroczeniu w 1939 r. Armii Radzieckiej do miejscowości Suraż powołany zostałem do czynnej służby wojskowej w Armii Radzieckiej. W chwili ataku niemieckiego na Związek Radziecki służyłem w wojsku na Kaukazie. W dwa tygodnie później przewieziony zostałem w pobliże Leningradu, a następnie pułk, w którym służyłem, skierowany został na front. Wkrótce zostałem ranny i dostałem się do niewoli niemieckiej w miejscowości Jarców nad Dnieprem. Dokładnej daty dostania się do niewoli nie pamiętam, ale przypominam sobie, że był to okres żniw w 1941 r. Niemcy po wzięciu mnie do niewoli chcieli mnie zastrzelić. Tłumaczyłem im, że jestem Polakiem. W tym właśnie momencie doszedł oficer niemiecki i zapytał mnie po polsku, w jaki sposób znalazłem się w wojsku rosyjskim i skąd pochodzę. Gdy odpowiedziałem, że pochodzę z Krzemieńca, ów oficer odpowiedział, że był w Krzemieńcu w 1918 r., następnie zwrócił się do żołnierzy niemieckich, mówiąc, że nie wolno mnie zastrzelić, lecz że mają odprowadzić mnie do sztabu. [...]*



*W połowie grudnia 1941 r. (był już mróz) przewiezieni zostaliśmy pociągiem do stacji kolejowej w Dęblinie. Wieziono nas do Dębłina pociągiem towarowym w odkrytych wagonach. Wielu jeńców było bez płaszczy i bez butów. W czasie transportu do Dębłina wielu jeńców zmarło z zimna i głodu. Na stacji w Dęblinie tych, którzy nie żyli, wyładowano na peron, układając ich na stosach, to znaczy jeden na drugim. Tych jeńców, którzy na skutek wyczerpania fizycznego nie mogli wyjść z wagonów o własnych siłach, Niemcy niesamowicie bili batami, a bardzo słabych dobijali strzałami.[...] Ze stacji w Dęblinie popędzeni zostaliśmy pieszo do twierdzy w Dęblinie (było nas kilka tysięcy, w tym kilkudziesięciu Polaków, reszta Rosjanie). W czasie drogi ze stacji kolejowej do twierdzy w Dęblinie zginęło też wielu jeńców. Zginęli ci, którzy osłabli i nie mogli iść o własnych siłach. Tych właśnie jeńców Niemcy dobijali strzałami. Każdy jeńiec, który z głodu i wycieńczenia wypadł z szeregu, był zabijany. Gdy doprowadzono nas do twierdzy, w obozie było bardzo dużo jeńców. Niektórzy Rosjanie mówili, że w obozie jest ponad 100 tys. jeńców. [...] Śmiertelność w tym obozie była olbrzymia. Na skutek chorób, głodu i zimna umierało w ciągu dnia co najmniej kilkuset jeńców. Wśród jeńców mówiło się, że codziennie zakopywanych jest od 500 do 1000 trupów. Najwięcej jeńców umierało w okresie epidemii tyfusu. Obok głodu najbardziej dokuczliwe było zimno, zwłaszcza wtedy, kiedy Niemcy wyprowadzali jeńców na kilkugodzinne apele. [...] W dniu 2 kwietnia 1942 r. [miałem 29 lat] na skutek starań Polskiego Czerwonego*

*Krzyża zostałem zwolniony z obozu w Dęblinie. – To fragmenty zeznań złożonych 30 lipca 1971 roku przed prokuratorem Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przez Feliksa Giżyckiego, urodzonego 29 września 1913 roku w Waśkowcach (ZSRR).*

### Państwo radzieckie pamięta!

Najpierw był „Rozkaz nr 270” ludowego komisarza obrony Józefa Stalina z 16 sierpnia roku 1941: *Dowódców i politruków zrywających w czasie walk dystynkcje i dezertujących na tyły lub poddających się wrogowi do niewoli uważać za szkodliwych dezertów, których rodziny podlegają aresztowaniu jako rodziny łamiących przysięgę wojskową i dezertów zdradzających ojczyznę. [...] Zobowiązać każdego żołnierza, niezależnie od jego stopnia, do żądania od wyższego stopniem przełożonego, jeśli pododdział znalazł się w okrążeniu, by walczył do końca, żeby przebić się ku swoim, a jeśli taki dowódca bądź grupa czerwonarmistów zamiast stawiać opór wrogowi woli oddać się do niewoli – zniszczyć z wykorzystaniem wszystkich środków, tak naziemnych, jak i lotniczych, a rodziny poddających się do niewoli czerwonarmistów pozbawić państwowych świadczeń i pomocy. Później transmitowane przez radio przemówienie z 7 listopada 1941 roku wygłoszone w Moskwie podczas defilady z okazji 24. rocznicy rewolucji październikowej – nie ma jeńców wojennych, są tylko zdrajcy.*

Paradoksalnie największym wrogiem radzieckich żołnierzy, którzy jakimś cudem przeżyli obozy jenieckie i wojnę, stało się ich własne państwo.

Państwowy Komitet Obrony ZSRR 4 sierpnia 1944 roku przyjął uchwałę „O organizacji przyjęcia wracających do ojczyzny obywateli ZSRR wygnanych siłą przez faszystowskich okupantów z radzieckich republik nadbałtyckich, zachodnich obwodów BSRR, USRR i innych czasowo okupowanych obwodów ZSRR”. 11 listopada 1944 roku gazeta „Prawda” opublikowała wywiad z gen. F.I. Golikowem, pełnomocnikiem do spraw repatriacji obywateli ZSRR z Niemiec i innych okupowanych krajów: *Ludzie wrogo nastawieni do radzieckiego państwa próbują oszustwem, prowokacją itd. zatruć świadomość naszych rodaków i sprawić, by uwierzyli w potworne kłamstwa, jakoby Radziecka Rosja zapomniała o nich, wyrzekła się ich i nie uważała za radzieckich obywateli. Ci ludzie straszą naszych rodaków tym, że w wypadku powrotu do Ojczyzny zostaną poddani represjom. Nie ma sensu obalanie takich absurdów... Państwo radzieckie pamięta i troszczy się o swoich obywateli, którzy dostali się do niemieckiej niewoli. Będą przyjęci w domu jak synowie Ojczyzny. W radzieckich kręgach uważa się, że nawet ci z obywateli radzieckich, którzy pod niemiecką okupacją i terrorem dokonali czynów sprzecznych z interesem ZSRR, nie będą pociągnięci do odpowiedzialności, jeżeli zaczną uczciwie spłacać swój dług po powrocie do Ojczyzny.* Przesłanie gen. F. Golikowa poprzez prasę, radio, w postaci ulotek sowiecka propaganda

kolportowała w całej Europie. Na tych, którzy nie dali się przekonać (nabrać) i nie chcieli wracać, Stalin znalazł inny sposób. Jedenastego lutego 1945 roku podczas konferencji w Jałcie podpisał dwustronne amerykańsko-rosyjskie i brytyjsko-rosyjskie porozumienia o przymusowej (wbrew woli zainteresowanych) repatriacji osób cywilnych i jeńców wojennych z terenów kontrolowanych przez aliantów.

Spośród 1825 tys. jeńców wojennych, którzy znaleźli się po powrocie do ZSRR w obozach filtracyjnych i batalionach karnych NKWD, 223 tys. zostało skazanych i zesłanych. Pozostali zostali poddani represjom.

## Ogień rewolucji

Tablice na terenie polskiego cmentarza wojskowego w Katyniu są kolejną odsłoną absurdalnej gry, jaką toczy Federacja Rosyjska. *Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne (RTWH) nie tak dawno zwróciło się do strony polskiej z propozycją wzniesienia na terenie Polski pomnika żołnierzy Armii Czerwonej zamordowanych w polskich obozach koncentracyjnych podczas wojny sowiecko-polskiej w latach 1919–1920. RTWH zorganizowało zbiórkę środków na wzniesienie takiego pomnika i zaproponowało postawienie go na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, gdzie w zbiorowych mogiłach spoczywają tysiące czerwonoarmistów. Polska odrzuciła rosyjską propozycję wzniesienia w Krakowie pomnika zamordowanych czerwonoarmistów. W odpowiedzi na tę*



inicjatywę polscy politycy oświadczyli, że nie chcą słyszeć o takim pomniku. Co więcej, argument RTWH o tym, że polski pomnik jest w Katyniu (pod Smoleńskiem) i byłoby dobrze wzniesić rosyjski pomnik w Krakowie, jako symbol pojednania, potraktowano z wrogością – donosiła 14 października 2014 roku agencja RIA Nowosti.

Arytmetyka manipulacji jest prosta: polega na postawieniu znaku równości pomiędzy agresorem a ofiarami agresji. Państwo, które stało się katem dla własnych żołnierzy powracających z niewoli, występuje w imieniu zmarłych w obozach jenieckich przed stu laty z powodu chorób i ran czerwonoarmistów niosących pod wodzą Tuchaczewskiego ogień rewolucji „po trupie Polski, przez Warszawę” do Europy.

## Świadectwo

Nie mam już sił walczyć, dobre i to – powiedział mi przez telefon. – Wysyłam książkę, jest świadectwem mojej bezsilności.

Tadeusz Opieka *Groby masowe. Cmentarze i miejsca pochówków* (Dęblin 2017, sfinansowana przez autora) – po kilku dniach listonosz wrzucił do skrzynki na listy brązową kopertę. Wśród cytowanej w książce korespondencji znalazłem list z 7 września 2016 roku, to jego fragment: *W imieniu Ambasadora Federacji Rosyjskiej w Rzeczypospolitej Polskiej Pana Siergieja Andriejewa wyrażamy Panu wdzięczność i głęboki szacunek za działalność na rzecz zachowania pamięci o jeńcach*

*radzieckich zmarłych w czasie II wojny światowej w obozie niemieckim w Dęblinie. Uprzejmie informujemy, że w części dotyczącej strony rosyjskiej Ambasada Federacji Rosyjskiej pozytywnie odnosi się do Pana inicjatywy i nie ma zastrzeżeń co do ustawienia dwóch krzyży na miejscu zbiorowej mogiły jeńców radzieckich w Dęblinie.*

Pomyślałem, że „wdzięczność i głęboki szacunek” to chyba za mało, że to nie wystarczy.

Nie obchodzi mnie polityka. Dziwi mnie milczenie, potworna luka w pamięci na temat dęblińskiego stalagu i innych obozów jeńców rosyjskich. Z czysto ludzkiego punktu widzenia mnie dziwi – powiedział mi Tadeusz Opieka, kiedy szykowałem się do powrotu i zamierzałem już wyłączyć dyktafon. – Postanowiłem coś w tej sprawie zrobić. Cokolwiek. Mój ojciec był z zawodu piekarzem, całą okupację niemiecką przepracował w wojskowej piekarni w twierdzy. Mieszkali na ulicy Warszawskiej w Irenie [dzisiejszy Dęblin – przyp. autora], wieczorami było słycać wołanie, jęki: *My chcemy chleba. Chczem kuszat. Chleba, chleba!*, pamiętam to z rozmów z rodzicami. Piekarnia pracowała na okrągło na trzy zmiany. Dziesięć pieców opalanych drewnianymi polanami i dziesięć pieców zapasowych opalanych węglem. Na początku, jak szli do pracy, to przechodzili przez Bramę Lubelską, środkiem twierdzy i w lewo do budynku piekarni. To było straszne, po każdej nocy sterty zamarzniętych trupów. Widzieli to każdego dnia. Ojciec był z 1907, już nie żyje. Nie chciał o tym rozmawiać, nie był to temat popularny w Dęblinie. Oficjalne

władze też nie pozwalały poruszać tego tematu. Rosyjscy żołnierze w 1945 roku rozebrali pomnik postawiony przez ostatniego komendanta obozu Artura Giesego, później postawiono na tym miejscu iglicę, zrobili to w 1947 roku studenci Politechniki Warszawskiej, pytanie, z jakiej racji, nie wiem dlaczego i jeszcze ten napis rosyjski na tablicy, który zmieniał sens upamiętnienia, wprowadzał w błąd. Po odnowieniu daliśmy inną: *Zbiorowa mogiła zamordowanych przez Niemców jeńców Armii Czerwonej ze Stalagu 307, 1941–1944 oraz jeńców Armii Włoskiej z Oflagu 77, 1943–1944. Cześć ich pamięci.*

Na terenie fortu Balonna Giese postawił dwa prawosławne krzyże na miejscach zbiorowych mogił. Postanowiłem je odtworzyć. Starania trwały kilka lat, to była moja droga krzyżowa w walce z administracją państwową i Biurem Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Warszawie. Uparłem się, dostałem zgodę. Krzyże stanęły 20.10.2016 roku.

Jak powiedziałem, nie obchodzi mnie polityka. Chciałbym z czysto ludzkich powodów poruszyć pamięć i sumienia, przywrócić godność dziesiątkom tysięcy ofiar, ludzi takich jak my.

Autor reportażu dziękuje Tadeuszowi Opiece za udostępnione materiały archiwalne i możliwość skorzystania z informacji zawartych w książkach *Twierdza śmierci. Stalag 307* (Dęblin 2010), *Groby masowe. Cmentarze i miejsca pochówków* (Dęblin 2017).

Tłumaczenia cytowanych fragmentów raportów i innych dokumentów – pochodzą od autora.

## Niebieska łotewska

(Gdzie woda w morzu czysta, trawa zielona, a krowy... niebieskie?)

Legenda mówi, że niebieskie krowy, żyjące w morzu, należały do Juras Mate (Matki Morza). Przed wschodem słońca wychodziły czasami na brzeg, by paść się na plażach i nadmorskich wydmach. Kiedyś, podczas strasznego sztormu, zginęła większość rybaków w wiosce. Juras Mate podarowała wtedy niebieskie krowy kobietom, by mogły wykarmić osierocone dzieci.

## Worek na Polaków

– Łotwa ma 64 589 kilometrów kwadratowych powierzchni, na statystyczny kilometr kwadratowy przypada statystyczny Polak, czyli Łotysz z polskim pochodzeniem, oprowadzam po Windawie statystyczne pół wycieczki z Polski na rok, bo mniej więcej raz na dwa lata przybywa tu zorganizowana grupa z kraju – żartuje bez przekonania Wiktor Bagieński, prowadząc mnie w kierunku XIII-wiecznego zamku Kawalerów Mieczowych, najstarszego zachowanego obiektu tego typu w Kurlandii.

Idziemy ulicą Pils, secesyjne fasady kamienic z przełomu XIX i XX wieku przypominają, że nie tak dawno był to główny trakt miasta.

– Nie ma jednego worka na łotewskich Polaków – robi ruch ręką, jakby próbował odgonić jakąś uprzykrzoną myśl – dzielą się na różne kategorie. Do pierwszej należą potomkowie tych, którzy zapuszczali tu korzenie od XVI aż po początek XX wieku. Wrosli w Łotwę, mówią po łotewsku, z pokolenia na pokolenie przekazują polską tradycję i polski język. Są nieuleczalnie chorzy, ich choroba nazywa się: tęsknota za Polską. Wiedzą, że nie wrócą, bo nie mają gdzie ani po co. Druga kategoria to potomkowie sezonowych robotników rolnych. Silni fizycznie i pracowici, ale poziom wykształcenia i inteligencji niski: stanowili tanią siłę, która w okresie międzywojennym szerokim strumieniem płynęła za chlebem z polskiej wsi. Mężczyźni za sezon, gdyby życie brać statystycznie, potrafili zarobić średnio 563 łaty, kobiety mniej, bo tylko 369, ale i tak przy ówczesnym kursie około dwu złotych za łata było to niezłym zarobkiem. – Wcześniej wspólnie sprawdzaliśmy dane z 1926 roku w roczniku statystycznym. – Łotewski ani w ząb, polski pożał się Boże, kiedy wybuchła wojna, nie mieli jak wrócić, zostało ich prawie 26 tysięcy. Fizycznie tu, ale głową u siebie w Polsce, wszystko traktowali jako tymczasowe, to przekazali w genach swoim dzieciom. Wierzą w cuda, chcą wracać, tylko kto na nich czeka? Ci z najnowszej, powojennej emigracji, którzy przybyli w okresie postalinowskiej odwilży z polskich Kresów:

Białorusi, Ukrainy, o tych nawet szkoda mówić. Nie znają języka łotewskiego, nie znają polskiego, ale są katolikami i uważają się za Polaków. Głową i nogami siedzą w rosyjskim okopie. Nie mają obywatelstwa, o świecie wiedzą tyle, co im powie Putin: Łotwa jest w zasięgu moskiewskiej propagandy. Ich językiem jest rosyjski, ich Polska nie leży w Polsce, o czym tu rozmawiać? Ani tak, ani tak, czyli nijak.

Mnie tu zna co drugi pies, urodziłem się w Winda-wie, chodziłem do łotewskiej szkoły – dodaje, zanim zdążyłem spytać, do której z kategorii zalicza siebie. – I tu chyba umrę. Ale gdzie zostaną pochowane moje dzieci, nie mam pojęcia: moja córka jest w Holandii (mąż Polak, trójka dzieci), syn mieszka i pracuje w Anglii. Nie muszę być prorokiem?

Gdzie car nie może...

– Jestem, a skoro jestem, to chwała Bogu, musiałem mieć jakichś przodków. Mama urodziła się w 1919 roku w Łatgalii, takie to były czasy, że gdzie, nikt nie pytał. Jeśli chodzi o ojca, mam jego zdjęcie zrobione na Bałkanach, kiedy miał dwa lata. O tym, gdzie tak naprawdę się urodził, dowiedziałem się dopiero w ubiegłym roku, syn odszukał jego metrykę. Wyszło, że w Londynie 29 grudnia 1920 roku. To oczywiście wszystko w pierwszej kolejności wina dziadka, który, jak dzisiaj byśmy powiedzieli, był przedstawicielem handlowym i szukał nabywców na Bałkanach na

maszyny do uprawy roli. Nie dał się przekonać, że rosyjskie kobiety są najpiękniejsze. Z carskim paszportem urzędnik Stefan Jazep Bagieński, związany z jakimś nieokreślonym bliżej departamentem ministerstwa rolnictwa, właściciel pięćdziesięciohektarowej posiadłości w Łatgalii, w okolicach jeziora Łubań, przed I wojną światową pojechał na wystawę rolniczą do Anglii. Tam poznał sekretarkę: pannę Margaret z domu Campbell, pochodzącą ze Szkocji, zatrudnioną w firmie produkującej silniki do traktorów i innych maszyn. Dalej było już bez niespodzianek: najpierw się zakochał, a później ożenił, ślub wziął podobno w 1916 w ambasadzie Wielkiej Brytanii w Petersburgu. Kto dzisiaj wie, jak to naprawdę było? Przed II wojną, a może zaraz po wejściu komunistów dziadek się rozwiódł z babcią, panowało przekonanie, że zabrała mojego ojca i wróciła do Anglii. W rzeczywistości zamieszkała w Rzeżycy, podobno potajemnie prowadziła korespondencję. Dziadek zmarł w 1948 roku, pochowany został na cmentarzu w Nagli. Jeszcze mniej wiadomo o jego ojcu, czyli moim pradziadku, który urodził się w Rzeżycy w witebskiej guberni, jeśli się nie mylę, w 1876 roku. W wieku dwudziestu jeden lat mieszkał w Warszawie przy ulicy Chmielnej 16, zachowały się jego dokumenty. Dwadzieścia lat temu byłem w Warszawie, niby kamienica o numerze 16 stoi, schody stare, drewniane, ale czy przetrwała wojnę, czy odbudowana, kto wie? Inna sprawa, co tam robił? Gdybym był miłośnikiem fantastyki, mógłbym podejrzewać, że studiował medycynę, bo podobno w Rydze,

gdzieś, w jakimś muzeum, jest dyplom lekarski na takie nazwisko. A tak – koniec, kropka i tyle.

### „Zakryta zona” na końcu świata

– Jeśli chcesz przypomnieć sobie filmy o Aborygenach żyjących w rezerwach – poradził mi Wiktor – to wybierz się na Kolkę.

Sprawdziłem: w 1992 roku rząd łotewski utworzył ściśle chroniony obszar obejmujący 12 wiosek i przylądek Kolka, nazwany Wybrzeżem Liwońskim (coś w rodzaju rezerwatu dla Liwów, czasem nazywanego liwońskim państwem, jako że ma własną flagę o barwach symbolizujących las, piasek plaż, morze – zielono-biało-niebieską, a w szkołach obowiązującym językiem jest liwski). Jak się okazuje, Liwowie stanowią jedną z najmniejszych narodowości świata: podobno (według danych z 2000 roku) na Łotwie żyje 177 osób podających się za Liwów, z nich zaledwie kilka włada językiem liwskim. Pojawili się na tych terenach około 5 tysięcy lat temu, po raz pierwszy określenia „levioni” użył w 76 roku n.e. w zapiskach Rzymianin Pliniusz Młodszy. Sami nazywali siebie „mieszkańcami wybrzeża” (po liwsku *raandalist*). Spychani na przestrzeni wieków przez plemiona Bałtów, czyli dzisiejszych Łotyszów, dotarli z czasem do miejsca, gdzie kończył się ląd, a zaczynało morze. Na swój koniec świata, czyli na przylądek Kolka. Centrum kulturowe „państwa liwońskiego” znajduje się we wsi Mazirbe,

tam każdego roku w pierwszą sobotę sierpnia odbywa się festiwal, na którym przypominane są narodowa liwska muzyka, obrzędy i historia. Kolka: wystarczy popatrzeć na gonione wiatrem wzdłuż wybrzeża jasnoniebieskie fale Morza Bałtyckiego, naprzeciw którym ruszają spiętrzone ciemnozielone zastępy z (nazywanej tu małym morzem) Zatoki Ryskiej. W miejscu, gdzie fale się zderzają (a podobno linia jest stała, niezależnie od pory roku i pogody), wlatują w powietrze gejzery morskiej wody, kipi piana, dając wrażenie pokazu magii, spektaklu przygotowanego przez żywioły.

– Kolka to miejsce, gdzie występują różnego rodzaju magnetyczne i przyrodnicze anomalie, tam fizycznie czuć działanie jakichś niezbadanych sił natury – zachęcał mnie Wiktor z pasją rasowego przewodnika. – W czasach sowieckich utworzono tu rejon zamknięty, obowiązywały specjalne przepustki. Brzeg uznano za państwową granicę, wysiedlono część rdzennych mieszkańców, a pozostałych, żyjących głównie z połowów, odcięto od morza: pobyt na plaży był traktowany jako naruszenie granic. W lasach zlokalizowano ściśle tajny obiekt (na miejscu osady Irbene), składający się z trzech potężnych szpiegowskich radioteleskopów. Dwa z tych radioteleskopów ocalały, mimo że zostały przeznaczone do wysadzenia w momencie opuszczenia Łotwy przez wojsko (średnica czaszy większego to 32 metry, ósmy co do wielkości na świecie). Towarzyszył im zamknięty wojskowy garnizon liczący 3 tysiące mieszkańców z pełnym zapleczem socjalnym, sklepami, kinem, domem kultury, przedszkolami...

Może tak będzie wyglądała ziemia po przejściu kataklizmu: poczerniałe oczodoły okien w opuszczonych blokowiskach, przewrócone dziecięce huśtawki na szkolnym boisku, wyrwane z zawiasów drzwi sklepów, zarastające drzewami osiedlowe drogi. „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Przepisuję z wydawanej w rosyjskim języku codziennej łotewskiej gazety („Sowietskaja Wenta”, poniedziałek 23 lutego 1981 roku, cena 2 kopiejki, wychodzi od 29 czerwca 1940 roku) znalezionej w kącie gościnnego pokoju na czwartym piętrze tego upiornego blokowiska wiersz z tytułowej strony: Partii zadanie –/ Naród/ Do zwycięstwa prowadzić,/ Ogień, zapalony przez Lenina,/ Z pokolenia na pokolenie,/ Jak sztafeta nieść. (A. Bałodis) [tłumaczenie autora]

Uczucie, jakbym dotknął rozkładającego się trupa.

### Co komu pisane...

– Windawa jest naszym najdalej na północ wysuniętym portem przeładunkowym, który nie zamarza zimą. Kiedyś po kilka statków przybijało codziennie do nabrzeży po węgiel, nawozy, ropę, na redzie ustawiała się kolejka. A dzisiaj? Dobrze jeśli dwa, trzy masowce na tydzień wpływają do portowego kanału, inna sprawa, że przy ujściu Wenty powstały nowe terminale i w nich przeładowuje się gaz, ropę, chemikalia. – Pamiętam ten odcień żalu w głosie Wiktora Bagieńskiego, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.



Łotwa walczyła z kryzysem: gospodarka skurczyła się o jedną czwartą, panowało bezrobocie, cięto płace, zmniejszono emerytury, wzrost cen ograniczył ruch turystów w letnich miesiącach zapewniających urokliwe, ciągnące się kilometrami piaszczyste, nieskazitelnie czyste plaże. Windawa mnie urzekła zabudową stanowiącą niezwykle połączenie awangardowej nowoczesnej architektury, z wielką starannością wkomponowanej w otoczenie, i starych, niskich drewnianych domostw. Z jednej strony refleksy światła: płaszczyzny szkła, w których przeglądają się płynące leniwe chmury oraz ruszające na spotkanie morza jachty i potężne samochodowe promy, wyrastające na kilka pięter w górę ponad czerwone dachy starych zabytkowych kamienic. Z drugiej: wąskie, brukowane polnym kamieniem uliczki, przy których przycupnęły stare, drewniane rybackie chaty, ledwie wyczuwalny zapach wędzonych ryb. Urzekła perfekcyjną dbałością o szczegóły i widoczną na każdym kroku organizacyjną zapobiegliwość.

– Mówią, co komu pisane – przywołuje ludowe powiedzenie, kiedy pytam, dlaczego Windawa. – Ojciec skończył polską średnią szkołę w Rzeżycy w 1941 roku, tam poznał moją mamę, która na stałe mieszkała w Dyneburgu, maturalny bal został przerwany: wybuchła wojna, Hitler uderzył na Rosję. Przyszły teść załatwił mu przydział do kolei, pobrali się w 1943 roku. Koniec wojny zastał ich w Kurlandii, ojciec podjął pracę w łączności, dostał mieszkanie w Windawie. I tak sobie całkiem zwyczajnie, po cichu, przyszedł

czas na mnie. Przecież nic nie jest tylko dobre albo złe – szuka po kieszeniach zapalniczki – może z wyjątkiem papierosów. Ale po co szukać złego, tych dziur w całym jest wystarczająco dużo.

### Zupełnie inna opowieść

– Ta historia bierze początek w Łużkach (dziś teren Białorusi) w czasach carskich, pradziadek miał pięciu chłopaków, nie było dla nich ani ziemi, ani pracy, jednym słowem dali się wciągnąć w komunistyczny spisek i musieli uciekać. Uciekali w kilku grupach, dziadek przez Szwecję do Norwegii, babcia przez Odessę, Niemcy inną drogą... [po przeczytaniu tekstu moja rozmówczyni napisze z dezaprobatą w mailu: „Nie mówiłam, że wszyscy bracia zostali wciągnięci do komunistów i że dla nikogo nie było ani ziemi, ani pracy, tylko że siostra dziadka wciągnęła go do tego. Bo jeden z braci ziemię otrzymał (to naturalne), a o reszcie po prostu nic nie wiem. A babcia pojechała za dziadkiem do Norwegii po prostu, bo go kochała i godziła się na to, czym się zajmował. Zrobił pan z nich całą spiskową rodzinę, beee... :”).

– W każdym razie w Oslo się pobrali, tam urodziło się pierwszych dwoje dzieci i wtedy zakończyła się I wojna światowa, powstała Republika Rad. Dziadek postanowił wracać z Norwegii, moja mama urodziła się w Rostowie, do Łużek, które znalazły się w Polsce, dotarli po 1918 roku. Dziadek wciąż miał sentyment

do komunizmu, wierzył w ideę równości i braterstwa tak mocno, że postanowił w 1924 roku osiąść w komunistycznym raju, by w Petersburgu (który wkrótce zamieniono na Leningrad) kształcić swoje dzieci. Bardzo szybko się zniechęcił do kraju rządzonego przez robotników i chłopów, zdecydował się na ucieczkę, ale nie zdążył: 2 stycznia 1926 roku zmarł na serce. Babcia z trójką małych dzieci w Leningradzie przeczekała II wojnę światową, przeżyła blokadę. Waleria, moja mama, wyszła za mąż za oficera marynarki wojennej, Rosjanina urodzonego w Kaliszu, jego ojciec, a mój dziadek ze strony ojca, był carskim inspektorem szkolnym w Polsce. Tak więc urodziłam się 7 października 1945 roku w Leningradzie na święto Matki Bożej Różańcowej – powoli, dobierając starannie słowa snuje swoją opowieść pani Helena, żona Wiktora.

– Co pamiętam z tamtych czasów: drogę z domu do szkoły, drogę z domu do kościoła, śnieg, deszcz. Lato zwykle spędzaliśmy w Łuzkach, do Leningradu wracaliśmy na zimę. Kiedy miałam czternaście lat, rodzice się rozwiedli, mama, która z wykształcenia była technikiem kreślarskim, rzuciła wszystko i zamieszkałyśmy w Rydze. Tam wskazano nam kościół Matki Boskiej Bolesnej, wokół którego gromadzili się Polacy. W 1963 roku skończyłam szkołę średnią w Rydze i zdawałam na polonistykę w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym. Miejsc było dwadzieścia, zdawało dwadzieścia pięć osób, dwie z zagranicy: koleżanka ze Lwowa i ja, z Rygi, wszyscy zostali przyjęci, studia ukończyło osiemnaście osób. Dziekanem

był prof. Włodzimierz Czeczot, kierownikiem katedry prof. Genadiusz Rakitski, panowała prawdziwie rodzinna atmosfera. Równolegle prowadzona była polska grupa na kierunku matematyczno-fizycznym. Zdążyliśmy, mieliśmy szczęście, bo w 1969 zlikwidowano filologię, polonistykę włączono do Wydziału Języków Obcych jako Oddział Języka Polskiego. Odpracowałam studia, wówczas byli na uczelniach pełnomocnicy do spraw zatrudnienia i każdy student otrzymywał nakaz pracy, wróciłam do Rygi. Nigdzie nie chcieli mnie przyjąć, nie należałam do partii, nie miałam rekomendacji Komsomołu, zrobiłam nawet prawo jazdy na trolejbus, w końcu zostałam operatorem w kinie „Tejka” [po łotewsku „Baśń” – przyp. autora]. Tak przepracowałam dziewiętnaście lat.

## Parówki i statystyka

W niedzielę o ósmej rano miasto wygląda jak opustoszałe: po ulicach przemykają koty, parkowe fontanny rozpylają w powietrzu wodną mgłę, nad głową krzyczą mewy, jedynie z portu dobiega łoskot uderzających o siebie z siłą, przetaczanych po bocznicach wagonów. Nie ma kogo spytać o drogę, błędzę po ulicach, szukając katolickiego kościoła Świętego Krzyża. Na szczęście mam ze sobą mapę miasta.

– Tego komunizmu w Polsce było jak mięsa w parówce, Kościół mógł działać bez przeszkód. Tu było inaczej, ale wciąż obowiązuje stereotyp: Polak

– katolik. Dla nich w kościele o godzinie dziewiątej jest odprawiana polska msza – zachęcał mnie Wiktor.  
– Przed wojną według ksiąg meldunkowych mieszkało w Windawie stu dwudziestu trzech Łotyszy z polskim pochodzeniem, teraz z powojennymi przybyszami jest ich około pięciuset. Zobaczysz tutaj Polaków na własne oczy.

W ławkach starsze kobiety, znoszone płaszcze, niemodne fryzury, w sumie jakieś osiemdziesiąt osób w wieku powyżej sześćdziesięciu lat. Tylko czterech mężczyzn. Z młodzieży: dziewczyna na oko osiemnastoletnia i nieco starszy chłopak. Cztery osoby w tak zwanym wieku produkcyjnym. Uproszczona statystyka chwili. Modlitwy po polsku, kazanie po rosyjsku. Proboszcz, w białym habicie paulina, o. Marcin Wirkowski, przybyły jakieś pięć lat temu do Windawy, rozkłada ręce: tych, co znają polski, można policzyć na palcach.

– Wniosek końcowy jest taki: ewangelicy, którzy w Kurlandii przeważają, mają około tysiąc dusz, pozostali, czyli prawosławni, katolicy, baptyści łącznie następny tysiąc. Razem niech to będzie dwa tysiące. W Windawie mamy czterdzieści cztery tysiące mieszkańców. Moje pytanie – Wiktor znów sięga po papierosa – jak nazywa się Bóg, który ma władzę nad duszami pozostałych czterdziestu dwóch tysięcy?

## Włamywaczka i kowboj

– Skończyłem średnią szkołę i pojechałem do Rygi, by studiować radioelektronikę, ale kiedy się jest młodym, myśli się trochę głupio, studiów nie skończyłem, zacząłem pracować w najnowocześniejszej wówczas w ZSRR fabryce półprzewodników. – Wiktor niechętnie wraca do tamtych czasów. – Polacy trzymali się razem, początkowo były to wspólne działania, chyba nawet pod szyldem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, później, od 1978, Klubu Przyjaciół Polski „Polonez”, prowadzonego przez Wandę Puke w Domu Kultury Budowniczych. Żonę poznałem na balu maskowym w 1980 roku, była przebrana za włamywaczkę, ja byłem kowbojem. Pobraliśmy się w 1982 roku, dwa lata później dostałem w spadku po ojcu mieszkanie w Windawie. Po jedenastu latach pracy w półprzewodnikach zacząłem wszystko od początku w wytwórni przemysłowych wentylatorów w Windawie. A poza godzinami pracowałem jako instruktor w kółku radiotechnicznym. Na Łotwie kółka zainteresowań: modelarskie, fotograficzne, taneczne nigdy nie przestały działać. W 1988 powstało Towarzystwo Kultury Polskiej w Rydze, 18 lutego następnego roku zorganizowałem pierwsze zebranie Polaków u nas, w Windawie. Później Towarzystwo przekształciło się [w listopadzie 1989 – przyp. autora] w Związek Polaków na Łotwie z Itą Kozakiewicz jako prezesem. Dla niej nie było rzeczy niemożliwych. Jeszcze nie zdążyli dojechać nauczyciele z Polski, a już ruszyła w Rydze szkoła polska,

w której przez pierwszy miesiąc zajęcia z języka polskiego prowadziła moja żona, wiadomo było, że bez własnego szkolnictwa, własnych mediów nic się nam tu nie uda. Entuzjazm w Windawie początkowo był bardzo duży, plany też ambitne, zbieraliśmy podpisy, nawet miasto dało nam lokal. Wtedy można było zrobić bardzo wiele, ale jedni się bali, inni chcieli na tym zarobić, bo Polska była jak lufcik na świat, stamtąd szło do nas świeże powietrze. Powstała szkołka języka polskiego, później przekształcona w kółko językowe dla dzieci w Domu Twórczości Młodzieży. Ale Polska szybko straciła swoją atrakcyjność, zainteresowania rodziców i młodzieży poszły w kierunku Anglii, Włoch, Irlandii... Zmniejszała się liczba dzieci, zwiększały wymagania, upadały kolejne firmy, zaczynało się bezrobocie. Przyszedł długo wyczekiwany kapitalizm, a z nim Unia Europejska.

## Parada krów w Windawie

Krowy! Wiosną 2002 Windawa zmieniła się w niezwykle śródmiejskie pastwisko. Położone w samym sercu miasta, ograniczone z jednej strony portowym kanałem, z drugiej szarym blokowiskiem z lat sześćdziesiątych. Dwadzieścia sześć rzeźb, nawiązujących do wyobrażenia krowy, stworzonych przez najwybitniejszych współczesnych artystów z różnych krajów, wzięło udział w Ventspils Cow Parade. Z tamtych czasów zostało ich siedem: krowa podróżnik

przypominająca walizkę oblepioną nalepkami hoteli – wysoka na 4 metry i długa na 7, krowa pompa na portowym nadbrzeżu z wbudowanym zaworem z przepompowni, krowa majtek w marynarskiej czapeczce i koszulce w pasy... ale z każdym rokiem kolekcja niezwykle krów rośnie. Miasto odwołuje się do legendy, chociaż „krowa łotewska niebieska” to rasa jak najbardziej realna (*latvijas zilā* po łot. albo ang. *latvian blue*), niezwykle odporna na warunki klimatyczne i choroby, uważana za unikalną ze względu na niebieskie ubarwienie. Uważa się, że wyhodowali ją około XII wieku Liwowie, którzy w tamtych czasach zamieszkiwali około 70% obszaru dzisiejszej Łotwy. W latach dziewięćdziesiątych po upadku Związku Radzieckiego niektórzy z badaczy zaczęli uważać rasę za całkowicie wymarłą, ale udało się odnaleźć kilka osobników i odtworzyć stado: dziś niebieską krowę hoduje się w specjalistycznych gospodarstwach, stała się turystyczną atrakcją. I tak jak uratowano język liwski i kulturę pierwszych mieszkańców tych ziem, tak udało się uchronić przed wymarciem rasę niebieskich krów. W tym roku Windawa wróciła do pomysłu sprzed dziesięciu lat: zaproszono najwybitniejszych twórców z całego świata do udziału w rzeźbiarskim plenerze.

– Znów w mieście przybędzie krów, Windawa, mimo że żyje z portu, postawiła na turystów, jak każde z hanzeatyckich miast ma swoją długą historię i zabytki. – Wiktor zwraca moją uwagę na osobliwości architektury, niezwykle fontanny, największą

na świecie ekspozycję okrętowych kotwic w parku, po którym kursuje wąskotorowa kolejka z 1916 roku, prowadzi promenadę wybiegającą daleko w morze do morskiej latarni, opowiada o miejscach zabaw dla dzieci, wiosce przygotowań olimpijskich, bibliotekach, salach koncertowych... – Trzeba być dwa kroki przed konkurencją. Ważne, by turyści, wyjeżdżając, wierzyli, że niebieska krowa, którą tu zobaczyli, przyniesie im szczęście.

Ze zbioru *Diabelska maszyna do życia* (Kraków 2020)

Poszukiwany żywy lub martwy  
(Najnowsza historia Ukrainy oczami  
działacza UNA-UNSO<sup>4</sup>)

Topola

Majdan, noc z 10 na 11 grudnia, rok 2013, trwa pierwszy szturm na barykady, jeszcze nie strzelali gumowymi pociskami, nawet pałkami bili jakoś tak od niechcenia: od dołu, po nogach, po dupie. Słowem przepychanki: my im – oni nam. I nagle twarzą w twarz: Witalij Kłyczko. Zatrzymuje się, chwilę milczy z uśmiechem przyklejonym do twarzy, wreszcie otwiera usta: „Dobrze spotkać człowieka, któremu można spojrzeć prosto w oczy”. Odwzajemniam uśmiech, w ciszy szczerzymy zęby, wreszcie z powagą w głosie odpowiadam: „Jestem o trzy centymetry wyższy”. Po jego oczach widzę, że nie chwyta sensu moich słów, a ten jest prosty, on ma

---

<sup>4</sup> UNA-UNSO (Ukraińskie Zgromadzenie Narodowe – Ukraińska Samoobrona Ludowa) – skrajnie nacjonalistyczna partia ukraińska.



dwa metry, ja też dwa metry, ale przy tym jeszcze trzy centymetry. Ihor, nazwisko Mazur, ps. „Topola”. Jak drzewo! – zanim wyciągnął rękę, obrócił się i uważnie popatrzył dookoła. Zadzwoiłem trochę w ciemno, tak dla spokoju sumienia, przekonany, że jest gdzieś na froncie, dlatego musiała minąć chwila, zanim zdołałem wykrztusić pierwsze słowa, kiedy podniósł słuchawkę. Był w Kijowie. Umówiliśmy się na stacji metra Akademisteczeko o szesnastej przed wejściem do składu odzieży i butów z importu Bauł.

– W październiku – chwycił moje ramię i pociągnął w kierunku podmiejskiego, nabitego ludźmi autobusu, który ruszał już z przystanku, przytrzymał drzwi, wepchnął i sam wskoczył do środka – w 2016 roku „Life.ru” powołując się na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Federacji Rosyjskiej, podało, że jestem poszukiwany listem gończym za werbunek aktywistów, organizowanie aktów terrorystycznych i masowych prowokacji w Moskwie. Walczyłem wtedy w ATO w okolicach Mariupola, nie mogłem być jednocześnie w dwu miejscach. Generalny prokurator Federacji Rosyjskiej wie lepiej, chce mnie dostać w swoje łapy pod byle jakim pretekstem – to już trzeci list gończy.

## Remis

– Powiedziałem wtedy, podczas mistrzostw Europy w piłce nożnej, kiedy Biało-Czerwoni mieli grać z Rosją: *w razie zwycięstwa reprezentacji Polski biorę*

*najwyższe odznaczenie UNSO „Krzyże Pustynne” i przyjeżdżam do Warszawy nagrodzić zawodników, którzy strzelili gola. Jeżeli polski bramkarz obroni karnego, to on także stanie się kawalerem „Krzyża Pustynnego”.* Ale niestety, skończyło się na remisie.

## W Naddniestrzu

– Rok 1992. Miałem dziewiętnaście lat, byłem ciekawy świata, chciałem zdążyć na wojnę, zostać bohaterem. Studiowałem na drugim roku, Mołdawia postanowiła siłą podporządkować sobie Naddniestrze. Pojechałem bronić Ukrainy. Te ziemie odebrał nam Stalin, połączył z Besarabią i stworzył Mołdawską Socjalistyczną Republikę Radziecką. Pamiętam jak dzisiaj – przygarbione ukraińskie babuleńki nosiły nam świeżo ugotowane pierożki i zsiadłe mleko, ze łzami w oczach prosiły: „Nie pozwólcie zaprowadzić rumuńskich porządków”. Tam ukraiński był językiem urzędowym razem z rosyjskim i – jak mówili o mołdawskim miejscowi – rumuńskim, trzydzieści procent stanowili Ukraińcy. Nasze były wsie, Rosjanie siedzieli po miastach, trafili do Naddniestrza po drugiej wojnie, odbudowywali przemysł, reszta to byli Mołdawianie. Metropolita Filaret przysłał trzech duchownych, ogłoszono secesję – powstanie Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego – i kiedy nie toczyły się walki, mieszkałem przy cerkwi w Słobozji, byłem ochroniarzem batuszki. W Naddniestrzu poznałem chłopaków z UNSO.

Nikt mnie nie kocha, nikt mnie nie lubi

– Wyrzucili mnie z uczelni, powiedzieli: „Żegnaj! Pa, pa!”. Pokłóciłem się z rodzicami. Ojciec pracował na kolei przy rozładunku wagonów, przyszedł z pracy, napił się wódki, obejrzał mecz w telewizji, poszedł spać. Starła się mama, pracowała w sklepie spożywczym. Ojcu w całym jego życiu zdarzyło się tylko raz być w mojej szkole, i to przez chwilę – przyszedł obejrzyć zakończenie. Mazur – mam po nim nazwisko, za tym idą, jak sądzę, polskie korzenie i honor, który daje czasami o sobie znać: będzie mi potrzebny, kiedy mnie dostaną. To prawda, moi rodzice nie pochodzili z jakichś znaczących, wysokich sfer, ale nauczyli mnie być uczciwym człowiekiem. Jeśli w coś wierzę, to dzięki nim...

Pochwalony bądź, niebiański dawco  
błogosławieństw<sup>5</sup>

– Wojna domowa nigdy nie jest błogosławieństwem. Walki pomiędzy zwolennikami obalonego prezydenta Zwiada Gamsachurdii a stronnikiem Szewardnadze wykorzystali separatyści z Abchazji. Ludności pochodzenia gruzińskiego było trzy razy tyle co abchaskiej, ale w parlamencie autonomii dostała ona mniej

<sup>5</sup> Fraza obowiązującego do 2004 r. hymnu Gruzji, do którego słowa i muzykę ułożył Kote Pocchweraszwili.

miejsc<sup>6</sup>. Oczywiście w podsycaniu konfliktu mieli znaczący udział Rosjanie, maczali swoje brudne paluchy w każdej wojnie, to ich odwieczna strategia. Pamiętam, w 1993 przyjechali gruzińscy parlamentarzyści prosić o pomoc. W Abchazji walczyli po gruzińskiej stronie tylko ochotnicy: miejscowi z oddziałów Mchedrioni<sup>7</sup>, „dobrowolcy” z wielkiej Gruzji i my: regularna armia gruzińska została w koszarach. Lotnictwo prawie nie brało udziału w tej wojnie, wyjątkiem były myśliwce rosyjskie, które ostrzeliwały nasze pozycje. Gruzini kupili nam bilety na rejs do Tbilisi, lecieliśmy z różnych miast po dwóch, trzech, bo ukraińskie specłużby starały się nas przechwycić. Dziś bym powiedział, że byliśmy dziećmi, większość dopiero co skończyła osiemnaście lat. Używaliśmy pseudonimów. Od strony organizacyjnej przygotowywał nasz wyjazd Anatolij Łupynis, wiedział wszystko o Rosji, do czego jest zdolna, przesiedział w więzieniach bolszewickich dwadzieścia kilka lat. Byłem w Abchazji od lipca do końca listopada, dokładnie pięć miesięcy, dowodził nami Walerij Bobrowycz.

Oto jest pytanie

– Być – nie wiem, jaki mają teraz plan, czy nie spróbują się dobrać do mnie...

<sup>6</sup> Abchazowie 17,8%, Ormianie 14,6%, Rosjanie 14,3%, zaś Gruzini 45,7% wg spisu z 1989 r.

<sup>7</sup> Gruzkańska nacjonalistyczna organizacja paramilitarna.

– Nie być – świeża sprawa z kwietnia tego roku, Denis Woronienkow z rosyjskiej Dumy, nie zabili go w Moskwie, zrobili to w Kijowie, żeby pokazać, że każdego są w stanie dosięgnąć.

Pomiędzy być i nie być – w 2014 zwabili do Rosji liderów UNA-UNSO: Mykołę Karpiuka i Stanisława Kłycha, pierwszego w marcu na rozmowy z administracją Putina w sprawie Krymu, drugiego w sierpniu, bo narzeczona zorientowała się, że jest w ciąży. Wzięli ich dwóch na wypadek, gdyby jeden z nich nie wytrzymał tortur, pracowali nad nimi tak długo, że przyznali się do wszystkiego, rzeczy, które nawet we śnie nie miały prawa się przydarzyć. Kłych chyba stracił rozum, zachowuje się niepoczytalnie. Skazano ich odpowiednio na dwadzieścia dwa i pół roku i dwadzieścia lat ciężkiej kolonii karnej. Wszystko okazało się jakąś wielką nieprawdą, ale to nie przeszkodziło Rosji w rozesłaniu listów gończych za braćmi Tahnybok, Arsenijem Jaceniukiem, dziennikarką Natalką Czanguli... Też znalazłem się wśród poszukiwanych, koronnym dowodem moich przestępstw miało być zeznanie o spotkaniu z Karpiukiem 14 grudnia 1993 roku w Groznm, chociaż tego dnia byłem w Kijowie na meczu Dynama z Bawarią Monachium: widać mnie na zdjęciach wśród kibiców na trybunach. Do czeczeńskiego wątku podczepili też Jarosława Łahniuka, miał walczyć w tym samym oddziale pod moim i „Biłego” (Ołeksandra Muzyczki) dowództwem i brać udział w morderstwach na rosyjskich żołnierzach. Żaden z urzędników prokuratury nie sprawdził życiorysu

Łahniuka – miał wtedy trzy lata. Na podobnej zasadzie wysłano list gończy za Jurijem Szuchewyczem – wówczas już niewidomym, siedemdziesięcioletnim synem dowódcy UPA, więzionym w ZSRR przez prawie czterdzieści lat za bycie „członkiem rodziny wroga ludu” – oskarżając go o przestępstwa kryminalne w 2008 roku podczas wojny z Gruzją. Szkoda, że rosyjska prokuratura nie wystawiła jeszcze listu gończego za aktorami Narodowego Teatru Dramatycznego im. Iwana Franki z Kijowa. Gdyby nie było to tak tragiczne, nazwałbym to komedią albo żartem.

### Jelcyn: siła argumentów

– Jesienią 1993 roku doszło w Moskwie do kryzysu konstytucyjnego nazywanego drugą rewolucją październikową: próby obalenia Jelcyna. W listopadzie pojechał do Moskwy Krawczuk. Chłopcy z jego ochrony mówili, że na widok ukraińskiego prezydenta Jelcyn się dosłownie wściekł, zaczął bełkotać, nieskładnie wrzeszczeć coś o „chachłach” w Gruzji, rosyjskiej geopolityce, w końcu nie wytrzymał i uderzył go pięścią w twarz, a zamiast przeprosić zagroził, że odetnie gaz i ropę. Po powrocie Krawczuk wymusił na parlamencie ustawę o karze więzienia od pięciu do dwunastu lat dla uczestników formacji biorących nielegalny udział w zakazanej przez prawo służbie wojskowej poza granicami kraju. Rosjanie zdobyli Suchumi, toczyła się wojna partyzancka w górach,

nie mieliśmy w zasadzie nic do roboty. Przerzucili nas helikopterami do Kutaisi, stamtąd jakami-40 i dalej do Tbilisi, gdzie czekaliśmy na samolot do kraju.

## Hodowla dinozaura

Rozmawiamy, siedząc przy stole w kuchni. Po drodze do domu odebraliśmy synów Ihora: starszego, Jarka, ze szkoły, młodszego, Mirka, z przedszkola. Zjedli kanapki i się nudzą, nie chcą uczestniczyć w naszej rozmowie, Ihor pozwala im włączyć telewizor i obejrzeć kreskówki, ale nie ma nic ciekawego.

– Wyhodujemy dinozaura – zdecydowanym głosem oznajmia młodszy, który przyniósł tajemnicze „coś” z przedszkola.

– Trzeba jajko włożyć do wody i poczekać – starszy kibicuje bratu – aż urośnie.

– Mówiłem wam, że nie wolno brać od obcych żadnych rzeczy, przynosić do domu. To może być niebezpieczne. – Twarz Ihora tężeje, ostrożnie ogląda zdobycz swoich synów.

– Ale wszyscy hodują prehistoryczne zwierzęta, tata, to zabawka, zobaczysz, jaki duży urośnie – upierają się. – Nic złego nie zrobiliśmy.

Ihor patrzy na mnie, kiwam głową, słyszałem o jajkach zabawkach, z których wykluwają się dinozaury.

– Widziałem różne, bardzo dziwne rzeczy, o których nie chcę nawet pamiętać – mówi. – Trucizna, gaz

powstający w reakcji z wodą, materiał wybuchowy też tak mogą wyglądać.

## Niejednoznaczne określenie

– Nie mieliśmy ciepłych ubrań, krótkie spodnie, bawełniane koszulki – w listopadzie w Tbilisi jest zimno. Naszych zginęło siedmiu, chcieliśmy zabrać ich ciała na Ukrainę, żeby spoczęli w ojczystej ziemi. Sześciu ekshumowaliśmy, wykopaliśmy trumny, Ten siódmy poległ podczas oblężenia Suchumi. Ojciec – walczył razem z nim w jednym oddziale – chciał, żeby syn leżał w ziemi, za którą zginął. Pochowaliśmy go w parku im. Nadieždy Kurczenko, Panie, świeć nad jego duszą. Nie zdążyliśmy zabrać ciała, kiedy opuszczaliśmy Suchumi. Słyszeliśmy, że wykopano jego trumnę, ustawiono na brzegu morza, Powiedz mi, czy ci, co rozstrzeliwują umarłych z automatycznych granatników, są też ludźmi?

## Na marginesie rozmów o wojnie

– „Czego szukałeś w Naddniestrzu? Przez takich jak ty zmuszony byłem swoich rodziców wywieźć z Bendery” – zaczął mnie kiedyś Poroszenko.

– Mamy moralny obowiązek bronić swoich, łącznie z prawem do walki o przywrócenie utraconych ziem – odpowiedziałem, ale zdenerwował mnie jego ton. Tam żałoba, Ukraińcy za ojczyznę wypłakują oczy, a on

o sobie myśli. To, co teraz powiem, nie będzie uczciwe, ale muszę wyładować swoją złość: jego ojciec, komunistyczny działacz, był przewodniczącym kolchozu, za kolchozowe pieniądze dał synowi wykształcenie, pchnął go do Kijowa, gdzie ten został najpierw parlamentarzyścią, później ministrem, a na koniec prezydentem. Może gdyby w Naddniestrzu było cicho w 1992 roku, to byłby teraz lokalnym bonzą i zajmował się kontrabandą. Największy problem Ukraińców to Ukraińcy, jeden topi drugiego. I powiem ci jeszcze, to reguła, od której nie ma wyjątków – za człowiekiem, który był przez dziesięć lat parlamentarzyścią, więzienie płacze krwawymi łzami.

## Wolny Kaukaz

– Kto ma pieniądze, ten rządzi, oligarchowie prowadzili Ukrainę jak dojną krowę do rzeźni. Rozumiał to Sasza „Biłyj”, ale komuś wszedł w drogę i go sprzątnęli. Rozrywali koszulę, sprawdzili, czy nie ma kamizelki kuloodpornej, oddali kontrolny strzał w serce. Był bojowym chłopcem, przyłączył się do UNSO w 1993 roku. Pojechał z naszymi, kiedy zaczynała się pierwsza czeczeńska. Koordynował przepływ informacji – siedział w jednym gabinecie z Mowładim Udugowem, rzecznikiem Czeczeńskiego Ruchu Oporu, za ścianą miał Dżochara Dudajewa. Dwa razy w tygodniu zbierali się w Kijowie dziennikarze w Centrum Prasowym „Wolny Kaukaz”, z Groznego dzwonił Sasza przez komórkę, a wtedy telefon komórkowy to było coś, zadawali pytania.

Rosyjska propaganda wmawiała światu, że torturuje, obcina uszy, znęca się nad jeńcami. Nie było nas tam wielu – dwudziestu, trzydziestu... Samolotem do Tbilisi albo pociągami Kijów–Baku, dalej samochodami przez Dagestan do granicy, a tam zaskoczenie, Rosjanie, to było 25 czy 26 grudnia 1994 roku, już wkroczyły wojska, nie sposób granicy przejść. Czeczeńcy ulokowali nas w obozie pionierskim w górach. Czekamy, deszcz przechodzi w śnieg, rano na placu apelowym potężna śniegowa kula, jakiś cud natury, ze zdumienia przecieram oczy. Z bliska... bez szyi głowa Lenina w czapce, taka wizja artysty, rzeźba. Siedzieliśmy tam dwa tygodnie, zanim przetrzucili nas do Groznego. Braliśmy udział w walkach. Oleg Chielnow (zginął w Czeczenii) i Sasza „Biłyj” dostali od Dudajewa ordery „Bohater Narodu”. Miałem dwadzieścia jeden lat, byłem tam dwa i pół miesiąca.

## Diadia Tola

– „Jedyny sposób/ zmienić coś – To wziąć automat/ Albo pióro...” – poruszał się z trudem, jak manekin na sztywnych nogach, przyjechał do nas po Bożym Narodzeniu, 10 stycznia 1995 roku. Długa biała broda, porwana zmarszczkami twarz: poeta, symbol ukraińskiej niepodległości, Anatolij Łupynis – pochowaliśmy go na „Bajkowym Cmentarzu” w Kijowie w 2000 roku, Panie, świeć nad jego duszą. W październiku 1956 roku został skazany na sześć lat ciężkiego obozu za hasło „Ręce



precz od wolnych Węgier” – studiował wtedy astronomię na kijowskim uniwersytecie. Rok później, po słynnym xx Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, na którym poddano krytyce kult jednostki, stanął na czele buntu politycznych więźniów – „zeków” odsiadujących karę w obozach Mordowii. Buntowników rozjechano czołgami, dostał kolejne dziesięć lat w obozie o zastrzonym rygorze za „antyradziecką agitację i propagandę, organizację kontrrewolucyjnego sabotażu”. Tortury spowodowały paraliż nóg, wypuszczono go w 1967 roku. Kolejne dwanaście lat dali mu za odczytanie pod pomnikiem Szewczenki w Kijowie wiersza o Ukrainie „Widziałem, jak gwałcili matkę” w rocznicę urodzin poety 22 maja 1971 roku. Więzienia, w których trzymano go wcześniej, można było nazwać kurortami w porównaniu do „specobożu” w Dniepropietrowsku. Wyszedł w wieku pięćdziesięciu lat, wrócił na wieś i pierwszą osobą, którą spotkał, była Olha – jego pierwsza szkolna miłość. Porzuciła męża i z czwórką dzieci zamieszkała razem z nim, urodziła mu dwóch chłopaków: Iwanka i Mykołę, obaj walczą teraz w naszym oddziale. Jakim ojcem był „diadia Tola”, czy zajmował się wychowywaniem dzieci – nie wiem, chyba nie miał czasu, kuśtykał na swoich chorych nogach z miejsca na miejsce, podróżował, zagrzewał do walki. Drzwi gabinetów Hajdara Alijewa, Szewardnadzego, Dudajewa stały przed nim otworem. Przyjechał wyciągać naszych z obozów jenieckich: Ukraińców, którzy walcząc w rosyjskich oddziałach, trafili do niewoli. Inna sprawa, że na widok „dziadzi Toli” wszyscy deklarowali ukraińskie pochodzenie – „ja z Winnicy”,

„a moja babcia z Równego”, „Sława Ukrainie”... – chociaż Rosjanie to w większości normalni, przywojoci chłopcy, żaden specnaz. Sam wyciągnąłem kilku naszych od Basajewa, później za każdym razem, kiedy mnie widział, odgrażał się: „jeszcze raz zobaczę cię z jeńcami, a żadnych naboji, żadnego wsparcia”...

### Do trzech razy

– Dostała się do niewoli w Groznym taka „suka”, okrągła morda, może tatarska, kto go wie, czołgista, a tych i lotników trzymają do końca wojny, przysięgał, że mużulmanin, walczyć nie będzie, wróci do matki do domu, wypuścili. Drugi raz trafił do niewoli po kilku dniach, znów na kolanach błagał, że zmusili, nie pozwolili na rodziny łono i Czeczeni darowali mu życie, wymienili go, bo akurat doszła do skutku wymiana jeńców. Następnego dnia trafili czołg, dowodził atakiem, wzięli do niewoli załogę, a tu on, jako mechanik-kierowca, drze mordę: „Gdybyście wiedzieli, czarne psy, jak was nienawidzę!” Czeczeńcy go rozstrzelali, potwierdziło się porzekadło, do trzech razy sztuka.

### Major FSB

– Czy coś w wojsku rosyjskim się zmieniło? Na górze był szpitalik, w piwnicy trzymali jeńców, początek lutego, trzeba było jechać po amunicję, została

w koszarach jeszcze z czasów sowieckich. Poszedłem wziąć z dziesięciu ruskich, żeby pomogli. Wchodzę do środka, spore pomieszczenie, trzy łóżka, przy każdym krzesło, lusterka na ścianach, na środku stół, żołnierz szoruje podłogę. Nie mieliśmy takich warunków, spaliśmy po piwnicach, na mokrych materacach, bezpośrednio na ziemi, grzaliśmy się cygankami... Pytam, kto starszy, kto dowodzi – podrywa się podpułkownik. Mówię, że potrzebuję ludzi.

– Sierżant do mnie! – krzyczy w kierunku zasłony, która przedziela pomieszczenie. Zaglądam, a tam na gołej ziemi, na powierzchni o połowę mniejszej, śpi może dwudziestu pięciu szeregowych żołnierzy. Melduje się sierżant. Mówię:

– Trzech do roboty już mam. – Pokazuję na tych z pierwszego pomieszczenia. – Daj mi jeszcze siedmiu ludzi.

– Jaki wasz stopień, kto dał wam prawo nam rozkazywać? – wtrąca się do rozmowy drugi z oficerów. – Jestem majorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. – W jego głosie czai się groźba.

– Żołnierze – zwracam się do szeregowców – oto człowiek, który bez wyrzutów sumienia strzeliłby wam w plecy, a wy szorujecie mu podłogę?

– Nikt ich nie zwolnił od przysięgi, mają psi obowiązek wykonywać rozkazy. – Tamten nie traci pewności siebie.

– Jedziemy. – Biorę wszystkich, widzę, podpułkownik w miarę normalny, tylko major i ten trzeci, kapitan, patrzą na resztę z pogardą, gonią ich do roboty.

– Oficerowie pokażą żołnierzom, jak nosi się skrzynki z amunicją.

Był ubaw. To szczegółowa odpowiedź na twoje pytanie o rosyjskie wojsko.

## Mineralne Wody

– Wracaliśmy po dwóch, jechałem z Wadimem kursowym autobusem z Machaczkały, leży na brzegu Morza Kaspijskiego, że niby pracowaliśmy na kutrze, dorabialiśmy, łowiąc ryby. To było dokładnie 17 marca, w dzień moich urodzin. Zatrzymali nas w Mineralnych Wodach na blok-poście: okopany transporter, może dwunastu żołnierzy z bronią, robią rewizję. Wyciągnęli „telniaszkę”<sup>8</sup> ubrudzoną smarem do pistoletu, sprawa oczywista, wybebeszyli nasze torby, szczegółowo sprawdzają dokumenty.

– Masz urodziny. – Lejtnant patrzy mi prosto w oczy. – Jesteśmy, widzę, w tym samym wieku. Co, matka czeka? Czemu twój kolega gapi się na mnie z taką nienawiścią?

– Nie lubi Ruskich. – Wzruszam ramionami, co ma być, to będzie.

– Pakujcie rzeczy – on na to, więc wrzucamy, jak popadnie, wszystko do torby, autobus stoi, czeka. Lejtnant patrzy na nas, my na niego.

---

<sup>8</sup> Podkoszulek w paski, prestiżowy element umundurowania rosyjskich żołnierzy.

– Zabieraj swojego przyjaciela.

Mieliśmy szczęście, no ale pociąg mamy w nocy, nie ma siły, żeby nas nie zatrzymali. Kupiłem wódkę. Siedzimy w parku, udajemy, że pijemy. Przyszli miejscowi menele, rozlewaj po kielichu. Milicja też się przyplątała, piją z nami, znaczy jesteście swoi, równe chłopaki, nikt nie pyta o dokumenty. Wzięliśmy jeszcze kilka flaszek, odprowadzili nas na peron.

– Federalna Służba Bezpieczeństwa. – Pociąg rusza, a tu w drzwiach przedziału staje cywil.

– Świętuję urodziny. – Pokazuję butelkę, a on, że służba, że nie można.

– Po sto pięćdziesiąt nie, ale po pięćdziesiąt wypada. – Nalewam do szklanki, wyciąga rękę.

Na granicy wpadli żołnierze, obstawili drzwi, dowodzi nimi nasz cywil, nie ma przeprosić, wezmą nas. Czekamy, czekamy, a tu pociąg rusza. No, myślę, po wszystkim.

– Pieczętki w paszporcie brak, wysiadać! – Zaczynają nasi, Ukraińcy. Tłumaczą, że to moje urodziny.

– To na co czekasz? Stawiaj, ale żeby dla wszystkich starczyło.

Za resztę pieniędzy kupiłem dwie butelki. I dorzuciłem jeszcze te z Mineralnych Wód. Puścili.

## Sodoma i gomora

– W lipcu 1995 roku zmarł Wołodomyr Romaniuk, patriarcha Kościoła Prawosławnego Patriarchatu

Kijowskiego, wtedy premierem był Jewhen Marczuk, a Kuczma dopiero zaczynał swoją prezydenturę. Po-  
stanowiliśmy pochować go w Soborze Mądrości Bożej (Sobór Sofijski), ale Berkut zablokował nam drogę, przebiliśmy się przez kordon milicji, za nami prawie tysiąc, a może więcej ludzi, teren wokół cerkwi pełen funkcjonariuszy, brama zamknięta, transportery opancerzone z armatkami wodnymi, jednym słowem sodoma i gomora. Nie da rady w środku, więc kopimy grób przy wejściu obok dzwonnicy, pochowamy go pod murami. Kiedy już opuszczaliśmy trumnę, nagle wściekły atak: nie patrzą, biją kogo popadnie, kobiety, dzieci, leje się krew. „Czarny wtorek” – to wszystko na oczach dziennikarzy, cała ta masakra, bitwa. Podsumowanie: dwóch zabitych, jedenastu naszych z UNA-UNSO aresztowanych, dziesiątki rannych. Później, kiedy re-  
staurowali pomnik kniahini Olhy, zostały im płyty marmuru włoskiego, zrobili nad mogiłą sarkofag. Nikt by dzisiaj nie powiedział, że w tym miejscu toczyła się zaciekle religijna wojna między wiernymi a władzą.

## Ukraina bez Kuczmy

– Wszystko zaczęło się od śmierci Heorhija Gongadze, poznaliśmy się w Abchazji, gdzie przyjechał robić film i został ranny. Zaginął 16 września 2000 roku, jego ciało pozbawione głowy znaleziono 3 listopada. Pochowano go dopiero po szesnastu latach od śmierci, tyle czasu trzymali go w lodówce w kostnicy, matka

miała wątpliwości, nie rozpoznała zwłok. Fala protestów ogarnęła Ukrainę, kiedy okazało się, że z zabójstwem powiązany jest prezydent, centrum Kijowa okupowała młodzież, toczyły się walki z milicją, chłoniliśmy namiotowe miasteczko. Dostałem trzy lata, odsiedziałem wyrok w więzieniu w Charkowie. Rozpadła mi się rodzina, żona pracowała w Ministerstwie Spraw Nadzwyczajnych, dali jej ultimatum, napisała „nie podzielam poglądów politycznych męża, proszę o rozwód...”. Wyszedłem w 2004 tuż przed pomarańczową rewolucją, wybrali mnie na przewodniczącego kijowskiego oddziału UNA-UNSO.

## Bezczelność!

– Wygraliśmy, Juszczenko został prezydentem. Zamierzałem przyjąć się do urzędniczej pracy w państwowej administracji, poszedłem na rozmowę.

– Nauczyciel historii – odpowiedziałem, kiedy spytano mnie o wykształcenie.

– To powinieneś szukać pracy w szkole. – Dyrektor urzędu, notabene też nauczyciel historii, stwierdził, że brakuje mi odpowiedniego doświadczenia organizacyjnego.

– A jakie pan ma wykształcenie? – starałem się, żeby zabrzmiało to grzecznie – Może razem pójdziemy uczyć dzieci?

– Bezczelność! – Pokazał mi palcem drzwi.

## Medale

– To „Za Odwagę” od Juszczenki w 2007 roku, to gruziński order jeszcze z 1993 roku „Wachtanga Gorgasali” trzeciego stopnia od Szewardnadzego, od Jurija Szuchewycza, przywódcy UNA-UNSO z 2008 roku, „Krzyż Pustyni”, medal „Za ofiarność i miłość do Ukrainy” od Patriarchy Filareta i z tego samego 2015 roku „Za Obronę Mariupola” od dowódcy gen. Syrotenki. A tu od prezydenta Poroszenki „Obrońcy Ojczyzny” z 2016 – na dźwięk wykładanych na stół medali uchylają się drzwi pokoju, w którym bawią się synowie Ihora.

– Jutro się wykluje. – Młodszy z dumą w głosie stawia na stole słoik z wodą ze spoczywającym na dnie „jaszczurczym” jajem. – Będzie jeszcze mały.

– Nasz tata jest bohaterem. – Starszy spogląda na stół. – Jak dorośniemy, też dadzą nam ordery.

– Chcemy jeść, zrób nam kanapki, chleb z żółtym serem – przerywa mu młodszy.

– Bierzcie po jednym i zmykajcie. – Ihor myje jabłko, kładzie na talerzu. – Jak im wytłumaczyć, że dla takich blaszek nie warto umierać?

## Rubikon

– Mówiąc uczciwie, na początku nie miałem takiego przekonania, że coś ważnego będzie z tego Majdanu. Pomógł nam Janukowycz, przekroczył granice przyzwoitości, kiedyś mówiło się, że przekroczył Rubikon,

ludzką obojętność zmieniał w gniew. Nie nocowałem w domu, dzieci i żonę wywiozłem do Winnicy do teściów, od grudnia do lutego trzy razy byłem u nich, bez uprzedzenia, zawsze z ochroną, puk, puk w okienko, konspiracja, samochód dwie ulice dalej. Nie byłem bezpieczny, polowali na mnie „bracia z Moskwy”. Prosiłem o pozwolenie na broń, wtedy mógłbym się bronić, ale nasi nie wyrazili zgody. Żyję wciąż być może z tej prostej przyczyny, że jeszcze nie dali na mnie odpowiednio dobrze płatnego zamówienia. Nawet pistolet mi nie pomoże, jeśli po drugiej stronie będą zawodowcy, ustrzelą mnie bez problemu. Sprzyjająca okoliczność w tej grze to wariant „bandyckich porachunków”, wtedy mam szansę, może zdążę się uchylić przed nożem.

## Propaganda

– Ktoś za naszymi plecami podejmuje decyzje, prowadzi swoją wojnę. Idzie po linii „zeków” propaganda z Rosji, że władza ukraińska jest słaba, nie ma autorytetu, policja się boi zdecydowanie działać, naród walczy na wschodzie, dlatego jest dużo nielegalnej broni i można z powracających z frontu chłopców formować grupy „mścicieli” wokół sportowych siłowni pod hasłem „Nadstawialiśmy za was na wojnie swoje dupy, a wy robiliście pieniądze, dlatego musicie nam teraz płacić”.

## Prawy Sektor

– Z prawnego punktu widzenia jestem założycielem Prawego Sektora. Zaczęło się od tego, że ganialiśmy po Kijowie za „tituszkami”, prawda jest taka, że nikt z tamtych nie zamierzał umierać za Janukowycza. Kiedy 22 stycznia zginął Michał Żyznieuski, było jasne, w którą to zmierza stronę. Jesteśmy nacjonalistami, Europa i tak się od nas odwróci – Jaroszowi nie podobał się pomysł stworzenia organizacji pozarządowej na bazie obowiązującego prawa, wiadomo, że założyciel jest pierwszy w kolejce do więzienia, gdyby miało się coś dziać. Byłem szefem sztabu 24 Sotni Samoobrony, wzięłem dwóch swoich chłopców, zarejestrowałem Prawy Sektor w urzędzie, dostałem pieczętkę. W marcu 2014 roku sąd w Moskwie wydał postanowienie o zaocznym aresztowaniu przywódców Prawego Sektora za przestępstwa kryminalne, byłem na tej liście za Czeczenię. Zbliżały się przedterminowe wybory, Jarosz postanowił utworzyć partię polityczną, dopisałem go na czwartego do grupy założycieli, był przecież szefem partii o takiej samej nazwie, ale to nie pomogło, dostał 0,7% poparcia w wyborach prezydenckich.

## Wiara w bajki

– Było tak: walczyliśmy wtedy w „Ajdarze”, trafili w samochód, jeśli dobrze pamiętam pod Nowoswietłową,



czterech naszych zginęło, jeden dostał się do niewoli. Znasz historię o odrąbanej ręce z tryzubem? Według mnie to trochę bajka, był ranny w rękę, łatwiej ją było amputować niż leczyć. Ale bajka ładna. Opowiem inną, tragiczną: od „separów” dostaliśmy zwłoki mojego przyjaciela Serhija, który wówczas zginął, jego matka jednak nie rozpoznała ciała, upiera się, że to nie jej syn, woli wierzyć, że wróci, że jest w niewoli...

## Odwaga i strach

– Kiedy 12 października kolumna wchodziła do Mariupola, wybuchła mina, poharatało kilka samochodów, kilka osób zraniło, już na lotnisku przyszło pięciu chłopaków, nie to że zabrakło im odwagi, bo byli odważni i nieraz dawali tego dowód, chcieli wracać, ten podświadomy lęk był silniejszy, nie wiadomo, kiedy chwyci człowieka. Nikogo nie trzymaliśmy na siłę, nie zmuszaliśmy, żeby został. Dwa dni później zajęliśmy stanowiska: szczerze pole, mieli się okopać, ale nikomu nie było śpieszno do roboty, wyszli z samochodów, coś tam pogrzebali w ziemi, siedli na papierosa. Przyleciał grad, spalił cztery samochody, nikt na szczęście nie zginął, tak się wzięli do kopania, że na koniu mógłbyś siedzieć w okopie. Bo nie ma odważnych, kiedy widzisz, jak lecą odłamki, płonie ziemia, zwija się metal... Cała salwa wtedy na nich poszła, musiał bezałogowy dron ich namierzyć. Znów: serce, hemoroidy... trzech albo czterech zachorowało, wróciło na

tyły. Ale żeby sądzić, oceniać innych, trzeba przejść to co oni, poczuć, że twoje życie nie należy do ciebie.

## Wybory

– Wziąłem udział z ramienia Prawego Sektora w wyborach parlamentarnych w październiku 2014 roku, wśród ponad dwudziestu kandydatów uplasowałem się na czwartym miejscu. Przegrałem z Mychajło Hawrylukiem, Kozakiem, ich barykada stała na Majdanie w pobliżu bocznego wejścia poczty głównej, gdzie była nasza kwatera. 22 stycznia złapał go Berkut, rozebrano go na mrozie do naga, pobito, film o tym zrobiony komórką miał 2,5 miliona wyświetleń, Jaceniuk wziął go na billboardy Ruchu Ludowego, głosowała na niego nawet chrzestna matka mojej córki z pierwszego małżeństwa, Tetiana Czornowoł, kilka lat temu rzeczniczka prasowa UNA-UNSO, w czasie akcji „Ukraina bez Kuczmy” przykuła się do torów kolejowych w Kijowie, Mykoła, jej mąż, z którym byłem w Abchazji, zginął w sierpniu 2014 pod Iłowajskiem. Po wyborach wróciłem na front.

## ABC: Adriatyk, Bałtyckie, Czarne

– Przed I wojną światową Józef Piłsudski sformułował koncepcję międzymorza – federacji państw Europy Środkowej i Wschodniej. Uważam, że ta idea wymaga

promocji – to najlepszy czas na wprowadzenie jej w życie. Razem będziemy silni. Chciałbym mocno podkreślić, żeby to dotarło do wszystkich Polaków – było podziemie, które walczyło przeciw nazistom i NKWD. Jego żołnierze są dziś dla nas wzorem, bo NKWD i FSB to ta sama formacja. Ale nie uważamy za bohaterów tych, którzy zabijali kobiety i dzieci. Wtedy lała się krew niewinnych Polaków i Ukraińców – dzięki temu zwyciężała Moskwa. I teraz także chce nas skłócić i kolejno zniszczyć. Pamiętamy wspólne – polskie i ukraińskie – zwycięstwa nad wrogiem: pod Grunwaldem (1410), zdobycie Moskwy (1619), bitwę warszawską (1920), czyli „cud nad Wisłą” Razem stanowimy siłę!

[wrzesień 2016]

PS 23 czerwca 2017 roku porucznik Ihor Mazur, kapitan Ołeksandr Ushynskij, podpułkownik Oleh Uminskij – trzech oficerów Sił Zbrojnych Ukrainy rekrutujących się z formacji UNA-UNSO – złożyło w Warszawie kwiaty pod pomnikiem ofiar rzezi wołyńskiej.

PPS 9 listopada 2019 roku Ludmiła Denisowa – rzeczniczka praw obywatelskich Ukrainy – przekazała, że w piątek na przejściu granicznym w Dorohusku na podstawie listu gończego Interpolu, jaki wystawiła strona rosyjska, zatrzymano Ihora Mazura. Federacja Rosyjska domaga się jego ekstradycji od władz Rzeczypospolitej Polskiej.

## Wojna nie zna się na żartach

– Pierwszy raz umarłem przez przypadek. Ta śmierć była niezawiniona. W telewizji podano listę poległych na Majdanie. Serhij Szapował. Padło moje imię i nazwisko. Zginął 18 lutego 2014 roku na ulicy Gruszeckiego, ugodzony dwoma pociskami. Jeden z nich trafił prosto w serce. Zdążyłem zadzwonić do żony, zanim odebrała pierwszy telefon z kondolencjami. Przez kilka dni od rana do wieczora – wyrazy szczerego, wyrazy nieszczerzego współczucia. Już ze zwykłej ciekawości próbowałem się czegoś dowiedzieć o moim imienniku. Gdzie zginął, w jakich okolicznościach. Bez rezultatów.

Drugim razem sprowokowałem śmierć, chciałem sobie z niej zażartować. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Najpierw obmyśliłem rolę dla siebie, później przeistoczyłem się w człowieka stamtąd, naciągając na grzbiet wilczą skórę, a kiedy już po wszystkim siedziałem zamknięty, wbijając wzrok w brudną ścianę, to mogłem tylko robić jedno: zastanawiać się, jak będę umierał.

Poniosła mnie wyobraźnia. Postanowiłem zaciągając się na ochotnika do „donieckich separów”.

Uważam się za człowieka przebiegłego. Miałem dobre referencje: urodziłem się we właściwym miejscu, znałem zwyczaje i topografię terenu, żargon, który zastępował oficjalny język wyssałem z mlekiem matki. – Kiedy mówi, traci nad sobą kontrolę: gestykuluje dłońmi trochę zbyt nerwowo, nie wiem, czy to sprawa ostatnich przeżyć, czy jego wrodzonych skłonności, usposobienia, jakie ma z natury. Z jego słów wynika, że urodził się w Dnieprodzierżyńsku [przemianowane w 1936 roku na cześć Feliksa Dzierżyńskiego miasto do swojej nazwy Kamieńskie wróciło w 2016 – przyp. autora], mieście równie nieciekawym jak Kielce, Białystok czy Radom. Strach przed życiem pozbawionym szans, trwaniem w prowincjonalnej próżni zmusił go do ucieczki: studia na Wydziale Systemów i Środków Masowej Komunikacji w oddalonym o 50 kilometrów Dniepropietrowsku [od 2016 roku nazwanym Dnieprem – przyp. autora] miały być przepustką do lepszego świata. Wybrał dziennikarstwo, chciał uniknąć egzaminu z angielskiego. W przeciwnym razie byłby teraz absolwentem historii, bo jest jej pasjonatem, fanatycznym wyznawcą. Historia pozwala mu widzieć szerzej, przewidywać następstwa. Dzięki temu jest zawsze „do przodu”. Jako dziennikarz śledczy miał swoją specjalność: kryminalne subkultury, ruchy radykalne. – Mam szczególne zdolności do zmiany skóry, wcielania się w różne postaci z marginesu: kiboli, narkomanów, oszustów... Gotowość do udziału w grze, szukania trudnych odpowiedzi, odzierania

prawdy z pozorów jest we mnie od zawsze, tkwi w mojej psychice. Mogłem zdobyć genialny materiał, napisać TAKI reportaż!!

Kpina z rozumu – rozważania o piekle  
(czwartek, 24 kwietnia 2014)

Reportaż ze Słowiańska „Kryminalne piekło” Serhija Szapowała opublikował portal Wołyń Post. Jego bohaterem jest Danyło – bojownik samozwańczej „Republiki Donieckiej”, zmuszony do ucieczki ze Słowiańska, który dwa dni wędrował pieszo, by wydostać się z Donbasu. Serhij poznał go w holu hotelu Hloria w Charkowie. *Danyło – pochodzi z mieszanej ukraińsko-greckiej rodziny. Nigdy nie zastanawiał się nad własną narodowością, uważa się za antyfaszystę w europejskim rozumieniu tego słowa. Uczy się na wydziale historycznym jednego z uniwersytetów, czuje się anarchistą-indywidualistą i jest urzeczony radykalnymi socjalnymi teoriami. Nosi koszulkę z Che Guevarą, szarą, pozbawioną oznaczeń wojskową kurtkę i bródkę a la Trocki. To zauroczenie ideami antyfaszyzmu i anarchii przyprowadziły 11 kwietnia młodego mieszkańca Słowiańska pod miejski oddział UMWS [MSW Ukrainy]. – Tam wygłaszali hasła i dawali automaty! – z bliskim obłędu w oczach opowiadał Danyło. – Wszyscy czuliśmy się jak powstańcy Nestora Machna! Rozumiesz, ludzie, którzy przywykli, że nikt z nimi się nie liczy, nareszcie otrzymali szansę,*

*by oznajmić o sobie! Zgodnie z jego słowami milicję i prokuraturę w Słowiańsku zajęli ludzie, którzy rozmawiali z wyraźnym rosyjskim akcentem. Wszyscy chcieli dostrzec w nich braci Rosjan, ktoś powiedział, że to krymski „Berkut”. Ale bardzo szybko te „zielone ludziki” straciły swoją władzę nad uzbrojoną tłuszcą. W mieście równie nagle pojawił się na wpół kryminalny element z sąsiednich miast i obwodów. Również z obwodów rostowskiego i bielgorodzkiego przyjechali rosyjscy „dobrowolcy”, a w istocie element zdeklasowany: alkoholicy i narkomani. Skrzynka wódki na potrzeby „Donieckiej Republiki”! – Na ulicach miasta raptem zjawily się dziesiątki ludzi: z automatami w kominiarkach i tanich sportowych dresach, którzy wchodzili do restauracji i konfiskowali wódkę. – Dopiero wtedy zrozumiałem, jaką „Doniecką Republikę” budujemy z uzbrojonymi małolatami, którzy chodzą i wymuszają od przedsiębiorców podatek – po 70 dolarów – opowiadał Danyło. Mieszkańcom zaczęli „rekwirować” samochody na potrzeby „Donieckiej Republiki”. Mój współtłumacz wyznał, że w mieście odbywały się zbiorowe gwałty na miejscowych kobietach. Nie ma możliwości obrony mieszkańców, ponieważ milicja przeszła na stronę separatystów. Ci obrońcy prawa, którzy nie chcieli ubabrac się we współpracy z kryminalistami, po prostu uciekli z miasta. Mimo że tak zwany „ludowy mer” Słowiańska Wiaczesław Ponomariow nazywa uzbrojoną hołotę niegdysiejszymi „afgańcami”, oni, jak przekonuje Danyło, nie potrafią obchodzić się z bronią. [...] „Ludowa gwardia”*

*zupełnie nie boi się ukraińskiej milicji ani wojska. Na odwrót, bandyci czekają na przejście ukraińskich mundurowych, żeby ich rozbroić albo uzupełnić swój arsenał. W rzeczywistości obawiają się „czarnych ludzików” – nieokreślonych ukraińskich nacjonalistów, którzy polują na separatystów. Ale prawdziwy strach wywołuje postać Kołomojskiego, który obiecał za każdego rosyjskiego dywersanta 10 000 dolarów. Po raz pierwszy ci bandyci poczuli się zwierzyną łowną. Rosyjscy „turyści” teraz boją się odwracać plecami do swoich donbaskich współników – boją się, że ci dadzą im po głowie i wydadzą Kołomojskiemu. Miejscowa ludność zmęczyła się tym zamętem. Ludzie już nie marzą o federalizacji i innej władzy, a po prostu chcą, żeby z ulicy zniknęli uzbrojeni bandyci (<http://www.volynpost.com/articles/379-kryminalne-pekle>).*

**Był człowiek, nie ma człowieka (dwa dni później, sobota, Łuck)**

Po godzinie 15 przestał odbierać telefony, o 21 komórka została wyłączona. Dwa dni po publikacji tekstu, w sobotę 26 kwietnia, urywa się łączność z Serhijem Szapowałem. Milicja i prokuratura podejrzewają, że jego zniknięcie miało związek z tą publikacją, i wszczyna postępowanie z artykułu 115. ustęp 1. Kodeksu karnego Ukrainy o „umyślne spowodowanie śmierci”. Inaczej mówiąc – podejrzenia morderstwo.

Katerina Szapował (siostra, sobota  
26 kwietnia, Kijów)

*Chcę napisać kilka szczegółów o Serhiju. Jest rzeczywiście w Słowiańsku. Przez telefon powiedział, że z nim wszystko w porządku i jest tam z dobrej woli. Nie wierzę. Dlaczego? Zaproponowałam, żeby szybko wracał. Powiedział, że musi poradzić się gdzieś kogoś, po tym telefon został wyłączony. – Te słowa zamieszczone na Facebooku dotyczyły rozmowy, która miała miejsce w przeddzień, 25 kwietnia wieczorem. Według relacji portalu Telekrytyka Serhij Szapował zatelefonował do siostry z nieznanego numeru, wyjaśniając, że jego telefon uległ uszkodzeniu i leży rozbity gdzieś w rowie. Powiedział, że znajduje się w Słowiańsku. Gdzie dokładnie – nie sprecyzował. Pytałam, powiedział, że dali mu możliwość zadzwonienia, wywieźli za miasto, gdzie złapali sygnał. Ale słyszałam, że rozmawia z pomieszczenia. Powiedziałam mu, że nie mówi z samochodu, a z pomieszczenia, na co on odpowiedział, że tu są różne miejsca. Nie powiedział, że jest przetrzymywany. Powiedział, że nie może tak zwyczajnie wyjechać, bo jest na terytorium działań wojskowych i musi otrzymać dokument od komendanta. Jaki dokument – niezrozumiałe – miała powiedzieć dziennikarzowi jego siostra.*

– Kazali mi, tak na wszelki wypadek, dla zatarcia śladów mówić, że telefonuję ze Słowiańska. – Później w trakcie spotkania z Serhijem dowiedziałem się, że wszystkie rozmowy zostały przeprowadzone z jego

pro wizorycznej celi w budynku administracji obwodowej w Doniecku.

„Sława Rosji – Donbasowi sława!” (nie wszystko, ale od początku, Serhij)

– Było trzech laureatów: Jewhen Hapycz, Jurij Leliawskij i ja. I prawie zaraz, w przeciągu tygodnia pojawiły się dwa nowe nazwiska na liście zaginionych w Słowiańsku i jedno na liście donieckiej. Wszystko zaczęło się od dziennikarskiego konkursu na serię artykułów o wydarzeniach na wschodzie Ukrainy ogłoszonego przez portal internetowy Telekrytyka. Pomyślałem o Charkowie, pierwszej, jeszcze z okresu międzywojennego, stolicy Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki. Wystarczyło kilka dni. Wrażenie przygnębiające, jakieś burdy, niezborne, nietrzymające się kupy akcje separatystów, starcia z miejscowymi „ultrasami”: kibolami Metalista, nacjonalistami z organizacji „Patriot Ukrainy”. Słowiańsk też odpadał, bo tam miał akurat miejsce początek operacji antyterrorystycznej i został Donieck, w którym właśnie „milicja ludowa” ogłosiła powszechną mobilizację. Dziennikarska intuicja, węż podpowiadał, żeby iść tym tropem. W Doniecku spokój z tych, co przed burzą, procesje wędrujące ulicami miasta pod wodzą samozwańczego batiuszki, modlitwy w intencji zwycięstwa „prawdziwego prawosławia”. W centrum miasta Majdan odtworzony nieporadnie, wręcz groteskowo: otoczony zasiekami



z drutu kolczastego i barykadami budynek obwodowej administracji. Siedziba separatystów. Świat od środka i świat na zewnątrz to dwa różne światy. Jestem zainteresowany tamtą stroną. Nocuję w hotelu, rano zgłaszam się do punktu mobilizacyjnego. Poszło łatwo, nie zastanawiam się, czemu poszło tak łatwo. Wnętrze zdewastowane, sejfy rozprute, wszystko, co dało się ukraść – ukradzione. Dostaję materac, miejsce do spania na podłodze. Na oko – kryminaliści. Muszę ukryć notebooka, którego mam w plecaku. Z dawnych czasów mam w Doniecku znajomą, dzwonię. Zgadza się, żebym zostawił u niej na kilka dni komputer. Dostaję przepustkę na miasto, udaje mi się wyjść. Szczęście mi dopisuje. Ostrożność każe mi zostawić u niej nie tylko komputer, ale większość rzeczy, nawet plecak. Nigdy bym nie pomyślał, że wpadnę przez ten nadmiar ostrożności. Wracam na odprawę. Bojowe okrzyki, „Sława Rosji...”, na miasto ruszają kolejne patrole. Mnie zapraszają na rozmowę w gronie „przyjaciół”. „Biesieda” – swoiste poczucie humoru, którego nie potrafię docenić. Biesiada oznaczała przesłuchanie i to była standardowa procedura wobec osób spoza Doniecka. Wybiegnę do przodu, bo to jaskrawy absurd tej sytuacji: wszystkich, którzy zbyt emocjonalnie deklarowali swoje sympatie do Noworosji, podejrzewano o szpiegostwo, przesłuchiowano, poddawano torturom. Tych, co pod wpływem tortur się przyznali do szpiegostwa na rzecz Prawego Sektora albo Zachodu, zabijali. Kalczyli, łamali ręce i nogi, wyrwali stawy, potem zabijali. Przesłuchanie w ich

żargonie to „interwiew”, pokój przesłuchań – „gabinet dla prasy”, „słownik” – duszenie w masce gazowej pozbawionej dostępu powietrza, „jaskółka” – katorżanie osoby zawieszzonej za nogi przymocowane do drewnianego drąga głową w dół... Warto przypomnieć, że kiedy tam siedziałem, to dopiero zaczynały się starcia w Słowiańsku, była dopiero połowa kwietnia 2014 roku. Rozmawiał ze mną mężczyzna na oko sześćdziesięcioletni, raz przyjaźnie częstował papierosem i kawą, innym razem groził, wałąc pięścią w stół. Później zmiana i kolejny. Cztery godziny bez przerwy. Na niczym mnie nie złapali. Odebrali mi telefon. A mnie zamknęli w pokoiku dwa na trzy metry na ósmym piętrze, zablokowali drzwi rozbitymi szafami pancernymi. Do wyjaśnienia. Nie mogłem spokojnie spać. Czekałem.

Wołyń Post (portal internetowy,  
29 kwietnia, 15:58 Łuck)

*Do redakcji Wołyń Post zatelefonował dziennikarz wydania Serhij Szapował. Zawiadomił, że przebywa w mieście Słowiańsk w obwodzie donieckim, przy czym z niewiadomych przyczyn nie może stamtąd wyjechać. Prócz tego Szapował powiadomił, że przygotował reportaż o sytuacji w Słowiańsku i jest gotów przekazać go redakcji w celu publikacji. Przy czym redakcja na razie nie otrzymała materiału. Telefoniczna rozmowa była krótka: łączność się urwała. Zanim do*

*tego doszło, dziennikarz wyjaśnił, że w Słowiańsku prawie nie ma łączności komórkowej z tego powodu, że stacje przekaźnikowe zostały uszkodzone. Przy czym, jak informują krewni Serhija, zdążył zatelefonować do siostry i żony.*

„Kroniki Słowiańska albo o co walczy ludowa milicja Donbasu” (30 kwietnia, wtorek)

*Dla statystycznego Ukraińca, który widzi wydarzenia na donbaskim teatrze działań wojennych przez pryzmat ogólnokrajowych kanałów telewizyjnych, obraz wygląda dość jasno. Telewizowie oglądają przedstawicieli oficjalnej władzy, która z pomocą aktywistów Majdanu prowadzi operację antyterrorystyczną przeciwko rosyjskiemu specnazowi i oglupionym przez rosyjskie służby mieszkańcom obwodu donieckiego. Właśnie z podobnymi wyobrazeniami o tych wydarzeniach wyruszyłem do Donbasu z zamiarem napisania cyklu materiałów o rozbieżnościach światopoglądów między mieszkańcami różnych regionów. Ale znajomość z przedstawicielami donieckiego ruchu oporu częściowo zmieniała moje wyobrażenia o motywach, które skłoniły wschodnioukraińską młodzież do wzięcia do rak automatów – tymi słowami zaczynał się kolejny reportaż zamieszczony na stronie portalu Wołyń Post, opublikowany czwartego dnia po zaginięciu Serhija Szapałowa. Czy może opisywać*

*wszystko, co widzi? Czy wpływają i jak wpływają na jego pracę nowi „gospodarze” Słowiańska? Pytania te na razie pozostawiamy bez odpowiedzi. – Redakcja poprzedziła tekst krótkim wstępem, w którym informowała, że jest przetrzymywany przez prorosyjskich separatystów i pozbawiony możliwości powrotu. Oto jak według oficjalnej wersji miał wyglądać moment spotkania – Szpiegomania i Prawy Sektor. Idę do namiotów werbunkowych. Jest ich kilka rodzajów. Czerwone – komuniści, zielone – Narodowej Milicji Donbasu. Są też namioty bez „wyróżniających oznaczeń”. W donieckiej Milicji Donbasu powitano mnie dość przychylnie. Dowódca o pseudonimie „Niedźwiedź” długo prowadził ze mną rozmowę, być może podejrzewał we mnie operacyjnego współpracownika SBU [Służba Bezpieczeństwa Ukrainy]. Nie przekonała go nawet moja legitymacja dziennikarska. Tu warto zauważyć, że zwolennicy federalizacji dość sceptycznie odnoszą się do pracy przedstawicieli ukraińskich mediów, podejrzewając ich o brak obiektywizmu. Tolerują jedynie rosyjskie media. Ostatecznie „Niedźwiedzia” o prawdziwości moich słów przekonały teksty ściągnięte ze stron Wołyń Postu. „Ciekawie piszesz. Ale nie zawsze prawdę” – powiedział. Po niezbyt długiej dyskusji o obiektywizmie dziennikarskiej pracy, o prawie dziennikarza do ocen i własnych sądów oraz przebiegu informacyjnej wojny „Niedźwiedź” zaproponował mi napisanie cyklu materiałów o życiu „ludowej milicji” DNR [Doniecka Republika Ludowa].*

Plecak, czyli życie albo śmierć (to, czego dowiedziałem się podczas przesłuchań, Serhij)

– Przypomnieli sobie, że przyszedłem z bagażem, zaczęli poszukiwania plecaka. Mnie nie naciskali. Sprawdzili wychodzące połączenia komórkowe, zagrali psychologicznie. Zadzwonili, powiedzieli, że wyjechałem do Słowiańska, jestem poza zasięgiem, kolega jutro zgłosi się po moje rzeczy. Następnego dnia specjalista od skasowanych plików odzyskał część danych z twardego dysku. Mimo wszystko miałem szczęście, kilka tygodni wcześniej wymieniłem w komputerze dysk. Gdyby znaleźli zdjęcia z Majdanu, byłbym martwy. Za to wpadła im w ręce moja legitymacja dziennikarska. Wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałem, siedziałem zamknięty w tym pokoiku na ósmym piętrze i czekałem. Pozostało mi grać swoją rolę do końca, czekałem, nie wiedząc, czy decyduje się moje życie, czy śmierć – powie mi podczas rozmowy w Łucku.

Godzina 12 następnego dnia (niedziela, 27 kwietnia, Serhij)

– Drzwi nagle się otwierają, wpada grupa pięciu uzbrojonych ludzi w kominiarkach. Pokazują mi moją legitymację. Są wściekli. Zaczynają mnie bić, krzycząc, że jestem szpiegiem Prawego Sektora, zarzucają na

głowę worek, a później wloką korytarzem do pokoju przesłuchań, który mieści się na tym samym piętrze, w redakcji miejskiej gazety „Życie”. Tam znęcają się fizycznie, torturują, używając noża, paralizatora, stawiają pod ścianą, krzyczą, że zabijają, wymachują pistoletem. Przyznaj się, uderzenie, wymień współników, uderzenie, nazwisko prowadzącego, uderzenie, kto jest twoim „kuratorem”, uderzenie. Bicie sprawia im widoczną przyjemność. Nie wiem, jak długo mnie biją, tracę rachubę. Wszystko jedno, żeby tylko nie bolało, żegnaj się z życiem. (Później, już po kilku dniach, spytałem, czy rzeczywiście zamierzali mnie zabić. A dlaczego nie?– Byli zdziwieni moim pytaniem, przy okazji dowiedziałem się od separatysty o pseudonimie „Patriot”, że ciała z rozprutymi brzuchami wrzucali nocą do rzeki, żeby nie wypłynęły).

Strzeż się pychy niepotrzebnej (tego samego dnia, Serhij)

– Któryś z separatystów postanowił zatelefonować do dziennikarzy z СТБ [ukraiński prywatny kanał telewizyjny] i pochwalić się tym, że w budynku Obwodowej Donieckiej Administracji torturują schwytanego dziennikarza. Może się myłę, może to było współczucie, a nie pycha, duma z sukcesu. Nie wiem. W każdym razie informacja bardzo szybko pojawiła się w wiadomościach telewizyjnych. Separatyści przestraszyli się, że mam wśród nich współnika. Bili mnie, żądając jego nazwiska,

adresu, telefonu. Mniej więcej w tym samym czasie, być może z tych samych pobudek, ze sceny na placu przed budynkiem podano informację, że „ludowa milicja” schwytała ukraińskiego faszystę, dywersanta i szpiega, który podaje się za dziennikarza. I że właśnie nad nim „pracują”. To wywołało szaloną radość tłumu wokół administracji. Szybkość, z jaką zaczęła się rozprzestrzeniać informacja o przetrzymywanym dziennikarzu, wywołała jeszcze większy strach i niepewność. Po pierwsze: obawiano się, że udało mi się zebrać i przekazać dalej przez internet albo współnika jakieś istotne informacje, zdjęcia, pozwalające na identyfikację oprawców. Po drugie: ukrycie faktu przetrzymywania i torturowania dziennikarza stawało się trudniejsze. Trzeba było zatrzeć ślady. W powietrzu pojawił się smród, dlatego postanowiono zmienić strategię. Wraz z informacją w mediach pojawił się trzeci, nowy element: uświadomili sobie, że dziennikarz jest cenną zdobyczą, a do tego można go wykorzystać w wojnie propagandowej. W ostateczności jest towarem, którym można się wymienić albo sprzedać. Poprosili rosyjskich dziennikarzy z „ANNA-News” (Abhaska Agencja Informacyjna), którzy mieli swoją siedzibę w sąsiednim pomieszczeniu. Z pomocą flagi powieszonych na ścianie, kamizelki kuloodpornej, hełmu moi „koledzy” wyprodukowali fałszywy filmik ze Słowiańska. Kazali mi przeczytać oświadczenie, że jestem tu z własnej woli. Jak gdyby zaledwie kilka chwil wcześniej nie widzieli mnie pobitego, pokrwawionego, rozebranego do pasa. Później ten filmik umieścili w internecie.

Na swojej stronie dziennikarze Wołyń Post pisali: *Serhija zmusili, żeby powiedział o tym, że u niego wszystko dobrze i znajduje się w Słowiańsku. Później wideo pokazali na YouTube. Razem nagrali cztery filmiki, na których Szapował wygłaszał tekst napisany przez separatystów i rosyjskich dziennikarzy. Rozesłali także artykuły podpisane imieniem Serhija, w których separatystyczny ruch starano się pokazywać w pozytywnym świetle.*

„Nam nie trzeba zachodnich padaczek”  
(kilka rad dla jeńców, Serhij)

– Rzecz na tyle stała się publiczna, że nie mogli puścić sprawy „na żywioł”. „Niedźwiedź” zawiadomił mnie, że jestem zakładnikiem Donieckiej Republiki Ludowej do czasu przeprowadzenia referendum, a po 11 maja zapadną szczegółowe decyzje co do moich dalszych losów. Że zostanę zwolniony albo wymieniony. Musiałem przygotować się na dłuższy pobyt, przestawić moją psychikę. W pokoju miałem stół, biurową szafę na dokumenty, krzesło, stary materac i wiadro zamiast toalety. Z okna mogłem obserwować wejście do budynku, scenę, wokół której odbywały się mityngi, billboard, na którym wyświetlano wiadomości podawane przez rosyjskie media. „Wstawaj, kraju ogromny, wstawaj na śmiertelny bój...” – od siódmej rano do jedenastej w nocy przez potężne głośniki leciała „Święta wojna” albo „Smuglianka Mołdawianka” na zmianę

z hymnem tak zwanej Noworosji. Od czasu do czasu ktoś wychodził na scenę, czytał komunikaty, petycje z żądaniami do Baracka Obamy i przywódców Europy albo wygłaszał płomienne przemówienia: „Ręce precz od Ukrainy, niech żyje Rosja...”. Wszystko, cokolwiek się działo, było zbrodnią Prawego Sektora albo zachodnioeuropejskich faszystów. Konferansjerów było dwóch: starsza kobieta, której „krwawa kijowska junta” chciała odebrać ojczysty rosyjski język, i starszy mężczyzna, górnik patriota, zagorzały stronnik wielkiego wodza Stalina. Ona zawsze kończyła swoje wystąpienia dwuwierszem: „Nam nie trzeba zachodnich padaczek, Donbas – Moskal, Donbas – nie skacze”. On deklaracją, że z radością przegryzie gardło posła Ołeha Laszki. Przez okno mogłem też obserwować tłum emerytów atakujący konwojowanych jeńców. Czasami słyszałem za drzwiami okrzyki „korytarz!”, które oznaczały, że z sąsiednich pomieszczeń wyprowadzani są jeńcy na przesłuchania. Źródłem informacji o sytuacji wewnątrz budynku i innych więźniach byli tak zwani „dyżurni milicjanci” roznoszący jedzenie. Trzy rady dla ludzi, którzy trafią w ręce separatystów: nie rezygnować z jedzenia, nawet jeśli wywołuje mdłości, podkreślać swoje możliwości i dodawać sobie znaczenia, bo to zwiększa szanse na wymianę, i starać się zaprzyjaźnić ze strażnikami i „dyżurnymi”, bo to od ich decyzji i humorów zależy życie więźnia.

Nie zdechniesz (Serhij, ciąg dalszy)

– Przez trzy tygodnie siedziałem w zamknięciu. Od 25 kwietnia do 18 maja. Mogę powiedzieć, że mi się poszczęściło: zaprzyjaźniłem się z „dyżurnymi”, którzy mnie pilnowali, dzięki temu dość regularnie otrzymywałem jedzenie. W najgorszym wypadku raz na dobę, wyjątkowo raz na dwa dni. W pierwszym zaciągu do „ludowej milicji” zgłosił się ten lepszy element społeczny poszukujący przygód, wierzący w dobro i zło, o romantycznym usposobieniu. Wiek od dwudziestu pięciu do trzydziestu trzech lat. Wśród pilnujących był taki młody chłopak o pseudonimie „Reporter”. W rzeczywistości zwykły robotnik z budowy, za to gadatliwy. Interesowały go różne sprawy, dużo czasu spędzaliśmy, rozmawiając o broni, rodzajach kamizelek kuloodpornych, technikach walki wręcz. Czuł się za mnie odpowiedzialny, przynosił mi książki, cukierki, chleb. Większość z nich uciekła, zdezerterowała, kiedy górę zaczął brać element kryminalny, bandyci. „Reporter” też. Przez ścianę miałem sypialnię „ludowych milicjantów”, którzy nocami patrolowali miasto, słyszałem ich rozmowy: ile telefonów odebrali, ile wódki skonfiskowali, jakie samochody zarekwirowali z salonów albo zabrali właścicielom, jakie sklepy obrabowali. Chciało mi się śmiać, bo na domiar tego jeszcze okradali się wzajemnie. Ale były też straszne momenty. Opowiadali mi strażnicy, że ktoś przez kilka dni wrzucał granaty łzawiące do systemu wentylacyjnego. W końcu złapali chłopaka, złamali mu ręce i nogi i wrzucili do piwnicy, nie udzielili pomocy. Po 2 maja, po wypadkach odeskich,



kiedy w Domu Związków Zawodowych proukraińscy kibole spalili żywcem ponad trzydzieści osób, poszła fala ochotników. Do milicji zaciągali się masowo górnicy z donieckich kopalń, przychodzili w zorganizowanych grupach ze swoimi brygadzystami. Wiek od czterdziestki do emerytury. Na naszym piętrze stacjonowało ich wtedy ponad stu. Upijali się na umór na okrągło. Referendum to był szok. Paraliż. Nie mieli pomysłu, co robić. Rosja nie przygarnęła Donieckiej Republiki Ludowej, jak to zrobiła z Krymem, oficjalnie nie uznała nawet jej niepodległego bytu. Rozwiały się ich marzenia o rosyjskim dobrobycie. Rozpełzli się, poznikali bez śladu. Ich miejsce zajęli gówniarze, których podniecała broń, niezrównoważeni psychicznie desperaci, kobiety z marginesu z tak zwanego żeńskiego batalionu. Jeśliby nie było tam rosyjskiego uzbrojenia, rosyjskich żołnierzy, w tym stanie zakończyłoby się wszystko po miesiącu. „Nie zdechniesz” – odpowiedział mi taki małolat, kiedy waliłem do drzwi, krzycząc, że od dwóch dni jestem bez jedzenia i wody, że żuję z głodu papier toaletowy.

Drugie dno (lotnisko w Doniecku,  
18 maja 2014)

– Obietnicy nie dotrzymano. Po 11 maja plac wokół sceny się wyludnił, zrobiło się cicho. 17 maja ktoś zajrzał do mojego pokoju przez uchylone drzwi, spytał o imię, nazwisko. Dalej nic. Następnego dnia

o 15 „dyżurny” przyniósł jedzenie, kazał się umyć, ogolić, ubrać i czekać na konwojentów. Okazało się, że skradziono mój komputer, dyktafon, komórkę, plecak z ubraniem, zostały mi spodenki i tenisówki. Dostałem koszulkę z napisami „Narodowa Milicja Donbasu”. Około 19:20 nieznanymi mi człowiekiem cywilnym samochodem zawiózł mnie na teren lotniska w Doniecku. Wysadził na drodze i kazał iść w kierunku bramy. Tam czekała grupa ludzi. Kiedy podszedłem, rozpoznałem wśród nich Wiktora Medwedczuka i posła Hestora Szufrycza. Pogratulowali mi zwolnienia z niewoli. Byłem zdziwiony. Zaprowadzili do prywatnego samolotu. Już w samolocie spytałem: dlaczego ja? Odpowiedzieli mi, że zajmują się wymianą jeńców, byłem pierwszy na liście uwięzionych, którą pokazano im w Doniecku. Rzeczy zwykle mają drugie dno. Później miałem się dopiero dowiedzieć, że przypadkiem dziennikarze „Donieckych Nowостей” sfotografowali ich w restauracji Puszkina w Doniecku z przedstawicielami tak zwanej Donieckiej Republiki Ludowej podczas nieoficjalnych rozmów i trzeba było naprędce znaleźć jakieś uzasadnienie ich obecności w tym miejscu. Po godzinie byłem na lotnisku w Kijowie.

Wskreszenie (w małej, prowincjonalnej

skali)

Mimo że wróciłem, byłem fizycznie, oficjalnie wciąż mnie nie było. Po wszczęciu postępowania z artykułu 115. o umyślne zabójstwo zostałem uznany za osobę zaginioną. Trzeba było zmienić mój status z „zaginiony” na „żywy”, dokonać oficjalnego wskrzeszenia. Czekala mnie jeszcze długa biurokratyczna procedura.

Powrót do życia. Bo wskrzeszanie, które kiedyś było wyłącznym prawem Boga, dzisiaj jest w rękach urzędników, sędziów i milicji.

Z RĘKOPISÓW

Fabularyzowany fragment scenariusza  
filmu *Klecha*

Restauracja „Ludowa”, piątek 8 sierpnia  
1975 roku (na trasie radomskiej piel-  
grzymki do Częstochowy)

Pełne dymu wnętrze przydrożnej wiejskiej restau-  
racji w okolicach Odrzywołu. Stoliki zasłane ceratą,  
sztuczne kwiaty w szklanych wazonikach, popielniczki  
pełne papierosowych petów. Ręka kelnera zbierają-  
cego pieniądze ze stolika stojącego pod oknem, z ra-  
dia piosenka Tercetu Egzotycznego „Pamelo żegnaj”.  
W drzwiach bocznej sali oddzielonych od reszty  
restauracji czerwoną kotarą pojawia się mężczyzna  
w białym letnim garniturze i rozpiętej na piersiach  
koszuli. To ks. Kanonik w cywilnym stroju. Rozgląda  
się zniecierpliwiony, odwraca i zamierza wyjść. Za-  
trzymuje go rozkazujący głos:

– Nie kręć się. Siadaj!

Zaskoczony pyta właściciela głosu:

– A pan to za przeproszeniem kto?

Odpowiedź jest niegrzeczna, szokująca:

– Kubuś Puchatek, kurwa! Książdz Kanonik może  
posadzi dupę wreszcie, co?

Z wymiany zdań wynika, że mężczyzna go zna i ma wiedzę o jego pozycji w kościelnej hierarchii. Ks. Kanonik traci pewność siebie, zdobywa się jedynie na pokorną prośbę:

– Dajmy spokój oficjalnym tytułom.

Mężczyzna, do którego kieruje te słowa, ma na głowie cyklistówkę, jego twarz jest skryta w cieniu, czyta gazetę, siedząc samotnie przy stoliku nakrytym ceratowym obrusem. Koledzy z pracy mówią na niego Mistrzo. To nieznany ks. Kanonikowi funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, szef lokalnej komórki „D”, której zadaniem jest walka z Kościołem. Tonem nieznośnym sprzeciwu wydaje polecenie:

– Siadaj, Ksenofont.

Z ociąganiem ks. Kanonik zajmuje miejsce przy stoliku. Ksenofont to pseudonim, pod którym jest zarejestrowany jako Tajny Współpracownik. Pyta, nie spodziewając się odpowiedzi:

– A ten młody porucznik to gdzie?

Odpowiedź Mistrza jest równie niegrzeczna jak poprzednio:

– W dupie. Ksiądz wydusi, o co chodzi.

Mistrzo składa starannie gazetę, umieszcza na stole. Ks. Kanonik pochyla się w jego kierunku:

– Spóźniacie się z dostawą blachy na dach kościoła. Kuria na ręce mi patrzy.

W głosie Mistrza brzmią negatywne emocje:

– Ale to znaczy co, ksiądz, kurwa, za przeproszeniem uważa, że my jesteśmy skład budowlany?

Milknie, bo do stolika podchodzi kelner w czarnej marynarce z białą serwetką na lewym przedramieniu:

– Panowie sobie życzą coś na zimno? Czy na gorąco?

Ks. Kanonik pytająco spogląda na Mistrza:

– Cały dzień z pustym brzuchem biegam. Jakiś obiadek chyba się należy, co? Co tam macie?

Kelner, widząc przyzwolenie w twarzy Mistrza, zaczyna wymieniać potrawy z karty dań:

– Jak to w piątek. Mamy rybkę, jajeczko sadzone z kartofelkami i kefirkiem, pierożki z kapustką i grzybkami...

Przerywa mu ks. Kanonik:

– To ja może tradycyjnie goloneczkę poproszę.

Kelner obraca głowę w kierunku Mistrza:

– A dla was... Przepraszam, dla pana?

Zza okna dobiega marszowa muzyka, to orkiestra dęta złożona z harcerzy ćwiczy przed występem na IV Przeglądzie Orkiestr Dętych w Odrzywole. Muzyka miesza się z radiową transmisją z Wyścigu Pokoju nadawaną przez uliczne megafony. Mistrzo składa zamówienie:

– Proszę. Dwie goloneczki z czym trzeba i po kropelce wódeczki, żeby całość zdezynfekować.

Kelner oddała się w milczeniu, by po chwili wrócić z karafką i dwoma literatkami, napełnia szklaneczki:

– Służę szanownym panom. Lepsza szklaneczka wódki niż kieliszek piwka...

Mistrzo bierze do ręki literatkę, unosi do góry:

– Blachę przywiozą jutro rano. Za spotkanie i nasz wspólny sukces.

Ks. Kanonik powtarza jego gest:

– Za sukces!

Wypija i sięga po leżącą na stoliku gazetę. To „Życie Radomskie” z opisami na tytułowej stronie nieporządków na diecezjalnej pielgrzymce do Częstochowy. Widząc jego zainteresowanie dziennikarską relacją, Mistrz zadaje pytanie:

– Kiedy Ksiądz się rozliczy ze śpiewników?

Ks. Kanonik nie przerywa lektury:

– Kiepsko idą. Ale moglibyście dorzucić ze dwieście sztuk znaczków z Jasną Górą i dodrukować tych pocztówek z pozdrowieniami z pielgrzymki. Wasza drukarnia najlepsza...

Mistrz przerywa mu, stawia warunek:

– Dobra, dobra. Ale kasa od razu do ręki...

Ks. Kanonik podnosi głowę znad gazety, pochyła się nad stolikiem, rozmawiają konspiracyjnym szeptem:

– No nie wiem, czy uda mi się nazbierać. Z pieniżkami ostatnio ciężko...

Reakcja Mistrza jest zdecydowana i ostra, uderza pięścią w stół:

– Księżdu! Masz wyłączność na całej trasie. Trzepiesz kasę na każdym postoju. Możemy szybko skończyć z tym kręceniem pielgrzymkowych lodów.

Reakcja ks. Kanonika zaskakuje Mistrza:

– Wypraszam sobie... Nie takim tonem... Grzecniej. Znam swoją wartość... Lepszego kandydata na biskupa nie znajdziecie.

Mistrzo odchyła się do tyłu, zauważa drwiącym tonem:

– O! To się jeszcze okazał!

Do stolika podchodzi kelner z dwoma talerzami z golonką, stawia na stoliku, widząc puste literatki, sięga po karafkę, nalewa:

– A! Życzę smacznego. Lepsza szklaneczka wódki... właśnie, proszę.

Mistrzo próbuje go powstrzymać ruchem ręki, ale ubiega go ks. Kanonik:

– Dobrze, dobrze, już wiemy...

Kiedy kelner się oddala, Mistrz wznosi toast:

– To co, za złudzenia!

W głosie ks. Kanonika brzmi pewność siebie:

– Za sukces!

Przez chwilę trwają w bezruchu z uniesionymi literatkami, mierzą się wzrokiem. Milczenie przerywa Mistrzo, jego słowa brzmią złowieszczo:

– Prawda nas wyzwoli!

Zdecydowanym ruchem odstawiają puste literatki na stolik. Ks. Kanonik pociąga nosem, sięga po sztućce:

– Hm... ładnie pachnie... zobaczymy, jak smakuje...

Kroi golonkę, podnosi widelec do ust, na jego twarzy widać zachwyty, podnosi rękę i zanim przełknie, robi znak krzyża. W tym czasie Mistrzo napełnia swoją literatkę i wypija w milczeniu. Ks. Kanonik:

– Dobra goloneczka. Chyba najlepsza w całej diecezji...

Mistrzo z zainteresowaniem obserwuje jedzącego golonkę ks. Kanonika.



## CZEŚĆ TRZECIA

Krytyka literacka o twórczości  
Wojciecha Pestki

## Pani Grosz wśród wierszy

Z nietypowej „Noty niebiograficznej„ Wojciecha Pestki nie sposób dociec, w jakim wieku jest autor *Dziesięciu wierszy dla Grosza* (Polihymnia, Lublin 2005). Patrząc na sympatyczny fotoportret ze skrzydełka okładki, można domniemywać, iż mamy do czynienia ewidentnie z tzw. późnym debiutem. W 2005 roku książka zdobyła I nagrodę w XIV konkursie literackim Lubelskiego Oddziału SPJ.

Jak na debiutanta Wojciech Pestka wypada zaskakująco dobrze: jako świetnie zapowiadający się poeta. Oczywiście, dojrzała osobowość doświadczonego i czytanego mężczyzny odgrywa tutaj decydującą rolę. W wierszach laureata lubelskiego konkursu trudno byłoby znaleźć młodzieńczą naiwność lub sztubackie nieporadności, aczkolwiek nad wszystkim unosi się młody duch zdrowego człowieka. Silne, spełnione uczucie do kobiety zawsze ujmuje lat, dodaje sił, wyzwala nowe motywacje. Jediną bohaterką (nie licząc podmiotu mówiącego) tych wierszy jest Muza poety, jego przyjaciółka, nazywana tajemniczo Groszem vel Groszkiem. Jak w znanej piosence „Za

ostatni grosz”, ksywka ta ma odniesienia monetarne, ale też budzi skojarzenia eseistyczne. Tytuł „Groszki w sytuacjach kryzysowych” przywołuje przed oczy desę popularnego niegdyś wśród płci pięknej materiału na bluzki, sukienki czy kostiumy. Pani serca, zwana Groszem, występuje w podobnej roli, w jakiej pojawiał się słynny Pan Cogito z wierszy Zbigniewa Herberta. Postać ukochanej nieustannie ogniskuje uwagę podmiotu lirycznego, który – może mimochodem – postrzega świat przez pryzmat emocjonalnej zależności. Albo co najmniej w życzliwym, niekiedy pobłażliwym dialogu z jej percepcją spraw wspólnych. Sporo czasu poświęca on również na kontemplowanie kobiecości w jej wszelkich przejawach – od duchowych po sensualne.

Powinowactwa z Herbertem ujawniają się także w sposobach poetyckiego obrazowania. Kiedy u Pestki czytamy: „buty są bytem zależnym”, automatycznie przypomina się klasyczna już formuła: „kamyk jest stworzeniem/ doskonałym”. Przypadek? Możliwe, ale wrażenie artystycznego echa jest zastanawiające. Wymownym przykładem jawi się „wiersz o truskawkach”, będący jakby zwielokrotnionym (czyli dalekim) odbiciem „Chciałbym opisać”. Podchodząc „ze szkiełkiem i okiem” do propozycji naszego debiutanta, można by napotkać więcej takich paralelizmów.

A propos pozornych (?) zbieżności, trzeba dodać, że w poezji Pestki wyczuwa się ponadto analityczną lekturę dzieł Tadeusza Różewicza. Chodzi mianowicie o konstruowanie tekstu na bazie kontrastów,

predylekcję do antytetycznych wyrażań, ascetyzm formalny. Przy czym Wojciecha Pestkę wyraźnie różni od autora *Czerwonej rękawiczki* upodobanie do wielorakiej metaforyki. Na ogół stosuje on metafory „dorzeczne”, realistyczne, opierające się na (nie-mal) oczywistych ciągach asocjacyjnych (np. „dzwon niedzieli”, „pajęczyna firanki”, „piasek szczegółów”, „włócznia krzyku”, „cierniowa korona chłodu”, „niebieskie lustro pogody”). Jednak od czasu do czasu stać go na metafory bardziej wyszukane, śmiałe, skojarzeniowo odleglejsze, preferowane przez kolejne generacje awangardy (m.in. „warkocze deszczu”, „nasturcje nastroju”, „drzazgi chromosomów”, „kromka wiersza”, „dzwonek światła”, „napowietrzna pajęczyna miłości”).

Zdarza mu się korzystanie ze sformułowań publicystycznych lub sięganie po kolokwializmy („pastwa losu”, „czarna godzina”, „lustro wody”, „wymowne milczenie”, „rzucić słowa na wiatr” etc.). Te ostatnie mogą trochę irytować, ale absurdem byłoby upatrywanie w ich obecności poważnego błędu stylistycznego. Nowoczesna poezja jest synkretyczna, łączy językową trywialność z wyrafinowaniem wyższego rzędu. Na szczególną pochwałę zasługuje leksykalny umiar autora, który nigdzie nie przekroczył szerokiej granicy wulgarności, do czego przyzwyczaili nas postmoderniści (Świetlicki, Gretkowska, Podgórnik).

Najwyższa pora zwrócić się w stronę przekazu treściowego, porzuciwszy rozważania formalno-warsztatowe. Potraktowanie wierszy Wojciecha Pestki jako rozbudowanego przykładu liryki miłosnej byłoby rażącym

uproszczeniem. Rzecz jasna, książka jest specyficznym darem dla wybranej niewiasty, darem wpływającym z afektu do niej. Ba, słowo „afekt” zapewne nie oddaje zasięgu ani głębi tej relacji, jaka łączy dwie dojrzałe osoby, którym być może życie toczy się z górką. Mimo pewnej młodości (powtarzam: miłość odmładza), poetę cechuje stopień równowagi ducha właściwy mędrcom:

*Nie chciałbym być nikim ważnym  
Innym  
Wystarczy mi  
Wypełnić się spokojem  
Pochylić nad kubkiem  
Przez obłok parującej herbaty  
Widzieć Twoją twarz [...]*  
(„Nie chcę być nikim innym”)

Wyznanie stoika? Buddystą zen Pestka na pewno nie jest, ale uporządkował już swoje życie, określił się pod gwiazdzistym niebem, wyciszył zgiełk wewnętrzny. Wydaje się, że nie doskwiera mu problem własnej tożsamości, nawet jeśli przeczy temu ukryta skarga:

*Szukam siebie  
Próbuję odnaleźć chociaż fragmenty  
Większej całości [...]  
Brakuje mi czasu  
Brakuje już siły  
Żeby być z innymi*  
(„fragment większej całości”)

Pojawiają się paradoksy egzystencji. Z jednej strony autor uskarża się na samotność („Oczekiwania nasze/ Samotność nasza/ Nic ponad to”), ale z drugiej – odczuwa szlachetną solidarność z ludzkością:

*Oni są we mnie wszyscy  
Ci którzy idą  
Ci którzy już przeszli  
Nawet ci co będą  
Chcą tego samego co ja  
Jeść, kochać [...]*  
(„choć o mnie nie wiedzą”)

Nie każdy mógłby tak powiedzieć, choć to ten rodzaj więzi, o którym pisał autor *Komu bije dzwon*. Samoafirmacja jako rezultat uświadomionej konieczności, jest przywilejem wybrańców losu. Niepoprawni buntownicy mogą to potwierdzić...

Fundamentalne samozadowolenie jest wypadkową indywidualnych oczekiwań, doświadczeń życiowych, wypracowanego lub przyswojonego światopoglądu. Kilka wierszy dla Grosza dotyka właśnie kwestii światopoglądowych (np. odpowiedź, dogmat wiary, śniadanie z Hamletem). Autor to człowiek wrażliwy, delikatny, powściągliwy, dlatego metafizykę serwuje nam pośrednio, aluzyjnie, jakby z przymrużeniem oka. Bywa, że odwołuje się do zapewnień swej wybranki, komentując je ironicznie (vide: „w czasie postu” czy „przepaść rodzaju żeńskiego”), częściej – z wyrozumiałością i akceptacją.

Problem kondycji ludzkiej pojawia się w wierszu „kim jestem”, dotykając wprost wymiaru nadprzyrodzonego. Do religii chrześcijańskiej odsyłają nas głównie aluzje. Są to konkretne odniesienia do wyjątkowej Księgi, której ongiś Bruno Schulz poświęcił osobne opowiadanie. Nie bez kozery wspominam twórcę *Sklepowów cynamonowych*, gdyż jego stosunek do wierzeń przodków był w niemałym stopniu krytyczny. Tutaj spotykamy analogicznie wzięcie w nawias, stawianie znaku zapytania, sygnalizowanie wątpliwości:

[...] książka  
Martwa mądrość twych liści  
Nieczytelna mowa  
Płaskie przystanie i zatoki czasu  
Nie ma kazania na górze  
Nie ma nawet góry  
Ani cedzonego ognia  
Na krzaku porzeczeki  
Są wróble sms-ów  
Krążących nad miastem [...]

(„spis powszechny-tren”)

Czy to zasadnicze zwątpienie, czy raczej satyra na współczesność? Wszak żyjemy w epoce pogańskiego kultu, jakim stało się np. rodzinne chodzenie do hipermarketów (por. wiersz „przed oszkloną bramą raj”). „Wszystko jest grą na peronie wyobraźni” – uspokaja poeta, ale ostateczna diagnoza nie grzeszy optymizmem:

*Nic w nas i nic po nas Proch*  
*Tak było zawsze*

Nakreślona w zbiorze Wojciecha Pestki perspektywa nie prowadzi ku świetlanej przyszłości. Jedynym źródłem nieśmiałej, zamglonej, hipotetycznej nadziei jest finalne zaprzeczenie: „Nigdy nie jest tak jak było”. Tylko to musi nam tutaj wystarczyć. Ewentualnie – „pszczoła pacierza pod czaszką...”.

Stanisław Chyczyński  
Wojciech Pestka: *Dziesięć wierszy dla Grosza*, Wydawnictwo „Polihymnia”, Lublin 2005  
„Twórczość” nr 10/2007

## O sztuce poetyckiej rozmowy

Wspólny, dwujęzyczny tomik Anny Bagriany i Wojciecha Pestki jest przedsięwzięciem niebanalnym. Poetycki dialog nawiązały dwie różne osobowości i dwie odmienne poetyki. Z tego dialogu powstaje opowieść za pośrednictwem lirycznych wierszy (i jakby – poetyckich listów), której bohaterami są: ON – dojrzały wiekiem i doświadczeniem polski poeta i ONA – młoda ukraińska poetka (oboje będący literackimi odzworowaniami autorów tomu). Po poetyckim przedstawieniu się bohaterów (Anna Bagriana – „Przędza”; Wojciech Pestka – „Ona, odbicie w wodzie”) w kolejnych lirykach jest mowa o podróży, spotkaniu i namiętnościach wzajemnej fascynacji oraz o wiążących się z nią marzeniach, obarczonych pełną świadomością niemożności ich spełnienia.

Poeci skupiają się na refleksjach, opisach szczęśliwych lub mniej szczęśliwych chwil. Niekiedy liryki wręcz sobie odpowiadają, czy też się uzupełniają. Na przykład „Tantra” i „Tantra 2 (nasz taniec)” Bagriany i „Zaproszenie do tańca” Pestki oparte są na jednym motywie, z różnych punktów widzenia rozpatrują tę

samą sytuację (wspólnego tańca). Z drugiej jednak strony traktują ją podobnie, to znaczy jako uogólnienie tańca na całą znajomość

Ostatnie utwory (W.P. – „Wybacz mi”; A.B. – „\*\*\* nie wybaczasz mi”, „Wróżby”) przynoszą konstatację: spotkali się dojrzały mężczyzna z młodą kobietą, zbyt wiele ich dzieli – nie mogą więc być razem. Pozostaną oddanymi przyjaciółmi.

Historia nadająca tomikowi kształt była więc niby prosta i tylko w ten sposób, jak wyżej – może zostać opisana, jeśli spróbujemy skrótową fabułkę cyklu lirycznego (lirycznego dialogu) przedstawić jako ciąg faktów. Ale równocześnie każdy, kto coś podobnego przeżył (albo przeczytał liryki Wojciecha Pestki i Anny Bagriany), stwierdzi, że w wymiarze duchowym sytuacja podobna bywa niezwykle trudna, choćby dlatego, że zakłada umiejętność wyrzeczenia.

Drugi aspekt korzyści z obcowania ze *Spacerem po linie* w tym się zawiera, że mamy okazję zaobserwować, jak się wzajem uzupełniają dwie odrębne poetyki i dwa poetyckie światopoglądy. Formalnie rzecz biorąc, poeci piszą podobnie – wierszem wolnym, bezrymowym (choć niekiedy z delikatnymi asonansami, pełny rym też się czasem zdarzy), co ma szczególne znaczenie w wypadku Anny Bagriany, gdyż oznacza, że na swoim terenie jest poetką bardzo nowoczesną (nie tak dawno na całym obszarze postradzieckim panował estradowo-sylabotoniczny sposób wierszowania, swoisty dla ZSRR). Ale wyobraźnię poetycką i nawyki stylistyczne mają zasadniczo odmienne.



Bagriana porusza się w świecie obrazów kosmicznych („pociągam niebo za białą chmurę/ cienka strużka światła/ wycieka spomiędzy palców”), niekiedy połączonych z zaskakująco kobieco-konkretnym spojrzeniem („to w przybliżeniu tam/ gdzie Bogu zabrakło nici/ gdzie ziemia nie sfastrygowana z niebem/ porusza się/ jak oderwana łapka pluszowego niedźwiadka”). Jej mitologia pełna jest motywów baśniowych, kojarzących się nieodparcie ze słowiańską tradycją („tak dużo piasku/ że można wznieść wysoką wieżę/ i skryć się za siedmioma zamkami/ wyglądając zamorskiego rycerza/ na czółnie z przezroczytymi żaglami”), albo nawet z prastarą tradycją magiczną („latareczkę maleńką/ boję się wypuścić z dłoni// garstka światła –/ to za mało/ aby/ rozejrzeć się w ciemnościach Drogi”). Widzi siebie jako maleńką cząstkę wszechświata, jedno z „ziarenek piasku”, którymi wszechwładnie rządzi los, przedstawiony np. w figurze „chimerycznego pociągu”. Uczucie, owa „latareczka maleńka”, potrzebne jest jej dla ochrony i obrony.

Ale jeśli mowa o miłości czy przyjaźni traktowanej jako wartość autonomiczna – to wówczas z głębi liryku patrzy na czytelnika jasne oko Pani Samowładnej, uważnie wsłuchującej się tylko we własne uczucia i tylko z nimi się liczącej („Z własną pamięcią gram w chowanego// Ja – w Twoim sercu/ Czy znajdzie?”, albo: „oczami Twoimi/ zobaczy mnie/ Inny”), co z drugiej strony nie wyklucza czułości i oddania („Listy nie od Ciebie/ nie czytając/ niszczyć”).

Oczywiście, choć wierszy Bagriany w tomiku w sumie nie jest dużo, można w nich zauważyć i odmienne od wymienionych motywy czy rozwiązania. Widać i przywiązanie do tradycji (ba! w „Na fali” skłonny byłbym nawet dostrzec dalekie echo Mickiewiczowego „Ajudahu!”), i umiejętność zatrzymania ulotnej chwili. Dominuje jednak we fragmentach tomu, będących jej autorstwa, wizerunek powyżej opisany: archetypiczny obraz dynamicznej kobiecości w kosmicznych okowach, budowany za pomocą kontrastowych poetyk: subtelnej liryki wyznania (np. „tak/ delikatnie/ mnie całowałeś/ że pomyślałam/ że to/ sen/ i –/ odeszłam”) oraz surrealistycznej wizji (przy czym chodzi o surrealizm bardziej spod znaku Harasymowicza niż np. Bretona).

Wojciech Pestka, polski poeta biograficznie należący jeszcze do pokolenia Nowej Fali lub też sytuujący się między Nową Falą a Nową Prywatnością (jak z jednej strony Kornhauser, Krynicki, Zagajewski – a z drugiej Lisowski czy Kaliszewski), uprawia poezję zgoła inaczej niż Bagriana. Po pierwsze, stara się być blisko językowej materii, a po drugie – w większym stopniu opierać o realną rzeczywistość. W tomie znajduje się jego wiersz klasycznie lingwistyczny („\*\*\* mówi się różnie, dobrze, źle”), w którym ciąg rozumowania, oparty na skojarzeniach słownikowych i frazeologicznych związanych z rzeczownikiem „głowa” zmierza ku konstatacji, że adresatka liryku mocno „zawróciła mu w głowie”. Częściej jednak jego utwory rysują zwykłe życiowe sytuacje i nadbudowują nad

tymi codziennymi obrazami pewne ogólne, mniej lub bardziej symboliczne sensy, składające się w sumie na obraz stanu ducha podmiotu.

Sytuacje bywają nader prozaiczne: podróż pociągiem, autobusem, bufet dworcowy, robienie sobie pamiętkowego zdjęcia, na którym lepiej wyszło tło niż plan pierwszy. Wypełnione są prozaicznymi szczegółami, takimi jak walizka ciągniona na kółkach, chińska bawełniana koszulka, lampa świecąca nad biurkiem, hotelowy korytarz i zostały dość starannie zarysowane (ich opis kończy się jednak zawsze ogólną, uczuciową czy filozoficzną pointą). Innym znów razem żywioł refleksyjny jest silniejszy i poeta przede wszystkim rozważa problemy: zastanawia się nad tym, czym jest prawdziwa miłość, czym się różni odczuwanie czasu przez młodego i przez dojrzałego człowieka. I dlatego on i Anna musieli się spotkać...

Cóż. Mimo że opisowi liryków Anny Bagriany poświęciłem w recenzji nieco więcej miejsca, to muszę zdradzić, że Wojciech Pestka operuje stanowczo mi bliższym punktem widzenia i że w owej dyskusji pomiędzy „młodością górną” a „wiekiem męskim” stoję już po jego stronie.

W tym miejscu wypada się zatrzymać i zdać sobie sprawę z tego, że tomik liczy niespełna czterdzieści utworów, a rozważania o nim mógłbym jeszcze kontynuować (zamieniając jednak recenzję w szkic krytycznoliteracki – czego teraz nie planuję). To najlepiej świadczy o tym, jak owa książeczka jest ciekawa, ile myśli może nasuwać obecność w jednym tomie dwu

osobowości poetyckich; zarazem tak odmiennych i tak najściślej ze sobą, w ramach wykreowanej sytuacji, powiązanych.

Wojciech Kajtoch

Anna Bagriana, Wojciech Pestka: *Spacer po linie – Mandrwika linwoju*, Wydawnictwo „Kamieniar”  
Lv’v, Wydawnictwo „Skaut.PL”, Radom – Lwów  
2008.

„Tygiel Kultury” nr 7-9/2008

## Powiedzcie swoim

Wydarzenia z czerwca 1976 roku w Radomiu, czyli spontaniczny protest pracowników prawie wszystkich zakładów przemysłowych tego miasta przeciw planowanemu podwyżkom cen, był momentem przełomowym dla życia społecznego i politycznego w Polsce. Obnażył rzekome sukcesy gospodarcze epoki Gierka i takież liberalizm władzy, która w odwecie okrutnie spacyfikowała oraz upokorzyła miasto i jego mieszkańców, a to z kolei dało początek pierwszym jawnym strukturalnym opozycji (KOR) i pozwoliło stworzyć związki solidarności społecznej Polaków.

Historycy, dokumentaliści i reporterzy dość gruntownie opracowali ten temat (na ich prace wskazuje Wojciech Pestka w nocie końcowej), czy miało zatem sens pisanie powieści o zbuntowanym Radomiu?

Najnowsza historia Polski staje się dziedziną interesującą już tylko specjalistów, czyli po prostu historią taką samą jak dzieje panowania Bolesława Chrobrego. Młodzi ludzie grzeszą głęboką niewiedzą na ten temat, politycy manipulują nią jak im wygodnie, starsi ludzie wspominają z rozrzewnieniem (w)czasy Gierka

(w czym sekundował im w prezydenckiej kampanii wyborczej sam Jarosław Kaczyński), a nawet Gomułki. Polityka historyczna woli martwych bohaterów od żywych ofiar i bojówki kiboli od statecznych obywateli, myjących ręce pod kranem z ciepłą wodą. Pestka wybrał powieść jako narzędzie powrotu do rzeczywistości, antidotum na kłopoty z pamięcią. Powieść polityczną, obudowaną sensacyjnym wątkiem, ale trzymającą się historycznych faktów, danych zapisanych w dokumentach, wiarygodnie odtworzonych strategii ówczesnych władz i podległych im służb bezpieczeństwa. Narratorem jest pisarz, ale większą część tej roli wypełnia za niego Mistrzo, były esbek, przebywający w szpitalu psychiatrycznym na obserwacji. To on kieruje reflektorem, oświetlającym punktowo fragmenty rzeczywistości lat siedemdziesiątych, które składają się na całość ich obrazu – nie tylko wydarzeń czerwcowych, nie tylko w Radomiu. Ukazuje nam strukturę policyjnego państwa, tło historyczne i społeczne, machinacje władz, stopień ubezwłasnowolnienia ludzi i słabość tej konstrukcji, gdy wzburzony niedostatkiem i kłamstwem dwudziestopięcioletni tłum wychodzi na ulicę.

Esbek, mówiący w książce Pestki wulgarnym, plebejskim językiem, w którym pełno „ludowych” powiedzonek i wierszyków, strugający wariata, jest jednak inteligentnym, cynicznym profesjonalistą, zdolnym ocenić i oddzielić to, co istotne, od tego, co tylko maskuje znaczenie. Jego mniemanie o wartości człowieka na pewno nie jest zależne od humanistycznej

wykładni słynnego zdania Pitagorasa, ale wprowadza do materii powieściowej potrzebny w niej nerw prowokacji moralnej, nieoczywistości ludzkich postaw w skomplikowanej rzeczywistości. I ta konstrukcja, mimo pewnych pęknięć, w sumie się Pestce udała. Ludzie, którzy ponoć pamiętają i chwalą sobie Gierkowską PRL, po przeczytaniu tej książki co najmniej zwątpią w swoje przekonania, a młodszy, którzy tamtych czasów nie pamiętają, znajdą w niej dość konkretnych i argumentów, by bajkom nie wierzyć.

(mr) Mirosław Ratajczak  
Wojciech Pestka: *Powiedzcie swoim*, Wysoki  
Zamek, Kraków 2013 s. 328  
„Odra” nr 2/2014

## Radomska omerta

W rankingach badających poziom zadowolenia z życia w danym mieście zajmuje ostatnie miejsce. Radom – miasto królewskie i – jak twierdzą w sondażach mieszkańcy – najsmutniejsze miejsce w Polsce. Miasto milczenia i zapomnienia. Także o czerwcu 1976 roku, „ścieżkach zdrowia” i „radomskich warchołach”...

Opinii publicznej łatwiej pamiętać o karnawale „Solidarności” z sierpnia ’80, strajkach w Stoczni Gdańskiej, ofiarach w kopalni „Wujek”, wreszcie o stanie wojennym, który na całą dekadę zamroził społeczne więzi, choć kto wie, czy nie przyspieszył także demontażu systemu. Tak, te wydarzenia opinia chce pamiętać – mają swoją dramaturgię, tragiczną ofiarę bezbronnych, do których w imieniu „prawa” strzelała milicja. Radom ’76 w świadomości wielu nie istnieje. Nie ma nośności, a może nawet nie jest dostatecznie szlachetny, by go przywoływać. Wszakże protestującym „puściły nerwy” – podpalono budynek Komitetu PZPR, spłonęło kilkanaście samochodów, zdemolowano i splądrowano około setki sklepów. To zbyt haniebne, dalekie od biblijnej prawdy, by „zło

dobrem zwyciężać”, głoszonej przez księdza Jerzego Popiełuszkę podczas legendarnych kazań w kościele pw. św. Stanisława Kostki w Warszawie.

A może Radom musiał taki być? Musiał przyjąć na siebie tę rolę „błędów i wypaczeń”, by Gdańsk mógł ich unikać? I jeśli dziś milczy, dziś nie chce pamiętać – poddaje się tamtej manipulacji, której już 26 czerwca 1976 roku użyły władze, by potępić i zdyskredytować protestujących, utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że mają do czynienia z „radomskimi warchołami”... Dlatego na okładce najnowszej książki Wojciecha Pestki – *Powiedzcie swoim* – wybrzmiewa dosadnie cytata z telefonicznej rozmowy Edwarda Gierka z ówczesnym I sekretarzem radomskiego Komitetu PZPR, Januszem Prokopiakiem: „Powiedzcie tym swoim radomianom, że ja mam ich wszystkich w dupie i te ich wszystkie działania też mam w dupie. Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie potraktować? Te warchoły, ja im tego nie zapomnę”.

W tej książce Radom dostaje nie tylko kawałek własnej historii, jakkolwiek trudnej, lecz o istotnym znaczeniu dla tkanki społecznej. *Powiedzcie swoim* podejmuje próbę przełamania swoistego prawa omerty, które wiadome fakty wszystkim nakazuje przemilczać za cenę świętego spokoju (jak widać po wynikach sondaży społecznego zadowolenia – z marnym skutkiem). W samej książce wątek miasta i udziału jego mieszkańców w czerwcowych protestach (a może zamieszkach?) pojawia się jako tło. Wydaje się, że autor świadomie zrezygnował z szerokiego rozbudowania

tej części fabuły. Wypadki radomskie i samo miasto z atmosferą lat siedemdziesiątych. Pod względem konstrukcji fabularnej powieść Wojciecha Pestki jest dość ascetyczna, skoncentrowana na soliście-głównym bohaterze i zróżnicowanej warstwie tekstowej – a więc w warstwie zdarzeniowej przybiera statyczną formę, poza kategorią spektakularności.

Zachowawczo (?) określono ją jako powieść polityczną. Jednak po lekturze odnosi się wrażenie, że to wyraźne zakwalifikowanie gatunkowe nie jest do końca czyste, nie oddaje całości znaczeń; *Powiedzcie swoim* pozycjonuje się gdzieś na pograniczu gatunków – literatury faktu, kryminału, reportażowej publicystyki, wywiadu, a nawet paraboli czy powieści z kluczem. Nadrzędną rolę sprawuje tu jednak literackość i zamysł autora, a ten zainicjował proces dekompozycji klasycznej formy przekazu. Książka rozsypuje się (niczym skoroszyt pełen fiszek) i na poziomie założeń konstrukcyjnych, i na poziomie narracji, i na poziomie stylistycznej spójności. Charakterystycznym wyznacznikiem procesu rozkładu staje się nałożenie na siebie kilku rodzajów relacji (tekstów), co rodzi w czytelniku wrażenie symultaniczności dziejących się wypadków, „bycia wszędzie”, unoszenia się ponad światem przedstawionym. Poprzez zróżnicowanie stylistyk i tekstowego budulca książka rozpada się na luźne notatki, bez wyraźnej linii przyczynowo-skutkowej czy chronologicznej, która spajałaby tekst w jakimś określonym porządku gatunkowym.

Rozrzuciona radomska kartoteka (parafrazując tytuł dramatu Różewicza) w *Powiedzcie swoim* niesie ze sobą jakąś nerwowość, pośpiech, a jednocześnie zachłanność, by wypowiedzieć jak najwięcej. Autor ma świadomość, że nie dotyka rzeczy zabliźnionej. Czerwiec '76 wciąż czeka na swoje przepracowanie może nawet w zaciekłym sporze, konfrontacji z rzeczywistością. Stąd prowokacja wobec zainteresowanych środowisk (m.in. dawnego aparatu partyjnego, obecnych elit rządzących w Radomiu, grup biznesu i kleru) jest tutaj jawna i zuchwała. Pestka nie tyle porusza lokalny problem z historią, ile stawia elementarne pytanie o prawdę, może nawet podejmuje się karkołomnej misji ujawnienia metod manipulacji, demistyfikacji zakonserwowanych układów, odburzenia tamtych wydarzeń i przywrócenia zwykłym ludziom odebranej godności. Jednocześnie ma świadomość, że jest w tym wszystkim sam – wobec wrogo nastawionego, zdegradowanego aparatu ówczesnej władzy, wobec obecnych uprzywilejowanych grup interesu i wobec milczącej rzeszy uczestników protestu, a nawet wobec urzędników stojących na straży nietykalności stosownej dokumentacji w państwowych instytucjach.

Jeśli *Powiedzcie swoim* jest powieścią, to czy na pewno polityczną? Pestka stara się nie opowiadać po określonej stronie politycznych podziałów i nie pisać pod zadaną tezę. Choć polityczna koniunktura sprzyja takiemu modelowi literatury, który – o ironio – ulega zbyt łatwo pokusie monopolu na jedynie słuszną interpretację historii. Autor stwarza sytuację

wielowymiarowości sądów, a interpretacyjna dowolność czyni przestawiony świat niejednorodnym: wiarygodnym i koherentnym z rzeczywistością. Metaforyzacja pozwala na przeniesienie doświadczeń w przestrzeń uniwersalnej symboliki, a więc w sferę wyższą, na swój sposób sakralną, gdzie dokonuje się oczyszczenie (katharsis) – pierwiastek, którego brakuje większości powieści politycznych, zbyt dosłownych, zbyt tendencyjnych.

*Powiedzcie swoim* to specyficzny, bo zapisany prozą, monodram – na kształt *Ja, Feuerbach* Tankreda Dorsta – spowiedź człowieka upadłego, z przehandlowaną duszą, który dokonuje brutalnej wiwisekcji życiowych postaw i motywacji. Pestka nie wybrał łatwej wersji świadectwa o Radomiu, jaką byłaby relacja szeregowego uczestnika protestów. Głównym bohaterem czyni zdegradowanego oficera Służby Bezpieczeństwa. Zdegradowanego w hierarchii służbowej, zdegradowanego moralnie, zdegradowanego w końcu w swojej ludzkiej kondycji do roli wariata, który dożywa swoich dni w odosobnieniu za murami szpitala psychiatrycznego. I to jego wersja będzie dla nas punktem odniesienia.

Ferdynand Świder, Frycek, Mistrzo – bohater zongluje imionami-pseudonimami, jak przystało na statystycznego szaleńca. I dokonuje niemal ekwilibrystycznych zabiegów, by nie tyle ukryć swoją osobowość, ile multiplikować ją w nieskończoność, za każdym razem wyostrzając inny jej ton. Jakby tylko czekał na okazję – wyrwany z neuroleptycznego



otępienia odgrywa przed swoim rozmówcą-dziennikarzem specyficzną komedię masek. Kluczy, myli tropy, ujawnia, co chce i ile chce, jego bezładne i histeryczne tyrady odstręczają i zarazem fascynują, a żenująca błazenada min i gestów sprawia, że patrzymy na niego z politowaniem. Zbyt szybko i zbyt łatwo ulegamy pierwszemu wrażeniu, zapominając, że szaleństwo kieruje się nieprzewidywalną logiką i ponadludzką przenikliwością myśli. Pajac ani na moment nie traci z oczu tego, do kogo mówi – kontrola jest tutaj wszechobecna. Jest zawsze o krok przed nami. W naiwnej pysze obdarzamy go wątpliwym lekceważeniem, dopóki w pewnym momencie nie zdamy sobie sprawy, że staliśmy się bezwolnymi arlekinami w tej grze. Daliśmy się uwieść Mistrzowi. Od tej chwili, kiedy wszystkie sznureczki zacisną się w jego garści, nie będziemy mieć żadnego wyboru. Tak jak nie ma wyboru dziennikarz tropiący losy Mistrza jeszcze z czasów świetności i służby w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Dzięki jego dziennikarskiej ciekawości ujawniają się najdobitniej esbeckie metody inwigilacji i perfidia systemu – musi się pojawić alegoria kuszenia i zaprzędania duszy.

Dlatego skonstrastowanie postaci duetu – dziennikarza i esbeka (reprezentujących poniekąd paralelne dyscypliny), opisanie ich na zasadzie scholastycznej antynomii „dobry – zły”, pozwala na zaprezentowanie całej przewrotności maszyny kontroli, w której trybach miały się społeczeństwa ludowych demokracji do 1989. Mistrzo nie jest Mistrzem z powieści

Bułhakowa, lecz przeobraża się w diabelską postać Wolanda. Genetycznie całkiem blisko mu do bohatera *Notatek z podziemia* Dostojewskiego i dra Maksymiliana Aue z *Łaskawych* Littella. Język, którym się posługuje – porwany, brutalny poprzez wulgaryzmy – wprawia w zażenowanie, zniechęca, wywołuje szok i protest, ale jest na swój sposób mową autentyczną, żywą, charakteryzującą wizerunek określonej grupy. Mistrzo przez właśnie taki sposób wypowiedzi nabiera cech everymana bezpieki – wiarygodnego i... uczciwego w swojej podłości. Możemy go nienawidzić, możemy brzydzić się nim, ale musimy oddać mu szacunek właśnie za tę uczciwość diabła, który nie usprawiedliwia się i nie potrzebuje naszego rozgrzeszenia. Wszak supeł intrygi zaciska się na naszym własnym „ja” odbitym w twarzy obcego.

Polityka pojawia się w drukach urzędowych, notatkach służbowych. Reszta jest literacką kreacją. Światy wykreowane zająbiają się jednak z realnością. Stanowią jej fikcyjne uzasadnienie – są jak sfabrykowane dowody winy. Gdzieś na pograniczu gabinetowej polityki toczy się życie Mistrza, życie z drugiej strony biurka. W charakterologicznej konstrukcji dokonuje się przemieszczenie ról – od szaleńca do demiurga kreującego świat wokół, od unieszkodliwionego i zdekonspirowanego tajniaka do wciąż groźnego agenta dysponującego siatką kontaktów i wiernych pomocników (np. wątek karła i ordynatora). Postać Mistrza ze swoją mozaikową, schizofreniczną osobowością wymykająca się klasyfikacjom wyrasta na nowy typ

bohatera w literaturze, wzór parenetyczny epoki postmodernizmu – konfidenta i inwigilatora.

Kreacja szaleńca uzasadnia duchowy eskapizm Mistrza. Nie ucieka przez ludzi, których werbował, nie ucieka nawet przed zewnętrznym osądem i karą – te są uświadomioną konsekwencją, na którą wyraził zgodę w chwili wstąpienia w szeregi służb. Ucieka raczej przed samym sobą i to ratuje go przed całkowitą zaturą, znaczy rysą tragizmu. Napiętnowanie i ostracyzm ze strony otoczenia nie są tak dotkliwe jak udręka nieustającego pogłosu sumienia – znaku wyższej istoty w człowieku, która ujawnia martwość każdej sztucznie wykreowanej ideologii. W misternie ufortyfikowanej utopii polityczno-społecznej, drenującej umysły i dusze, pęka zawsze najsłabszy element – człowiek.

Bohater, a raczej antybohater, zgodnie z intencją autora, narzuca czytelnikowi rolę spowiednika, który sam musi zdecydować o rozgrzeszeniu. W pewnym momencie podrzuca dziennikarzowi żonglerski rekwizyt-prawdę: Napisz: każdy ma rzeczy wstydlive na sumieniu. Miejsca wrażliwe. Nic nie minęło, nic się nie skończyło. Nikt nie jest bezpieczny. I wystawia na kolejną próbę hierarchię ugruntowanych przez wiarę (i religię) wartości. Bo kto jest bez winy... Mistrzo śmieje się nam prosto w twarz, nie wyraża skruchy, lecz beczelnie obnosi się ze swoją hańbą. Niczym upiorny kłown-kuglarz. On jeden zna smutną istotę wolności – jej iluzyjność.

Dlaczego właśnie teraz literatura tak wyraźnie podejmuje kwestię wolności i godności ludzkiej? Bo

cechą postmodernizmu jest względność. Nic nie jest stałe, nic nie jest pewne, wszystko ulega nieokreślonym przeobrażeniom. Próżnia wartości, które ulegają relatywizacji, usprawiedliwia zaniechanie. A jeśli wszystko jest względne – wszystko można człowiekowi odebrać – wolność, sprawiedliwość, godność...

Czy książce Wojciecha Pestki uda się przełamać znowę milczenia o radomskim czerwcu? Przecież milczenie jest nie tylko wyrazem uległości czy zaniechania, ale i współudziałem w konserwowaniu określonych wzorów interpretacji, określonych mechanizmów kreowania rzeczywistości.

Aleksandra Keller

Wojciech Pestka: *Powiedzcie swoim*, Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2013, s. 326  
„Twórczość” nr 6/2014

## Do zobaczenia na Kresach

Niełatwo jest ocenić polskiemu historykowi książkę o dziejach Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, widzianych oczami przedstawicieli różnych narodów. Po pierwsze, z tym pojęciem każdy Polak wiąże wiele osobistych emocji. Po drugie, każdy z kresowych narodów rozwinął – w większym czy mniejszym stopniu – własną historiografię, w której uzasadnia własny punkt widzenia na te kwestie, broniąc interesów swojej nacji. Jeszcze trudniej krytycznie pisać o książce, która nie jest pracą naukową, lecz dziełem literackim, niekierującym się surowymi wymaganiami warsztatu metodologicznego historyka. Niemniej w książce Wojciecha Pestki znajduje się coś, co skłania najpierw do jej przeczytania, a następnie do podzielenia się swoimi refleksjami.

Tematyka kresowa wciąż posiada walor świeżości, co widać również w tej pracy. Kresy Wschodnie zarówno tej pierwszej, szlacheckiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak i II Rzeczypospolitej okresu międzywojennego obfitują w niezliczone „białe plamy”, czyli mało znane lub wręcz niezauważane dotąd

wydarzenia bądź zjawiska, wciąż oczekujące na badacza lub pisarza, który wydobędzie je z dziejowego niebytu i ukaże szerszemu odbiorcy. Pamiętajmy, że obszar ten od wieków stanowił mozaikę kultur, narodów i religii, niejednokrotnie wymieszanych ze sobą lub ze sobą koegzystujących. Wiek XX przyniósł straszne doświadczenia totalitaryzmów: hitlerowskiego i komunistycznego, które wpisały się na stałe w osobiste, tragiczne doświadczenie większości osób zamieszkujących te tereny, niezależnie od ich narodowości lub wyznania. Natomiast po II wojnie światowej dominacja ZSSR na tym obszarze uniemożliwiła przedstawienie prawdy o tych koszmarnych wydarzeniach. Jest to więc wciąż terra incognita zarówno dla badaczy, jak i pasjonatów przeszłości.

Praca W. Pestki ma wiele walorów, ale przede wszystkim taki, że ukazuje zwykłych mieszkańców Kresów wrzuconych w tryby historii, często „wielkiej polityki”. Co więcej, Autor nie koncentruje się wyłącznie na przeżyciach Polaków, co stanowi częstą manierę tych autorów, którzy opisując burzliwe dzieje tych obszarów, koncentrują się na opisywaniu rozmiarów – ogromnej przecież – polskiej martyrologii narodowej. W tym wypadku jest inaczej. Autor nie ogranicza swoich dociekań wyłącznie do losów polskich. Rozmawia także z Ukraińcami, Żydami, Białorusinami, Łotyszami. W ten sposób jego dociekania zyskują wymiar uniwersalny, ponieważ ich lejtmotywnym staje się los jednostki w systemie totalitarnym, niezależnie od jej proveniencji narodowej lub kulturowej. W systemie,

dodajmy, w którym własny punkt widzenia, wierność zasadom moralnym, a czasami zwykła ludzka przyzwoitość stają się przestępstwem surowo ściganym przez władzę. Przekonujemy się o tym, czytając kolejne relacje świadków historii. Przejmujące świadectwo Alfreda Schreyera z Drohobycza przybliży czytelnikom mechanizmy Holocaustu, czyli ludobójstwa na niespotykaną wcześniej skalę, oraz postawy Żydów, Ukraińców, Niemców i Polaków wobec tego zjawiska. Inna z rozmówczyń, Maria Szegda, opisuje swoje doświadczenia z pobytu w sowieckich łagrach, kiedy skrajnie trudne warunki bytowania na pierwszym planie stawiały kwestię przetrwania często za cenę utraty człowieczeństwa. Z drugiej strony, widzimy wysiłek skierowany na zachowanie człowieczeństwa, widoczny chociażby w stosunku ofiar do swoich prześladowców. Uderzające, a nawet wstrząsające świadectwo przekazuje ksiądz Ludwik Rutyna, który mimo doświadczenia srogich prześladowań ze strony Sowietów, Niemców i ludności ukraińskiej stwierdza: „Nie można niczego uogólniać, mówić: wy Ukraińcy, Polacy. Nie ma takich generalnych prawd. [...] Ale przecież byli też dobrzy komuniści, trafiali się nikkzemni Polacy, którzy zdradzali, donosili. Niemcy, którzy pomagali innym, ratowali życie, Ukraińcy, którzy zabijali, i tacy, którzy jeszcze dzisiaj otrzymują z Polski listy z podziękowaniem za pomoc. [...]”

Innym, interesującym wątkiem tej książki są losy jednostek, lokalnych społeczności i całych narodów wepchniętych między totalitaryzm niemiecki

i sowiecki. Szczególnie przejmująco w tym kontekście wyglądają dzieje II wojny światowej na Kresach, które posiadały swoją, nie zawsze zauważaną, specyfikę. W tym okresie nastąpił całkowity rozpad wspólnoty obywatelskiej II RP „po szwach narodowościowych”, zaś przynależność narodowa stała się zasadniczym kryterium samoidentyfikacji jednostek. Na pierwszy plan wysunęły się wówczas – umiejętnie podsycane przez władze sowieckie i niemieckie – konflikty narodowościowe: polsko-litewski, polsko-żydowski, polsko-ukraiński czy żydowsko-ukraiński, litewsko-żydowski. Dla Polaków szczególnie ważne znaczenie i tragiczne następstwa miał konflikt z Ukraińcami, którzy walcząc o niepodległy byt państwowy, przyjęli ludobójstwo i czystki etniczne za metody osiągnięcia celów politycznych. W tych warunkach Polacy i Żydzi stali się najważniejszymi ofiarami rywalizacji narodowościowej na tych terenach. Rozmowy ze świadkami historii umożliwiają czytelnikom zobaczenie tych wymiarów wojny, jakie trudno dostrzec w szkolnych podręcznikach i opartych na materiałach archiwalnych naukowych monografiach. Jednym z nich są relacje międzyludzkie, narodowościowe na Kresach. Bardzo często, odmiennie niż w centralnej Polsce, najważniejszymi wrogami Polaków stawali się Sowietci, Litwini, Ukraińcy. Niemcy, paradoksalnie odgrywali tam rolę taktycznych sojuszników lub przeciwników mniejszej rangi. Z kolei Ukraińcy dokonywali rozpaczliwych ruchów, aby wybić się na niepodległość, niestety często nie licząc się z dobrem

i życiem przedstawicieli innych narodów. Jest charakterystyczne, że każdy ze świadków historii dostrzega wyłącznie cierpienie własnej społeczności lub narodu. Łączniczka dowódcy Ukraińskiej Powstańczej Armii Daria Husiak wyraża wprawdzie żal, iż stosunki polsko-ukraińskie potoczyły się tak źle, ale nie zauważa problemu ludobójstwa Polaków i Żydów, które stosowali żołnierze UPA. To pokazuje skalę izolacji pomiędzy narodami Kresów w czasie II wojny światowej, jak również swego rodzaju „znieczulenie sumienia”, powstałe na skutek „totalitarnego ukąszenia”.

I wreszcie trzeci z wątków, przyciągających uwagę czytelnika. Jest nim los obywateli II RP w Związku Sowieckim. Niektórzy z nich potajemnie uciekali z „Ojczyzny światowego proletariatu”, aby dostać się do ukochanej Polski. Po wejściu na jej terytorium całowali ojczystą ziemię. Wszyscy zaś doświadczyli wielorakich skutków agresji sowieckiej na Polskę, 17 września 1939 r., kiedy 52% terytorium przedwojennego państwa polskiego znalazło się w granicach ZSSR. Z dnia na dzień stali się zubożałymi obywatelami ZSSR, przedstawicielami zatomizowanego społeczeństwa sowieckiego, osamotnionymi wobec potężnej maszyny państwa totalitarnego. Z lektury tych świadectw wynika wyraźnie, że przyjmowali różne postawy wobec nowej rzeczywistości. Jedni podejmowali beznadziejną walkę, inni wyjeżdżali do Polski lub innych państw. Najciekawszy był los tych, którzy pozostali na miejscu. Przez następne lata ich postawy oscyływały pomiędzy oporem (ale przeważnie tylko

biernym, utajonym) oraz dominującą tendencją do przystosowania się do życia w Związku Sowieckim. Była to naturalna konsekwencja pragnienia zdobycia wykształcenia, zawodowej samorealizacji, konieczności zdobycia środków utrzymania, chęci założenia rodziny. Waldemar Pożarski z Rygi symbolizuje tę właśnie postawę, człowieka zaangażowanego w ówczesny system, ale próbującego urządzić się na swój własny sposób. Niekoniecznie akceptowany przez władzę. Autor książki znalazł też innych, którzy na własną rękę walczyli o realizację osobistych aspiracji lub ideałów: Irenę Sandecką z Krzemieńca, potajemnie uczącą dzieci języka polskiego i religii, czy Stanisława Winiarza z Drohobycza, inicjatora odzyskania (13 grudnia 1989 r.), a następnie wyremontowania kościoła św. Bartłomieja. Do tej grupy zaliczyć należy także Łotysza, wybitnego poetę, więźnia sowieckich łagrów, Knuta Skujenięksa.

Książka Wojciecha Pestki ukazuje także inne prawdy o charakterze ponadczasowym, np. relacje pomiędzy prawdą historyczną a polityką, a zwłaszcza wpływ tej ostatniej na wypaczenie sensu przeszłych wydarzeń. W jego książce napotykamy również liczne przykłady wzajemnego oddziaływania przeszłości i teraźniejszości, a szczególnie wpływ historii na życie społeczeństw państw postsowieckich. Historia do dzisiaj stanowi istotny aspekt ich współczesnego bytu, wszędzie napotykamy jej pozostałości: ślady ważnych wydarzeń, ich żywą pamięć w świadomości ludzi, w kulturze współczesnej. Czytelnik z łatwością



dojdzie do wniosku, że Ukraina, Białoruś, Łotwa, Rosja, ale również i Polska, to kraje „historyczne”, w których odniesienia do przeszłości są na tyle silne, iż kształtują świadomość społeczeństw.

Lektura książki *Do zobaczenia w piekle* skłania do postawienia pytania o wiarygodność prezentowanych wspomnień. Sam Autor ma zresztą podobne wątpliwości, jest (i słusznie) sceptyczny wobec wielu informacji, tym bardziej, że w większości przypadków nie jest w stanie zweryfikować ustnych przekazów. W przypadku książki o charakterze literackim (a niniejsza praca to przecież zbiór reportaży historycznych, napisanych w formie dzieła literackiego) nie ma to jednak tak dużego znaczenia jak w pracach naukowych. Autor próbuje uzupełniać te świadectwa, dodając szereg informacji o charakterze faktograficznym, czym ułatwia czytelnikowi poruszanie się w tak niełatwej materii, jaką są relacje osób różnej narodowości, ukazujące skomplikowane stosunki etniczne, polityczne i społeczne na wielonarodowościowym obszarze Kresów w tak burzliwej epoce.

Książka W. Pestki to dzieło warte przeczytania, wielowymiarowe, ciekawe, wstrząsające. Przedstawia mieszkańców Kresów jako ofiary historii XX wieku. Ich życie zostało bowiem przez tę historię napiętnowane, wypaczone, w najlepszym wypadku zmienione. Z tego względu nie mogą oni wydostać się poza krąg odniesień do przeszłości, która rządzi ich życiem, są jej zakładnikami. Przy okazji jednak czytelnicy otrzymują niepowtarzalną okazję spojrzenia na dzieje

XX wieku przez pryzmat losów jednostek, tzw. zwykłych ludzi. Okazuje się, że można spojrzeć „przez kroplę” i zobaczyć całe jezioro.

Marek Wierzbicki

Kilka uwag o książce Wojciecha Pestki pt. *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa* (Wydawnictwo Prószyński i S-ka Warszawa 2008)

Lublin nr 2-6/2009



## Pejzaż z wędrowcem

Tytuł prawie dantejski – *Do zobaczenia w piekle* – a narratora-autora oprowadzają po swoim piekle rozmówcy-przewodnicy. Ale książka Wojciecha Pestki jest czymś więcej niż zbiorem reportaży na temat kresowej apokalipsy. To także plon długiej, w istocie samotnej, romantycznej wędrówki. Podjętej „na połowie czasu”, po przekroczeniu smugi cienia. Nie z przypadku jak u Dantego, ale z wyboru, z poczucia powinności spłacenia rodzinnego długu, a także z potrzeby serca – najważniejszej, bardzo osobistej. Wędrówki w czasie i przestrzeni, ale może przede wszystkim... w głąb siebie.

Jednak miąższ tych opowieści stanowią realia: dramatyczne dzieje kilkorga mieszkańców polskich – a potem byłych polskich – Kresów, splecione z historią miejsc, w których wypadło im żyć. Przez całą książkę przewija się pytanie o rolę wyboru i przypadku w ludzkim życiu – a może o udział w nim wolnej woli człowieka i działania Opatrzności. Takie refleksje nawiedzają bohaterów, a także samego Autora.

Bohaterami książki są Polacy, Białorusini, Łotysz, Ukraińcy, Żydzi. Wśród nich znaleźli się ci sławni – jak Bruno Schulz i Stanisław Vincenz, a także osoby znane tym, którzy w sposób szczególny interesują się Drohobyczem, Krzemieńcem czy dzisiejszą Łotwą – jak Alfred Schreyer, Irena Sandecka i Knuts Skujenieks, ale również postaci wydobyte z mroku przez Autora, dotychczas znane jedynie swoim najbliższym. Wojciech Pestka nie „ustawia” bohaterów wedle jakiegokolwiek hierarchii. W takim doborze i uporządkowaniu materiału uwidacznia się wielki walor książki: uważne, pełne pietyzmu słuchanie drugiego człowieka. I powstrzymanie się od ocen – nawet w przypadku tak drastycznym jak Darii Husiak. Bo przecież to nie jest szkolna czytanka. Inteligentnemu czytelnikowi trzeba pozostawić możliwość własnej oceny. Bo każde ludzkie życie zasługuje na uwagę. Tak bogate w wydarzenia, tak naznaczone cierpieniem. Nawet – to zmarnowane.

Pojedyncze opowieści o losach składają się na opowieść o Losie. Co łączy bohaterów tej książki? Wydaje się, że tą wspólną cechą jest dzielność wobec losu, heroizm na co dzień. Doświadczani granicznymi przeżyciami, w sytuacjach przerastających wyobraźnię przeciętnego człowieka zachowują godność, wiarę i nadzieję. Dotyczy to również tych, z poglądami których absolutnie się nie zgadzamy, a ich czyny nas przerażają. Czy kresowanie tę dzielność mieli w charakterze? Czy można by ją uznać za cechę „gatunkową” pochodzących „stamtąd, skąd wszyscy”?

Bo przecież niektórzy bohaterowie książki swój „pobyty w piekle” wybrali, decydując się na pozostanie albo nawet powracając – jak ksiądz Ludwik Rutyna po czterdziestu sześciu latach spędzonych w Polsce. Książka Wojciecha Pestki prowokuje czytelnika do stawiania ważnych pytań także sobie.

Opowieści tworzące *Do zobaczenia w piekle* są tekstem wielogatunkowym, na całość składają się reportaże, wywiady, eseje. Książka została bardzo precyzyjnie skomponowana. Autor podzielił ją na sześć dużych rozdziałów, które nazwał księgami. Każda zawiera relację z kolejnej podróży. Każdą poprzedza motto – z Biblii, z Dantego, Eliota, Borgesa. Nazwy ksiąg prowadzą wyobraźnię czytelnika. Pierwsza to „Księga piasku” – a więc tego, co czas rozwiewa; druga – „Księga przeznaczenia” – losu, przed którym nikt się nie osto; trzecia – „Księga świadectw” – tego, co po nas pozostaje, śladu człowieka w historii; czwarta – „Księga liczb” – jakże często w dzisiejszym świecie sprowadzonych do statystyk; piąta – „Księga osobna” – najboleśniej, ale przecież potrzebna dla równowagi, rodzaj kontrapunktu. Bo „Księga osobna”, której bohaterką jest Daria Husiak, łączniczka Romana Szuchewycza, mrozi krew w żyłach. Zwłaszcza że Autor nie formułuje ocen. Wreszcie szósta – „Księga wiatru” – jakby kłamrą spina początek i koniec. Wiatr wszystko rozwieje...

Każda księga opatrzona jest ponadto podtytułem-komentarzem, a dłuższe teksty – śródtytułami. To i wyjaśnia, i ułatwia czytanie. Dziś przyzwyczajeni

jesteśmy do takiej percepcji tekstów. „Postmodernistycznych”, mozaikowych, fragmentarycznych z założenia. Ta mozaikowość narracji niejako w naturalny sposób została podyktowana przez sam temat – wszak zainteresowania Autora koncentrują się na obszarach wielokulturowych. Nie jest to już ta sama mityczna przestrzeń kresowa, którą podsuwa nam wyobraźnia, ale przestrzeń zdegradowana – urągające pięknu i człowiekowi betonowe bloki na miejscu dawnych drewnianych domów. Wszędzie. Powracają w wielu miejscach książki, jak natrętny leitmotiv. Brutalnie udowadniają, że tamten świat zginął bezpowrotnie. Inny znak czasu to upadek albo pauperyzacja wielkich kresowych rodów – jak w rozdziale o praprawnuczce księżnej Czetwertyńskiej. Czy jednak jest zarazem, czy musi być, degradacją człowieka? Warto by się zastanowić. Mojemu sercu najbliższy jest piękny rozdział poświęcony Irenie Sandeckiej z Krzemieńca.

Książka Wojciecha Pestki porusza emocje czytelnika. To ważna umiejętność – niejako narzucić sposób odbioru. Za pomocą nieemocjonalnej relacji przekonać do ukrytych emocji autorskich. Dyskretny komentarz autorski, pozbawiony bezpośrednich ocen, zawiera refleksje ogólne. Bo przecież już w samym doborze i uporządkowaniu materiału czytelnik odnajdzie przejrzyste kryteria wartości piszącego.

Książkę ilustrują fotografie – czarno-białe, o dużej sile ekspresji. Czyjego są autorstwa? Informacji brak, więc pewnie samego pisarza.

Książka Wojciecha Pestki jest nie tylko dobrze napisana i ciekawa, ale – co w miarę upływu lat staje się dla mnie najważniejszym kryterium – potrzebna. Adresowana do czytelnika dzisiejszego, ujmująca różne tematy z trzech punktów widzenia: historycznego, aktualnego i uniwersalnego. Otwiera ją doskonale mocne wejście – Drohobycz, półtora miasta. Rzeczywiście, tak to miasto nazywano. I zaraz – oglądanie starych pocztówek, unaoczniających temat. W ogóle – dobre wejścia i mocne puenty są zaletą poszczególnych rozdziałów. Wiadomo, że ręka mistrza nawet z suchych danych z rocznika statystycznego wyczaruje tekst fascynujący. Wojciech Pestka ukazuje mistrzostwo już w samym doborze faktów, w ich zestawieniu, w dokonywanych cięciach i „przeskokach” w czasie i przestrzeni. Doskonałą tego ilustracją może być fragment dotyczący profesora Rudolfa Stefana Weigla – dolne akapity na stronie 66 i górny na 67. Doprawdy pikantne.

Gdyby szukać tradycji i powinowactw literackich, to na przykład rozdział „Księga liczb” przywodzi na myśl *Inny świat* i *Medaliony*. Tyle że relacje – świadectwa – bohaterek-narratorek zostały tu tylko z lekka poddane „obróbce” autorskiej, pozostawiono w nich charakterystyczną surowość wypowiedzi, a skróty myślowe mają walor syntezy. W *Innym świecie* mamy literacką kreację, aczkolwiek opartą na faktach – tu przemawiają fakty „nieogłądzone”. A co do *Medalionów* – w tym chropawym kontekście wydają się wręcz... przerafinowane formalnie. *Inny świat* to

dzieło wielkie, do *Medalionów* jakoś nigdy nie miałam nabożeństwa – od ich pozbawionego emocji „stoicyzmu” (w czasach, kiedy powstały, było to nowatorską maestrią stylu) zbyt blisko do „estetyzmu”. Książka Wojciecha Pestki być może nie pretenduje do miana literatury kreacyjnej, ale sytuuje się wyraziście w literaturze faktu. A to przemawia do dzisiejszego czytelnika, szczególnie do tego, dla którego jedynie prawda jest ciekawa.

Bożena Gorska

Wojciech Pestka, *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa*, Warszawa 2009, Wydawnictwo Prószyński i S-ka  
„Twórczość” nr 9/2009

## Czy Polacy są Polakami?

W języku rosyjskim słowo Rosjanin (Россиянин), o czym wie poza Rosją niewielu, oznacza mieszkańca Rosji, a nie etnicznego Rosjanina, bo ten określanym jest jako русский. Pozwala to temu wielonarodowemu państwu podtrzymywać tożsamość państwową właśnie, bez zamazywania tożsamości etnicznej. Kto dziś wie, że określenie Polak w wielonarodowej I Rzeczypospolitej oznaczało tylko jej mieszkańca, bo Polakami byli i Litwini, i Koroniarze, i Rusini, i Żydzi, i wszyscy inni mieszkańcy Rzeczypospolitej. Stąd słynna wypowiedź Kuklinowskiego w *Potopie* brzmi: „dwóch jest (z przeproszeniem waszmości) prawdziwych żołnierzy w tej Rzeczypospolitej: ja w Koronie, a Kmicic na Litwie...”. Żadnego tu Polaka nie ma, a precyzyjniej – są tylko Polacy, bo Polakami byli i Kuklinowski, i Kmicic, więc rozróżnienia w ten sposób zrobić by się nie dało. Upadek I Rzeczypospolitej, lata zaborów, wojen, kształtowania się nowoczesnych narodów, a potem przetaczanie granic państwa uczyniły Rzeczypospolitą krajem jednym właściwie tylko narodu – Polaków, a te resztki Ukraińców, Białorusinów,

Litwinów czy Niemców sprowadziły do pojęcia mniejszości narodowej i obywateli Rzeczypospolitej. Czasem jednak w duszy polskiej, w polskich genach odbije się echem nasza dawna wielonarodowa tożsamość. Te echa dawne, owe tony usłyszałem w pewnej książce.

*Gdyby Polacy nie byli Polakami* – zbiór reportaży i peror Wojciecha Pestki, bo o tej książce mowa, swój tytuł wziął od szyderczej filipiki carskiego historyka Berga, zacytowanego w kończącym książkę reportażu o Muzeum w Rapperswilu. „Gdyby Polacy nie byli Polakami (...) już by się Polska dawno wyzwoliła” – drwił autor *Zapisków o polskich spiskach i powstaniach*. Być może, kto to wie... Ale na moje oko nie ten sens tytułu miał autor na myśli, przewrotnie go przytaczając.

Książkę otwiera „Rzeka przeznaczenia” – reportaż z Łotwy o Wiktorze Bagieńskim, Polaku z Windawy, a kończy wspomniany tekst o Muzeum Polskim w Rapperswilu. Krajobraz zbioru, wbrew podtytułowi, sięga daleko szerzej niż Kresy, ale mentalnie jest w nich mocno osadzony. Łotwa, Litwa, Białoruś, Rosja, Ukraina są tu z jednej strony pretekstem, a z drugiej celem rozważań o polskości.

Te rozważania są jednak dalekie od natrętnego epatowania martyrologią czy prostackiej pedagogiki historycznej, zwanej czasem polityką historyczną (nie wiadomo, czy w opozycji czy ze wstydu przed prawdą). Pestka ma tę umiejętność zachowywania umiaru i nieepatowania swą osobą, a wysuwania na plan pierwszy bohaterów swych rozmów. To pozwala mu na wyeksponowanie wątków, zdawałoby się, drugorzędnych,

a dopiero w odpowiednim oświetleniu dających możliwość, by dostrzec ich wagę. Już w pierwszym raporcie mamy historyczne wątki o związkach części ziem Łotwy z Polską, a jednocześnie obraz sowietyzacji potomków tamtejszych Polaków, którzy uważają się za Polaków, a tkwią po uszy w rosyjskiej popkulturze i sowieckiej mentalności. Zaraz potem odnajdziemy znakomity raport o łotewskim poecie Knutsie Skujenieksie – więźniu sowieckich łagrów i wielkim przyjacielu Polski, ze szczególnym uwzględnieniem Wrocławia.

Pierwsze reportaże i perora krążą wokół Łotwy (i Litwy z powodu Miłosza). Następne skręcają w kierunku Ukrainy, a dokładnie w kierunku wojny, którą Ukraińcy toczą z niewidzialnym, choć znanym wrogiem. I znów – jakbyśmy usłyszeli ton znajomy, czy to aby nie o Polsce? Nie, nie – to wschód Ukrainy, a może Polska – tylko w innych realiach? A gdybyśmy nie byli Polakami, tylko Ukraińcami, to co wtedy? Tego pytania autor nie zadaje, ale czy nie wystrzeli ono niczym strzelba w trzecim akcie, jak u Czechowa? W tej części warto zwrócić uwagę na proroczą perorę Jurija Andruchowycza z 2012 roku, zakończoną apelem o dwa lata później, gdy świat stanął na głowie, a Ukraina w ogniu. I na wspomnienie Wasyla Słapczuka o wojnie wcześniejszej o lat trzydzieści kilka – w Afganistanie.

Z Ukrainy łagodnie, bo poprzez raport o cerkwi ukraińskiej patriarchy moskiewskiej, a następnie poprzez Dęblin, przenosimy się do Rosji,

gdzie napotkamy dwie perory – Wiktora Jerofiejewa, którego polskiemu czytelnikowi przedstawiać nie trzeba, i Władimira Kantora, którego przedstawić warto, bo umysłowość to nietuzinkowa – filozof, myśliciel z gatunku tych, których Rosja zawsze miała i najczęściej spychała na margines – jak Czaadajewa, Bułgakowa czy choćby Gogola. Dla żadnego z nich Polska nie jest odniesieniem, ale jest paradoksalnie ważna, tak jakby spór polsko-rosyjski o wartości, zaczęty jeszcze w epoce Iwana IV i Zygmunta Augusta, trwał sobie w najlepsze.

Wreszcie Białoruś. Reprezentowana raportem i perorą, i to jakimi! Raport przedstawia postać Uładzimira Niaklajewa – niedosłusznego kandydata na prezydenta Białorusi i kandydata (niespełnionego) do Nagrody Nobla. Czytając słowa o wynarodowieniu, o represjach, o dylematach Wschód czy Zachód, przypomniałem sobie słowa Mickiewicza pochodzącego przecież z terenu obecnej Białorusi: „Że słyszałbym głos z Litwy”, tyle że ja usłyszałem głos z minionej Polski – wynaradawianej, represjonowanej, pełnej dylematów.

Pozwolę sobie tutaj na małą dygresję. Niaklajewa poznałem dzięki dwóm osobom: autorowi omawianej książki i białoruskiemu archiwistce, a mojemu przyjacielowi – Jazepowi Januszkiewiczowi. Jazep poszukiwał materiałów o kacie Polski, ale i Litwy – Murawiewie „Wieszateliu”. Podarowałem mu mały tomik – biografię wydaną jeszcze w latach 80. i dołożyłem *Syzyfowe prace* Żeromskiego, bo ten los białoruski jakoś

mi się wydał zrymowany z losem polskim końca XIX wieku. Byłem potem w Warszawie, w Domu Literatury na promocji opracowanego przez Jazepa Januszkiewicza pamiątkowego tomu o Powstaniu Styczniowym na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego zatytułowanego *Tylem do szubienicy*. I pomyślałem, że tak jak ja we współczesnej Warszawie, musiał się czuć dwieście lat wcześniej Francuz w Paryżu na wieczorze zorganizowanym przez polską emigrację. Otóż oprócz mnie i paru jeszcze osób zaproszonych z Polski, salę wypełniała elita kultury białoruskiej! Wolna Białoruś spotykała się w Warszawie: czytała wiersze, dyskutowała, wspominała (wtedy też dowiedziałem się, że Wilno bardziej wiąże emocje białoruskie niż polskie).

Z trzech reportaży w części końcowej ostatni już został wspomniany z racji jego tytułu, od którego tytuł wzięła cała książka. Dwa pozostałe to polskie biografie z Kresami w tle. Pierwsza pokazuje los polski w ciągu stu lat poprzez opowieść jednego człowieka – zaczyna się w Iwanogrodzie, a kończy w Dęblinie, przy czym są to dwie nazwy tego samego miasta. Druga tenże los polski przekazuje przez dzieje jednej rodziny, zaczyna się w Czeknie w Polsce i kończy w Sandomierzu również w Polsce, z tym że dziś Czekno znajduje się na Ukrainie, choć nigdzie się nie ruszało.

Zatem jest to książka o Kresach, uwikłaniu i zaplątaniu, o „przeklętych problemach”, ale opowiedziana tak, jak chyba nikt do tej pory o tym nie opowiadał. Z empatią, ale bez zbędnych sentymentów. Jednak chyba największe wrażenie robi wielogłos – ten sam

świat widziany oczami Łotysza, Ukraińca, Białorusina i Polaka. Tak jakby siedzieli przy jednym stole i debatowali o współczesności, a Wojciech Pestka przybrał rolę moderatora – nie arbitra i nie besserwissera, ale skromnego słuchacza, który czasem podrzuci jakiś temat do dyskusji. Jak choćby ten – gdyby Polacy nie byli Polakami...

A są?

Bogdan Knop  
Wojciech Pestka, *Gdyby Polacy nie byli Polakami*,  
Wysoki Zamek (Kraków 2020)  
„Topos” 2021, nr 2



## Wywiad

Inaczej przestaniesz być człowiekiem

**Porozmawiajmy o...**

...o kobietach.

**Możemy od tego zacząć. Wszystkie twoje Julie są do siebie podobne. Czy to przypadek?**

Zaprzeczam. Dla mnie istotnie się różnią, ale może to utrwalona w podświadomości tęsknota za wymagowanym ideałem.

**Ale są nieodłącznym elementem opowiadanych przez ciebie historii, czasem mam wrażenie, że unoszą się jak mgła, gdzieś w tle, poza kadrem, ich obecność jest trwale powiązana z twoim pisaniem. Jak to się zaczęło?**

Z czym? Z Juliami?

**Z pisaniem, kiedy nastąpił ten zwrotny moment?**

Nie wiem, chociaż brzmi to banalnie. Zaczę od trywialnego stwierdzenia, które może stanie się dobrym punktem wyjścia do rozmowy, w języku matematyki nazywano by go pewnikiem: każdy człowiek ma w swoim życiu pewien zasób czasu do wypełnienia. Wczoraj jest już znane, nie podlega modyfikacjom – było – można jedynie wybiórczo komentować i interpretować, dyskusyjna pozostaje kwestia jutra. Wybór jest nieograniczony. Ja próbuję się życiem cieszyć, a wszystko inne, czyli w tym przypadku pisanie, jest elementem tej zabawy. Nie działałam w poczuciu misji do wypełnienia, nie czuję na sobie ciężaru odpowiedzialności, że muszę napisać coś ponadczasowego, że muszę poruszyć świat, zaistnieć. Jestem i na swój mały sposób zbawiam mój mały świat każdego dnia, robiąc gorzej lub lepiej swoje.

**To brzmi niczym manifest. Jeszcze raz zapytam – od czego zaczęło się twoje pisanie? Musiał być jakiś początek.**

Na to pytanie jest kilka odpowiedzi. I żadna z nich nie wyczerpuje problemu. Myślę, że kiedyś, kiedy zaczynałem pisać, strasznie imponowało mi to, że ktoś to, co napiszę, potraktuje poważnie i może coś znajdzie w tym dla siebie. To jest taka romantyczna wizja

pisarza. Zaczynałem w czasach, kiedy pisanie było zajęciem nobilitującym. Człowiek zajmujący się sztuką mógł sobie pozwolić na więcej w myśleniu o sobie i świecie. I jakoś te reguły socjalistycznej obyczajowości nie krępowały go aż tak bardzo jak komercyjne reguły rynku dzisiaj. Patrząc z perspektywy dzisiejszego dnia na siebie, widzę, jak w pewnym okresie swego życia byłem głupi i trudno było mi skonkretyzować wyobrażenia, na co mnie stać i co powinien robić. I pewnie z tej głupoty, z przeszacowania swoich sił i możliwości, z braku rozeznania w życiu i świecie zacząłem pisać. I to jest ta druga możliwa odpowiedź.

Trzecia odpowiedź to pycha. Człowiek uzurpuje sobie prawo do narzucania innym własnej interpretacji świata. Uważa, że jego własne, osobiste przeżycia są wyjątkowe i niepowtarzalne: rzeczy, które mu się przytrafiają w życiu, zasługują na uwagę innych. I to jest ta swoista pycha, bo w tym, co go spotyka, jest bardzo pospolity. I mimo że nadaje czasami tym zdarzeniom jakąś symbolikę wykraczającą ponad rzeczywistość, to jednak to wszystko jest wydumane i robione na zamówienie, dla zaspokojenia wybujałych ambicji, aby uzasadnić swoją wyjątkowość.

**Mimo to zająłeś się pisaniem. Mogłeś robić wiele rzeczy, poczynając od pracy naukowej...**

Jest w człowieku jakaś przekora. Zawsze zmierza w kierunku swojej niekompetencji i w momencie, kiedy w czymś staje się ekspertem, zaczyna szukać

przestrzeni, której nie zna, po to, by tam siebie wystawić na próbę. To jest jedna strona. Inna jest taka, że życie nie lubi ludzi, którzy czegoś bardzo chcą. I tym swoim „chcieniem” pragną kreować rzeczywistość. Oczywiście, wiele rzeczy im się udaje. Upewniają się w swoich przekonaniach. Ale życie jest przewrotne i lubi kpić...

**Czy potrafisz powiązać początek pisania z jakimś konkretnym epizodem w twoim życiu?**

Trudno mi określić ten początek, nie popełniając błędu w datowaniu, ale na pewno znaczenie miały praktyki robotnicze, podczas których znalazłem się w kręgu polonistów. To byli studenci z II roku Uniwersytetu Wrocławskiego, a ja byłem na I roku matematyki. Dołączono mnie w ostatniej chwili. Cała grupa się знаła, tylko ja wśród nich byłem tym jedynym, który raz, że nie bardzo wiedział, o kim i o czym rozmawiają, i który trochę inaczej myślał o świecie (byłem chłopakiem z małego prowincjonalnego miasteczka), no i jeśli chodzi o dojrzałość w tym podstawowym, biologicznym i emocjonalnym sensie, byłem w stosunku do nich spóźniony, mniej więcej o dwa lata. Mieszkaliśmy w jednym dużym pokoju, często nasze rozmowy, albo raczej ich rozmowy, dotyczyły poezji, literatury, książek, których nie znałem, nie przeczytałem. Tak to się zaczęło. Wróciłem z praktyk nakręcony tą literackością i literaturą. Co wtedy i teraz wydaje mi się wadą? Że nie mam gruntownej wiedzy o literaturze

i jej historii, i z polonistami trudno mi nawiązać poważną literaturoznawczą dyskusję, bo moja wiedza jest cząstkowa, mocno fragmentaryczna. Poznawałem literaturę wybiórczo, często korzystałem z podpowiedzi tych, którzy ją znali lepiej. Czasami na zasadzie przypadku, bo coś mnie zafascynowało w innej kreacji, np. filmowej i sięgałem po książkę. Generalnie: moja wiedza na temat teorii i historii literatury jest niekompletna.

### **Zacząłeś od spotkania z polonistami. To niebezpieczne środowisko.**

Poruszali się w takim obszarze, który wyzwalał moje emocje, który znałem ze szkoły średniej, a byłem wówczas pod wielkim wrażeniem egzystencjalistów, więc miałem zaczepienie, jakąś wspólną płaszczyznę do rozmowy.

W każdym razie po powrocie do Wrocławia napisałem pierwsze wiersze. W swojej pysze i zarożumiałości zapakowałem je do koperty i wysłałem do „Odry”. Kilka dni później dostałem od Tymoteusza Karpowicza zaproszenie do redakcji.

To Karpowicz zwrócił mi uwagę na to, jakie niebezpieczeństwa niesie łatwość pisania wynikająca z romantycznego, emocjonalnego traktowania twórczości. I jak trudny jest proces docierania do istoty, wchodzenia w logikę rzeczy i zdarzeń, analityczne sposoby artystycznej kreacji: rozbioru na czynniki pierwsze, analizy i kontrolowania procesu syntezy. Podarował

mi wtedy „szczołkę” tomu swoich wierszy *Odwrócone światło*, który dostał do korekty z drukarni. Tak wyglądał przed laty mój pierwszy kontakt z „Odrą”.

### **Wrocław dał impuls, a Lublin pozwolił ci zadebiutować.**

Debiut wówczas miał trochę inną rangę niż dzisiaj, ponieważ pism literackich było niewiele i przebić się w piśmie o charakterze społeczno-kulturalnym na publikację było bardzo trudno. Przestrzeń literacką zorganizowano w taki sposób, że rocznie miejsce na debiut książkowy było dla może dziesięciu, dwunastu poetów. To nawet nie było odgórne ustalenie, ale literackie wydawnictwa miały zakodowane, że poetów nie może być zbyt wielu, że kraj potrzebuje robotników, więc ograniczano się do kilku nazwisk rocznie. W każdym razie po tym tak zwanym „debiucie” wszedłem do lubelskiego środowiska literackiego.

Traktowano mnie raczej nieufnie, bo byłem z innego, wyspekulowanego świata, w którym rządono się „szkiełkiem i okiem”, nie dostałem „poetyckiego” wtajemniczenia. Nie wiem, na ile to był przypadek, na ile konsekwencja poszukiwań i uporczywych starań, ale związałem się z lubelską grupą poetycką „Samsara”. Zrobiliśmy sobie zdjęcie – Zbigniew Włodzimierz Fronczek, Stanisław Królik, Marek Kusiba – to było trzecie pokolenie „Samsary”. Po nim grupa przestała istnieć. Może zbyt serio podeszliśmy do sprawy?

## **To był Lublin, „Samsara”, „Kamena”, lata 70. A dalej?**

Dalej nie było nic, bo skończyłem matematykę i wraz z dyplomem dostałem skierowanie do pracy. Zgodnie z prawem miałem obowiązek odpracowania studiów. Zostałem zatrudniony jako programista w Hucie Szkła Okiennego „Sandomierz”, gdzie znajdował się wtedy jeden z dwu najnowocześniejszych komputerów w Polsce – „Honeywell Bull”. Drugi taki sam miała Służba Bezpieczeństwa, konkretnie Wydział „C” zajmujący się prowadzeniem kartotek. Prawdopodobnie, ponieważ eksport wysoko zaawansowanych technologii informatycznych z Zachodu był ograniczony, kupiono hutę szkła okiennego z przestarzałym patentem na produkcję, aby móc „w zestawie” zażądać komputera i wykorzystać go do innych celów. Jednak Anglicy przewidzieli taką ewentualność i wbudowali w sprzęt jakieś ograniczenia, z powodu których system nie uzyskiwał pełnej mocy obliczeniowej, choć i tak był w tamtych polskich warunkach najnowocześniejszy. Więc służby straciły zainteresowanie i odpuściły. Pracowaliśmy nad systemem automatyzacji rozkroju szkła i dystrybucji. Po roku rozwiązali nasz zespół i wszystkich nas zwolnili. To była kara za nagrodę.

## **Kara za nagrodę?**

Napisaliśmy z nudów ambitny projekt (dziś powiedzielibyśmy, że innowacyjny) i dostaliśmy prestiżową, także finansowo, nagrodę Ministra Budownictwa

II stopnia. Nasz dyrektor poczuł się zagrożony i rozwiązał zespół. Trudno było mu wyobrazić sobie, że bez jego wiedzy, wręcz w tajemnicy, kosztem prywatnego czasu napisaliśmy program i wysłaliśmy na konkurs. Dowiedział się o nagrodzie jako ostatni. Nie potrafił zrozumieć, z czego wynikał nasz sukces, czym zasłużyliśmy sobie na nagrodę. Na domiar złego pojawiało się zagrożenie, że trzeba będzie wdrożyć nasz program i będzie to robione pod nadzorem ministerstwa. Zjednoczenie nie wzięło nas w obronę, chociaż doskonale wiadomo, że mimo komputerów i nowoczesnych urządzeń do analizy wszystko robione jest ręcznie. Huta funkcjonowała na zasadzie ręcznego zarządzania. Sterowane przez komputer urządzenia do dozowania surowców, zasypu wanien czy rozkroju tafli szklanej włączano, kiedy przyjeżdżały zagraniczne delegacje. Na co dzień główny technolog po prostu wychodził przed bramę zakładu, patrzył na komin, na układ dymu, na temperaturę i ciśnienie atmosferyczne, i na tej podstawie podejmował decyzję o proporcjach komponentów i produkowanym w tym dniu asortymencie szkła.

**Mam wrażenie, że mentalność pełna podejrzliwości, zazdrości i niegospodarności, o której mówisz, wciąż w nas, Polakach, tkwi. Po roku zostałeś bez pracy. Co dalej z pisaniem?**

W Sandomierzu wygrałem konkurs poetycki na wiersz o mieście. I stąd w 1975 roku trafiłem do Częstochowy

na uczelnię [wsp w Częstochowie, obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza]. Byłem przewodniczącym Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, któremu patronował Związek Literatów Polskich, byliśmy organizatorami pierwszych edycji konkursu poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej, na które przyjeżdżali do nas pisarze z Warszawy, Lublina, Wrocławia... Prowadziłem Klub Studencki „Tunel”. Pamiętam Tadeusza Gierymskiego i jego syna Wojtka, który świetnie zadebiutował. Mówiło się złośliwie, że ojciec poprawiał mu wiersze. Ale to był silny debiut ogólnopolski. Tam ukazały się w 1976 roku moje dwa zeszyty poetyckie: *Zwykła rozmowa* i *Miasto*. Ten ostatni z fotogramami Wojtka Prazmowskiego. Niezależnie od tego uczyłem na seminarium doktoranckim organizowanym przez Polskie Towarzystwo Matematyczne, zamierzałem pisać pracę o sieciach Petriego.

A po Częstochowie trafiłem z wilczym biletem na wieś, przez dwadzieścia lat pracowałem na roli, orałem ziemię, siałem... Dobrze, że mam krótką pamięć. Nawet w szkole podstawowej nie pozwolono mi pracować. W odmowie stwierdzono, że brak mi wiedzy i kompetencji do nauczania matematyki, a poza tym moja postawa budzi zastrzeżenia. Jakże? – nie napisano.

**Represje wobec ciebie wynikały z prowokowania władzy?**

Właściwie nie. Byłem grzeczny. Nie zadzierałem z władzą, choć od czasu do czasu zdobywałem się na różne wygłupy. Ale to nie były akty polityczne, raczej demonstracje artystyczne. Pamiętam jedną z nich. Przyszło polecenie, że wszyscy pracownicy nauki i studenci muszą wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym. To było po Czarnobylu. Kazałem sobie zabandażować oczy. Byłem, znajomi prowadzili mnie w pochodzie, ale nic nie widziałem. Później zażądali ode mnie wyjaśnień, co to miało znaczyć. Tłumaczyłem się dosyć głupio, że nic nie miało znaczyć. Można spytać, czego było w tym więcej – nieposłuszeństwa czy bezmyślności? Można było przecież drażnić władzę w sposób znacznie bardziej zasadniczy i ciekawszy. Ale czy to znaczyło, że miałem z władzą na pieńku?

**Jest jakaś zadziwiająca zbieżność w naturze wszystkich przemocowych rządów – nie mają poczucia humoru i nie rozumieją absurdalnych żartów. Jak sobie po tym radziłeś?**

Potem była wieś. Kiedy wiedziałem już, że nie dostanę pracy nigdzie, dotarło do mnie, że nie będę mógł także nigdzie niczego opublikować. A później ogłoszono stan wojenny: od czasu do czasu przyjeżdżali mnie kontrolować, szukali bibuły. Śmiałem się im prosto w oczy. Więc żeby mnie upokorzyć, zażądano, bym pełnił nocną straż – z pałką do obrony własnej i biało-czerwoną opaską na ramieniu, w starym waciaku i gumofilcach, bo mrozy były wtedy niemożliwe. Pilnowałem wsi przed atakami

nierobów i złodziei – tak nazywano strajkujących robotników. Kontrolowali mnie po kilka razy jednej nocy, bawili się dobrze, widząc moją niezdarność i strach, kiedy broniłem się przed atakami bezpańskich psów. To były tak zwane „stróże”.

### **A jak reagowała na ciebie wieś?**

Najdziwniejsze, że traktowano mnie jako wroga robotników i chłopów, chociaż tak naprawdę byłem jedynie wrogiem głupoty, czy, mówiąc innymi słowami, wrogiem takiego typu zachowań, które gloryfikowały bierność i bezmyślność. Wykreowano mi na wsi opinię człowieka podejrzanego o... i tu wymieniano wszystkie możliwe przestępstwa przeciw zwyczajowi i prawu. Omijano mnie z daleka, utrudniano zakup nawozów, węgla, materiałów budowlanych, maszyn rolniczych. Byłem zdany na łaskę wsi, kółko rolnicze, gminną spółdzielnię. Nie miałem pieniędzy, maszyn, wiedzy o gospodarowaniu.

Długo nic nie pisałem, ale przecież człowiek, który zachłannie czyta, nie może bronić się wciąż przed pisaniem, jest w sytuacji nałogowego alkoholika – kiedyś ze sobą przegra. Inna sprawa, że musiałem z determinacją walczyć o fizyczne przetrwanie: orać, siał, zbierać, obrządzać inwentarz... Od 1980 do 2000 roku. Po tych dwudziestu latach, w chwili słabości, napisałem kilka nowel, chcąc żartować z siebie i rzeczywistości. Tak mi się przynajmniej wydawało, że to ja rozdaję karty, kontroluję sytuację i w każdej

chwili będę mógł zerwać z pisaniem. To była jedyna możliwość przeciwstawienia się temu światu w bezpośredniej konfrontacji. Później napisałem z podobnych pobudek opowiadanie „Romeo i Julia”. I kolejne – „Wróble nie odlatują”.

Mówią, że na początku każdemu graczowi hazardowemu idzie karta, dostaje na zachętę bonus. Tak było i ze mną: co było możliwe na tym etapie amatorskiej, radosnej twórczości, udało mi się osiągnąć. Ileś tam konkursów, jakieś nagrody. Próbowałem te osiągnięcia zdyskontować w poważnym świecie poważnej literatury, lecz nikt się tym moim pisaniem nie zainteresował. Jeśli już, to raczej lista konkursów, w których dostałem nagrody, wzbudzała uśmiech politowania i wesołość.

### **Co stało się z tymi dwoma opowiadania „Romeo i Julia” i „Wróble nie odlatują”?**

Są w zbiorze *Ballada o żyletce*.

**Na okładce umieściłeś osobiste wyznanie: „Pisanie jest dla mnie desperacką próbą scalenia świata, złożenia go z oderwanych, często przypadkowych, wadliwych fragmentów w mniej lub bardziej spójną całość, znalezienia własnego miejsca na pełnej białych płam, rozpalonej mapie słońca”...**

To prawda. Opowiadania były próbą określenia swego miejsca w świecie. Zbudowałem dom – dwa razy cofano



mi pozwolenie na budowę, ostatecznie zlokalizowano budynek w pasie pomiędzy starym a nowym cmentarzem – dziś mówię, że mam spokojnych sąsiadów. Śmierć ojca, który pomagał mi i towarzyszył w mojej walce ze wsią, przyrodą, moimi wyobrażeniami o sobie, była jak uderzenie prądem elektrycznym.

**Powiedziałeś, że ponieważ nie mogłeś bezpośrednio zmierzyć się z rzeczywistością, która cię otaczała, w związku z tym postanowiłeś dać jej odpór w pisaniu. Czy to jest właśnie istota pisania – odreagowanie terażniejszości?**

Potraktowałbym to raczej w kategorii sporu z rzeczywistością. Wtedy to był etap, w którym odreagowywałem swoje krzywdy domniemane i rzeczywiste. Dzisiaj mogę z perspektywy lat powiedzieć, że tych pierwszych, domniemanych było więcej. A poza tym był to jakiś żart z tej rzeczywistości, bo śmieszyło mnie także i to, że piszę coraz dziwniejsze rzeczy, a poważni recenzenci nabierają się na to moje pisanie.

**Losy twoje i twojej rodziny są rzeczywiście spletem dziwnych historii, często bardzo prowokacyjne. Czy twoje pisanie także ma rys prowokacji?**

Trochę czuję się prowokatorem-performerem. Ale uważam, że są ludzie lepiej przygotowani do pisania niż ja. Więc cały czas myślałem, że skoro odnoszę jakieś drobne sukcesy – tak dziś na to patrzę, choć

wtedy oceniałem je znacznie bardziej poważnie – to wcześniej czy później ktoś krzyknie – „ten człowiek jest totalnym amatorem”, na zasadzie „król jest nagi”. Czekałem na ten moment, kiedy ktoś się spostrzeże. I tak zabrnąłem do dzisiaj. I nadal uważam się za amatora, i wciąż oglądam się za siebie.

**Chcesz powiedzieć, że życie woli nieudaczników?**

Uważam, że życie lubi drwić z człowieka, więc jeśli mu na czymś za bardzo zależy, to życie zwykle robi sobie z niego różne żarty – nie lubi tych, którzy są zbyt poważni, którzy się nadymają na swoim punkcie i oczekują dla siebie rzeczy niezwykłych. I jakoś tak się dzieje, że z kolei ludziom, którzy mają skromne oczekiwania, podsuwa różnego rodzaju okazje i pokusy po to tylko, żeby ich sprowokować do innego myślenia o sobie. Daje im szansę, by zaraz sobie z nich zakpić. Jest przewrotne w swojej naturze.

**Z ciebie życie kpiło?**

O, bardzo często. Cały czas ze mnie kpi. Na każdym kroku i dlatego nie staram się traktować siebie i swojego pisania zbyt poważnie.

\*\*\*

**Twoje pisanie ma wiele wymiarów. Zaczynałeś od wierszy, później były opowiadania, reportaże,**

**proza, a teraz mówisz o sobie, że jesteś scenarzystą filmowym. Która z tych ról jest ci bliższa?**

Nigdy nie określałem swoich ról społecznych czy zawodowych w tak zdecydowany i wyrazisty sposób. Jak każdy człowiek, który ma problem z identyfikacją, jestem wszystkim po trochu, nikim w pojedynkę. Z tego wynika, że na każdej z tych rzeczy, które robię, znam się tylko połowicznie albo częściowo. To mój błąd, ale zdołałem siebie takiego zaakceptować.

**Sformułuję to pytanie inaczej. W którym rodzaju pisania – poezji, prozy, dramatu – czujesz się lepiej?**

Myślę, że to nie pytanie o gatunek, który uprawiam, jest ważne – istota tkwi w odpowiedzi na pytanie, jaki podejmuję temat. O wszystkim decyduje temat. On narzuca jakież koncepcje odnośnie do formy, w której później próbuję go zrealizować. Kiedy już zapadną decyzje i rozpoczynam pracę, upierając się i wyrażając siły, nie ma dla mnie znaczenia, jakiego rodzaju są te wybory: na ile błędne, niekoniecznie dobre. Ta konstatacja przychodzi po czasie, kiedy moja praca dobiega końca i jest za późno na znaczące zmiany. Wygląda to tak, że popadam w fascynację tematem, który narzuca mi formę.

**Kiedy trafiasz na interesujący temat i decydujesz się na określoną formę, czy korzystasz także z określonej metodyki pracy?**

Być może metodyki pracy twórczej uczą w szkołach pisarskich czy podczas studiów polonistycznych, ja niestety tego też nie opanowałem. Jest temat, który coraz wyraziściej się klaruje – zwykle odwlekam moment rozpoczęcia pracy najdłużej jak mogę, często z lenistwa, a często ze strachu: także po to, aby zobiektywizować mój własny do niego stosunek. Żeby moja interpretacja nie była elementem przypadku, jakichś chwilowych emocji. Jeżeli przez taką próbę wyczekiwania temat nie traci dla mnie znaczenia, wtedy zabieram się do pracy.

**Jak pracujesz?**

Dosyć chaotycznie. Zwykle chcę wiedzieć jak najwięcej. Jeśli na przykład piszę reportaż, próbuję dowiedzieć się tego, czego moi rozmówcy mi nie powiedzieli. Nie powiedzieli, bo nie wiedzieli. Nie powiedzieli, bo nie chcieli powiedzieć. Nie powiedzieli, bo zapomnieli o tym. Często bardzo wiele ważnego materiału znajduję w tym niedopowiedzeniu. Przy tym kieruję się zasadą, by nie krzywdzić swoich rozmówców. Nie wykorzystywać tej wiedzy, którą zdobywam w trakcie poszukiwań, przeciwko nim. Zawsze w drażliwych sprawach konfrontuję to, co wiem, z tym, co słyszę z ust moich bohaterów.

\*\*\*

**Czy tak właśnie powstawała książka *Do zobaczenia w piekle*? Musiałeś wyjechać na Ukrainę, do**

## **Białorusi, Łotwy, aby zebrać materiał. Jak długo nad nią pracowałeś?**

Nie wiem, czy mogę nazwać to przypadkiem, wcześniej czy później musiało do tego dojść. Moja teściowa urodziła się na Wołyniu, z mocy prawa po 17 września 1939 stała się obywatelką ZSRR, z rodzicami wywieziono ją do łagru, tam poznała mojego teścia. Do Polski wrócili w ramach repatriacji w 1957 roku. Więc to, że w pewnym momencie ruszę na Ukrainę, było jedynie kwestią czasu. Trafiłem w miejsca charakterystyczne, jak Łuck, Lwów, Drohobycz, Jazłowiec, Buczacz, Czerniowce... Tamta rzeczywistość mnie zaskoczyła. Byłem pod ogromnym wrażeniem tamtych ludzi, ich serdeczności, otwartości i gościnności.

Niewiarygodny wydał mi się ten ogrom tropów, które zostały po Polsce, także w sercach mieszkających tam Polaków. Potężne kościoły wyglądające jak nasze katedry, monumentalne, niszczone budowle we wsiach liczących dziś góra kilkuset mieszkańców. Jakoś mnie to strasznie poruszyło, nie mogłem się z tym poukładać. Wracałem tam kilka razy. Jechałem trochę z drżeniem serca, szukając Polaków, którzy tam zostali, a później zacząłem tam bywać regularnie. Poznałem tych ludzi, z częścią się zaprzyjaźniłem. To byli nie tylko Polacy, którzy tam pozostali i wciąż przyznawali się do ojczyzny swoich przodków, ale też obywatele Ukrainy, Rosjanie, Białorusini, mieszkańcy byłego ZSRR. To były historie, których żaden autor przy zdrowych zmysłach nie był w stanie wymyślić.

Na ich skórze poczułem tę różnicę pomiędzy fikcją literacką a rzeczywistym życiem.

W literaturze traktowano tę dotykającą prawdę jak pośledni temat, sprawę drugorzędną. Dla autentyzmu ludzkich przeżyć brakowało miejsca, lubowano się w narcystycznych grach i zalotach. Przejycia ludzi, których spotkałem na Kresach, były na tyle niesamowite, że czasami zastanawiałem się, czy czytelnik nie oskarży mnie o kłamstwo, nadmiar fantazji. Teraz wiem, że najwięcej kreatywności w tworzeniu nieprawdopodobnych zdarzeń ma życie. Żaden pisarz nie wymyśli takich sytuacji, sekwencji zdarzeń, które możliwe są w życiu. Życie kpi z wszelkich reguł. Człowiek jest taką istotą, która wierzy, że rzeczy mają swoją logikę, wierzy w rzeczy i wydarzenia, które są prawdopodobne. W życiorysach tych ludzi, z którymi się spotkałem, było tyle nieprawdopodobnych zdarzeń, że bałem się o wiarygodność opisywanych faktów. Wtedy też zacząłem myśleć, że moje komentarze są konieczne tylko w sporadycznych sytuacjach, bo uściślają pewne rzeczy, opisują miejsce, realia rozmowy, bo najważniejsze jest to, co powiedzą moi rozmówcy. Zacząłem posługiwać się techniką cudzego głosu. O ile jest to możliwe, sam staram się jak najmniej dodawać od siebie, jak najmniej komentować zachowania moich rozmówców. Wiedziałem tylko, że muszę być wobec nich uczciwy. Tak powstała książka *Do zobaczenia w piekle* [Prószyński i S-ka, Warszawa 2009, wznowienie: Wysoki Zamek, Kraków 2019 – przyp. O.W.]. Kiedy zrobiło się o niej głośno i zaczęła odnosić sukcesy,

LSW zdecydowała się wydać tom moich opowiadań *Ballada o żyletce*.

Dwa lata później pojawiło się znakomite tłumaczenie Andrija Pawłyszyna na ukraiński – *До побачення в пеклі* (Lwów 2012) i okazało się, że również po tamtej stronie granicy książka robi wrażenie. Na spotkaniach w Polsce wyzywano mnie od banderowców, na Ukrainie od zdradzieckich Lachów. Książka przyniosła mi szereg nagród, między innymi Nagrodę Marszałka Województwa Mazowieckiego za osiągnięcia literackie (2010), Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Hryhorija Skoworody (Ukraina, 2012), Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Mikołaja Gogola (Ukraina, 2013), Ogólnopolską Literacką Nagrodę im. Bolesława Prusa (2013). Stosunkowo późno, dopiero po drugim wydaniu, przyszło tłumaczenie na rosyjski – *До свидания в аду* (Moskwa 2019) i na białoruski – *Да сустрэчы ў пекле* (Mińsk 2020).

**Te reportaże są ważnym i gorzkim świadectwem o Kresach, wyłamują się poza jednowymiarowy i sielankowy mit Arkadii, jaki pojawia się w przekazach medialnych w odniesieniu do tych ziem, więc fakt, że otrzymałeś za tę książkę tak wiele nagród, tylko podkreśla jej autentyczność. Ale przecież to był dopiero zaledwie początek. Kolejna książka sięga po historię znacznie ci bliższą.**

Mam pewną trudność z książką *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* (Radom, 2012). Na

jego zaniedbaną mogiłę na starym cmentarzu granicznym z moją posesją trafiłem przypadkiem zaraz po osiedleniu się na wsi. Długo nie mogłem znaleźć o nim żadnych informacji, a ponieważ zbywano mnie jakimiś ogólnikami, tym większą irytację i ciekawość budziła we mnie postać byłego proboszcza. Punktem zwrotnym było spotkanie i rozmowa z ks. bpem Marianem Zimałkiem. Po niej przyszyły tygodnie w Sandomierskim Archiwum Diecezjalnym, Archiwum Państwowym w Radomiu, Bibliotece Narodowej, podróż do Łomży, Łukowa, Siedlec... Powstał rodzaj popularnonaukowego zarysu biograficznego. Suma moich różnych wysiłków w tej kwestii powoli daje efekty – nazwisko ks. Gackiego jest znane okolicznym mieszkańcom, ale wciąż muszę się upierać przy idei popularyzacji jego zasług.

**Czy to oznacza, że porzuciłeś Kresy i reportaż?**

Nie! Wciąż jestem nimi zafascynowany. Wciąż publikuję w „Odrze” wywiady i reportaże z Ukrainy, Białorusi, Łotwy i Litwy. To była rzecz, o której kiedyś mówił mi Tymoteusz Karpowicz – że należy zedrzyć tę zewnętrzzną skórę z rzeczywistości i wejść za nią. To zawsze się sprawdza. Pozornie nieciekawe sytuacje, nieciekawi ludzie, w momencie, kiedy ogląda się ich z bliska, otwierają się, zyskują na wyrazistości. To jest ta przejmująca prawda o życiu, której szukam w literaturze.

**Co z tą prawdą o życiu ma wspólnego *Powiedzcie swoim*?**

Też jest mocno osadzona w realiach, w odniesieniach do autentycznych źródeł, dokumentów. Chciałem z jednej strony stworzyć kompendium wiedzy o radomskim Czerwcu '76. Potrzebowałem do tego pretekstu. Pytanie, czy to jest literatura?

**Trzeba być łotrem, żeby opisać Mistrza w ten sposób? Skąd wiedziałeś, że on taki powinien być?**

Czy pytasz o zagrożenie, niebezpieczeństwo dla autora? To opinia psychologów – kiedy ich badania dotyczą twórców, słyszy się, że projektują siebie, stwarzając postacie dla swoich dzieł. Nie musiałem takiej projekcji dokonywać, po prostu spotkałem takich ludzi, rozmawiałem z nimi, z ich życiorysów i zachowań stworzyłem postać Mistrza. Nie powiem, że nie byłem zafascynowany tą postacią. Nikt nie wie, jaka naprawdę jest natura człowieka, do czego może się posunąć. Wszyscy stwarzamy dla siebie określone role i później staramy się te role odgrywać w normalnym życiu. Nie miałem możliwości zweryfikowania wszystkich sytuacji, o których opowiadali mi milicjanci, prokuratorzy i ludzie służb. Różnych służb. Bo postać Mistrza jest zlepią z postaci kilku funkcjonariuszy. Zbudowałem w oparciu o te relacje postać, która łączy cechy wielu osób, i z tego punktu widzenia jest może nieprawdziwa, ale w sensie psychologicznym bardzo przekonująca dla czytelnika.

**Mistrzo to człowiek, który jest dość odstręczający. Jest jednak rzecz, która go broni – on wie, że jest zły, nie próbuje się ukrywać, przyznaje się do tego. Jest w tym jakiś tragizm.**

Nie powiedziałbym, że jest to człowiek odstręczający, bo o większości ludzi żyjących na tym świecie można by tak powiedzieć. Nie powiedziałbym, że jest nieuczciwy. W swojej sięgającej cynizmu szczerości jest bardzo uczciwy, bo przyznaje się do tego, że jako człowiek nie ma żadnych zasad. Chociaż to też nie do końca okazuje się prawdą, bo ma bardzo wyraziście określone zasady i wedle tych zasad postępuje.

***Powiedzcie swoim* jest faktograficznym i niemal dokumentarnym zapisem wydarzeń podczas protestów w Radomiu w 1976 roku. Czy to książka tylko dla radomian?**

Nie tylko. Chciałem przypomnieć robotniczy protest, który przez historyków zajmujących się transformacją ustrojową został zmarginalizowany. Te mechanizmy manipulowania społeczeństwem były typowe dla komunistycznej władzy nie tylko w Polsce. Władza przed niczym się nie cofała. W Radomiu wciąż panuje przekonanie, że robotnicze protesty były sprawą wstydliwą. To pokazuje, jak bardzo skuteczne były mechanizmy i techniki kreowania ocen społecznych i jak sprawnie posługiwała się tymi narzędziami propaganda Gierka.



## **Jeśli ten protest wciąż jest powodem do wstydu, jak przyjęto książkę w Radomiu?**

Chyba źle. Stałem się wrogiem, który zamiast wynieść na piedestał robotników, gloryfikuje esbecję, bo za-kwestionowałem moc sprawczą wyroku rzuconego przez Gierka na Radom. W życiu zbyt często zamiast być i robić swoje, szukamy usprawiedliwień. Kiedyś w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” przywołałem słowa Yoko Ono, która w swojej biografii napisała, że dobra książka to gwałt na wyobraźni, w którego efekcie otwierają się oczy.

## **Na motywach książki powstał film *Klecha*. Ktoś jednak docenił jej historyczny potencjał, artystyczne walory...**

Film *Klecha* to niekończąca się opowieść. W sierpniu 2015 roku zadzwonił do mnie reżyser Jacek Gwizdała z pytaniem, czy zgodzę się na zrobienie filmu na motywach książki *Powiedzcie swoim*. Byłem tak zaskoczony, że wziąłem to za jakiś głupi żart. Kiedy następnego dnia przyjechał do mnie do Jedlni, byłem już nie tyle rozbawiony, ile wystraszony. Zaproponował mi pomoc zawodowego scenarzysty i udział w pisaniu scen dialogowych. I tak zacząłem romans z filmem, kolejną życiową awanturę, która trwa do dzisiaj. Język filmu jest diametralnie różny od języka prozy. Uczę się myśleć obrazami, uczę się współpracować z innymi, szukać kompromisu. Bo film w odróżnieniu od literatury jest

dziełem zbiorowym i nawet najlepsze pomysły muszą zostać zaakceptowane przez wszystkich, którzy później będą nad nimi pracowali. To bardzo kapryśna i trudna do zdobycia muza. Nawet nie podejrzewałem, jak bardzo nierzeczywisty jest świat filmu.

## **Jak to rozumieć?**

Budulcem narracji filmowej jest konflikt: dobra i zła, ognia i wody, czerni i bieli... Zło uosabiał Mistrzo – szef lokalnej komórki „D” powołanej do walki z Kościołem zarządzeniem z 19 listopada 1973 roku przez ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kowalczyka. Komórki zakonspirowanej w strukturach Służby Bezpieczeństwa i utajnionej na tyle, że często nawet sami funkcjonariusze nie wiedzieli o jej istnieniu. Nazwałbym ją „speckomandem zła”, bo uciekała się do metod niezgodnych z prawem: pobić, uprowadzeń, szantaży, napadów rabunkowych, podpaleń... I po drugiej stronie ks. Roman, kapłan z podradomskiej wsi, który miał odwagę pobłogosławić protestujących robotników i bronić ich praw do godnego życia, a niespełna dwa miesiące później umiera pobity przez „nieznanych sprawców”. Pierwowzorem tej postaci jest ks. Roman Kotlarz z sąsiadującego z Radomiem Pelagowa. Podstawowe jest tu, jakże aktualne nawet dzisiaj, pytanie o granice legalnego funkcjonowania tajnych służb działających w imieniu państwa – miejsce, od którego zaczyna się bezprawie i ideologiczna manipulacja.



**Czyli walka Dawida z Goliatem, przypowieść biblijna adaptowana do naszej rzeczywistości. Z tą różnicą, że zwycięża zło...**

W warstwie dosłownej tak, w warstwie symbolicznej nie... Świadczy o tym chociażby wszczęty proces beatyfikacyjny ks. Romana Kotlarza. Okres zdjęciowy trwał od sierpnia 2017 roku do października 2018 roku. W roli Mistrza wystąpił Piotr Fronczewski, ks. Romana zagrał Mirosław Baka. A poza tym cała plejada gwiazd polskiego kina: Danuta Stenka, Paulina Nadel, Artur Żmijewski, Janusz Chabior, Marcin Bosak, Karol Pocheć, Robert Gonera, Lech Dyblik, Zdzisław Wardejn, Andrzej Beja-Zaborski, Ryszard Kotys († 2021)... I legenda polskiego kina – Ignacy Gogolewski. Reżyser Jacek Gwizdała, zdjęcia – Robert Lis; montaż – Marek Król. Produkcja – V-Film.

**W filmie zgromadzono imponującą obsadę, minęło już sporo czasu od zakończenia zdjęć. Czy wpływ na opóźnienie dystrybucji filmu może mieć jego temat? Główną oś tematyczną wyznacza opis represji aparatu państwa wobec protestujących robotników, ale *Klecha* podejmuje także kontrowersyjną i – odnosząc takie wrażenie – okrytą milczeniem kwestię współpracy polskiego kleru ze służbami PRL. Dość długo czekamy, aż ktoś podejmie ten temat w Polsce. Kiedy film trafi do kin?**

Tego nikt nie wie. Po zakończeniu zdjęć na etapie montażu doszło do konfliktu z Telewizją Polską, która była koproducentem. Z dnia na dzień umowa została rozwiązana. Mimo problemów udało się doprowadzić do kolaudacji w czerwcu 2020 roku, ale to niczego nie zmieniło – film został zgłoszony przez producenta do udziału w Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a później z niego wycofany. Teraz jest mowa o premierze w 2022 roku. Film jest uczciwy, ale najwyraźniej komuś bardzo się nie spodobał...

**Na stronie tytułowej książki *Powiedzcie swoim* znajduje się określenie: powieść polityczna. Jak zatem sklasyfikujesz swoją następną powieść *Mój mąż frajer*?**

Sowizdrzalska? Awanturniczo-miłosna? Jej tematem są wspomnienia Adama, wędrującego ulicami miasta, o kobietach jego życia i związanych z nimi przeżyciach. Do realistycznego wątku wędrowni układem odniesienia jest surrealistyczny wątek przodków głównego bohatera – dziadka Antoniego i dziadka Jana. Obserwują jego poczynania z rządzącego się odmiennymi prawami nieba. Praca nad tą książką sprawiała mi radość i z coraz większą sympatią o niej ostatnio myślę. Do tego zawiera mnóstwo ekscytujących i autentycznych szczegółów z życia prowincjonalnego miasteczka, w którym w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego powstaje zakład zbrojeniowy. Odrobina sarkazmu i groteski, ale bez ekscesów, w granicach rozsądku.

\* \* \*

**Osobna część twojego dorobku to przekłady literackie z języka ukraińskiego, rosyjskiego, białoruskiego. Czy wymieniałam je we właściwej kolejności?**

Jeśli chronologicznie to białoruski, rosyjski, ukraiński. Najwięcej tłumaczeń dokonałem z języka ukraińskiego, ale w tym nie ma nic dziwnego, bo spędziłem tam najwięcej czasu.

**Wśród przetłumaczonych książek najczęściej pojawiają się te, których autorem jest Wasyl Ślaczuk – *Kobieta ze śniegu*, *Księga zapomnienia*, a ostatnio *Ten sam kurz drogi*. Czy to przypadkowy wybór?**

Oczywiście, że nie. Przyjaźnię się z Wasylem Ślaczukiem, to jeden z największych pisarzy „straconego pokolenia”, czyli pokolenia wojny afgańskiej. Zapłacił za imperialistyczne ambicje ZSRR trwałym kalectwem – porusza się od lat na inwalidzkim wózku. Imponuje mi jego determinacja, jego wiara w życie, jego tytaniczna praca. Przebył długą drogę od fizycznego pracownika zakładów „Zaporożec” do doktora habilitowanego nauk filologicznych. Jest laureatem najwyższego literackiego wawrzynu Ukrainy, czyli Nagrody Państwowej im. Tarasa Szewczenki.

Pierwszą książkę – *Kobieta ze śniegu* – tłumaczyłem z Iwoną Wasilewską. Wtedy nie byłem pewien swoich sił. Najwięcej pracy kosztowała mnie jednak

*Księga zapomnienia*, w której narracja powieściowa spleta się z eseistycznymi wątkami i filozoficznymi rozważaniami o życiu i naturze wojny. Wasyl pisał ją prawie trzydzieści lat, dlatego można ją traktować jako swoisty rozrachunek z rosyjską interwencją w Afganistanie.

Ale najwięcej radości sprawiła mi powieść *Ten sam kurz drogi*, która ukazała się w czerwcu 2021 roku w lubelskim wydawnictwie „Warsztaty Kultury”. Jej głównym bohaterem jest Natan, czterdziestoletni mężczyzna uważający się za pisarza. Kryzys wieku średniego sprawia, że decyduje się na wyjazd do sanatorium. Okazuje się, że w sanatorium przebywają wyłącznie kobiety i dzieci, a on jest jedynym pacjentem mężczyzną. W dzieciństwie otaczały go kobiety: matka, starsza siostra, dwie ciotki, babcia i jej siostra Tekla. Losy tych kobiet były złożone, czasami tragiczne, dlatego pobyt w sanatorium skłania Natana do wspomnień o rodzinie i dzieciństwie. Te retrospektywne obrazy dzieciństwa przeplatają się ze wspomnieniami z wojen, w których uczestniczył: z Afganistanu, Czeczenii, Jugosławii. Wartka i pełna nagłych zwrotów akcji narracja, jednym słowem, rzecz godna polecenia.

**Wspomniałeś, że *Księga zapomnienia* wymagała od ciebie jako tłumacza najwięcej pracy. Na czym polegała trudność pracy translatorskiej przy tej opowieści?**

Mógłbym to określić w kategorii wyzwania, bo podjąłem się tłumaczenia powieści, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo skomplikowaną materią operuje jej autor. Połowa tej książki to eseistyczne rozważania o wojnie, w których Wasyl Słapczuk odwołuje się do światowej literatury, cytując autorów prac filozoficznych i traktatów, dzienniki i wspomnienia uczestników konfliktów zbrojnych od zarania cywilizacji po dzień dzisiejszy. Część z tych źródeł nie funkcjonuje w zachodnioeuropejskim kręgu kulturowym, pojawia się sporadycznie w rosyjskich tłumaczeniach sprzed lat, które dziś nie są dostępne. Wybrałem rozwiązanie wadliwe z punktu widzenia praktyki przekładowej, ale jedynie możliwe – z wyjątkiem tekstów kanonicznych takich jak Stary i Nowy Testament, Koran, Tora, gdzie konsekwentnie korzystałem z przyjętych w obrębie danego wyznania przekładów, całą resztę tłumaczyłem z tekstów zamieszczonych przez autora. Ogrom tej tytanicznej pracy, bo tych odautorskich odwołań były setki, a przecież nawet znalezienie właściwej frazy w Biblii jest problemem, dosłownie mnie paraliżował. Druga sprawa to właściwie nieprzetłumaczalny, specyficzny żołnierski żargon używany w radzieckiej armii, z którym trudno mi było sobie poradzić. Dobrze, że mogłem skorzystać z pomocy Wasyla. Rezygnowałem, odkładałem książkę, wracałem do niej – praca trwała prawie trzy lata. Upór połączony z determinacją pomógł mi doprowadzić tłumaczenie do końca. Rezultat mnie zaskoczył: książka została nominowana do drugiego etapu „Angelusa”, Literackiej Nagrody Europy Środkowej

i otrzymała laur Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego w 2015 roku.

**Śledząc twoją literacką twórczość, trudno oprzeć się wrażeniu, że jesteś autorem wielowymiarowym, poszukującym dla siebie nowych form wyrazu. Twój najnowszy utwór *Syrop z kocimiętki* to monodram, a więc tym razem zmierzasz w kierunku teatru.**

Napisałem go dla Piotra Fronczewskiego – znakomitego aktora, o kolosalnym potencjale dramatycznego wyrazu, czemu dał wyraz, kreując postać Mistrza we wspomnianym już filmie *Klecha*. To słodko-gorzka historia krawca, który całe życie szył sutanny. Nie jest nikomu potrzebny, poza dobrym imieniem z dawnego życia, kiedy był niekwestionowanym dyktatorem kościelnej mody, nic mu nie zostało. Otoczony przez manekiny próbuje na nowo odbudować swój świat. Nie wiem, czy trafi na teatralną scenę, może uda się z tego skroić scenariusz na przejmującą, surową opowieść o życiu.

**Nie obawiasz się, że podejmując taką tematykę, zostaniesz źle zrozumiany? Czy pisarz w ogóle powinien się tego obawiać? Z jednej strony wydobywasz na światło dzienne kwestie traktowane przez zainteresowane grupy jako tematy tabu – mam tutaj na myśli powiązania pomiędzy aparatem służb bezpieczeństwa PRL a polskim duchowieństwem. Z drugiej nadajesz tym tematom groteskowy, przerysowany wyraz. Właściwie poruszasz się na granicy czegoś**

**dość niebezpiecznego dla pisarza – patosu i śmieszności. Czy właśnie tak pojmujesz literaturę?**

Obawiam się, bo mimo że próbuję być uczciwy w tym, co piszę, jestem oskarżany o nieprzyzwoitość, niepotrzebne rozdrapywanie ran, nieodpowiedzialność. Opozycja widzi we mnie pisarza wysługującego się władzy, władza – przeciwnika, który nie akceptuje jej systemu wartości i jej poczynań. Pamiętam pytanie jednego z hierarchów po zamkniętej projekcji filmu *Klecha* na Konferencji Episkopatu Polski – dlaczego przypominamy niegodne zachowania księży współpracujących ze Służbą Bezpieczeństwa, skoro te czasy minęły, a władza komunistyczna upadła? Dlaczego nie nagłaśniamy postaw pozytywnych?

Nie wiem, w jakiej skali określić poziom wzajemnego niezrozumienia, bo cały nasz film jest hołdem dla kapłana, który miał odwagę wypełniać misję Kościoła. Nie rozumiem władzy, która odmawia kobietom prawa do badań prenatalnych albo odtrąca uchodźców i potrzebujących pomocy, mimo że deklaruje przywiązanie do wartości chrześcijańskich. Nie rozumiem wielu spraw, które dzieją się wokół mnie.

Nie piszę swoich książek przeciwko komuś, próbuję jedynie docierać, jeśli nie dla innych, to chociażby dla siebie do jakiejś, może cząstkowej prawdy o historii, która nie należy do żadnej ze stron politycznego sporu, o człowieku i jego obowiązkach wobec siebie, o życiu. A że skazuję się na patos i groteskę – widać taka jest cena, którą płacę za prawo bycia sobą.

**Wróciłeś jednak do reportażu, który pozwala podpatrywać życie i szukać prawdy o człowieku.**

W ostatnich latach dość często byłem uczestnikiem różnych międzynarodowych projektów literackich i obojętnie gdzie rozmawiałem ze swoimi bohaterami – czy w Londynie, w Rapperswilu w Szwajcarii, białoruskim Iwieńcu czy Krasławiu na Łotwie – ludzie byli podobni: z zasady dobrzy i serdeczni. Ale coś, co przychodzi z zewnątrz i ma globalny charakter, sprawia, że w grupie stają się źli, nie potrafią się tym dobrem dzielić. Gorzkim przykładem niech będzie przysłowiowe polskie piekło i historia popowstaniowej emigracji do Szwajcarii, gdzie największym wrogiem Polaka był drugi Polak. Carski historyk Mikołaj Berg z analizy przyczyn, które prowadziły do klęsk kolejnych powstańczych zrywów, wyciąga wniosek, że Polacy nie dorośli do niepodległości: za dużą wagę przykładają do swoich jednostkowych interesów, zostawiając na boku dobro wspólne. Doświadczaliśmy tych podziałów, tego braku wspólnoty wtedy, doświadczamy i dziś.

**Chciałabym wrócić do *Diabelskiej maszyny do życia*, reportaży z Ukrainy opowiadających o toczonej się tam wojnie. Dlaczego zająłeś się tym tematem?**

W wojnie nie ma nic fascynującego, z bliska wojna jest odrażająca i siermiężna – śmierdzi. Etos wojny został stworzony przez propagandę, która w ten

sposób wychowywała sobie przyszłe pokolenia żołnierzy, przenosząc punkt ciężkości z okrucieństwa i cierpienia na bohaterstwo i heroizm. A już ta ostatnia wojna w strefie ATO (operacji antyterrorystycznej) niczym nie przypomina tej, którą znamy z wojennych powieści i kin. To walka wszystkich ze wszystkimi i o wszystko: regularne oddziały przypominają (i zachowują się jak) uzbrojone po zęby bandy. Nie sposób zidentyfikować i określić, po czyjej są stronie, nie ma ciągłej linii frontu, nie ma zasad. „Jestem tu, żeby zabijać, jestem tu, żeby zostać zabity” – te słowa Wasyla Słapczuka najlepiej oddają sens tej wojny, mimo że zostały napisane w odniesieniu do wojny w Afganistanie.

W recenzji, która ukazała się w „Akcentach” (nr 3/2021), Andrij Saweneć sformułował bardzo trafną obserwację: „Dramat współczesnej rzeczywistości ukraińskiej rozgrywa się między *Wojna to my* Bernsteina a *Piekło to inni* Sartre’a. Chcielibyśmy się spodziewać czegoś, co również leży poza mocą sprawczą autora i czytelników – tego, że gdy będziemy czytać nowe zbiory reportaży Wojciecha Pestki o nas i Innych mieszkających w wielonarodowym kosmosie na wschód od Polski, będzie w tych książkach choć trochę mniej wojny i mniej piekła”.

\*\*\*

**Życie może jest piękne, ale dlaczego takie brutalne. Można to stwierdzić po lekturze twoich książek. Dlaczego?**

Życie jako takie jest nie tylko piękne, ale w jakiś sposób uczciwe. Brutalny w tym życiu jest człowiek. Życie samo w sobie jest zbudowane na kilku prostych zasadach jak trwanie, potrzeba bezpieczeństwa, potrzeba miłości. To nawet nie są zasady, lecz pryncypia. Tutaj nie ma niczego brutalnego. Natomiast kiedy pojawia się człowiek ze swoją wyobraźnią i oczekiwaniami, swoją pychą i niepohamowaną żądzą posiadania, to wtedy zaczyna się dramat i pojawia się element nieuczciwości wyspekulowanej wobec biologicznej prawdy, bo na poziomie zwierząt nie można mówić o potworności, sadyzmie czy okrucieństwie.

**Pytanie odnośnie do kondycji człowieka. Czy nie masz czasami takiego wrażenia, że literatura powieździała w zasadzie o człowieku już wszystko i jedyne, co może, to powtarzać w nieskończoność te same tematy?**

Można by spytać, jak to jest z tym życiem. Jeżeli życie to te same tematy, odkąd człowiek pojawił się na ziemi, czyli skąd zdobyć jedzenie, skąd dostać coś do picia i jaką kobietę zdobyć (męski punkt widzenia), jeżeli świat właściwie na tych trzech miejscach stoi – jeść, pić, kochać – to nie dziwne, że natrętnie, od początku każda epoka próbuje poprzez literaturę i kulturę dokumentować kondycję jednostki i społeczeństwa i do tych tematów wraca. Literatura jest w takim sensie powtarzaniem tematów, w jakim życie jest powtarzaniem ludzkich spraw. A że te tematy pokazuje się



w różny sposób, że wiedza człowieka o tym, kim jest i jak świat jest zbudowany, wzrasta, więc odpowiedź na te pytania jest za każdym razem inna i bliższa jakiejś nieosiągalnej, ale istotnej, z punktu widzenia naszej wiedzy o sobie, kosmicznej prawdy. Bo przecież już w Starym Testamencie powiedziano o człowieku wszystko...

**Komu potrzebne jest pisanie, czy nie jest zaśmiecaniem świata, przestrzeni, której i tak już jest niewiele. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?**

To można powiedzieć o każdym człowieku, który żyje na tym świecie, że jego życie to wyraz subiektywnej, wewnętrznej potrzeby i biologicznej konieczności, może tylko kolejność powinna być odwrotna. Zajmuje miejsce innemu osobnikowi tego samego gatunku, zabiera mu energię konieczną do życia, którą tamten mógłby wykorzystać w inny sposób, odbiera mu jakąś część naturalnych dóbr, jednym słowem – okrada go z zasobów życiowych. Inaczej mówiąc, każdy powinien poczuć się winny z tego powodu. Nie mam takiego imperatywu wewnętrznego, który by kazał mi resztę tego, co robię, naznaczać jakimś odgórnym przesłaniem. Mam wrażenie, że przeceniamy znaczenie naszej, w gruncie rzeczy iluzorycznej i dość przypadkowej, obecności w kosmosie i próbujemy na siłę nadawać sens naszym działaniom, naszemu istnieniu.

**Często pyta się autorów o ranking wartości. Są tacy, którzy mówią, że ważna jest w pisaniu prawdomówność, inni z kolei mówią o obiektywizmie, jeszcze inni odwołują się do wartości artystycznych, kreacji.**

To wszystko jest ważne: wartości artystyczne, etyczne, prawda... „Poznacie Prawdę, a Prawda was wyzwoli” (J 8,32) – ponadczasowe przesłanie zawarte w tych słowach każe nam z dążenia do prawdy o otaczającej nas rzeczywistości uczynić jedno z najważniejszych kryteriów oceny dzieła artystycznego, najwyższą wartość. Czy rzeczywiście? Cały sens tych słów zawiera się w tym, by do tej prawdy się zbliżyć, próbować do niej dotrzeć. Może trywialnie zabrzmie dziś, kiedy szermujemy zuchwale pojęciami odwołującymi się do absolutu, twierdzenie, że nie absolutna, nieosiągalna prawda, ale dążenie do niej legitymizuje działania twórcy. Ważne jednak, może najważniejsze, by w procesie poszukiwania prawdy zachować uczciwość wobec siebie. I to jest drugi bardzo istotny dla mnie element. Chociaż, mówiąc wprost, pisanie jest wyrazem pychy, ponieważ nikt nie powinien stawiać się ponad innymi. Twórca, w sposób niewyraźny werbalnie, zakłada, że jest mądrzejszy, wrażliwszy i w związku z tym ma prawo mówić do innych, oceniać, różnicować emocje, nazywać rzeczy, szermować pojęciami dobra i zła. Sądzi innych, uznając w swojej pysze, że ma takie prawo. To jest teoria.



## **A w praktyce?**

W praktyce jest różnie. Zwykły dzień. Człowiek układa plan, to jest też pewien rodzaj pychy, bo zakłada, że panuje nad czasem i logiką zdarzeń, i te jego plany będą organizowały tę przestrzeń wokół niego, uważa się za Stwórcę. Później przychodzi rzeczywistość, która odziera go ze złudzeń. Świat żyje na swój sposób i ludzkie plany ma za nic. Już nie mówię o rzeczywistości biologicznej w postaci choroby, ale na co dzień jest tyle nieprzewidywanych sytuacji i elementów, że planowanie urąga tej podstawowej substancji świata.

## **Co wobec tego możemy zrobić?**

Wychodząc z domu, nie zakładać, że wrócimy. I nie chodzi tu o określoną godzinę. To jest akceptacja świata i siebie w pełnym wymiarze. Zarówno swoich złych, jak i dobrych stron. Tak samo w odniesieniu do świata.

**Więc te wszystkie porządki filozoficzne, religijne, kodeksy moralne są także wyrazem pychy, bo zostały narzucone?**

W jakiś sposób tak, ponieważ natura człowieka, jego biologia to jest ten podstawowy poziom uczciwości. Oczywiście, możemy za pomocą woli, siły wewnętrznej wpływać na swoje zachowanie, do pewnego

momentu, zwłaszcza w warunkach braku zagrożenia. W sytuacjach ekstremalnych czynniki biologiczne, wrodzone instynkty buntują się i przejmują kontrolę nad naszym zachowaniem. Nikt nie wie, do czego jest zdolny i jak się zachowa, kiedy życie postawi go pod ścianą. Wystrzegam się pouczania innych, mówienia im, jak powinni żyć, w co wierzyć. Pamięając o tym, że nikt niczego nie powinien dostawać za darmo.

## **Czy wobec tego pisanie czegoś cię nauczyło, coś zmieniło?**

Jest jedna rzecz, która ostatnio chodzi mi po głowie, że przede wszystkim pisanie to jest takie samo rzemiosło jak robienie wielu innych rzeczy, jak naprawianie samochodów czy szycie butów. I pisarz przede wszystkim musi być dobrym rzemieślnikiem. A jeżeli robi swoją pracę dobrze, to gdzieś tam w tle, za plecami niczym muza, pojawi się coś takiego jak intuicja, przeżucie. To ten święty moment, kiedy mizerny w swej naturze człowiek wznosi się ponad swoje ludzkie słabości i ograniczenia.

**To brzmi dość poetycko... Unikasz mówienia o pisaniu wierszy.**

Nie umiem mówić o poezji, bo co można powiedzieć o czymś, co zaczyna się od niepokoju, migotania myśli, refleksu światła, a kończy wierszem.

**Jak z dzisiejszej perspektywy oceniasz te wszystkie doświadczenia, co one ci dały?**

Najwięcej nauczyłem się na swoich błędach, może dlatego wciąż je popełniam.

**Ale czego cię te błędy nauczyły?**

Że najgorsze są te, których się nie popełniło.

*rozmawiała Aleksandra Keller*

## Bibliografia twórczości Wojciecha Pestki

- Zwykła rozmowa* [Wiersze], Częstochowa: Wyd. Kult. i Szt. Urz. Woj. 1976, 12 s.
- Miasto* [Wiersze, fotografie W. Prażmowski], Częstochowa: SZSP WSP 1976, 8 s.
- Dziesięć wierszy dla Grosza* [Wiersze], Lublin: Polihymnia 2005, 88 s., ISBN 83-7270-365-5.  
Nagroda Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w 2005 za najlepszy tom poetycki.  
Przekłady: ros. *Стихи для Грошки*, tłum. S. Moreino, Moskwa 2013; ukr. *Сніданок з Гамлетом*, tłum. W. Słapczuk, Łuck 2016.
- Spacer po linie – Мандрівка ливною* [Wiersze, tłum. wzaj.], współaut. A. Bagriana. Radom–Lwów: Skaut.pl–Kameniar 2008, 96 s., ISBN 978-83-60126-55-0, ISBN 5-7745-1064-6.
- Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa* [Reportaże], Warszawa: Prószyński i S-ka 2009, 200 s., ISBN 978-83-7648-012-1. Wyd. 2 zmien. i rozszerz., Kraków: Wysoki Zamek 2019, 256 s., ISBN 978-83-950387-8-5.  
Nominacja do Nagrody im. J. Mackiewicza (2010),

Nagroda Marszałka Województwa Mazowieckiego (2010), Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Hryhorija Skoworody (Ukraina, 2012), Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Mikołaja Gogola (Ukraina, 2013), Ogólnopolska Nagroda Literacka im. Bolesława Prusa (2013).

Przekłady: ukr. *До побачення в пеклі*, tłum. A. Pawłyszyn, Lwów 2012; ros. *До свидания в аду*, tłum. S. Moreino, Moskwa 2019; biał. *Да сустрэчы ў некле*, tłum. P. Lachnowicz, Mińsk 2020.

*Ballada o żyletce* [Opowiadania], Warszawa: LSW 2009, 144 s., ISBN 978-83-205-5430-4.

Zawartość. Kalki. Pornografia: *Pies z czapką w pysku*, *Pornografia*, *Dziewczyna (z Dębłina)*, *Nisza – w niebo patrzymy*; Etiudy na odrobinę zdziwienia i (nie)rzeczywistość: *Senna opowieść*, *Stróża (inaczej nocna straż)*, *Przepis na śmieszne ciasteczka (w ramach promocji)*, *Lublin. Podróż na wschód*, *Skazany na niewinność*, *Etiuda na zadany temat (to tylko sen)*; (Nie)prawdy i (nie) bajki: *Krótkie opowiadanie o miłości, czyli Romeo i Julia*, *Miasto*, *Wróble nie odlatują*, *Buziaczki – inaczej ślina na druty*; Ballady: *Ballada... tu mówi radio!*, *Ballada o praniu (z odroczonym terminem)*, *Ballada o żyletce*.

[*Trzy razy trzy*] 3 x 3 [Wiersze, tłum. wzaj.], współaut. M. Assare, S. Moreino, Radom: Skaut.pl 2010, 48 s.

*Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii* [Biografia], Radom: Inserat 2012, 144 s., ISBN 978-83-63315-07-8.

*Powiedzcie swoim* [Powieść polityczna o Radomskim Czerwcu '76], Kraków: Wysoki Zamek 2013, 328 s., ISBN 978-83-936117-6-8.

[Adaptacja:] Jarosław Rabenda, Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu (publiczne czytanie 22 czerwca 2016).

*Долины под снегом* [Eseje], współaut. S. Moreino, Moskwa: Russkij Guliwer 2015, 76 s., ISBN 978-5-91527-157-7.

*Mój mąż frajer* [Powieść], Kraków: Wysoki Zamek 2017, 150 s., ISBN 978-83-947365-0-7.

*Histeria* [Wiersze wybrane], Kraków: Wysoki Zamek 2017, 112 s., ISBN 978-83-947365-7-6.

*Klecha* [Scenariusz filmowy na motywach powieści *Powiedzcie swoim*], współaut. J. Gwizdała, J. Petelski. V-FILM 2017.

*Gdyby Polacy nie byli Polakami. Kresowa apokalipsa: Reportaże i perory* [Reportaże], Kraków: Wysoki Zamek 2019, 352 s., ISBN 978-83-953999-6-1.

*Diabelska maszyna do szycia. Kresowa apokalipsa: Reportaże i perory* [Reportaże], Kraków: Wysoki Zamek 2020, 358 s., ISBN 978-83-956802-3-6.

*Mono #dram* [Wiersze], Lublin: Instytut Literatury i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Lubelski 2020, 96 s., ISBN 978-83-66761-05-9; ISBN 978-83-66765-16-0.

*Syrop z kocimiętki* [Monodram], Lublin: Instytut Literatury i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Lubelski 2020, 92 s., ISBN 978-83-66761-10-0; ISBN 978-83-66765-19-1.

*Bezsenne* [Powieść], Lublin: Instytut Literatury i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Lubelski 2021, 172 s., ISBN 978-83-66761-22-3.

#### PRZEKŁADY

- A. Rezanovich, *Pustelnik*, [Opowiadanie, z biał.], Częstochowa: Tow. Wzajem. Ador. LITWA 2006, 32 s.
- A. Bagriana, *Wyśnij mnie* [Wiersze, z ukr.], Częstochowa: Tow. Wzajem. Ador. LITWA 2008, 16 s., ISBN 978-83-89108-79-1.
- P. Szczyrycia, *Uobecnienie legendy – Напомнення легенди* [Wiersze, z ukr.], współaut. I. Wasilewska, Kijów: Uniwer. Wyd. PULSARY 2010, 40 s., ISBN 978-966-2171-62-4.
- W. Słapczuk, *Kobieta ze śniegu* [Powieść, z ukr.], współaut. I. Wasilewska, Lublin: Polihymnia 2012, 264 s., ISBN 978-83-7270-999-8.
- W. Słapczuk, *Księga zapomnienia* [Powieść, z ukr.], Kraków: Wysoki Zamek 2014, 428 s., ISBN 978-83-939586-7-2.
- P. Lachnowicz, *Magiczna odznaka* [Opowiadanie dla młodzieży, z biał.], „Koziołek” 2020, nr 1, 24 s. dod. „Lublin, kultura i społeczeństwo”, ISSN 1733-4330.
- W. Słapczuk, *Ten sam kurz drogi* [Powieść, z ukr.], Lublin: Warsztaty Kultury 2021, 432 s., ISBN 978-83-64375-47-7.
- S. Moreino, *Zimny płomień Hanzy* [Wiersze z ros.], Częstochowa: Towarzystwo Galeria Literacka 2021, 86 s., ISBN 978-83-65994-24-0.

#### REDAKCJA

- J. Gacki, reprinty prac:  
*Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa*, Radom: Skaut.pl 2008, 302 s., ISBN 978-88-60120-93-6.  
*Droga krzyżowa*, Radom: Skaut.pl 2012, 40 s.  
*Głos do Boga. Nabożeństwo domowe i kościelne...*, Radom: Skaut.pl 2018, 272 s., ISBN 978-83-63315-33-7.  
*Jedlnia*, Radom: Skaut.pl 2021, 72 s., ISBN 978-83-63315-55-92.

- Ślad w pamięci* [Album fotograficzny], współred. D. Szegda-Pestka, A. Winiarska, Poświętne: Stowarzyszenie JEDL尼亚 2021, 152 s., ISBN 978-83-96714-0-9.

#### PUBLIKACJE W WYDAWNICTWACH ZBIOROWYCH

- Miasto (Warstwa milczenia)* [w:] *Pierwszy komunikat. Almanach poetycki*, red. B. Garboś, Sandomierz: HSO w Sandomierzu 1976, s. 12.
- Przykład jego gorliwy* [w:] *Przykład jego gorliwy* [Druk z okazji nadania GBP w Jedlni im. ks. J. Gackiego, wstęp, red., projekt okł.], współaut. W. Karwicka, Jedlnia: Skaut.pl 2012, s. 3-9.
- Przykazanie piąte: nie zabijaj* [w:] *Pojednanie przez trudną pamięć*, red. A. Zińczuk, Lublin: Stowarzyszenie „Panorama Kultur” 2012, s. 82-84, ISBN 978-83-922720-8-2.

Owoc z drzewa makadamii [w:] *Powroty*. Radom, red. S. Równy, Radom: MBP w Radomiu 2017, s. 113-138, ISBN 978-83-63781-40-1.

*Dlaczego Jedlnia?, Porządek prawa obelnego, Młynarze i młyny, Wybrańcy, Dni szalone w Jedlni, Szkoła Elementarna, Szwedzi a kociołek miedziany na święconą wodę, Śmierć Dionizego Czachowskiego, Cmentarze, Dawny kościół drewniany (oczami ks. J. Gackiego), Dawny kościół murowany (oczami ks. J. Gackiego), Ks. Tadeusz Gacki (1771-1838), Sub fide sacerdotalis – ks. Józef Gacki (życie i zasługi), Matka Boska Częstochowska – obraz pędzla Aleksandra Lessera z 1870 roku, Teraźniejszy kościół murowany (oczami ks. J. Wiśniewskiego), Nowa plebania murowana (oczami ks. J. Wiśniewskiego)* [w:] *Jedlnia, wieś królewska. Cud, miód i obwarzanki*, red. D. Szegda-Pestka, Radom: Skaut.pl 2019, s. 5-7, 18-46, 75-77, 82-84, 255-286, ISBN 978-83-63315-46-7.

#### OPRACOWANIA I RECENZJE (wybór w układzie alfabetycznym)

Antoniak-Kiedos E., *Matematyka królową nauk. Poezja królową życia? O twórczości Wojciecha Pestki* [w:] *Szkicownik. O pisarzach lubelskich*, red. Zbigniew W. Fronczek, Lublin: Instytut Literatury i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Lubelski 2021, ISBN 978-83-66761-24-7.

Amanowicz M., *Dziesięć wierszy dla Grosza*, „Resursa.

Radomski Miesięcznik Kulturalny” 2006, nr 7-9 [rec. *Dziesięć wierszy dla Grosza*].

Baran Je., *Прозирання за межі правди* [*Spojrzenie za granicę prawdy*], online: <http://bukvoid.com.ua/reviews/books/2013/01/23/084507.html> [dostęp: 23 stycznia 2013], patrz przekł. I. Wasilewska, „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2013 nr 5, ISSN 1733-4330 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].

Chyczyński S., *Pani Grosz wśród wierszy*, „Twórczość” 2007, nr 10, ISSN 0041-4727 [rec. *Dziesięć wierszy dla Grosza*].

Cirlić-Straszyńska D., *Kto ty jesteś?*, „Nowe Książki” 2009, nr 5, ISSN 0137-8562 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].

Fronczek Z. W., *Lektura obowiązkowa a może obowiązek lektury*, „Miesięcznik Prowincjonalny” 2013, nr 1, ISSN 1506-5391 [rec. *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805-1876) zarys biografii*]. Tenże: *Za wierność przesłaniu poety*, „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2016, nr 3, s. 98-99, ISSN 1735-4330.

Górecki W., *Współczujcie nam, myślcie o nas*, „Nowe Książki” 2020, nr 7-8, ISSN 0137-8562 [rec. *Gdyby Polacy nie byli Polakami*].

Gorska B., *Pejzaż z wędrowcem*, „Twórczość” 2009, nr 9, ISSN 0041-4727 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].

Hnidiuk J., *Powieść polityczna?*, „Nowe Książki” 2014, nr 3, ISSN 0137-8562 [rec. *Powiedzcie swoim*].

Jaworska J., *Syrop z kocimiętki*, „Dialog” 2020, nr 3 ISSN 0012-2041 [rec. *Syrop z kocimiętki*].

Kajtoch W., *O sztuce poetyckiej rozmowy*, „Tygiel



- Kultury” 2008, nr 7-9, ISSN 1425-8587 [rec. *Spacer po linie – Мандрівка ливною*].
- Kanizy P., *Bohater lokalnej historii*, „Nowe Książki” 2012, nr 12, ISSN 0137-8562 [rec. *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii*].
- Kapsa J., *Książka o żalonym Mefisto*, „Kultura”, online: cz.info.pl [dostęp: 22 listopada 2013] [rec. *Powiedzcie swoim*].
- Karpusta Ż., *Нагодв налазиць сувязь [Okazja do nawiązania kontaktu]*, „LiM. Litaratura i mastactwa” (Białoruś) 28 sierpnia 2009, nr 32 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Keller A., *Radomska omerta*, „Twórczość” 2014, nr 6, ISSN 0041-4727 [rec. *Powiedzcie swoim*].
- Kępa M., *Kresowy ornament*, „Resursa. Radomski Miesięcznik Kulturalny” 2009, nr 5-6 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Kępa A., *Co się wydaje – nowa książka Pestki*, „wyborcza.pl Radom” 2009, online: <https://radom.wyborcza.pl/radom/7,48201,7251535,co-sie-wydaje-nowa-ksiazka-pestki.html>, [dostęp: 15 listopada 2009] [rec. *Balada o żyłtce*]. Taż: *Co się wydaje – Do zobaczenia w piekle*, „Gazeta Wyborcza Radom” 15.02.2009.
- Knop B., *Samotność w długim marszu*, „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2006, nr 2, ISSN 1733-4330 [rec. *Dziesięć wierszy dla Grosza*]. Tenże: *Odważa i prawda*, „Galeria” 2009, nr 12, ISSN 2449-5328 [rec. *Do zobaczenia w piekle*]; *Tak mało?*, „Akant” 2013, nr 6, ISSN 1429-9054 [rec. *Jak mało... ks. Józef Gacki (1805–1876) zarys biografii*]; *Czy Polacy są Polakami?*, „Topos” 2021, nr 2, ISSN 1230-8943 [rec. *Gdyby Polacy nie byli Polakami*].
- Lisowski K., *Miłość rozpisana na głosy*, „Nowe Książki” 2008, nr 7, ISSN 0137-8562 [rec. *Spacer po linie – Мандрівка ливною*].
- Małochleb P., *Życ w zapomnieniu*, „Odra” 2009, nr 5, ISSN 0472-5182 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Miciński C., *Do zobaczenia w piekle*, „granice.pl”, online: <https://www.granice.pl/recenzja/do-zobaczenia-w-piekle-kresowa-apokalipsa-ukraina-polska-bialorus-lotwa/3787> [dostęp 13 kwietnia 2021] [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Miłek M., *Po nieskończoność słowa kocham*, „Obrzeża” 2006, nr 30 [rec. *Dziesięć wierszy dla Grosza*].
- Pastuszewski St., *Taniec na linie*, „Akant” 2008, nr 5, ISSN 1429-9054 [rec. *Spacer po linie – Мандрівка ливною*]. Tenże: *We mgle*, „Akant” 2009, nr 4, [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Ratajczak M., *Powiedzcie swoim*, „Odra” 2014, nr 2, ISSN 0472-5182 [rec. *Powiedzcie swoim*].
- Saweneć A., *Kresowej apokalipsy ciąg dalszy*, „Akcent” 2021, nr 3, ISSN 0208-6220 [rec. *Diabelska maszyna do szycia*].
- Słarczuk W., *Людське життя як система знаків [Ludzkie życie jako system znaków]*, online: <http://bukvoid.com.ua/reviews/books/2012/10/03/073013.html>, [dostęp: 8 października 2012], przeł. I. Wasilewska [rec. *Do zobaczenia w piekle*]. Tenże: *Biłd Маркеса до Пестки [Od Marqueza do Pestki]*, «Літературна Україна», online: <http://litukraina.com>.



- kiev.ua/v-d-markesa-do-pestki, [dostęp: 12 stycznia 2013] [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Sobol E., *Kresowa apokalipsa. Dwugłos*, [współaut:] S. Szwarc, „Odra” 2020, nr 9, ISSN 0472-5182 [rec. *Gdyby Polacy nie byli Polakami*].
- Spólna A., *Na Wschodzie bez zmian?*, „Miesięcznik Prowincjonalny” 2009, nr 2, ISSN 1506-5391 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Stańczyk T., *Ludzie, którzy pamiętają*, „Rzeczpospolita” 2009, 7-8 marca, ISSN 0208-9130 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].
- Szwarc J., *Pestki pytań*, „Akant” 2006, nr 7, ISSN 1429-9054 [rec. *Dziesięć wierszy dla Grosza*].
- Szwarc St., *Bez tytułu*, „Topos” 2014, nr 1-2, ISSN 1230-8943 [rec. *Powiedzcie swoim*]. Tenże: *Kresowa apokalipsa. Dwugłos*, [współaut:] E. Sobol, „Odra” 2020, nr 9, ISSN 0472-5182 [rec. *Gdyby Polacy nie byli Polakami*]; *Na Wschodzie bez zmian*, „Twórczość” 2021, nr 7-8, ISSN 0041-4727 [rec. *Diabelska maszyna do szycia*].
- Wierzbicki M., *Do zobaczenia na Kresach*, „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2009, nr 2-6, ISSN 1733-4330 [rec. *Do zobaczenia w piekle*].

#### WYWIADY

(wybór w układzie alfabetycznym)

- Grzmiel Am., *Walka Dawida z Goliatem*, „wyborcza.pl Radom” 30.03.2018.

- Kępa M., *Jedlnia, Kresy a Radom pomiędzy*, „Gazeta.pl Radom” 01.02. 2013.
- Kępa A., *Powieść polityczna o czerwcu '76*, „Gazeta.pl Radom” 12.10. 2013.
- Kłymenko Oł., *Письменник існує у невеликому просторі своєї мови... [Pisarz istnieje w małej przestrzeni swojego języka...]*, „Złota Pektoral” 2013, nr 3 (24) [Ukraina].
- Szegda-Pestka D., *Nie bać się życia*, online: [https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad\\_z\\_wojciechem\\_pestka\\_nie\\_bac\\_sie.html](https://www.gmina-pionki.pl/strona-2748-wywiad_z_wojciechem_pestka_nie_bac_sie.html) [dostęp 18 września 2017], przedr. po zmian. i uzup. *Gdyby Polacy nie byli Polakami... w: Jedlnia, wieś królewska. Cud, miód i obwarzanki*, red. D. Szegda-Pestka, Radom: Skaut.pl 2019, s. 130-133, ISBN 978-83-63315-46-7.
- Worobej I., *Не люблю бути модним письменником [Nie lubię być modnym pisarzem]*, „Monitor Wołyński”, Łuck 13.11.2012 [Ukraina].

#### PUBLIKACJE W CZASOPISMACH

(wybór w układzie chronologicznym)

- Kość do ogryzania* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2005, nr 1, s. 4-6, ISSN 1735-4330. Tamże: *Do zobaczenia w piekle* [Reportaż], 2005, nr 2, s.47-50; *Strażnicy pomarańczowej rewolucji* [Reportaż], 2005, nr 3-4, s. 5-9; *Lublin. Podróż na wschód* [Opowiadanie], 2006, nr 2, s. 47-52; *Litwo! Nie moja Ojczyzna* [Reportaż], 2006, nr 3-4, s. 19-22.

*Dziewczyna (z Dębłina)* [Opowiadanie], „Odra” 2006, nr 7-8, s. 86-89, ISSN 0472-5182.

*Bielorusy, Bielorusy...* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2007, nr 1, s. 24-27.

*Ciemna jutrznia* [Wiersze], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2007, nr 2, s. 25, ISSN 1506-5391.

*Pranie z odroczonego terminem* [Opowiadanie], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2007, nr 2, s. 32-35. Tamże: „*Wołanie z przekłętego kraju*” [Esej], *Nie taka Ukraina straszna* [Reportaż], 2007, nr 3, s. 28-30, 36-37; „*Na początku było słowo*” [Wywiad z W. Jaworiwskim], 2007, nr 3, s. 20-21.

*Дівчина (з Демблін)* [Opowiadanie: *Dziewczyna (z Dębłina)*], przeł. J. Stadnyczenka, L. Chworost, „*Березіль*” 2007, nr 5-6, s. 91-97 [Charków, Ukraina].

*Вірши (вибір)* [Wiersze], przeł. P. Szczyrycia, „*Граноцловіє*” 2007, nr 4, s. 14-15 [Kijów, Ukraina].

*Skazany na niewinność, Senna opowieść, Przepis na śmieszne ciasteczka, Stróża, Ballada o żyletce* [Opowiadania], „*Twórczość*” 2007, nr 3, s. 35-57, ISSN 0041-4727.

*Kolaż z bladym księżycem nad miastem* [Reportaż], „Odra” 2008, nr 2, s. 27-32.

*Ręka, noga, mózg na ścianie* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2008, nr 1, s. 12-15. Tamże: *My z Workuty* [Reportaż], 2008, nr 2, s. 10-13; *Nie rzucim świętyń... (Obrachunek z sumieniem)* [Reportaż], 2008, nr 3, s. 11-15.

*Czekoladowe piekło (O konkursie literackim „Koronacja słowa”)* [Esej], „*On jest stamtąd skąd wszyscy*”

[Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2008, nr 3, s. 54-55, 72-75. Tamże: *Wiersze* [Wiersze], 2008, nr 4, s. 52-53.

*Daugawa – rzeka przeznaczenia* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2008, nr 4, s. 10-13. Tamże: *Iwoeniec – nieśpieszna podróż skrajem wyobraźni* [Reportaż], 2008, nr 6, s. 11-14.

*Zapis zbrodni, czyli „Krew i popiół Drażna”* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2008, nr 5-6, s. 78-80.

*Пес з шапкою в пуску, Рецетт смішних тістечок* [Opowiadania: *Pies z czapką w pysku, Przepis na śmieszne ciasteczka*], przeł. A. Bagriana, „*Nowa Proza*” 2008, nr 12, s. 159-177 [Łuck, Ukraina].

*Był sobie męzczyzna. O Jazepie Januszkiewicz...* [Reportaż], „*Zwierciadło*” 2009, nr 8, s. 52-57, ISSN 0514-0994.

*Pocztówka z Salaspils. Impresja o Knutsie Skujenieksie*, [Nota] „*Twórczość*” 2009, nr 9, s. 145-149.

*Балада пра лязе* [Opowiadanie: *Ballada o żyletce*], przeł. W. Maciuszenka, „*LiM. Litaratura i mastactwa*” 21 sierpnia 2009, nr 31, s.13 [Mińsk, Białoruś].

*Етюд. Нічна варта, Це лише сон* [Opowiadania: *Etiudy. Nocna warta, To tylko sen*], przeł. O. Kajtajewa, „*Wse Swit. Żurnal Inozemnoi Literatury*” 2009, nr 9-10, s. 88-93, ISSN 0320-8370 [Kijów, Ukraina].

*Простая беседа* [Wiersze: *Zwykła rozmowa*], przeł. S. Moreino, „*Wozduch*” 2010, nr 1, s. 179-182, ISSN 1818-8486 [Moskwa, Rosja].

*Z Jedlni pod Grunwald* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2010, nr 4, s. 20-24. Tamże: *Białoruś, oby z tego większej biedy nie było...* [Esej], *Pińska szlachta?* [Recenzja], 2010, nr 5, s. 8-9, 78-79. *Syndrom Jagielly* [Reportaż], „Znad Willi” 2010, nr 4, s. 47-53, ISSN 1392-9712 [Wilno, Litwa].

*Przyszedłem, byście zwyciężyli* [Wywiad z U. Niakłajeu], „Odra” 2010, nr 12, s. 18-22. Tamże: *Rosja taka jaką jest* [Wywiad z W. Kantorem], 2011, nr 4, s. 2-6.

*Będą nas nazywali narodem warchotów* [Reportaż], „Polityka” 2011, nr 25 (14 czerwca), s. 60-64, ISSN 0032-3500.

*Miasto po wyroku. 35 lat po wydarzeniach...* [Reportaż], „Odra” 2011, nr 6, s. 19-26. Tamże: *Każdego roku w drugą niedzielę lipca modlimy się za pomordowanych* [Wywiad z bp. M. Trofimiakiem], 2011, nr 7-8, s. 14-18.

*Добірка віршованих творів* [Wiersze: Wybór utworów poetyckich], przeł. A. Bagriana, „Dukla” 2011, nr 5, s. 14-19. Tamże: *Приречений на невинність* [Opowiadanie: *Skazany na niewinność*], przeł. O. Katajewa, 2011, nr 6, s. 22-27 [Preszów, Słowacja].

*Żywoł Polaka pocziwego na Łotwie* [Reportaż], „Odra” 2011, nr 11, s. 25-30. Tamże: *Co z tą Ukrainą?* [Wywiad z O. Butsenką], 2012, nr 2, s. 23-27.

*Takie będą Rzeczpospolite... – rzecz o rektorze radomskiego kolegium ks. Tadeuszu Gackim (1771-1838)* [Zarys biografii], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2012, nr 2, s. 16-18.

*Białoruskie getto (w niebiałoruskiej Białorusi)* [Wywiad z A. Chadanowiczem], „Odra” 2012, nr 4, s. 2-7.

*Chylę czoła przed życiem* [Reportaż], „Zwierciadło” 2012, nr 5.

*Wiara, nadzieja... Miłosz? (Jak powinno być w niebie)* [Reportaż], „Odra” 2012, nr 6, s. 32-36.

*(Niech to) cholera i Wołyń. Rzecz o powstaniu listopadowym...* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2012, nr 3, s. 20-25.

*Pocztówka z Windawy (gdzie morze czyste...)* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2012, nr 4, s. 21-26. Tamże: *Rzeczywistość jest cieniem słowa (Schulz i Gombrowicz: przestrzenie herezji)* [Esej], 2012, nr 6, s. 34-37.

«Кроў і попел Дражна» [Reportaż], przeł. A. Pawłyszyn, „Dukla” 2012, nr 4, s. 51-56 [Preszów, Słowacja].

*Schulzowskie szlaki w Drohobyczu* [Reportaż], „Odra” 2012, nr 11, s. 70-74. Tamże: *Europa jest nudna* [Wywiad z W. Jerofiejewem], 2013, nr 1, s. 2-6; *Drobina pyłu w kosmosie* [Wywiad z R. Gombrowicz], 2013, nr 2, s. 49-53.

*A jak Armenia...* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2013, nr 2, s. 26-29. Tamże: *Dziennik pospieszny z podróży po Polsce z Wasylem Słapczukiem (16-20.04.2013 r.)* [Reportaż], 2013, nr 3, s. 24-27.

*Niebieska łotewska* [Reportaż], *Tam skąd pociągi odchodzą rzadko* [Wywiad z J.M. Nowakowskim], „Odra” 2013, nr 5, s. 45-55. Tamże: *Człowiek nie pragnie być Bogiem!* [Wywiad z M. Grinbergiem],

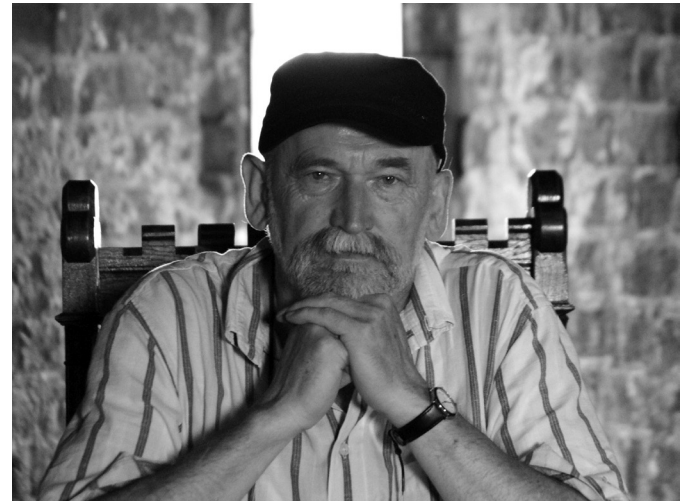
- 2013, nr 7-8, s. 41-44; *Pomarańczowa rewolucja, czyli performerce...* [Wywiad z J. Andruchowiczem], 2013, nr 9, s. 60-63.
- Guzik czapka, but... i jeszcze łyżka* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2013, nr 4, s. 25-28.
- Tamże: *Podróż z Paskiem (Zestaw dziwów jak przystało...)* [Reportaż], 2013, nr 5, s. 21-25.
- Psie głosy* [Proza], „Twórczość” 2013, nr 8, s. 58-77.
- Numurš viesls* [Wiersze: *Pokój gościnny*], przeł. M. Salejs, S. Moreino, „Vārds” 2013, s.101-109, ISSN 2255-7240 [Ryga, Łotwa].
- Pomiędzy wyniesieniem na ołtarze Ojczyzny a potępieniem* [Reportaż], „Miesięcznik Prowincjonalny” 2014, nr 1, s. 21-23.
- Wojna w realu* [Reportaż], „Rzeczpospolita”, dod. „Plus Minus” 5-26 października 2014, s. 12-13, ISSN 1427-9851.
- Nie jest lekko być wolnym narodem* [Wywiad z L. Mieliksietian], „Odra” 2014, nr 11, s. 48-51.
- Snajper. Spokojny człowiek, który zaczął zabijać* [Reportaż], „Gazeta Wyborcza”, dod. „Duży Format”, online: <https://wyborcza.pl/duzyformat/7,127290,17217209,snajper-spokojny-czlowiek-ktory-zaczal-zabijac.html>, [dostęp: 15 stycznia 2015].
- Łotewski wilk* [Wywiad z A. Wilksem], „Odra” 2015, nr 1, s. 29-34. Tamże: *Na wschodzie (Ukrainy) bez zmian* [Reportaż], 2015, nr 4, s. 17-24; *To nie nasza wojna* [Reportaż], 2015, nr 6, s. 10-14, *Ślitfocia ze śmiercią w tle* [Reportaż], 2015, nr 9, s. 10-15,
- Wybierz Gombrowicza* [Wywiad z T. Tyczyńskim], 2015, nr 10, s. 63-67; *Sny braci Karamazow* [Reportaż], 2015, nr 11, s. 10-17; *Petro samozwaniec. Strażnik prezydenckiego pałacu* [Reportaż], 2015, nr 12, s. 29-35, *Książka to moja religia* [Wywiad z M. Słaboszpyckim], 2016, nr 2, s. 40-44.
- Ludzie skrzywdzeni* [Reportaż], „Tygodnik Powszechny” 19 czerwca 2016, nr 25, s. 48-51, ISSN 0041-4808.
- Ks. *Roman Kotlarz – ikona Czerwca '76* [Reportaż], „Odra” 2016, nr 6, s. 32-40. Tamże: *Gdyby Polacy nie byli Polakami* [Reportaż], 2016, nr 7-8, s. 74-80; *Nazywają nas Kościołem Moskwy, Kremla, Putina, Janukowycza...* [Wywiad z bp. A. Drabynką], 2016, nr 9, s. 40-46.
- Wojna – to my* [Reportaż], „Tygodnik Powszechny”, dod. „Conrad” nr 3 z 23 października 2016, nr 43, s. 20-22.
- Wojna nie jest celem* [Wywiad z W. Słapczukiem], „Odra” 2016, nr 11, s. 45-50. Tamże: *Teraz także sumienie będzie na sprzedaż* [Wywiad z W. Kuprianowem], 2017, nr 1, s. 19-27.
- „Widziałem wszystko”* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2017, nr 1-2, s. 60-67.
- Upiory przeszłości* [Wywiad z A. Pawłyszynem], „Odra” 2017, nr 5, s. 33-38. Tamże: *Na froncie (dez)informacji* [Reportaż], 2017, nr 6, s. 12-19; *Rzeczy i zdarzenia pospolite Knuta Skujenieksa* [Reportaż], 2017, nr 9, s. 32-38; *Poszukiwany żywy lub martwy* [Reportaż], 2017, nr 10, s. 29-37.

- Która strona odwrotna... (tropem niedopowiedzianego reportażu)* [Reportaż], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2017, nr. 4, s. 72-77.
- Bipui* [Wiersze], przeł. W. Słapczuk, „Kyiw” 2017, nr 5-6, s. 132-135, ISSN 0208-0710 [Kijów, Ukraina].
- Miał być raj, jest Krym* [Reportaż], „Odra” 2018, nr 1, s. 17-27. Tamże: *Życie bez gwarancji na życie* [Reportaż], 2018, nr 3, s. 23-30; *Twarze legendy, Wilhelm Kotarbiński (1848-1921)* [Reportaż], 2018, nr 4, s. 61-65; *Nie sposób codziennie golić się bez patrzenia w lustro* [Wywiad z S. Borszczewskim], 2018, nr 6, s. 24-29; *Gra o historii i pamięć* [Reportaż], 2018, nr 7-8, s. 47-54; *Marzenia, czyli jak żyć godziwie* [Reportaż], 2018, nr 11, s. 49-55.
- Поезія (вубіп)* [Wiersze (wybór)], przeł. W. Słapczuk, „Dukla” 2018, nr 6, s. 2-11.
- Cerkiew bez Putina* [Reportaż], „Odra” 2019, nr 3, s. 19-26. Tamże: *Historia jednego uniwersytetu* [Reportaż], 2019, nr 4, s. 25-29.
- Don Kichot z ulicy Zacepy. O życiowych wyborach i twórczości Wasyla Słapczuka* [Esej], „Kultura Enter” 2019/3 nr 89, online: <https://kulturaenter.pl/article/don-kichot-z-ulicy-zacepy/> [Dostęp: 22 grudnia 2019].
- Ktokolwiek jesteś bez Ojczyzny* [Wywiad z N. Taylor], „Odra” 2019, nr 10, s. 39-46. Tamże: *Prezydent czy sługa (narodu)?* [Wywiad z W. Słapczukiem], 2019, nr 12, s. 19-23.
- Biblioteka Polska w Londynie: być albo nie być?* [Wywiad z D. Platt], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2019, nr 6, s. 50-54. Tamże: *Refleksja na zadany temat* [Esej], 2019, nr 7, s. 79.
- Tikejimas, viltis... Miłozas* [Reportaż: *Wiara, nadzieja... Miłozas*], „Naujoji Romuva”, 2020 nr 1, s. 61-63, ISSN 1392-043.
- Rosja: codzienność w feudalnym kraju* [Wywiad z I. Bielowem], „Odra” 2020, nr 3, s. 21-27.
- Po kropce. Wiersze* [Wiersze], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2020, nr 2, s. 3.
- Lach, Żyd i sobaka. Józef Łobodowski...* [Reportaż], „Odra” 2020, nr 5, s. 49-53.
- Vrabce neolietaju* [Opowiadanie: *Wróble nie odlatują*] przeł. I. Jackanin, „Romboid” 2020 nr 7, s. 25-34, ISSN 10231-674 [Bratysława, Słowacja].
- Errata do Katynia. A wspomnienia Ferdynanda Goetla* [Reportaż], „Odra” 2020, nr 12, s. 49-54; *Zapraszam do piekła* [Reportaż], 2021, nr 7-8, s. 23-28, *Ukraina po trzydziestu latach* [Wywiad z A. Savenećiem], 2021, nr 10, s. 36-45.



## Wojciech Pestka – życiorys

(ur. 1951) poeta, prozaik, tłumacz, reporter, scenarzysta.



Urodzony 27.11.1951 w Pionkach, syn Władysława i Zofii z domu Rojek. Uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego w Pionkach. W roku 1969 podjął studia na kierunku matematycznym Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Założyciel Teatru Studenckiego „Tremo”. W 1972 roku przeniósł się na Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Studia ukończył i pracę magisterską obronił w 1974. Debiutował na łamach lubelskiego dwutygodnika „Kamena”



w 1972. Należał do skandalizującej grupy poetyckiej „Samsara” (twórczość kolektywna), uczestniczył we wspólnych publikacjach i prowokacjach poetyckich, współpracował z Radiem Akademickim UMCS – prowadził cotygodniową audycję o filozofii Wschodu. W 1973 zawarł związek małżeński z Danutą Szegdą. Od grudnia 1974 do końca września 1975 roku pracował jako programista komputera Honeywell w Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej Huty Szkła Okiennego w Sandomierzu. W tym okresie był związany z Tarnobrzeskim Klubem Literackim. Od października 1975 roku do września 1980 roku był pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie. Pracując na uczelni, jednocześnie prowadził klub studencki „Tunel”, był współorganizatorem III Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich Częstochowa – Kłobuck ‘76, przewodniczył Korespondencyjnemu Klubowi Młodych Pisarzy, współtworzył Teatr Studentów WSP. Relegowany z uczelni w 1980 z wilczym biletem (z powodów politycznych, bez możliwości podjęcia pracy), osiadł na wsi. Został rolnikiem, właścicielem gospodarstwa (4,34 ha) we wsi Poświętne w gminie Pionki.

Współzałożyciel działającego od 2007 na rzecz regionu Stowarzyszenia JEDLNIA, współtwórca lokalnego pisma „Nasza Jedlnia”, redaktor i wydawca serii reprintów i opracowań o tematyce regionalnej, inicjator lokalnych działań na rzecz ochrony materialnego i niematerialnego dziedzictwa kulturalnego. Członek redakcji dwumiesięcznika „Lublin, Kultura

i Społeczeństwo”, juror Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Odrze”, radomskim „Miesięczniku Prowincjonalnym”, częstochowskiej „Galerii”, incydentalnie w „Polityce”, „Tygodniku Powszechnym”, „Plusie-Minusie” (dodatek „Rzeczpospolitej”), „Dużym Formacie” („Gazeta Wyborcza”). Autor tłumaczeń z języka białoruskiego, rosyjskiego, ukraińskiego. Członek Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Uhonorowany m.in. odznaczeniem „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2013), medalem „Za Wierność Przesłaniu Poety” (Ukraińska Fundacja Kultury, 2015), brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2017), „Medalem 700-lecia Miasta Lublin” (2018), „Medalem 450-lecia Unii Lubelskiej” (2019).

Strona autorska: [www.wojciechpestka.pl](http://www.wojciechpestka.pl)

oprac. D. Szegda

## Nota wydawnicza

Książka składa się z trzech części: „Sylwetka”, „Wybór utworów Wojciecha Pestki”, „Krytyka literacka o twórczości Wojciecha Pestki” oraz „Wywiadu” i „Bibliografii” z życiorysem twórcy.

Część pierwsza – Sylwetka

Wojciech Kajtoch, „O twórczości i życiu Wojciecha Pestki...”

Część druga – Wybór utworów Wojciecha Pestki

Wiersze:

„zmierzch” [s. 3]<sup>†</sup> z tomu *Zwykła rozmowa* (Częstochowa 1976); „nie mam gdzie wrócić” [s. 5], „przed oszkloną bramą raj” [s. 11], „w Krakowie” [s. 25] z tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* (Lublin 2005); „zanim powstał świat” [s. 22], „spotkanie” [s. 14], „wiesz o lampie na biurku” [s. 64] z tomu *Spacer po linie – Мандрівка ливною* (z Anną Bagrianą, Radom-Lwów 2008); „ciemna jutrznia” [s. 104] z tomu *Histeria* (Kraków 2017); „\*\*\* (powinieneś być ciepłiwy...)” [s. 7], „po kropce” [s. 15] z tomu *Mono #dram* (Lublin-Kraków 2020).

Proza:

Opowiadania: „Stróża (inaczej nocna straż)” [s. 43], „Etiuda na zadany temat (to tylko sen)” [s. 81], „Senna opowieść” [s. 38], „Lublin. Podróż na wschód” [s. 73] pochodzą ze zbioru *Ballada o żyłce* (Warszawa 2009).

Powieści:

Fragmenty: „Pątnicy ‘78” [s. 7], „Mapa drogowa (jeśli mamy serio rozmawiać)” [s. 11], „Inwokacja... (z utworem biesiadnym w tle)” [s. 12], „Czerwone balony: niemoralna etiuda teatralna” [s. 236], „Zaproszenie do podziemnego królestwa” [s. 176] z powieści *Powiedzcie swoim* (Kraków 2013);

Fragment „Kraina Marzeń” [s. 236] z powieści *Mój mąż frajer* (Kraków 2017);

Fragmenty: „Czwartek, 9/21 września” [s. 5], „Sobota, 11/23 września” [s. 11], „Poniedziałek, 13/25 września” [s. 15], „Wtorek, 14/26 września” [s. 19], „Piątek, 17/29 września” [s. 35], „Sobota, 18/30 września” [s. 39] z powieści *Bezsenne* (Lublin-Kraków 2021).

Reportaże:

„Chatyń. Obszar zamierzonej tragedii” [s. 23], „My z Workuty” [s. 167] ze zbioru *Do zobaczenia w piekle* (Kraków 2019);

„Ostatni krąg piekła – Stalag 307 (Gra o historię i pamięć)” [s. 193], „Niebieska łotewska (Gdzie woda w morzu czysta, trawa zielona, a krowy... niebieskie?)” [s. 7] ze zbioru *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (Kraków 2019);

„Poszukiwany żywy lub martwy (Najnowsza historia Ukrainy oczami działacza UNA-UNSO4)” [s. 143], „Wojna nie zna się na żartach” [s. 7] ze zbioru *Diabelska maszyna do szycia* (Kraków 2020).

Z rękopisów:

„W restauracji «Ludowa»” – fabularyzowana scena filmu *Klecha* (reż. Jacek Gwizdała, autorzy scenariusza J. Gwizdała, W. Pestka, J. Petelski, na motywach powieści *Powiedzcie swoim*).

Część trzecia – Krytyka literacka o twórczości Wojciecha Pestki

recenzja Stanisława Chyczyńskiego, „Pani Grosz wśród wierszy” [s. 150], „Twórczość” 2007, nr 10; Wojciecha Kajtocha, „O sztuce poetyckiej rozmowy” [s. 175], „Tygiel Kultury” 2008, nr 7-9; Mirosława Ratajczaka (mr), „Powiedzcie swoim” [s. 125], „Odra” 2014, nr 2; Aleksandry Keller, „Radomska omerta” [s. 103], „Twórczość” 2014, nr 6; Marka Wierzbickiego, „Do zobaczenia na Kresach” [s. 104], „Lublin, kultura i społeczeństwo” 2009, nr 2-6; Bożeny Gorskiej, „Pejzaż z wędrowcem” [s. 96], „Twórczość” 2009, nr 9; Bogdana Knopa, „Czy Polacy są Polakami?” [s. 180], „Topos” 2021, nr 2.

Wywiad

„Inaczej przestaniesz być człowiekiem” – rozmowa Aleksandry Keller z Wojciechem Pestką

Bibliografia twórczości

twórczość, przekłady, redakcje książek, publikacje w wydawnictwach zbiorowych, wybór opracowań i recenzji, wywiady, publikacje w czasopismach, życiorys – oprac. Danuta Szegda

W książce przyjęto zasadę używania kursywy do zapisu tytułów książek, sztuk teatralnych, filmów, natomiast tytuły wierszy, opowiadań, reportaży, tytuły gazet i czasopism są zapisywane z użyciem cudzysłowów.

Bibliografia została przygotowana w układzie chronologicznym z uwzględnieniem reguł stosowanych w Polskim Słowniku Bibliograficznym, z wyjątkiem wyborów opracowań, recenzji i wywiadów uporządkowanych alfabetycznie.

Recenzent naukowy – prof. dr hab. Ignacy Stanisław Fiut

Wprowadzenie, wybór tekstów, układ książki, redakcja całości – dr hab. Wojciech Kajtoch, prof. UJ

\* w nawiasach kwadratowych strona oryginału

Recenzent naukowy: prof. dr hab. Ignacy Stanisław Fiut

Wprowadzenie, układ książki i wybór tekstów © Copyright by Wojciech Kajtoch

Wiersze, opowiadania, fragmenty utworów prozatorskich © Copyright by Wojciech Pestka

Wywiad © Copyright by Aleksandra Keller and Wojciech Pestka

Opieka redakcyjna: Jacek Tokarski

Korekta: Mariola Będkowska, Katarzyna Szajowska

Projekt okładki: Agata Ludwińska

Opracowanie graficzne i skład: Iwona Tokarska

Druk i oprawa: Drukarnia Eikon

Wydawnictwo Wysoki Zamek

ul. Dzielskiego 2 lok. 225, 31-465 Kraków

tel. + 48 12 411 05 56

e-mail: [biuro@wysokizamek.com.pl](mailto:biuro@wysokizamek.com.pl)

[www.wysokizamek.com.pl](http://www.wysokizamek.com.pl)

ISBN 978-83-963397-2-0